

ALEKSANDER HR. FREDRO



TRZY PO TRZY

PAMIĘTNIKI Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

Z PRZEDMOWĄ

ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO

WYDAŁ, WSTĘPEM I UZUPEŁNIENIAMI ZAOPATRYŁ

HENRYK MOŚCICKI

Z 52 ILUSTRACYAMI W TEKŚCIE I 8 NA OSOBNYCH KARTACH



BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH

Nr. 3432

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
POZNAŃ — KSIĘGARNIA M. NIEMIERKIEWICZA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.



ALEKSANDER FREDRO.



Fre
Trzy
8-3

~~3432~~

Geprüft und auch für die Ausfuhr freigegeben
durch die Kais. deutsche Pressabteilung in
Warschau d. 15/XI. 1917. T. N. 8074. Dr. Nr. 18.



884-94:884 (091):920.91

SN

21027



821.162.1(091)18"A/Z:1929(438)A/Z

WSTĘP.

Pamiętniki Aleksandra hr. Fredry, skromnie przez autora zatytułowane »Trzy po trzy«, nie były przeznaczone dla szerszego ogółu. Skreślone w latach 1844—1846, miały pozostać »jako pamiątka w rękopiśmie dla rodziny«. Wszakże na schyłku życia, zawsze atoli w przekonaniu, że te wspomnienia »nie warte druku«, godził się autor na ich ogłoszenie i polecał nawet, aby je »zakończyć wierszem *Pro memoria*«, zawierającym pewne szczegóły autobiograficzne. Zezwolenie powyższe upoważniło do pomieszczenia pamiętników w zbiorowej edycji Dzieł znakomitego pisarza (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Spółka, druk W. L. Anczyca i Sp., 1880). Ukazały się wtedy równocześnie dwa wydania »Trzy po trzy«: jedno całkowite (»Dzieła«, t. XI, str. 1—209), drugie okrojone przez cenzurę warszawską (»Dzieła«, t. XI, str. 1—191). Edycja obecna opiera się na obszerniejszym druku z r. 1880, zgodnym z autografem, przez autora do ogłoszenia zakwalifikowanym, a przechowywanym w archiwum rodzinnem Maryi hr. Szembekowej. Brulion pamiętników (w posiadaniu Leona hr. Szeptyckiego) zawiera pewne odmiany stylowe, oraz niektóre uzupełnienia, uwzględnione w wydaniu niniejszem.

W aneksach i przypisach pomieszczone zostały luźne fragmenty z pamiętników, listy i wiersze Aleksandra Fredry, wreszcie najkonieczniejsze sprostowania i objaśnienia.

Wydawca poczuwa się do miłego obowiązku wyrażenia na tem miejscu serdecznej wdzięczności tym wszystkim, z których pomocy uczynnej korzystać mu było danem, a przede-

wszystkiem Czcigodnej Wnuczce Autora, Maryi z hr. Fredrów hr. Szembekowej w Siemiawicach za życzliwe wskazówki, kopie obrazów i portretów; oraz Leonowi hr. Szeptyckiemu w Przytubicach za łaskawe zezwolenie przejrzenia rękopisów i reprodukcowania cennych pamiątek rodzinnych.

Henryk Mościcki.

Niniejsze pamiętniki pisane były bez myśli o druku. Powstały one w czasach, kiedy Fredro wyrokiem własnym wykreślił się z grona pisarzy polskich — i poprzysiągł niejako nie występować nigdy przed publicznością, czy to na scenie, czy w słowie drukowanem. »Trzy po trzy« pisane też były dla poufnego grona dzieci, wnuków i może najbliższych przyjaciół. Wolne od ambicji literackiej, zachowują bezpretensjonalną postać luźnej gawędy, pełnej dygresyj, kołowego biegu treści i narostu owych »à propos«, które myśl opowiadającego wyławia z pamięci o dawnych czasach. Wielką omyłkę popełniłby jednak, kto by się dał zwieść tej prostotliwej formie i skromności autora, kto by rzeczywiście niniejsze pamiętniki brał tylko za rodzinny dokument Fredrów. Mimo naiwność literacką, mimo absolutną luźność opowiadania, *Trzy po trzy* zatrzymują w swoim wnętrzu nie tylko poblask, ale i piętno bogatego talentu. Oczywiście, napróżno by w nich szukać historyzofii, czy nawet historii czasów, w których żył autor »Zemsty«; braknie też szerokich charakterystyk ludzi, z którymi się stykał ten oficer napoleoński, późniejszy ojciec komedyi polskiej, — ale za to w stylu, w werwie, w opisie powszedniego dnia swoich czasów daje Fredro wyjątkowo żywą kolorystykę epoki. To jest podarunek złożony naszej ciekawości historycznej. Nie obojętną też będzie ta książka i dla poznania samego Fredry:

Jako komedyopisarz, autor »Ślubów panięskich« zachowuje doskonałą przedmiotowość, ten wobec swoich bohaterów

dystans, jaki twórcom i dziełom ich przepisuje stara, przed Rousseau'em działająca literatura francuska, mistrzyni Fredry i całego naszego okresu, zwanego pseudo-klasycyzmem. Więc z komedyj Fredrowskich poznajemy Cześniaków i Rejentów, Podstoline i Szambelanów, Zdzisławów, Czesławów, Klary, Aniele i Edwinów — natomiast dość dalekim znajomym pozostaje dla nas sam Fredro. Sądząc po konceptach i dogryzkach satyrycznych, zdajemy sobie sprawę z jego umysłowości; ale umysłowość jest, jak wiadomo, najmniej podmiotową — (użyjmy paradoksu) — cechą ludzkiej osobowości; najmniej nam ona powie o życiu i czynach jednostki: chętniej pragnęlibyśmy poznać w człowieku świat jego uczuć, emocyj, wogóle pole jego instynktów, słowem to, co budzi wolę, postanowienia; co jest motorem, nie hamulcem. Tych motorycznych pierwiastków, tak już jawnych u Mickiewicza czy Słowackiego, u Sienkiewicza czy u Wyspiańskiego, brak nam w starej twórczości Fredry. Domyślamy się tu i owdzie o sercu i sentymentach autora »Odludków i poety«, ale brak nam świadectwa i dowodów. I oto dopiero te szczere, w zupełnej poufności kreślone pamiętniki odsłaniają nam pełnię duchowego oblicza Fredry. Tutaj, nie tamowany żadnym przepisem estetycznym, drga żywy człowiek; tutaj odbywa się spowiedź z chwil szczęścia i zawodów, umiłowań i trosk, tu ukazuje się uczuciowość, rozbrojona z pancerza obiektywności. *Trzy po trzy*, słowem, dają nam poznać rozrzucone rysy psychiczne, z których da się złożyć portret duchowy Fredry. Niech nam wolno będzie podjąć próbę tej pracy.

I.

Nie wiem czy portret ten nie będzie zanadto pochlebiony, ale, jeśli to się stanie, nie moja to wina, a przynajmniej nie świadoma wina. Nie wiem bowiem, czy nie Fredro właśnie jest najmilszym dla mnie pisarzem polskim. Są inni, czcigodniejsi, niewątpliwie więksi, nieśmiertelniejsi, głębsi i górniesi — nie zmieni to jednak, że on dla mnie jest naj-

milszym. Wydaje mi się on jakoś dziwnie blizkim i bezpośrednio zrośnięty z czytelnikiem.

Może dlatego, że niema chyba drugiego, w większym stylu, u nas pisarza, któryby wyrastał tak »bez reszty« z puńa polskich instynktów. Cała łatwość, zdolność a nieprzeuczoność polskiej natury, dar wydobywania siebie i swojej wartości — z pędu improwizacji; jakiś impet, wynagradzający pracę i trudy, jasność, słoneczność, urodzajna bujność i taka kryształizacja duszy, że idzie od niej rzeźka woń, jak od dojrzewającego łąnu żyta: — to wszystko, co z blizka i z oddali daje wyobraźni naszej obraz Polski i polskości — to się odbija postokrotnie w twórczości Fredry i wiąże go z duszą ojczystych pokoleń.

To też dzieła Fredry, jak dzieła żadnego innego pisarza z XIX stulecia, wiążą się z trzema poprzednimi wiekami tego piśmiennictwa, które niem było — i jeszcze jakie! — nie wiedząc o tem: wiąże się i zrasta tak dobrze z Paskiem, jak i z Rejem, a przez nieustanne pobłyski lancowych sztychów, przez rycerski duch — i z Bogarodzicą. Nie siedzi we Fredrze prawie nic z tych starych druków, ni też znawstwo owej dawnej literatury, ale siedzi w nim mocno zadomowiona ta sama siła, jurność, ten sam dyabeł lechicki, który ludziom od pługa i szabli taki nieporównany język podszeptował, na fraszkową nutę temperament nastrajał, a umiał się w porę schować, gdy trzeba było zdrową myśl, doświadczenie, czasem wprost mądrość samorodną wypowiedzieć. Siedzi we Fredrze ten sam animusz zygmuntowski ze złotego wieku, a filozofia orna, pluźna, prosta, co nie znaczy, żeby była mała, choć daleka od systematów i nie wiedząca nic ani o Kartezyuszach ani Kantach, ot zwyczajna praktyczna moralistyka, opancerzona podwójnie kutym zdrowym rozsądkiem, zdobna w żywe ludzkie serce i odpędzająca wszelkie doktrynerstwo. Siedzi we Fredrze to samo poczucie ręki, przyrośniętej do pałasza, wojaacka żyłka i bywalstwo z wojennych wypraw wyniesione, zbrojny wojaż po swoich i cudzych krajach odbyty. Siedzi wreszcie w nim i rozpościera się po duszy, z całym poczuciem gospodarskiego zadomowienia — ta sama co u Rejów

i Pasków ziemiańskość, to tyle szlacheckie co i chłopskie przecie, przeświadczenie o ziemi, jako punkcie wyjścia dla wszelkiego życia fizycznego i duchowego, głębokie wpatwienie się w naturę i w niej dojrzenie nie jednej prawdy, nie jednej reguły i najtrafniejszego porównania ze wszelkimi bardziej już oderwanymi objawami życia. Co potem taki człowiek zaobserwuje czy to w dziedzinie psychologii, historii czy w innych łamach poznania, wszystko musi, sposobem projeccyi, rzucić na płaszczyznę wiejskiego doświadczenia, tutaj szukać przykładu, porównania; przez nie zrozumie i wyświekli tanto trudniejsze, bardziej oderwane zjawisko. »Wskoczyłem w nią, jak młody sarniuk na kwiecistą łąkę«, mówi np. w niniejszych pamiętnikach o chwili pierwszego swojego udziału bitewnego w kampanii 1809 r. — i jakże dosadnie, jak lapidarnie a z sielska poetycznie ujmuje stan swojego młodzieńczego temperamentu i stosunek ówczesny Polski do legionów, wojska, wojny! — I potem dopiero, po tem myśliwskim porównaniu, schodzi na uogólnienie historyczne: »cała kampania 1809 r., w porównaniu z późniejszymi, była kwiecistą; była tryumfalną przechadzką dzieci, wracających w rodzinne zagrody; była łatwym żniwem wawrzynów«.

Rzeczą doprawdy zbytęzną byłoby rozwodzić się nad spostrzeżeniem, że Fredro w każdej drobinie swej psychiki jest naturą szlachecką i ziemiańską. Może ważniejsze i mniej zbytęczne będzie powiedzieć, że przez jakiś szczęśliwy traf osiadła w tym pisarzu cała szerz i głębi' dawnego ziemiańskiego piśmiennictwa wówczas, w tej epoce, kiedy właśnie lutnia polska zaczęła peregrynować z pod lip do miejskich kamienie, kiedy ani Mickiewicza, ani Kajetana Koźmiana, ani Słowackiego, ani Korzeniowskiego nie można już inaczej traktować, jak tylko wykwił inteligencyi miejskiej: wtedy to, jakby na przekór, obok nich, obok tej ewolucyjnej fali, zjawia się pisarz tak wiejski, dworski, szlachecki, jakim od Reja nikt chyba nie był.

I oto te pamiętniki, do których nie bez poczucia zaszczytu wpisuję niniejszą przedmowę, pamiętniki te nie na jednej stronie odsłaniają nam istotę stosunku Fredry do wsi.

Rozsiał nam tu stary mistrz bogate zbiory wyznań o ukochaniu natury, o sentymencie do zagona rodzinnego, o wczuciu się w stare rodowe dwory i dworki, o rozkochaniu się w całej przeszłości ziemiańskiej. Po przeczytaniu tych kart jeszcze wyraźniejszą nam się stanie pogoda Cześnika, któremu dobrze u siebie i u synowicy, posepność Orgona z »Dożywocia«, który bodaj czuje, że policzone już jego dni na ojczystej wiosce, wśród sokór i białodrzewia, w starym ojcowskim modrzewiowym domu.

I gdyby ów sławny moment Taine'owskiego »środowiska« istotnie coś wyjaśniał w dziedzinie talentu, to możnaby powiedzieć, że pisma Fredry pisane były po części przez tę równie piastowską jak saską czy napoleońską polskość wsi polskiej, że na dnie jego arcykomedyj osiadła barwna kanwa sielskiego bytu, wraz z poszumem odpustów, jarmarków, faccycy, pomysłów i całej szlacheckiej fantazyi. Tak! — takby się rzecz miała, gdyby do tej prostej szlacheckości, do prostotliwego szlagońskiego składu ducha nie dodał był Fredro samego siebie, swojego usposobienia, które wyrosło ze szlacheckiego archaicznego dworu i kochało go fanatycznie, ale które obok tego niosło w sobie i krytycyzm i jakąś niedoświadczoną może ale niepokojącą potrzebę nowocześniejszego na świat spojrzenia. Świat Baptusiewiczów, Jowialskich, Jenialkiewiczów i Benetów pozostał Fredrze do końca życia jego sferą i jedyną jego sferą; mimo wszystko z nimi tylko mógł przestawać, pić, jeść, dysputować; wśród nich dobierać koligacye i znajomości: — serce Fredry nie zna i nie chce znać innego układu świata; co nie ze wsi, temu nie dowierza, to mu się wydaje wprost śmieszne, jak świat figur pobocznych z »Geldhaba«, albo nawet nieprzyjemne, jak ci miejscy warszawscy »Mąż i żona«; tak to prawda, ale od tego sąsiedzkiego pobłażania do krytycyzmu — odstęp daleki. Fredro wie, że Jowialscy czy Benet, Rejent, Cześnik, Jenialkiewicz, czy ów bohater Cudzoziemszczyzny — to nie są figury do naśladowania, że w każdym z nich tkwi jakiś załążek, czasem wprost organizm zła, który w pewnych warunkach komedye ich życia może obrócić w dramat. Życie ich nie idzie ku ka-

tastrofie tylko z łaski Fredry; sami oni niczem się do tego wyniku nie przyczyniają.

Nie podawał nam ich jako przykład do naśladowania. A więc powstałi gwoli śmiechu, rozbawienia czytelników, czy słuchaczy? Dalecy od intencyj Fredry będziemy, gdy na podobne przypuszczenie się zgodzimy. Fredro inaczej i z uporem inaczej na tę sprawę patrzył. Świadczy o tem pewna anegdota, którą mi nieboszczyk aktor Fiszer opowiadał, sam ją od rówieśników i wykonawców Fredry wysłuchawszy:

Było to na premierze lwowskiej »Pana Jowialskiego«. Podniosła się kurtyna, przed oczami publiczności zaczęły się rozwijać uroczę sceny z życia romantyków, którzy zawędrowali w swej studenckiej wędrowce w dom dziwaków i przyżytków — a im więcej przybywało tych scen, tem weselej, radośniej działo się na sali teatralnej, tem huczniejsza powstawała uciecha, śmiech i oklaski. Jeden był tylko na całej sali widz, którego nie tknęło powszechne rozbawienie... Siedział w pierwszych rzędach, zanurzył się w swoje krzesło, raz po raz tarł ręką chmurne czoło i każdy wybuch śmiechu witał ponurem wpatrywaniem się w sąsiadów, niezadowolonym pomrukiem. Aż gdy przysła jakaś chwila wyjątkowego humoru, gdy cały teatr zatrzęsł się wprost od żywiołowej uciechy, — wstał ze swego miejsca burkliwy szlachcic, ruszył ku wyjściu i trzasnął gniewnie za sobą drzwiami — na znak protestu. Tym protestującym, ponurym szlachcicem był nie kto inny, jak tylko autor sztuki, autor »Pana Jowialskiego«, Aleksander hr. Fredro.

Stary Fredro oburzył się na publiczność za to, że się śmiała. W swoim przekonaniu, czy w swoim złudzeniu, pisał on swą sztukę nie ku rozbawieniu rodaków; chciał pisać satyrę, może gorzką satyrę na zaśniedziałość dusz, na wiekuiłą jowialność i dobroduszną Polaków. Oto dlaczego na lwowskiej premierze »Pana Jowialskiego« powstał spór między autorem a rozbawioną publicznością. Kto w tym sporze miał słusność? Fredro czy publiczność? Niewątpliwie publiczność, bo jakże się nie śmiać z IPana Szambelana i jego połowicy? Jak się nie uśmiechać radośnie do państwa Jowialskich? Jak

się nie radować z Janusza, który ma wieś i rozum? Nie, — ani widz, ani czytelnik Fredry nie przyzna mu racyi. Fredro w wykonaniu swoich komedyj nie nadażał za intencją, niejako prywatną. Intencya była zawsze ostrzejsza, zawziętsza od wykonania. Dzieło łagodniejsze, pobłażliwsze od zamiaru.

Talentowi, czy sercu Fredry brakowało jakiegś władzy, jakiegś może fibru decyzyi (czy okrucieństwa?), by ludzi typu Jowialskich, czy Birbanckich, postawić przed sąd. Nie znaczy to jednak, by umysł, rozum Fredry nie umiał ocenić szkodliwości takich zer, jak Szambelan, takich staruszków, jak Jowialski, których tylko archaiczne formy bytu znosić mogą, takich filarów obywatelstwa, jak próżny głuptak Janusz z tej samej komedyi. Nie znaczy, by nie rozumiał, iż niedaleko społeczeństwo zajedzie z Cześnikami Raptusiewiczami, że zły czeka koniec wszelakich Birbanckich, a kwietyczni Benetowie są obrazem wcale nie budującego passywizmu polskiego, tego, który poza jadalnią we własnem gnieździe widział tylko jadalnię w gniazdach sąsiadów. Czytajmy uważnie książkę niniejszą, podkreślajmy w myśli poważniejsze, bardziej jakby zasmucone zdania i aforyzmy, licznie rozsiane sceptycyzmy, a zrozumiemy, że opinia o »beztrosce humoru« Fredry jest jednym z ogólników i najzupełniej fałszywych banałów, które się płaczą w wodzie zdawkowych krytyk i recenzyj o mistrzu polskiej satyry scenicznej.

Użyliśmy wyrazu: sceptycyzm, mówiąc o obserwacyi Fredry. Określenie to należy podtrzymać. Krytycyzm Fredry był sceptyczny, pełen nieufności względem natury ludzkiej. Gdy Orgon z »Dożywocia«, ten dziwny w naszej literaturze typ smętnego szlagona, zastanawia się nad kołowrotem spraw ludzkich i wydobywa z siebie pełne dosadnego pesymizmu westchnienie: »Świecie ty krętoszu stary!« — wtedy mówi bodaj nie tylko od siebie ale i za autora. Fredro znał krętoszostwo tego świata. Wiele widział, wiele myślał, a bywał w sytuacyach, podobnych do katastrofy okrętowej, kiedy charaktery ludzkie zrzucają z siebie maskę, kiedy odkrywa się naga głęb' instynktu i widzimy ją, jaką jest: apolińsko piękną czy tersytesową, pełną krost i wrzodów... Opowie nam Fredro

w pamiętnikach o takiej chwili kataklizmu, o przechodzeniu przez most berezyński, kiedy demony śmierci pokazywały ludziom drogę. Tam to, mówi autor »Dożywocia«, można było w ludziach poznać wszelakiego zwierza od wspaniałego lwa do podłego szakala. A w tej kampanii — mówi nam znowu na innych kartach tego samego pamiętnika — pesymizm i sceptycyzm ludzki miał wiele potwierdzających obrazów. »Widziałem padających pod koła, a nikt nie pomyślał, aby koła zatrzymać, — łamiących lody, tłukących się w otwartych toniach — a nikt ręki nie podał. Widziałem, jak uporeczywie broniono przystępu do ognia, nie temu, co wpół zmarznięty chciał ogrzać się na chwilkę... to się rozumie samo przez się... ogień tam był życiem... życiem nikt się nie dzieli, ale broniono zebrzącemu odrobinę płomienia, któryby swoją słomą przeniósł do własnego barłoga« (str. 47, 48). — Widział potem w tej samej kampanii hygieniczne sceny w Wilnie, przeszedł tygodnie niewoli.

Czy te straszne rzeczy, obrazy, czy one dopiero zapładniały gorycz w duszy Fredry, czy też padały na gotowy już grunt? I tak i nie. Fredro w kampanii rosyjskiej nie ma jeszcze lat dwudziestu, najposepniejsze wrażenia spłynęłyby zeń, gdyby we wrodzonych pokładach usposobienia nie znajdowały jakby zbiorników, gotowych do przechowywania na dłużej tych wrażeń. W tym wielkim śmieszku, w tym nieporównanym humoryście i przednim ironiście musiała być stale od dziecka czynna jakaś komórka posepności, która później odezwie się w monologu Birbanckiego o błocie świata, w monologu Orgona, wreszcie raz po raz uderzy dziwnie zgorzkniałym tonem w tych właśnie pamiętnikach. Nie mówię już o spostrzeżeniu: »narody sumienia nie mają«, bo spostrzeżenie to wydobywa się z ust napoleonidy, człowieka, który całą ufność położył w Bonapartego, a potem przed św. Heleną, przed Elbą nawet, wyczytał w oczach cesarza kłamstwo i wyzysk. Ale dość przeczytać na stronnicy 73-iej taką bolesną radę, sobie samemu, jakby w przystępie goryczy, dawaną: »zostaw, panie szlachcicu, twoje czoło na domowem zapiecku, kup sobie, wstępując w świat, inne, miedziane, dobrze wytarte...

Trzy po trzy.

Ośmiunastoletego król, roku 1814^o jechał na Litwę
konie ostrońskie średniego wzrostu, nieświeżym, w okolicy
kierując się do przodu, zaprzęgnięty, w kapeluszu polskim,
kierując się do przodu, kierując się do przodu, kierując się do przodu,
takie w służbie się zwrócić, takie w kapeluszu się zwrócić,
takie w służbie się zwrócić, takie w kapeluszu się zwrócić,
konie ostrońskie średniego wzrostu, nieświeżym, w okolicy
kierując się do przodu, zaprzęgnięty, w kapeluszu polskim,
kierując się do przodu, kierując się do przodu, kierując się do przodu,
takie w służbie się zwrócić, takie w kapeluszu się zwrócić,
takie w służbie się zwrócić, takie w kapeluszu się zwrócić,
konie ostrońskie średniego wzrostu, nieświeżym, w okolicy
kierując się do przodu, zaprzęgnięty, w kapeluszu polskim,
kierując się do przodu, kierując się do przodu, kierując się do przodu,
takie w służbie się zwrócić, takie w kapeluszu się zwrócić,
takie w służbie się zwrócić, takie w kapeluszu się zwrócić,
konie ostrońskie średniego wzrostu, nieświeżym, w okolicy
kierując się do przodu, zaprzęgnięty, w kapeluszu polskim,
kierując się do przodu, kierując się do przodu, kierując się do przodu,
takie w służbie się zwrócić, takie w kapeluszu się zwrócić,
takie w służbie się zwrócić, takie w kapeluszu się zwrócić,

KARTA TYTUŁOWA BRULONU «TRZY PO TRZY».

wierz mi, nie źle na tem wyjdiesz«. — A takich skurezów jeszcze tu więcej.

Czy jednak ten tylko, psychologiczny pesymizm, żyjący w fałdach humoru i fantazyi fredrowskiej, czy on tylko dyktował pisarzowi zadumę nad wartością ludzi-typów, których takie bogactwo wyprowadził i pokazał?

Nie. Nie tylko. Fredro należał bowiem do tych fenomenów, do tego typu ludzi, którzy się przeistaczają w zelknięciu z własną twórczością. Z chwilą gdy swe doświadczenie i obserwacyę życiową chciał przekazać sztuce, krytycyzm jego pokrywał się szkliwem jakiejś radości, a w niej topniały gorczyce, pretensye do wad ludzkich, porachunki psychologiczne. Dalej. By pesymizm wprowadzać do sztuki, należy potrochu lubować się złem, należy mieć zamiłowanie do analizowania ludzkich win, błędów i grzechów, należy odnajdywać przyjemność w przetrzymywaniu zła i błędów w swoich rękach, podczas tej analizy. Fredro należał z wychowania do ludzi XVIII stulecia, do *savoir vivre'u* przedrewolucyjnego; dla tych ludzi było pewną nieprzyzwoitością zajmować się zbyt skrupulatnie złem; oni mogli z tego żartować, ośmieszać zło, albo odwrotnie twierdzić, że ono wcale złem nie jest, ale nie znali gustu do rwania włosów nad złem, nie odchodząc odeń. Fredro więc i z tych przyczyn nie podchodziłby do krytyki komedyowej swoich typów, mało go obchodziła głupota szambelana lub bezplodność życia Beneta — jako wady ludzkie. Obchodziły go natomiast te same wady, słabości i grzechy — jako wady i ułomności polskie.

Nie zapominajmy, że Fredro wyszedł z pierwszej generacyi porozbiorowej, tej generacyi, która najsilniej może poprzysięgała, że ojczyznę na nowo odbuduje. Dzieciuchem był on, kiedy już w domu wysiedzieć nie mógł i ruszył w szeregi księcia Józefa, szablą budować Polskę. Mówi, że było to, jakby młody sarniuk skoczył na kwiecistą łąkę. Ale łąką tą była wizya wolnej ojczyzny — ona to, ta wizya, nadzieja i wiara kwitły takimi milionami kwiecica. A w tej wizyi była nie tylko wygrana wojna, nie tylko odebrane granice — było i gorące pragnienie takiej charakterów polskich poprawy, by

na przyszłość niemożliwa już stała się słabość, niemożliwym upadek. »Trzy po trzy« wiele nam w tej mierze o uczuciach Fredry będzie umiało powiedzieć.

Oto jakich uczuć, jakich przeżyć pobłask padać musiał na twórczość komedyową Fredry. Od Geldhaba począwszy snuje się też nieprzerwana nić pytania, czem może być świat polski, widziany przed 1830 i po 1831 roku, czem on może być, jakim materiałem dla zaprzysiężeń ojezystych z 1807, z 1809 roku? To pytanie, poczęte w epoce młodzieńczego idealizmu, zrasta się potem harmonijnie z zachowawczą stłecznnością obywatela i męża, trwa w nim i szuka odpowiedzi. Odpowiedź zaś nie brzmi pocieszająco. Nie może Fredry cieszyć narost geldhabizmu na organizmie społecznym, to jasne. Ale geldhabizm ma on za ciało obce — wystarczy pokazać, ostrzedz i podworować sobie z niego. Gorzej, smutniej, zacieklej weźmie się w następnej komedii do Warszawy, do męża i żony z arystokratycznych sfer, do tego nihilizmu moralnego, który zaobserwował. Tu niezadowolenie zarwie tak głęboko duszę autora, że w całym »Mężu i żonie« nie widzimy najmniejszego starania się o komizm, humor, — jeśli się one pojawiają, to siłą żywiołu, nie starania: — Fredro pragnie tu tylko oskarżać i sądzić. Jak na autora »Dam i huzarów« — komedia to ponura, w tej barwie równa niemal *Tartufe*'owi. Po przejściu wieku młodzieńczego, kiedy człowiek z musu staje się pobłażliwszym, tępieje ostrze instygatorskiego u Fredry impetu, przytem jak się mimowoli nie uśmiechnąć do ludzi tego świata, których wyprowadza w »Zemście«? — do świata konfederackich kontuszów? zawadyaków, do podkomendnych Pułaskiego? Tylko znowu to dyskretnie, cichutko postawione pytanie: ile z tej konfederackiej energii umieli Raptusiewiczze przenieść na dzień pokoju i przemienić ją w płodne polskie życie? I pytanie trwa dalej: podszyte jasnością spojrzenia, nie znika jednak w »Jowialskim«, pochmurnieje znowu w »Dożywociu«, igra na kartach »Cudzoziemszczyzny«, »Wielkiego człowieka do małych interesów«. Pod humorem i śmiechem Fredry tętni troska o kraj i Polaków.

Inna rzecz, że kraj i rodacy ściśnięci są w pojęciach Fredry do zamkniętego pojęcia szlachty, dworu i wielkiej własności. Inna rzecz, że o stan i dobro szlacheckie mu idzie, gdy się niepokoi pytaniem: co będzie, gdy z pokolenia w pokolenie rodzić się będą tylko Jowialscy, Birbancecy, Raptusiewicz, Jenialkiewiczowie? Dla Fredry, dla jego pojęć, dla jego epoki, szlachta była jeszcze całością narodu, jak była nią za Rzeczypospolitej. Należał do ludzi, którzy z niepokojem patrzyli na rozkład nie tylko moralny ale i duchowy stanu ex-rycerskiego. I to dla Fredry było równoznaczne z zagubą Polski. To były idee wieku i ludzi jego typu społecznego, idee całej jego klasy. W ramach tej idei, w ramach tego konserwatyzmu był jednym z najświetlejszych ludzi, jednym z najzdrowszych rozsądków. I ten to rozsądek, zmieszany z talentem, ten krytycyzm ożeniony z żyłą nieprzebranego dowcipu, ta, słowem, głowa nieprzeciętnie rozsądna, nie tylko utalentowana, stworzyła ów świetny, marsowym krokiem ku chwale idący poczet utworów od »Geldhaba« po »Wielkiego człowieka do małych interesów«. W cyklu tym brzmi przede wszystkim śmiech, o tem wiemy, ale tuż pod nim — niewidzialna, nie zawsze widzialna, spoczywa warstwa satyrycznych intencji. Nie umiała się ona, czy nie chciała wydobyć na wierzch — o tem jeszcze będzie mowa — ale w sercu i w mózgu autora ona tkwiła, czasem mu nawet droższa była, niż sukces śmiechu, brany od rodaków.

II.

Pamiętniki niniejsze dostarczą wogóle niejednego wyświecenia w zakresie uczuciowości Fredry. Wiemy już, że to źródło, bijące niefrasobliwym humorem, zabarwione było przecie jakimś posmakiem smutku, troski, czasem i goryczy. Czytajmy »Trzy po trzy« dalej, uważniej, a pod mundurem napoleońskiego ułana, sabreur'a, nieustraszonego zucha — odnajdziemy serce, przetkane dziwnie gęsto melancholią i czułością, bijące pulsem tak delikatnym, tak rzewnie przycisz-

nym, że z niego trudno nam nawet poznać autora sztuk, po których tylko żołnierski animusz chadza sobie szlachetkim, zamasztyłym krokiem. A jednak, jakże niepodrabianą rzewnością tchną naprzykład takie wspomnienia o zmarłych braciach:

»O bracia moi! Maksymilianie, opiekunie pierwszych w świat kroków moich — towarzyszu broni — kolego na tem krótkim i wązkim polu autorstwa, któreśmy bez zawiści przebiegli razem... I ty Sewerynie, z którym uczyłem się, kolegowalem i nareszcie w sąsiedztwie przeszło lat trzydzieści nieodstępnie prawie żyłem, jakże mi Was niedostaje! Jak trudno samemu w przeszłość spoglądać. Nie mam już do kogo powiedzieć: *Te souviens-tu?*«

(Str. 108 i 109).

A na tej samej stronnicy tuż dalej znajdziemy jeszcze wymowniejszy dokument serca. To opis rodzicielskiego dworu, w którym spłynęły lata dzieciństwa Fredry i tamtych jego braci:

»Kiedy teraz wstąpię do tej oficyny, gdzie rodzice mieszkali, gdzie teraz z bawialnego pokoju spiżarnia, ze sypialnego kuchnia, kiedy ujrzę gdzie jaki koniuszek arabesku, co się przed późniejszym obiciem przechował, — kiedy spojrzę na ów piec, niegdyś w złożone rzeźby, dziś gliną polepiony, serce mi się ścisza.

.....

Gdybym do Was mówił, bracia moi, nie potrzebowalbym objaśniać każdego szczegółu. Jeżelibym wspomniął gabinet, stanąłby wam zaraz przed oczy pokoił niebieski, zajęty prawie w połowie dwiema sofami w białe i karmazynowe atlasowe pasy — biureczko wysadzone naszej matki. Na jednej ścianie w mahoniowych ramach landszafty podług Ruissdala — na drugiej widok Tivoli i fontanny Egeryi. I ten kominek w kącie, dzieło architektury Aignera, którego gzymsy i gzymsiki stały się nigdy

niedościgniętym wzorem dla wszystkich kominków w sąsiedztwie».

.....

W słowach tych czuje się tętno jakiejś dziwnej tkliwości, zdolności do wzruszeń, które większości mężczyzn są obce. Z utworów komedyowych ani z dat życiorysu tych cech usposobienia we Fredrze nie znaleźliśmy, nawet nie podejrzewaliśmy, one się wynurzają dopiero z »Trzy po trzy«. Więc bez nich, bez tych pamiątek oblicze Fredry byłoby dla nas jakby zeszczipłone, zbyt profilowe, zakrywające przed widzem ważne bruzdy i wgłębienia uczuciowe.

Tych niespodzianek coraz to będzie więcej. Przerzućmy księgę na stronicę 142 i czytamy:

»Heż to razy desekowałem moralnie sam siebie, porównywałem z drugimi, starałem się dociec, dlaczego zawsze od wszystkich prawie źle byłem rozumiany. Każde moje słowo najprostsze, najwyraźniejsze w najobojętniejszej rozmowie, przybierało w drugim pojęciu znaczenie inne, jak miało w istocie, a zawsze cierpkie, zawsze ubliżające.

.....

Wyrzec się wdzięczności można, każdy rozsądny człowiek powinien jej nawet unikać. Urazę przebaczyć można, nawet zapomnieć. Ale zawsze, nieustannie, najczystsze zamiary, najgorliwsze usługi, najniewinniejsze słowa widzieć przekręcone, w truciznę zmienione i nie być w stanie wyszukać w sobie przyczyny, to musi koniec końców obudzić wiarę w jakiś niezłomny fatalizm. To może odtrącić od tego świata».

Iluż to ludzi ludziło się i ludzi jeszcze przypuszczeniem, że Fredro był niczem innym, jak tylko taką złotą, otwartą naturą szlachcica, herbu Serec na dłoni! Że jego komedye, w których słusznie słońca promienie się dostrzega, to refleks pogodnego, pełnego szczęścia życia osobistego, bytu, po któ-

rym żadna chmura nie przeszła! — Kilkoma zdaniem swego pamiętnika Fredro rozdziera kartę ludzkich domysłów. Nic podobnego, jak przypuszczacie! Słusznie, czy niesłusznie, zgodnie z istotą rzeczy, czy też tylko zgodnie ze swemi urojeniami, ale Fredro przechodził w swym życiu przez pasmo udręczeń. Może mu się wydawało, że jest przez ludzi stale nierozumiany, może kilka drobnych uraz wyolbrzymił w stały stosunek ludzi do siebie, a swój do ludzi — ale po wyznaniu, któreśmy przytoczyli, stwierdzić należy niezbicie, że pobłyskom tak jasnej, tak wiosennie uśmiechniętej twórczości, jaką była twórczość Fredry, towarzyszył minorowy wtór w duszy autora; żyły w niej i gryzły ją jakieś nieporozumienia, jakieś zgryzoły, jakieś goryczne oddalenia od świata, jakaś wbrew woli rodząca się mizantropia. Nie potrzeba było żadnych wzorów obcych na to, by autor »Odludków i poety« stworzył postać Astolfa. Ten smętny odludek nie mówi nic, czegoby nie podpisał sam Fredro. W zdaniach o świecie, w opiniach o życiu — nie różnią się. Różnią się tylko w uczuciach. Astolf jest doskonale obojętnym i zimnym względem ludzi. Astolf nie cierpiałby z powodu, że ten lub ów bliźni źle zrozumiał jego słowa. I dlatego Fredrze nie wystarcza z komedyi postać Astolfa; dlatego obok niego stawia Czesława. Ten nie mniej w życiu od ludzi wycierpiał, niż Astolf, jednak nie przestaje mieć serca otwartego dla ludzi. W nim drgają może takie same rzewności, jak we Fredrze, oglądającym resztki arabesek w pokoju, gdzie spłynęło szczęsne pacholeństwo. Czesław jest Astolfem, w którym nie przestał mieszkać »niebieski pokoiik matki«: — sentyment i pamięć o osobistym szczęściu.

Są jednak w pamiętnikach niniejszych fragmenty jeszcze wymowniejsze, które nam tego wojaka, kpiarza, wydrwiwnika przedstawiają ze strony zupełnej już mimozowości. Takim dokumentem będzie opis losu jeńców wojennych, przytoczenie swoich własnych przeżyć z roku 1812, kiedy go, jako jeńca, przetransportowano do Wilna i gdzie — zdawało mu się — doznał od dawnych znajomych li tylko upokorzeń:

»....wejdę w progi domu, gdzie może niedawno w świetnym mundurze, w odblasku zwyciężkiej broni gościłem — już tam teraz tem nie jestem, czem byłem (!). I ten, co mnie tam przyjmuje, mój równy w każdym względzie, nie jest już dla mnie tem, czem był. Wstaje z krzesła, w którego miękkich ramionach czytał romans nowy i po krótkiej gonitwie za szarlotem, co przy kominku wygrzany, rozgniewał się na figurę, która przyniosła z sobą trochę zimnego powietrza, bo przyszła piechotą w mróz, bez płaszcza. I po krótkiej mówię gonitwie, wita mnie serdecznie, sadza na sofie, której poduszki zagięły się więcej niż zwykle pod dotknięciem egzotycznej kapoty. Sam podaje cygare, sam nawet zapala, ale on już nie jest dla mnie tem, czem był dawniej. Jego dobre, najlepsze chęci przybierają niejako *vernix* opiekuńczej wyższości (!). W jego zdaniu jest jakaś oględność, w żartach wstrzemięźliwość, w grzeczności zbytek. Ja to czuję i coraz więcej cofam się w sobie jak ślimak w swoją skorupę za pierwszym dotknięciem. Rozmowa między nami idzie na szczydlach. Obydwom nam ciasno, bo jakaś, że się tak wyrażę, obecność zaległa największą część przestworza. Nakoniec, uściskawszy się po przyjacielsku, rozstajemy się i wolniej oddychamy, on w gabinecie, ja na schodach«.

Nie trzeba wielkiej bystrości psychologicznej, by przewidzieć, że Fredro daje tu świadectwo przeczulonej, i to poniekąd chorobliwie, wrażliwości swojej. Nie bierze w rachubę własnego może przedrażnienia, nie chce przypuścić, że mógł natrafić na wyjątkowo nie sprzyjającą chwilę, nie docenia momentu własnej winy: »cofania się jak ślimak w swoją skorupę«, co też mogło oddziaływać oziębiająco na gospodarza, z pewnego rodzaju podejrzliwością przekrytycznia najniwieńsze jego odruchy, we wszystkim widzi niechęć — i co gorsza z tego jednego, nie wiadomo czy słusznie wyczutego, przykładu rozciąga wniosek ogólny, nie obalony w umyśle Fredry, mimo że sam na tychże kartach pamiętnika przytacza

przykłady inne, wręcz przeciwnie mówiące o zachowaniu się rodaków, sam wspomina imiona Minejki, Jędrzeja Szumlańskiego, prezesa Lappy i tylu innych, których nazwiska nie wymienia.

Nie trzeba się daleko zanurzać w analizowanie tej drażliwości, wystarczy powiedzieć, że trzy czwarte artystów tak a nie inaczej mają utkaną wrażliwość. Z niej płyną depresye, manie prześladowcze, walki, niezadowolenia, waśnie i wojny artystyczne. Tej chorobie artystów ulegał i Fredro. Gdyby był przy swoim talencie prostakiem — och, iluż ich wśród wielkich ludzi! — mniejby cierpiał. Miałby ostrzejsze pazury, drapałby bliźnich, zazdrościłby, kopałby dolki, rozsiewał intrygi. Na nieszczęście swoich nerwów, był naturą duchowo wytworną. Wyostrzone czulki wrażliwości chował w głąb swojej duszy i ranił tylko ją, nie kogo.

Przezulenie to nie jest obojętne dla biografii Fredry, a niestety nie obojętne i dla historyi literatury. Nieszczęsne to ściętno jego psychiczne, ono a nie innego, jak nam znowu pamiętnik Fredry pokazuje, kazało mu złamać pióro, kazało poecie w kwiecie twórczości a w sile wieku powiedzieć sobie: »a więc dość — odtąd ani z jednym utworem przed publicznością nie wystąpię«. Ślad tego bolesnego postanowienia znajdujemy w tomie niniejszym na str. 8-ej, kiedy autor wyrzuca ze siebie namiętle oskarżenie przeciwko natrętnym weredykom, a potem pisze:

»Proszę mi wybaczyć ten, że się tak wyrażę, gwałtowny wybryk przeciwko weredykom. Bo taki weredyk stąpił kiedyś na serce moje i zgniótł je raz na zawsze. Przyjaciół stał się tłómaczem niły opinii publicznej. Zapewnił mię, że jestem nienawidzony. Za co? Nie wiedział, ale tak słyszał, — zapewniał, że dążności dzieł moich są potępiane. Dążności? Jakie? Nie wiedział, ale tak słyszał. Odurzony odkryciem z ust tego, którego przyjacielem być mniemałem, opuściłem ręce i przestałem żyć i pracować dla świata«.

Oto mamy wyłożoną przyczynę, dlaczego autor »Dożywocia«, »Jowialskiego«, »Ślubów« — zamilkł naraz i przez kilkadziesiąt lat dalszego życia ani razu nie sprzeniewierzył się złowrogiemu swemu postanowieniu!

Dobrowolne porzucenie areny autorskiej próbowano u Fredry wyjaśniać innemi pobudkami. Podsuwano przypuszczenie, że talent jego wyczerpał się; wiedziony autokrytycyzmem odczuł w sobie znamiona wyjałowienia, zrozumiał i był na tyle rozsądny, że usunął się z pola pisarskiego. A dowodem, że tak było, nie inaczej, dowodem tego komedye, ogłoszone drukiem dopiero po śmierci autora, te, które już pisał wyłącznie dla siebie. Całe zaś zajęcie z »przyjacielem«, weredykiem, jego nieszczęsna relacya i t. d., były raczej tylko pozorem i otworzoną furtką, przez którą na świat wyszło wyjaśnienie Fredry.

Może być, że w tej interpretacyi jest ździebło prawdy psychologicznej. Wątpię jednak, by była ona całą prawdą. Ja osobiście wierzę w wyznanie Fredry; ja tak widzę właśnie zbudowaną duszę jego, że wystarczy rysa, obojętną ręką przeciągnięta przez jedną cegłę, a runie jakiś węgiel cały. To że komedye pośmiertnego wydania są słabsze od »Zemsty«, »Ślubów panięńskich«, »Jowialskiego«, to zupełnie nie dowodzi, że byłyby aż w takim stopniu słabsze, gdyby je tworzone z myślą o scenie. Te »pośmiertne« komedye były czemś w rodzaju osobistego notatnika; to brulion, nie poprawiany nigdy. I raczej podziwiać należy, iż w swoim brulionowem stadyum są tak jeszcze doskonałymi, pełnymi, scenicznymi obrazami. »Pośmiertna« twórczość Fredry — trzymajmy się tego określenia, bo ono ma w sobie coś z dosłownej prawdy: po zgonie ambicyi autorskiej powstała: — a więc pośmiertna twórczość Fredry obejmuje znacznie więcej utworów, aniżeli jego twórczość jawna; dowodzi to, jaka niepożyta pasya komedyopisarska tkwiła w nim. Wiedział z góry, że nie ujawni swojej roboty, a pisać musiał. To wskazuje na urodzonego twórcę. A starczyło zapewne wewnętrznego upewnienia, iż komedya, którą komponuje, nie ujrzy światła sceny, aby już bez impetu niosły skrzydła twórcze. Starczyło

tego upewnienia, bo takie właśnie natury mimozowate, przeczulone, chętne do ślimakowego ruchu wstecz, w siebie, takie natury więcej niż inne potrzebują atmosfery uznania, podniety, pochwały, by robić dobrze i z energią. »Powodzenie zwiększa w człowieku sprawność«, sam to nam mówi w »Trzy po trzy«. Fredro, jak większość Polaków, zdołał w swojej psychice wyrobić sobie tylko jeden rodzaj energii: military. Ten sam paniczek, chowający w sobie tak na niewieścią niemal modłę skrojone uczucia, rąbał się pod Hanau z furją, którejby mu najzacieklejszy grenadyer pozazdrościł, prznosił wszelakie trudy, niebezpieczeństwa i niewygody, z humorem witał grad kul, lecący nań jak roje pszczół; nie było takiej przeszkody, którejby nie umiał przezwyciężyć, takiego wroga, z którymby się ochotnie nie zmierzył, takiej miary wytrzymałości, którejby nie podjął. Ten sam Polak Fredro, z chwilą, gdy odpaśał szablę a zsiadł z konia, żegnał się z temi enotami praktycznego życia. Ani jednej z nich nie umiał przenieść w kategorię cywilnej energii, wytrzymałości, oporu. Umiał je ze siebie jeszcze wykrzesać na polu obowiązków obywatelskich, bo tu honor stał, jak wartownik, przed wyjściem, którejdy polska wola lubi rejterować. Natomiast w sprawach wyłącznie osobistych, nie objętych zewnętrznym nakazem powinności, autor »Odludków i poety« chętnie oddawał się temu swoistemu sybarytyzmowi, jakim jest usuwanie się przeciwnościom z drogi. I w nim, jak u tylu z Polaków, było coś z lechickiego hidalga, była ta dramatyczna ambicja, duma, drażliwość, która umie tworzyć w atmosferze życzliwości ludzkiej, kroczyć wśród szpaleru uśmiechniętych otwartych sere, natomiast przy najmniejszej krytyce, zawiści, przy pierwszym podstawieniu nogi, przy pierwszym — jakże znowu polskiem! — rzuceniu kamienia na czyn i człowieka czynu — usuwa się, zarzuca dumnie płaszc i otrząsa pył z obuwia swego. Nie chcecie mię — odchodzę! Woli potem cierpieć, gryźć się w samotności, »borkmanić«, jak ów Ibsenowski John Gabryel, a nie poniżyć się do walki z przeciwnikami. Prosty, otwarty, nie wiedzący jakby o swoim tytule i pozomie rodowym, Fredro na tym jednym punkcie czuł się króle-

wiątkiem, nie znosił obrazy swego majestatu i dlatego abdykował. To było jego szlachetnie mściwe *liberum veto*.

Czyż trzeba tu jeszcze dodawać, że taka czułość usposobienia, taka cienkość skóry jest dowodem, że dusza danego człowieka zachowała w sobie całość dziecięcego serca? ten skarb, z którego co chwila wyjmujemy jakiś klejnot, by zań nabywać zgryzoty, rany i ból! Nie doczytać się tego w komediach Fredry, ale zato jakże dowodnie bijące wprost w oczy, uwydatnia się to na kartach niniejszego pamiętnika, że takim do późnej starości tkliwym dzieckiem sercem żył ten ex-kapitan, ex-ulan, ten ostry satyryk i dworownik — Alexander hr. Fredro. Jak mięknie, jak się aksamitni jego styl, gdy kilkakrotnie w książce niniejszej wspomni o swoim dzieciństwie! nieomal czuje się po zwrotach i po doborze słów, że pod powieką tego wiarusa kręci się łza rozrzewnienia. Jeden taki fragment poznaliśmy w poprzednim rozdziale. Są inne niemniej dowodne:

»...miejsce urodzenia jest świętością dla serca, jest księgą, w której człowiek czyta aż do śmierci dzieje swojego szczęścia«.

»...im dalej ku krańcowi życia, tem bardziej ścisła się w sobie przeszłość nasza. Ale wiek dziecinny leżeć zawsze będzie przed duszą świeży, jaskrawy i równie rozległy, rozciąglejszy nawet i co do czasu i co do miejsca, niż był w istocie. Wielkim zawsze w naszej pamięci pozostanie pokój, po którym harcowaliśmy na laskowych rumakach«.

(Str. 166, 167).

Albo jakimż tchnieniem serca owiane jest owo wspomnienie o »niebieskim pokoiku« w domu rodzicielskim, albo opis Nienadowej, majątku pana Dembińskiego, dziadka naszego autora, ojca pani Jackowej Fredrowej, gdzie jakiś czas mieszkali państwo Jackowie. Jak pamięć poety zanotowała każdy szczegół życia, każdy zakamarek ogrodu, wygonu, podwórza i obejścia; »w uszach mi jeszcze dzwoni brzę-

czące echo dużej ciemnej sieni, przez którą biegło się krzyżąc, klaszcząc i lupając razem«. (Str. 155). Po ostatnią chwilę życia mili mu są i drodzy ludzie, których poznał w dzieciństwie; jak ten pół-mizantrop — (mizantrop — może z nadmiaru serca?) — umie postokroć być wdzięczny wszystkim, którzy uczuciami swemi opromieniali jasność jego pacholectwa! Jak rzewnie np. rysuje kilkoma słowami postać »przyjacielskiej sługi« panny Beldowskiej. »Widzę jeszcze tę małą pocziwą staruszkę, jak we mnie pieściła dziecko, bawiła studenta, witała oficera, a zawsze ta sama, ani starsza, ani młodsza« (str. 155). Jakim nieporównanym, bo prostym liryzmem brzmi na tej samej karcie pamiętników westchnienie Fredry: »ach więcej ja o tem do siebie, niż do was mówię; przebaczenie egoizmowi, bo to tak miło, tak lubo wpatrzeć się czasem w jakąś gwiazdeczkę, co nam gdzieś z dalekiej przeszłości zdaje się przymrugivać przyjaźnie«.

W życzliwy odwet za te chwile szczęścia, autor »Odludków i poety« dochowuje wierność wszystkiemu, co mu jego chłopiące lata złości. Z jaką pieczołowitością opisane są w tych pamiętnikach podróże, odbywane z ojcem, jak drobiazgowo oddane drogi i krajobrazy, jakie to wszystko ważne dla człowieka, który potem zdeptał Europę wszcz od Moskwy po Paryż. Setkę miast, dziesiątki stolic, tysiące cudów widział. I zauważmy, jak skąpo w tej książce o Moskwie, Dreźnie, Fontainebleau, Paryżu, jak nie wiele ma o tych obcościach do powiedzenia — natomiast, jak godną pióra wydaje się Fredrze każda staja ojcowizny. Oto widzimy, jak z liryki wspomnień Fredry wydobywa się fundament jego zachowawczości, oto jesteśmy, dzięki tym »Trzy po trzy«, świadkami, jak konserwatyzm ludzi jego typu nie bywał li tylko programem politycznym czy socyalnym, ale, zanurzony w szlachetne źródła uczuciowości, wyrastał mocnem odgąleżeniem wprost z pnia instynktu.

Tak oto nie inny dokument, lecz tylko ta poufna książka Fredry odsłania nam coraz to nowy rys w duchowem obliczu Fredry. Przed otwarciem pierwszej karty znamy go jako humorystę, kto baczniej weń patrzył to i satyryka; tutaj pozna-

jemy pesymistę co do ludzi, sceptyka, nie roześmianego już, lecz przeciwnie — zadumanego, może nawet czującego lęk. Zamknięty »jak ślimak« wobec istotnych i domniemanych koleców, z jakimi życie ku niemu idzie, niesie on na dnie duszy, jak to widzieliśmy, skłonność do mizantropii, ale znowu otwieramy dalszą furtkę do jego wnętrza i w tym odludku, w tym sceptyku widzimy całe kwietne lany uczucia, tkliwości, roztesknienia i ciągłego jednak szukania naokół serc, przyjacieli. Ale wrodzona zdolność do zamykania się w sobie nie pozwala na awanse względem bliźnich, jest w nim coś, co go wstrzymuje, co mu się może każe wstydzić tej żądzy serca, co wzbrania ufać. Więc oddaje się całkowicie tylko widmom swego dziecięctwa, widmom czasów, kiedy bywał jeszcze tak całkowicie ufny, lgnący do ludzi — kiedy jeszcze nie widział na Berezynie tyle zwierza w człowieku, kiedy jeszcze nie umiał podejrzliwie i przenikliwie patrzeć w wartość psychiki ludzkiej — z temi widmami tęczowemi gwarzy i ze swoimi najbliższymi, z którymi razem spędził dzieciństwo i lśniącą od energii służbę wojskową. Więc bracia, potem dzieci i wnuczka, dla nich pisze swoje pamiętniki. Ale z biegiem lat, rówieśnych poczyna brakować. Samotnik Fredro głębiej niż kto inny odczuwa taką stratę. I to wiemy z tych oto jego pamiętników. Jak rzewnie zwraca się pamięcią do zmarłych braci: *Te souviens-tu? Czy pamiętasz?*

Hlekoć Fredro, ten już pochylający się ku starości w epoce pisania niniejszych pamiętników, wspomni o dzieciństwie, o młodości, a zwłaszcza gdy zestawi czar minionego szczęścia z goryczami swego wieku, tyle razy nie złość, ani żółć, ani ponury smutek, jak to bywa u samolubów lub sybarytów, lecz przeciwnie smuga jasności wydobywa się z jego melancholii, z jego pożegnań tego, co bezpowrotnie odchodzi. I wtedy to z pod pióra jego wynurzają się słowa, zdania, okresy o niecodziennej sile uczucia. Wspomnijmy to jego wejście wstecz na swoje życie i życie epoki, której był dzieckiem i czynnym aktorem:

».....minęło mnie przeszło lat trzydzieści od bitwy pod Hanau, minąłeś luby wieku młodości, *mit deinen*

Schmerzen und Freuden. Im dalej od ciebie, tem ja-skrawsze zdają mi się twoje kwiaty, tem grubsza mgła zasłania pomniki smutku i cierpienia. Im dalej od ciebie, tem więcej wzrasta tęsknota za tobą, tak jak wzrasta cień nasz własny na ścianie, gdy się od niej ku światłu cofamy, — wzrasta, sięga stropu, — na strop występuje i nareszcie opływa nas zupełnie. Gdzież jesteście zwycięskie roty? Wodzowie? Gdzie jesteś potęgo, dla której strumienie krwi lały się lat tyle? Zwycięzcy i zwyciężeni — Upokorzeni i Tryumfatorzy znikli jak słońce, co zaszło przed chwilą, jak zniknie świeca, co stoi przede mną. Cóżście po sobie zostawili światu? Niewiele, niewiele. A mnie? Co? Trochę wspomnień...»

Któżby w tem zanurzeniu się w relleksyę, jakże pesymistyczną, jakże blizką biblijnej: *próżność nad próżnościami* — któżby w tem poznał autora »Dam i huzarów«, »Lita et Comp.«, »Jestem zabójcą«, »Rewolweru« — i całego szeregu komedyj, nabrzniałych krotoczwilą, bezinteresownym żartem, nastrojem, który zdaje się oddychać optymizmem, wiarą, niemal beztroską. Więc oto znowu pamiętniki odsłaniają nam Fredrę, jakiegobyśmy z komedyj nigdy nie mogli poznać. Nowa warstwa, jakże interesująca, ile światła rzucająca na serce, na usposobienie, na umysłowość tego, który tylko może w »Dożywociu« i poniekąd w »Odludkach i poccie« zasepił trochę swoje komedyopisarskie czolo. (Orgon, monolog Birbanckiego, Astolf). Oto, dzięki pamiętnikom dochodzimy do poznania znamiennej cechy w twórczości Fredry: twórczość ta jest doskonale uniezależniona od osobowości autora, wolna od wszelakiego egotyzmu; Fredro tworzący, zostawia pobok siebie samego, swoje upodobania, smutki, melancholie, podejrzenia i doświadczenia. Na świat i ludzi spogląda odnowioną, doskonale przedmiotową żrenicą. Za dyshonor uważałby sobie zejść w lirycznych momentach do obnażania duszy przed nieznanym słuchaczem. Ile w nim jest chłopięcej tkliwości, ile przewrażliwienia i czułości, tyle równocześnie męskiej ambicyi, tyle zdolności pokonywania samego siebie i tyle —

z życia wśród ludzi wyniesionej dumy, która mu się każe zamykać, mieć uśmiech, pokrywający łzę, dowcip, miażdżący w usciech chętkę skargi. Poezya Fredry rośnie niewątpliwie na spadłym listowiu zawiedzionych idealizmów, bo na doświadczeniach i spostrzeżeniach, o których z tych pamiętników wiemy, że były bolesne i dręczące, — rośnie na drogim popiele zagrzebanych w głębiny duszy wspomnień o szczęściu, — ale sama ona, ta poezya — jak kłos pszenicy, zasiany na pocementarnym zagonie, śmieje się tylko złotem — ku ludziom i ku niebu, dorodna, bogata, bujna. Taką złościę, pszenicznie uśmiechniętą jest poezya tego, nieraz w podglebiach duszy zasmuconego, załęknionego ex-ulana. Jest ta poezya jak gałąź kwitnąca róży, która kolce sobie tylko zostawia, a woń i śliczność barwy w świat posyła.

III.

Dotarliśmy w poprzednim rozdziale do zdefiniowania natury Fredry, jako natury poety. Nie wiem, czy w krytyce polskiej dostatecznie uwzględniano tę stronę talentu Fredry. Bodaj, że nie. Ilekroć czytamy krytyki i recenzje teatralne po przedstawieniach komedyj Fredrowskich, tylekroć wycytujemy same ogólniki, frazesy, jeśli już nie banały. Staropolski humor, niefrasobliwa wesołość, arcydzieło komizmu, a jako atut analizy — to owo dociekanie, z czego i z kogo brał Fredro wątek do swego dzieła, czyli te tylko uwagi, które bez zmiany słów a tylko ze zmianą nazwiska i tytułu dzieła, zastosować można do stu innych komedyopisarzy. A przy tych ciągłych zestawieniach z Molierem, takaby była przecie sposobność do podniesienia poezyi i poetyczności Fredry. U Moliera wszystko jest racjonalistycznie wytyczone dla odnalezienia najbliższej drogi do efektu komedyo-psychologicznego, zboczenie bywa tylko jedno: na ścieżki sentencyj moralistycznych. U Fredry droga akcyi wije się przeważnie wśród kwiecica liryzmu. Weźmy »Śluby panięskie«, owe dialogi Gustawa i Anieli, weźmy pod uwagę liryzm państwa Jo-



ALEKSANDER FREDRO.

wialskich, zwłaszcza jej wiekuiście jakby narzeczeństwo względem męża, z którym razem doczekała się już wnuków, a po zapadnięciu kurtyny tuż czekać i prawnuków; ileż rzewności jest w jej rumieńcach, zachwytach, wstydzikach! — Gdzie i w jakim dziele Moliera odnajdziemy takie roztopnienie komedyowego tonu od promienia poezyi? Nie wspominam już o »Odludkach i pocię«, bo tu poezya, acz niewątpliwie szczerze odczuta, ma w formie swej jakąś obowiązkową oschłość empirowego klasycyzmu. Ważna tylko jest treść wynurzeń Edwina, po przez które Fredro wypowiada swój kult dla poezyi i wiarę w misję poezyi. Natomiast w każdym dziele Fredry jest choćby jeden zakątek, w którym się przyczaja poezya. Jakby wyglądał kochany rozbrajający Dyndalski z »Zemsty« w kompozycyi Moliera, jak ostrym rylcem farsy modelowanoby jego *stupidité* — a tymczasem u naszego pisarza, przy tak hucznie wydworowaniu sobie ze zdziecinnienia Dyndaly, ileż jeszcze pozostało miejsca na pewne opromienienie uczuć staruszka, jego przywiązania do domu i rodu Raptusiewiczów, jego dumy ze służby u takich państwa, jego teologicznej wiary w nieomylność Cześnika. A Benet? Radost i Dobrójska w »Ślubach«, czy to nie najprzedniejsza liryka psychologiczna? — Albo znów wracając do tej najgłębszej może i najszerszej psychologicznie komedyi: »Pan Jowialski«: wspomnijmy sobie, z jakim rozmachem, z jakim snopem światła wprowadzeni są ci dwaj wędrowni romantycy Ludmir i Wiktor, poeta i malarz, jaka rzeźka moc młodości bije z ich radości życia, z beztroski, z figlów, awantur i jakiejś *sui generis* cyganeryi i cygaństw niewinnych. Czy znowu — zapytam — z Moliera rodem taki rys? rys przecie zasadniczy, bo dający kolorystykę, nastrój wewnętrzny, czyli to co po wsze czasy najważniejsze jest w odczuciu dzieła sztuki; nie fabuła przecie, nie taka czy inna banialuka, perypetye stanowią o wartości utworu, nie to co Fredro z Moliera, Molier z Plauta, a Plaut znowu tam od kogoś przejął, lecz ten własny aktywny temperament — to stanowi autora i sztukę. Więc, powtarzamy pytanie: czy z Moliera wzięta ta poezya, ta zawierucha jasności, z jaką Fredro rzuca w akcję dwóch swoich łobuzów

wędrownych? Molier był i jest geniuszem, ale właśnie utworom jego brakuje tego, co jest siłą Fredry: poetycko-pobłaźliwego stosunku do figur komicznych; Molier albo ośmiesza albo wprowadza marjonetki (amanci i amantki), niema w jego scenach tego powietrza, przesyconego zapachem kwiecia, wszystko dąży do rozwiązania formuły psychologicznej, ludzie Moliera są wyznacznikami w tej formule, są cząstką doskonałego autorskiego rozumowania — sami rozumują i dowodzą, natomiast niema w nich niemal strony uczuciowej. Fredro celuje w malowaniu uczuć. Jeszcze ich nie szukać w »Mężu i żonie« lub w »Geldhabie«, kiedy sobą nie jest, ale zato jak świetne już są afekta i emocje Cześnika Raptusiewicza, jak ładnie rozwija się miłość Heleny w »Jowialskim«, jak umie czuć kapitan w »Dwóch bliźnach«, jakim przykładem nawskroś nowoczesnej psychologii uczuć jest Zdzisław w »Benecie«, — no a chyba już niema potrzeby mówić o arcytworze sentymentu i poezyi, o całych od *a* do *z* »Ślubach panieńskich«!

Poezya, liryka Fredry, jako objaw literacki, jest zjawiskiem nawskroś bezwiednem. Ba! więcej: Fredro odżęgnywa się od wszelkiej poezyi i poetyczności. Wszakże to tutaj, w tych pamiętnikach znajdziemy żartobliwe jego zapewnienie, że kiedyś, ongiś »był poetą« — choćby to może trudno było uwierzyć — dodaje. Tak jest przekonany o swojej prozaiczności, czyli tak tylko prozaikiem chce być, tak chce skryć w sobie wszelką żyłą sentymentu, pokryć ją sceptycyzmem; ach iluż tkliwych ludzi równą pałą wstydlivością swego sentymentu! Jeśli jednak już utwory, komedye Fredry buchają wprost poezyą, liryką, to znowu »Trzy po trzy« odkrywa dokładnie, pokazuje jasno i niezbitcie, z jakich osobistych źródeł, z jakich to potrzeb pociechy wypływał strumień poezyi Fredrowskiej. Poznaliśmy tę sprawę w poprzednim rozdziale.

Tu jednak zwrócić trzeba uwagę, że niniejsze pamiętniki ukazują również trzy najważniejsze punkty duszy, trzy odczucia, które autor »Odludków i poety« najserdeczniejszym technieniem poezyi otulał.

O pierwszym odczuciu była już mowa poprzednio: to

jego wspomnienia własnego dzieciństwa. Znamy je już z poprzednio przytoczonych urywków, śledziliśmy je, wyszukiwaliśmy na kartach Fredrowskiego pamiętnika. Jaśniejszą się też staje przez to odczucie niejedna strona, niejedna właściwość utworów Fredry.

Jak wiadomo, uprzywilejowanymi ramami, w jakich się dzieją komedye Fredry — to wieś i dwór. Czy to »Śluby panieńskie« czy »Ciotunia«, — »Przyjaciele« czy »Cudzoziemszczyzna«, a przecie tu dodać trzeba: »Damy i huzary«, »Pan Benet«, »Jowialski«, »Ostatnia wola«, »Dwie bliźny«, »Wielki człowiek« — no powiedzmy po prostu cały Fredro, z małymi wyjątkami, to wieś polska, a w tej wsi — dwór. Pałac, czy modrzewiowa świetlica, ale zawsze ten rodowy, odwieczny schron nad szlachecką głową, otoczony mniejszym czy większym ogrodem, stodołami, krowiarnią i stajnią, świecący w dal białymi słupami murowanych gumiennych węglów, widny z horyzontu aleją topoli lub białodrzewia — taka jedna z tysięcy siedzib, za czasów Fredry jeszcze nie przerzedzonych ewolucją agrarną. Wieś ta, dwór, ściany, kominki, robótki na stołach, stare meble, portrety tak są zrosnięte z akeją Fredrowskich sztuk, że choć o nich niewiele mowy, to przecież nie sposób jest po ludziach, po rozmowach, po trybie myślenia bohaterów nie rozemnać, że to wszystko się dzieje pod staroświeckim, dawnym, czcigodnym dachem, że zapach pól i tradycya domowa wyciska piętno na duszach, na uczuciu, no i na świetle pojęć. A jeśli się wezuć jeszcze wnikliwiej w tę atmosferę Fredrowskich »dekoracyj«, we Fredrowskie »rzecz się dzieje w...«, słowem w atmosferę tych wiejsko-dworskich wnętrz, to splywa z nich na nas tyle zaciszności, miękkości, ciepła dobrotliwego, że wydają się nam one jakby skopiowane z wrażeń dziecka, wychowywanego szczególnie w tych dworach i dworkach, w tych ścianach, wśród tych mebli, w jakimś »niebieskim pokoiku«. Tak w tym niepochwytnym rozpylonym nastroju interieur'ów Fredrowskich czuć tę samą nić rozkochania się w rodzinnych stronach, w polach ojcowskich, w salonikach dziadunia, w alkierzu panny Beldowskiej, w parkowych zakamarkach, gdzie się ści-

nało lby pohańcom: podbiałom i lopuchom. Ludzie komedyj Fredrowskich, w ścianach tych żyjący, mogą być rozmaitej wartości i rozmaitej ceny moralnej, nałożonej na nich przez autora, bliżsi lub dalsi jego sympatyi, zacni albo śmieszni, poważni lub karykatury, szlachetni lub nawet Lisiewicze, Latki, Zdzisławowie z »Ciotuni«, słowem napiętnowani nawet podłością, ale otoczenie, sprzęty i mury, słowem ten szlachecki dwór, w którym się dzieją uciechy, śmieszności czy podłości — on zawsze jest częścią Fredrowskiego domu w Nienadowej; jak we snach naszych wszystko co dobre, mile i kojące, dzieć się musi w ramach tego miejsca, miasta czy domu, gdzie kiedyś bywaliśmy szczęśliwi, tak samo w utworach Fredry, Radości i Guciowie, Albini i Klary, Dobrójsey, Beneci, Jowialsey schodzą się jak mili goście do rodzinnego domu ojca lub dziadka poety, z okien sceny, na którą w teatrze patrzymy, zawsze widać powinno być pola, łąki i las Nienadowej. Ludzi w swoich komedjach opisuje Fredro dojrzały; świat niemy, otaczający tych ludzi — tworzy Fredro-dziecko, Fredro z epoki »Stracha nastraszonego«.

I w dualizmie tym jest logika duchowa. Dziecko bliższe się czuje świata martwego, potem zwierząt, aniżeli ludzi. Częstsze bywają rozmowy dziecka z kawalkiem drzewa, niż z gośćmi rodziców — i przyjemniejsze. Lepiej zna dzieciuch duszę starej kanapy w bawialni, niż charakter tego lub owego pana z wąsami, czy brodą. Sład oto poezją pacholectwa tezną owe niepochwytnie nastroje w komedjach Fredry; to zapamiętany świat uczuć dziecięctwa, kiedy wszystko wokół, co chłopaka zajmuje, było piękne i przyjacielskie, a co obojętne (ludzie) — nie istnieje, bo ich się jakby nie widzi.

Z pośród ludzi kto jeszcze bodaj — poza rodzicami oczywiście — najbliższy dziecku? Z kim się można dogadać choć w części tak dokładnie, jak z kieratem w obejściu gumieniem, z fotelem dziadkowym, z psem Łyskiem i starym kucem folwarcznym? Oto przedewszystkiem z nianką, potem z szafarką, ze starym Wincentym czy Mateuszem stangretem, czasem z kamerdynerem, — słowem ze służbą. A następnie ze wszystkimi staruszkami, ile ich jest w domu, ilu i ile ich

bywało za czasów Fredry na rezydencji. Nikt przecie z takim przekonaniem nie umie opowiedzieć bajki, z nikim niema takiej komitywy i wzajemnego porozumienia, jak z tymi pomarszczonymi, pochylonymi dziadusiami, ciociami rodziców, babciami etc. Fredro pamięta sentyment swój dziecinny dla starych sług i dla staruszków wogóle i sentyment ten oddaje w nieuszczuplonej dozie liryka jego komedyj, ilekroć na scenę wchodzi ludzie starzy. W obfitym skarbcu jego typów nie zna pośród starców ani jednego człowieka złego, z ujemną sympatyą kreślonego. Są ucieszni, czasem przykrzy, mantyki jak panowie Zrędownie ze »Zrędności i przekory« — ale nawet i im tę podagrę humoru można wybaczyć. Najczęstszym jednak typem starości Fredrowskiej jest człowiek moralnie czyściutki, pogodzony ze światem, zanadto zapewne, zanadto z saska jeszcze bierny i niepożyteczny, jak Benet lub Jowialski, ale że nie czas ich już naprawiać, zapóźno moralizować, więc krzyżyk przebaczenia nad ich głową, trochę pobłażliwego uśmiechu i niech żyją dalej błogo, szczęśliwi i niech będą błogostawieni za swą starość, tak w refleksach podobną do pewnych cech dzieciństwa. Oto jest nowa kraweźdź poezyi Fredrowskiej: błękit dobrego uśmiechu, rozpostarty nad głowami starców, nad głowami Radostów, Jowialskich, księdza kapelana w »Damach i luzarach«, Figaszewskich, Dyndalskich...

Dwa ostatnie nazwiska wprowadzają nas w świat służby, totumfackich, panien służących, szafarek. Któż z nas znowu nie zauważy, jaką swoistą poezią otoczony jest ten świat »proletaryuszy« w utworach hrabiego - komedyopisarza. Zestawmy ten świat z klasą służących Moliera. Gdy tam u francuskiego pierwowzoru Fredry, co sługus to flut, jeśli nie wisielec to nygus, albo w najlepszym razie idyota (zresztą wszyscy prześwietnie pod względem farsowym skrojeni) — to tutaj u naszego pisarza Molierowską ostrość rysunku ma bodaj jedyny Kasper z »Nikt mnie nie zna« — zato pocziwiec Dyndalski jakże czule potraktowany, ileż współczucia budzi panna Figaszewska, zawsze biedaczka »z postem«, jak, mimo wszystko, na jasno opromienieni Grześ i Rembo; nie

będę mnożył litanii nazwisk, zatrzymam się tylko na tym jednym Krupkowskim z »Przyjaciół«, który też wart skromnego studyum i który nie zuboża poezyi Fredrowskiej.

Oto mamy tych kilka linii poezyi, które pozwoliłem sobie wysnuć z sentymentu wspomnień dzieciennych Fredry: świat krajobrazowy, świat wnętrzy, świat rodzinnych zakamarków, świat powierników — służby domowej, świat starsuszków, karesujących we wspomnieniu pieszczocha Olesia, autora »Stracha nastraszonego«. Przejdźmy teraz na teren innych wspomnień Fredry, nie mniejszą poezją utkanych: wspomnień wojskowych, wspomnień napoleońskich, wizyj ognia i trudów, niewygód i tryumfów, niedoli i olśnień, świat szlif i haftów, bohaterstw i beztroski. Można powiedzieć, że niema wyraźnej granicy życia między snem dzieciństwa Fredry, a złotem pasmem lat jego służby żołnierskiej: miał lat sześćnaście, gdy przywdział mundur ułański i przez sześć lat go nosił nieustannie.

Wdział swój mundur, nałożył czako i przypasał szablę w okresie historii naszej, kiedy żołnierz był wcieleniem żywej poezyi. Nie zaznał poprzednich, przedtyleżyckich mesyanizmów polskiego legionu, lat niepewności, często beznadziejności, wzlotów i upadków, od strofki o Basi i tarabanie do strofki San-Domingo... Wszedł w szeregi w r. 1809, kiedy legiony były już wojskiem polskiem, a wojsko państwowością polską, kiedy na czele hufców stał istotny rycerz, jakby umyślnie od Boga dla polskich upodobań zesłany wódz: książę Józef, kiedy po dniach upokorzeń na nowo trysnął snop jasných ufności, zdawało się — już niezmiennych, niezczem i nigdy nie obalonych, kiedy nareszcie w tym to właśnie 1809 roku, przecząc wszelkiej matematyce sił i wszelkim racjom strategicznym, ubóstwiony przez wiarę wojskową książę Józef pobija znacznie silniejszą armię austryacką, usuwa ją z granic Księstwa Warszawskiego i, ponad swoje może nawet marzenia, wkracza w Galicyę, odbija ją i przyłącza do ośrodka ojczystych terenów. Hymnem wówczas było bicie sere polskich, na nich to, na tych sereach, jak na »tarabanych« entuzjazm wybijał melodyę marsza Dąbrowskiego,

a dusza Polaka była cała jak rytm Wybickiego, jak słowa ukochane: »Jeszcze Polska nie zginęła«.

W takiej to chwili, w powietrzu takiego patryotyzmu, przypiął Fredro szlify żołnierskie. Być żołnierzem armii ojczystej! Służyć pod księciem Józefem! Ocierać się w szeregu o pierś bohaterów, wyrąbywać z powrotem nienawistnemu losowi Polskę swoją szablą, nieść serce swe ponad chmurami, a glorię, jak konia dosiadać, mieć ją sobie za chleb powszedni, — tak to zaiste, nie rzeczywistość lecz poezya była, albo, jeśli chcecie, rzeczywistość była poezją.

Taką była ta służba dla wielu, a z pamiętników niniejszych dowiemy się, że nie inne było odczucie Fredry i że odczucie to pozostało w ex-kapitanie na całe życie, do późnej starości. Czasem, na kartach tego pamiętnika będzie przed nami udawał, że służba wojskowa to właściwie najzwyczajniejsza proza, szereg niedospań, niewyweczasów i nie więcej — ale nie wiercie mu. To tylko maska, to tylko wstydlive pokrywanie wewnętrznego rozczulenia; przyprzyjmy szczerzość Fredry do muru, a okaże się, ile zachwytu mieści się w jego sercu dla wspomnień o złej czy dobrej doli żołnierskiej, jak relikwijną jest dlań zachowana z napoleońskich czasów szabla ulańska, jak myśl nostalgicznie wraca ku szlakom, którymi ciągnęły pochody, ku polom, na których lało się krew za ojczyznę. Po skończonej epopei napoleońskiej, w wieku swym dojrzałym, Fredro w polityce konserwatysta, sceptyk i realista bardzo surowo oceniał napoleoniadę polską, jak bezprzedmiotowymi nazywał wszelakie napoleoniady t. j. oddawanie komukolwiek zbiorowego serca Polaka... na kredyt, ale choć już przeprowadzał rewizję nad polityczną wartością oddawania się w ręce Napoleonowi, choć był ex-post przeciwnikiem Napoleona, to jednak odwiedzał od płewy politycznej ziarno swojej czułości dla polskiego żołnierza, bijącego się dla Napoleona. Po ostatnie dni swego żywota nie przestawał być dumny z odwagi, męstwa, dzielności polskiego wojska. Wojsko to żyje w nim, działa, opromienia jego smutne refleksje nad rzeczywistością polską, po roku 1831 zdefiniowaną, — ono wydłuża w jego marzeniach tę nić lazuruową,

która się tak cudownie rozsunęła w roku 1809. Zauważmy, jak na kartach tego pamiętnika notuje dla dzieci i wnuków szczegóły umundurowania tego lub innego pułku, jak opisuje wszystkie szczegóły barw i kroju, akselbandów, szlif, haftów; jak starannie tłumaczy logikę wyłogów, abszlegów. Zbyt ważne bowiem to są sprawy, by miały dla potomności zaginać. Czy wstanie bowiem w Polsce kiedykolwiek drugie takie wojsko przebohaterskie? »Zapewne nigdy« — odszeptuje Fredrze demon sceptycyzmu. Więc tem droższa mu się staje, tem godniejsza opisu każda drobnostka, dotycząca wojsk księcia Józefa — tem krystaliczniejszą linię przybiera poezya napoleońskich wspomnień.

I zauważcie, ile miejsca zajmują w tych oto pamiętnikach wspomnienia wojskowe. Bodaj, że trzy czwarte tekstu. Sześć lat trwała jego wojaczka, a potem kilkadziesiąt lat cywilnego życia, zanim usiadł do pisania »Trzy po trzy«, a jednak z tych kilkadziesięciu lat »cywila« nie znajduje nie godnego do zanotowania on, który znał pierwszych ludzi kraju w swoim czasie, który uczestniczył w ważnych debatach, którego głos w każdej sprawie publicznej był szanowany, słowem człowiek, mający w swym uchwycie oś życia obywatelskiego Galicyi. Wszystko to wydaje mu się nie zbyt ważne, szare i jałowe. Jak większość ludzi swojego czasu, zachował usposobienie, charakter i wokację Polaka pospolitego ruszenia. Albo na koniu z garścią w rękę, albo na roli — czekać nowej potrzeby. Smutek jego istnienia polegał na tem, że wraz z całym łamem zachowawczego społeczeństwa — w nową potrzebę już nie wierzył. Z cierpienia nad tem rodziło się znowu ukochanie tego co było, tej wojaczki błogosławionej. Jakże wymowna, jak dojmująca jest żalność starca, odbita przed nami jak w lustrze w tych kilku wierszach pamiętnika:

»Nieraz, kiedy wracam z polowania, a dojmujące zimno jesienne i dym z kartoflanej naci biwak przypomni — zdaje mi się, że mam jeszcze pałasz przy boku, depeszę w zanadrzu; mimowoli wyciągam szyję i śledzę okiem, czy droga wolna«.

Wyciągam szyję i śledzę, czy droga wolna... Oto jest doprawdy symboliczny obraz wartowania dusz polskich przed powstaniem 1863, przed wydarzeniami, po których pokolenie ostatecznie się przekonało, że droga nie jest wolna, czyli niewolna... Ale dopóki nie nadszedł i nie dokonał się ten rok postokroć tragiczny, dopóty pokolenia żyły jeszcze po ezyą państwowości polskiej, a więcej jeszcze od niej: po ezyą minionego żołnierza polskiego. Fredro nie lubi, by go przyłapywano na entuzjazmie, a przecie i on, w tym oto pamiętniku, nie potrafi nie zapisać:

»Jako świadek bezstronny, a świadek, co wiele widział i wiele myślał, mogę śmiało powiedzieć, że dużo, dużo czasu upłynie, nim taki pułk, jakim był pułk ulanów, czyli polskich Lancierów Gwardyi Cesarskiej, pułk takich dzielnych żołnierzy, a jeszcze dzielniejszych oficerów, i w takich wojnach wyćwiczony, rozwinie swój sztandar w jakimbądź kraju«.

(Str. 30 i 31).

Jasną chyba też rzeczą jest, dlaczego tyle ciepła, tyle promiennej pogody, tyle poezyi użycza Fredro postaciom wojskowych w swoich komedjach. Napróżnobyście szukali, nie znajdziecie wśród nich ani jednego, od któregoby się nie robiło jaśniej, gdy wejdzie na scenę. Nie znajdziecie ani jednego, na którymby spoczął jakiś cień smutnej obserwacyi. Ze starszych oficerów, od rotmistrza w górę, lubi sobie czasem poddworować, ale starszy, czy młodszy — jest zawsze uosobieniem honoru, tężyzny fizycznej i moralnej; każdy na to się pokazuje, by u sereca bogdanki, czy w zapasach intrygi komedyowej być nieodmiennie zwycięzcą i tryumfátorem; każdy wkracza na scenę, by przynieść ze sobą trochę światła i ciepła, każdy jest słoneczną ozdobą sztuki, jest umiłowaniem autora, bo — do kroćset! — taki być musi, skoro na sobie nosi lub nosił mundur polskiego żołnierza!

Rzućmy okiem na galerję oficerów i wiarusów Fredrowskich. Mamy ich już w pierwszej z dojrzałych jego komedyj:

w »Panu Geldhabie«. To ten młody z powijaków molierowskiego amanta nie zupełnie jeszcze rozwinięty porucznik Lubomir i stary Major, jego przyjaciel. Z jakiegoż oni pułku? Niema o tem mowy w komedyi, ale klóź po sentymencie autorskim nie pozna, że to ulani Księstwa Warszawskiego, koledzy i kompani autora. I odrazu, już w tej zapowiedzi twórczości, mamy tych dwu oficerów jako dodatnie przeciwstawienie dwuznacznym ludziom fraka i surduta, empirowemu elegantowi — księciu i podejrzaney figurze — Lisiewiczowi. Toczy się przez trzy akty sztuki pojedynek na uczciwość między Lubomirem a księciem, między Majorem a Lisiewiczem, toczy się, by zwycięstwo — i to walne — moralności pozostało przy tych ludziach szlif i szpady. Wysoko pod koniec sztuki wyrastają oni ponad swoich przeciwników. Zajmujące też jest, że w tej komedyi dość martwych jeszcze figur poza Geldhabem, tylko jeden Major wnosi ze sobą pęk niepodrabianego życia i rysuje się śmiało przed nami, jako zapowiedź komedyowa Cześnika z »Zemsty«.

Ten pojedynek między mundurem a frakiem, jaki spostrzegamy w Geldhabie, odbędzie się i to w znacznie wyraźniejszym stopniu w jednej z późniejszych komedyj: »W dwóch bliznach«. W Geldhabie szło o moralność, tutaj pójdzie rywalizacya o animusz i o kobietę. Nie chybić, gdy się z góry przewidzi, że zwycięży kapitan Barski oschłego dyplomatę. Ale warto śledzić, jak Fredro sekundantuje swemu towarzyszowi broni, jak mu dobiera teren i metę, w jakim go korzystnem ustawia światło, jakie wytargowyywa dla niego warunki! Tak przyjaciel od serca tylko może i potrafi robić!

A między tymi dwoma krańcami, między Majorem z »Geldhaba« a urwiszem Barskim z »Dwóch blizn« — jakaż bogata galerya. Więc przedewszystkiem ta komedya cała żołnierska: »Damy i huzary«. Ileż tam się pieni biwakowego humoru, jakie porucznikowskie wspomnienia anegdot o podtatusiałych majorach i rotmistrzach. Ten nieśmiertelny epizod kapelana wojskowego! A potem bohater-amant w »Ciotuni«, główni bohaterowie w »Przyjaciolach«, pułkownik w »Dyliżansie«, porucznicy w »Lita et Co« — jakie to wszystko piękne, cza-

sem rzewne, a zawsze dzielne, nieustraszone, jak Fredro woła: »z drogi!« ku innym figurom, gdy wchodzi jego uprzywilejowani. Tu może nie od rzeczy będzie rzucić spostrzeżenie, że Guccio, ten najświetniejszy amant z galeryi Fredrowskiej młodzi, acz warszawskim jest paniczkiem, to jednak dziwnie szczerze przystaje do wojskowych Fredry. Te do Lublina jego wycieczki nocne na birbantkę dziwnie mi pachną umówionem rendez-vous z niejakim podporucznikiem Alexandrem hr. Fredro, który w tym samym czasie był w Lublinie »drugim reporterem« przy sądzie wojennym, ale więcej niż aktami i werdyktami zajmował się pono zabawą z panienkami w ciuciubabkę, o czem później pod starość wspomni w »Trzy po trzy«, a o czem nie wspomni, to już jego oczywiście sprawa. Ale że z Guciem, Radosta zgryzotą, się znał, że nie jedną noc lokaj Guccio czuwać musiał dzięki pułkowym kolegom Fredry, że konie końców panicza zwerbowali do chevaux-legers'ów, — za tobym zaręczył.

Fredro dymisjonowany w roku 1814 z wojska, Fredro osiadły na roli, Fredro w pół-śnie tylko wybierający się czasem na patrol, czy z depeszą — Fredro komedyopisarz ma wiele do zawdzięczenia Lubomirowi i Majorowi, Edmundowi z »Dam i huzarów«, jak i Majorowi i Rotmistrzowi, wreszcie wszystkim tym postaciom uzbrojonym, uszlifionym, rycerskim: dzięki nim przedłuża się jakby nic tych czasów młodzieńczych, które były dlań głośnie, a wolne były od chmur. Na nowo, przy każdej takiej komedyi jedzie konno obok Suchorzewskiego, Rejtana, Milberga, kolegów sztabowych ze sztabu księcia Neufchatel'u, na nowo na czas tworzenia utworu oddycha pyłem zwycięstw i heroizmu, na nowo w żyłach jego tętni Polska 1809. Jest szczęśliwy. Dlatego postać każda wojskowa w komedjach Fredry jest czystą, niepodrabianą poezją.

Nie tylko jednak ten liryzm, rozciągnięty nad czakiem ułańskim, stał się ozdobą dzieł Fredrowskich. Nie mniejszym blaskiem świeci w nich ta tężyzna i ta fantazyja, którą utwory ojca komedyi polskiej zawdzięczają niewątpliwie żołnierskiej karierze ich autora. Ten dowcip rubaszny czasem, ta lapidarność powiedzenia, zdecydowanego, jak komenda, ten jakiś

animusz języka i pomysłów, ten wreszcie wcale trefny tu i ówdzie żart — to wszystko przyszło wprost z obozu na karty komedyj Fredrowskich. Najważniejszą jednak cechą ich żołnierską jest niewątpliwie męska postawa treści, jeśli tak można powiedzieć: żadnego rozgadania, żadnego przeglądania się w tekście, jak w zwierciadle, żadnych niepotrzebnych dygresyj. Sytuacje idą za sytuacjami, jak szwadron za szwadronem na rewii, sprawny ruch figur, logika scen, bystre ocenienie dystansu, na jakim trza tę lub ową postać ustawić, przytem ta żywość, sprawność, ten naprawdę rycerski temperament, jakim utwory żyją, to szermowanie dowcipem, jak szablą, i światopogląd ściągnięty do niezbędnych przykazań życia i honoru, jak to właśnie bywa na wojnie — słowem jasność spojrzenia przed siebie i desinwoltura, słowem szlachcic z karabelą w garści i na koniu — oto wewnętrzny ton komedyj Fredry.

Życie wojskowe Fredry przyszło wprost, jako dalszy ciąg dzieciństwa; trudy, hart, potrzeba męstwa pokryły sobą predestynację do melancholii i do pieszczotliwości, jakie bodaj drzemały na dnie jego chłopięcego serca. Ten sam stosunek i w twórczości Fredry: wyniesiona z obozów kawalerskość i fantazja, męskość, swoboda przykryły niemal doszczętnie lirykę, sentyment, łzę. Te bardziej miękkie elementy tętnią podskórnie w komedjach, czasem wynurzą się na wierzch i zasrebrzą powierzchnie, by znów ustąpić miejsca śmiechowi, satyrze lub ucieszności. Ale humor stale tu rozkwita na owem utajonem podglebiu czegoś smutniejszego, czegoś bardziej jakby niewieściego — i oto skojarzenie tych widomych i tamtych utajonych pierwiastków daje znowu dziełom Fredry wiosenny zapach, który tylko poezją nazwać się godzi.

Poza wspomnieniami dzieciństwa i przeżywaniem lat wojskowych jest jeszcze jeden moment w twórczości Fredry, który odzywa się ku niemu tonacją najpiękniejszej poezji. To miłość. Zdarzają się i w jego komedjach uczucia »aman-tyczne«, formalistyczne pary koehanków, jak to przywykliśmy

widzieć u jego mistrza Moliera. Ale daleko częstszym przykładem intryga miłosna pełna wdzięku, życia, czasem rzewności, a zawsze humoru. Swojego rodzaju marivaudage'm są już zaloty Ludmira w »Jowialskim«; nie bez uroku, choć oschlejszym jest romans młodych w »Ciotuni«, jakże ślicznie kocha Zdzisław w »Benecie«, mają swój wyraz pary miłosne w »Wielkim człowieku do małych interesów«. Umie się w naszej pamięci zapisać smarkata z »Zręczności i przekory«, nie daje się na drugi plan zepchnąć miłość w »Dwóch bliźnach«, daleką od szablonu nawet ona jest tam, gdzie o niej sam autor zdaje się zapominać: w »Zemście«. Jest natomiast utwór, w którym ten anti-molierowski dar chwywania miłości w sidła komedyi doszedł do wdzięku arcydzieła: »Śluby panięskie«.

Pisane one są w epoce, kiedy całą siłą grała we Fredrze miłość, a razem z nią rzadki gość jego duszy: szczęście — to też całe, jak są te »Śluby panięskie«, ten »Magnetyzm serca« — są różanym akordem miłości i szczęścia. W dworze pani Dobrojskiej niema ani jednego człowieka, z którymby Fredro chciał przeprowadzić autorski porachunek. Wszyscy oni tacy, jakby ich autor przed chwilą do serca przycisnął. Poczciwy Radosć, pokorny, pędziwiatr Guccio, jak i niedościgniony w charakterystyce komedyowej świat kobiecy — to jakby pachnący bukiet serca, a i radosny dźwięk, rzucony z młodej piersi w świat, z wdzięczności za to, że kochać się na tym świecie można. Nie jeden raz wypowiedział Fredro w swych utworach czar miłości, nie jeden raz pokazał szermierkę zalotów i lubą zwadę młodych ku sobie skłonności — ale w »Ślubach panięskich« ten dar komedyowego splewania w węzeł uczuć miłosnych wypowiada się z mistrzostwem, jakiemu tylko natchnienie może być źródłem. Całe »Śluby panięskie«, jak są — są takim samym uchwycem jednolitej pogody, jaką w innych jego komedyach poszczególne figury lub sceny. Dusze ludzkie utkane są z tego samego tworzywa, z którego uczyniony bywa gdzieindziej u Fredry sentyment dworów i pól. Każda z tych dusz, na swój sposób, to ów »niebieski pokoik«, oglądany oczami rozrzewnionego serca. I każda też z tych dusz, to jakby kask ułański młodocianego

Fredry, wydzwoniona karabelą piosnka o tężyźnie, zdrowiu, trwałości polskich animuszów. W kwietny łańcuch życia spleta się tu humor, liryzm, wdzięk i wytworność, swoboda, hulaszczość, temperament, starodawna poceziwość, fantazyja i polor. Co tylko ładnego wydała ze siebie obyczajowość naszej wsi, co jest z urody naszych sere — to wszystko w dźwiękach poezyi rozbiegło się radośnie w dyalogach i scenach tej komedyi, jednej z najświetniejszych, jakie wydało piśmiennictwo Europy.

Kto uważnie przeczyta »Śluby panięskie«, ten chyba raz na zawsze zmieni przekonanie, jakoby Fredry dzieła były li tylko kopią Moliera, tego chyba w »Ślubach«, w »Dożywociu« czy w każdym innem dziele więcej już różnice niż podobieństwa tych dwu wielkich pisarzy obchodzić będą; kto nie powierzchownie i nie banalnie wczyta się w ten wiew sercowego zefiru, ten chyba dostrzeże, że tu nie tyle z Molierem, ile z Mussetem jest podobieństwo, z pisarzem, którego Fredro bodaj nie znał, i którego »Il ne faut jurer de rien«, owe francuskie »Śluby kawalerskie« wyprzedził o kilka lat. Boję się, że nasi pedanci mimo to powiedzą, że Fredro przepisał swą rzecz z Musseta i że nasz »Magnetyzm serca« z natury rzeczy musi być słabszy od Mussetowskiego »*proverbe*«.

Liryzm wspomnień o dzieciństwie, sentyment szabli, uśmiech twórczy ku miłości i temperamentowi — to jakby poszczególne przykłady tej poezyi. Jest natomiast pewna cecha czy pewna władza stale działająca w jego komedyach, którąbym spróbował nazwać poezją humoru. Na czym on polega? Niewątpliwie na wielkiej wytworności duchowej.

Zdarzają się czasem w towarzystwie ludzie porządnie rubaszni, którzy jednak mimo to nie przestają być dystyngowanymi. Jeśli ich bliżej poznamy, to napewno okaże się, że bądź uczuciowość ich, bądź umysłowość są przepojone poezją. Owo *junctim*, ów bezwarunkowy związek humoru i dystynkei, dający w sumie poezję — odnajdujemy też w komedyach

Fredry. Weźmy do ręki te utwory. Ile tam jurności, ile tam kawalerskiego żartu, lekkim jeno woalem przysłoniętego, ile opinii, prosto z mostu powiedzianej, ile się w niejednym zdaniu słyzy żołnierskiego basu, od którego czasem puchnie białogłowskie uszko — a jednak trzeba rozgryzać te komedye tak, jak rozgryzać muszą aktorzy, dostępujący zaszczytu grania Fredry, a wówczas jasnem się staje, że pierworodną cechą tonu Fredrowskiego jest wytworność, pewna pańskość duchowa, pewna jaśniewielmożność, która nie opuszcza jaśnie wielmożnych nawet wtedy, gdy chłopską modłę bycia przybierają.

Albowiem tu mowa o dystynkeyi wewnętrznej, o wytworności ducha, nie ubrania i sposobu jedzenia ryby. Pamiętniki, które niniejszem do rąk czytelnika oddajemy, wskażą nam w niejednym miejscu, jak wytworną była dusza Fredry. Sposób oceniania ludzi, dawania im świadectwa — nawet przy pewnym zapędzie do mizantropii, — stawia nam przed oczy człowieka po męsku pobłażliwego: nie z bierności, lecz z głębokiego przeświadczenia o należeniu samemu do błędzącego stworzenia boskiego. Ma on w instynkcie przepis szlachetności w stosunku do bliźniego, skromność w stosunku do siebie. Ta skromność żyje obok dumy, obok ambicyi, nie kłóci się z nimi, a wstrzymuje wszelki zapęd gniewu nad innym człowiekiem, broni przed zapalczywym sądem.

Ta duchowa wytworność, która u Fredry rodziła się ze skromności czy autokrytycyzmu, a ocierała się o pobłażliwość dla innych, ta dystynkeya, ten jakiś wyższy ton psychiki nie pozwolił nigdy naszemu pisarzowi urzeczywistnić do cna jego zamiarów satyrycznych. Na początku niniejszego szkicu zajmowaliśmy się satyrycznymi intencjami Fredry, mówiliśmy o tem, czem w przekonaniu autora są owi Raptusiewiczze, Beneci, Jowialscy, Lageny, Smakosze, Januszowie. Stwierdziliśmy też, że nie są oni w tym samym stopniu odstraszającymi dla czytelnika. Dzieje się to dzięki temu, że Fredrze nie staje żądła satyrycznego. Satyryk musi być do pewnego stopnia dręczycielem swoich ofiar: bohaterów utworu. U satyryka Raptusiewicz był skończonym durniem, pieniaczem,

prowodyrem najazdów szlacheckich, burdą, doprowadzającym los swój i Klary do katastrofy. Jowialski na swoje sędziwe lata musiałyby dwór swój i dobra odstąpić jakimś pracowitszym ręką, dzielniejszej energii, boć on przecież jest prototypem Czarnoskalskich w »Rozbitkach« Blizińskiego; Czarnoskalscy przełuli majątek, Jowialski prześmieje ojcowiznę i wypędzony z niej, powie sobie na pociechę: »zamieniał se stryjek na siekierkę kijek«. Satyryk z Beneta uczyniłby krwawą satyrę, może biczowanie kwietyzmu szlacheckiego, ospalstwa, drzemki psychicznej, piecuchowstwa. Tak po kolei można przejść wszystkie utwory i pokazać, jak każda z komedyj Fredrowskich stoi na krawędzi, z której po drugiej stronie widać dramat. I sam Fredro widział go dobrze; wspomnijmy sobie jego zatarg z publicznością na premierze »Jowialskiego«. Widział go, ale żał mu się robiło poczciwych ludzi. Odsuwał ich czempredziej na bezpieczniejszą pochyłość, spuszczał ich delikatnie ku poziomowi komedyi, krotchwili, fraszki, czasem nawet sielanki. To liryk tak walczył w nim z satyrykiem, ten liryk ułaskawiał skazanych i co najwyżej skazywał ich na dożywotnie, dopóki żyje teatr polski i literatura — na dożywotnie ośmieszenie. Traciła na tem pierwiastkowa intencja satyryczna, nie doczekaliśmy się nigdy pełnego wypowiedzenia się Fredry, ale teatr i piśmiennictwo zyskały komedye o typie niewątpliwie wyższym, niż rasowa satyra; powstały utwory, które, dzięki walce serca z krytycyzmem, zachowały oba zmagające się elementy: rozum i uczucie, ale w proporcji takiej, jaka jest niezbędna, by im ustalić miejsce nie tylko w humorystyce, ale i w poezyi dramatycznej. Dzięki równowadze uczucia, temperamentu i rozumu, komedye kapi-tana Fredry mają w literaturze jeneralskie szlify.

Adam Grzymała-Siedlecki.



Ośmnastego lutego, roku 1814-go, jechał na białym koniu człowiek średniego wieku, nieco otyły, w sieraczkowym surducie pod szyję zapiętym, w kapeluszu stosowanym bez żadnego znaku, prócz małej trójkolorowej kokardy. Za nim w niejakiej odległości drugi, znacznie młodszy, także w surducie ale ciemno-zielonym, także w kapeluszu bez znaków, także zgarbiony równie jak pierwszy a może i lepiej, — siedział na dereszowatym koniu. Koń biały, krwi orientalnej, był nie wielki, niepokazny, ale dzielny. Deresz zaś był... dereszowaty, trudno co o nim więcej powiedzieć; nie wstrzymywany ani sławą przodków, ani swoim własnym usposobieniem, potykał się często na drodze, którą mu los codziennie wyznaczał. Pierwszym z tych jeźdźców był Napoleon, drugim byłem ja. Między nami liczny sztab cesarski, gdzie ja niby na szarym końcu miejsce moje miałem, rozpuścił szeroko skrzydła na prawo i na lewo po śniegiem okrytem polu. Za nami postępowały służbowe szwadrony gwardyi, a na samym końcu świergotliwa i niesforna czereda ciurów z powodnymi

i jucznymi końmi sztabowych oficerów. Jechał więc Cesarz, jechali wszyscy, jechałem i ja. A ile w noc pogodną gwiazd na niebie, w tyle miejsc, stron, przedmiotów, nicodgadzionych labiryntów pędziły rozstrzelone myśli nasze, — a każda z nich znowu, jak racy słup ognisty, składała się z milionów iskier, iskier wspomnienia lub nadziei. Te padały to na tronowe kobierce, to na murawę zagrody rodzinnej, — mięszały się z jarzącem światłem uczty albo z mdłym promykiem nocnego kagańca przy łożu chorego. Nie jedna przemknęła się po różanych ustach kochanki, nie jedna spuściła się jak sen lekki po tak drogie w każdej porze życia błogosławieństwo matki. Były takie, co przebijały niebios sklepienia i takie co wnikały w zasute już groby. Wiele, wiele pięło się po szczeblach zaszczytów, bogactw, sławy, ale też i wiele spadało na kwiaty cichego domowego szczęścia. Słowem, przeszłość, obecność, przyszłość, świat, światy znane i nieznanne były polem igrzysk naszych rozstrzelonych myśli, gdy nagle, w mgnieniu oka, wszystkie jedną siłą uderzone, w jeden zbiegły się punkt. Tym punktem był huk mocny i powtórzony w niezbyt dalekiej przed nami odległości. — Armaty! tak armaty, niema wątpienia, ryczą coraz lepiej jak na wyścigi, która głośniej... wkrótce i ogień karabinowy, jakby kto groch sypał na bęben, zappełnił przerwy grzmotu działowego. — Aha! rzekł niejeden i zaglądnął do manierki, alias flaszki. — Aha, powiedział, ale nie nie wiedział, kto atakuje, kto odpiera, czy to korpus jaki, czy też armia cała taniec rozpoczyna, szary koniec nie nie wiedział. — Biją się... daj Boże szczęście, to *quotidianka* nasza, ale dlaczego tu nie tam, dziś nie jutro, nad tem nikt się nie zastanowił. Podówezas krytyezny rozbiór każdego rozkazu, każdej czynności przełożonego nie był koniecznem zadaniem podkomendnych. Wojsko nie sejmowało, ale się biło. Starszy zdawał sprawę tylko swojemu starszemu, a młodszy słuchał z ufnością i działał jak mu kazano. Ale *tempora mutantur et nos mutamur in illis*. Może i to prawda, że kto siwieje, ten traci duszę, jakby mu ją kto łupał trzaska po trzascie, tak, że nakoniec zupełnie bez niej zostanie... może prawda, że roz-waga tylko hamuje, doświadczenie tylko płące niepotrzebnie...

może prawda, że krew młodością wrząca jest jedną i jedyną dźwignią wszystkiego co dobre i wielkie... może nareszcie i to prawda, że tylko głupcy, próchna, stare peruki i szlafmyce pytają, jaki czego koniec być może. — Tak jest, wszystko to mogą być prawdy, ale mnie wolno tym prawdom nie wierzyć. Lubom przeszedł pięćdziesiątkę, żal mi abdykować praw człowieka, jużbym skłonił się raczej włosy sobie poczernić.

A więc, jak mówił Kiliński, nikt wkrótce nie wątpił, że bitwa przed nami, a my ku niej idziemy. Rzeczywistość jak ów jesienny wietrzyk o wschodzie słońca, co to ożywia ale i ćwiczy razem, odpędziła od nas chmurę marzeń, która zwykle osiada na jednostajnym ruchu spokojnego marszu. Każdy wstrząsł się jak ze snu i pomyślał o sobie. Ten co w troje zgarbiony dzwonił ostrogami po spuszczonej strzemionach i ten, co chcąc odpocząć strudzonej części ciała, zsunął się na bok tak, że jedną nogą olstrów sięgał, a na drugiej stał prawie, poprawił się na kulbace, jak gdyby usłyszał komendę: Baczność! Ten ścisnął podpinkę czaka lub kapelusza, tamten cugle porządkował i szlufkę do grzywy przysunął, a każdy odkrył zasłoniętą płaszczem rękojesę pałasza, opatrzył ją, a potem wzniosłszy głowę, zdawał się wietrzyć nim jeszcze zoczy, co go witać będzie.

Nareszcie pokazał nam się dym biały, a wkrótce postrzeegliśmy czarne linie piechoty. Długie, krótkie, naprzód wysunięte, w tył cofnięte, odbijały się od śnieżnego tła jak świeżo wysypane przekopy, tylko w koło nich objawiało się życie nieustannym ruchem drobnych punkcików, jak mrówek koło mrowiska. Nikt tam pewnie nie drzymał, nikt nawet nie dumal, — nigdy życie raźniej i jaskrawiej nie gore jak ze śmiercią oko w oko i częstokroć jego mocniejsze łyśnięcie bywa ostatniem.

Na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie przybywamy na początek boju. Wiatr przeciwny, czy ciężkie powietrze, czy też położenie kraju, albo może i wszystko razem było przyczyną, dlategośmy tak późno zasłyszeli huk dział. Była to niespodzianka... i dobrze!... we wszystkim trzeba odmiany i nowości, aby żyć wesoło.

Z lewego skrzydła wstępujemy do boju... *Vive l'Empereur!* Linie ściskają się w masy... działa schodzą z pozycyi... ruch ku prawemu... potem kolumny rozwijają się znowu... baterye stają w oddziałach... strzelamy, atakujemy, zwyciężamy... Montereau w naszym ręku. Zwinęliśmy się gracko, niema co mówić, ale miał się też z pyszna pan marszałek Victor za to, że nas w tem dziele nie uprzedził. Powiedział mu Cesarz parę słów, które należałoby powtórzyć tak jak wszystko, co wyszło z ust tego wielkiego człowieka, bo każdy je słucha, albo czyta chętnie, ale Cesarz, aczkolwiek cesarz, miewał czasami wyrazy dobitne wprawdzie i właściwe i węzłowate, trudne jednak dla historyka do powtórzenia, a tem więcej do przetłómaczenia. Trzeba więc ograniczyć się w podobnym razie na wolnem naśladowaniu, tak też i ja uczynię, mówiąc, że po bitwie pod Montereau, Cesarz powiedział panu marszałkowi: Idź do dyabła! — A po tej krótkiej przemowie powierzył komendę korpusu generałowi Gérard. Nim się to wszystko stało i nim ja się o tem dowiedziałem, bateria artyleryi konnej gwardyi, z ogrodu pałacu Surville, dominującego miasteczko Montereau, równie jak i drogi, któremi wypędzony cofał się nieprzyjaciel, żegnała go jak mogła najlepiej. Wie każdy, że tam Napoleon sam wymierzył jedno działo, — wie, że powiedział swoim gwardzistom: »Nie lękajcie się, jeszcze kula nie ulana, która mnie zabije«, ale nie wie pewnie, że o kilkadziesiąt kroków z tyłu stał deresz, a na dereszku ja.

Cheąc wyrazić doskonałość jakowej czynności, mówią zwykle: Zrobił to lub owo jak król! Ale źle mówią ci, co tak mówić zwykli, bo nie tylko król, ale cesarz i król w jednej osobie wymierzył, strzelił i... chybił. Kula padła przed linią nieprzyjacielską. Utrzymują wprawdzie niektórzy, że dobrą dał dyrekeyę... być może... ale ja nie rezonując jako artylerzysta, powiadam *simpliciter* com widział, że Jego Cesarska Mość spudłowała na piękne.

Po tej scenie nastąpiła druga. Oficer z pułku liniowego francuskiego, Polak, przyniósł zdobyty sztandar, — dostał krzyż i czterdzieści napoleonów. Mało kto w życiu bywał tak mocno tureckim świętym jak ja, a jednak pieniądze jako część nagrody

świątelnego czynu, nie podobało mi się wcale, — byłem jeszcze młody!

Mieć konia mniej rozłargnionego jak mój deresz... mieć dobry płaszcz... (O mój płaszczu biały!) płaszcz przyjaciół w dzień, opiekun, dobrodziej w nocy, kiedy pniaczek za poduszkę, śnieg za materac służy... mieć nareszcie płaszczkę zawsze napełnioną kroplami pociechy, są to rzeczy areydbre, tego nikt nie zaprzeczy, równie jak i tego, że bez tych podłych pieniędzy miejsce mieć nie mogą. Wychodzisz z pod dachu, gdzie wygodnie noc przespaleś...

poranek letni... koń twój dobrze nakarmiony i wychędożony strzyże uchem, grzebie nogą... siedzisz na nim ledwie tknąwszy grzywy i strzemia... Marsz! Wstępujesz do boju. Przed tobą rzeka, za rzeką bateria sypie kartaczami. Za mną dzieci! W Bogu wiara! Rzeka przepłyniona, działa zdobyte, zwycięstwo nasze! Czyn świątelnny, wart nagrody, ale ty rozwinąłeś tylko przy pomysłnej sposobności władze, które jeszcze nie tknięte w tobie leżały. Padły na szalę



ALEKSANDER FREDRO.

z jednej strony obawa kalectwa lub śmierci, z drugiej męstwo rozgorzałe całym ogniem krwi, całym zdrowiem życia, musiała więc obawa ulecieć, nie objawiwszy się nawet. Ale patrzno na tego, co po kilkumiesięcznej, codziennej walce z głodem, zimnem i wrogiem odtrąca resztę skopcałego snopka z pod pyska zgłodniałej szkapy... wznosi się na kulbakę, pod którą ścierwa już niema... odwija szczytki płaszcza... chwytła za rękojeść, którą deszcz zardzewił, szron posrebrzył... a jeżeli on zadziwi cię świątelnym czynem, oddaj mu twój wieniec, bo go dwojako zasłużył. Jeżeli zaś dobrowolnie poświęcił się dla dobra ogólnego, ukłęknij na jego mogile, godzien czołobitności.— Tak widzieliśmy saperów francuskich wstępujących w prze-

łamanie lody Berezyny. Oni, naprawiając załamane mosty, życie swoje za pomost kładli... dobrze o tem wiedzieli, a jednak nie cofnęli kroku. Nie mieli do wzniesienia swojej odwagi nawet oporu nieprzyjaciela... nie mieli na oku progów ojezycznych, skądby pożegnanie towarzyszyło ich męczeństwu. Poginęli w śniegach litewskich lub więzieniach wileńskich. Niewdzięczna ojczyzna nie podała nawet ich imion potomności. Jeden z nich tylko wrócił do Francyi i na własnej grzędzie pędził w niedostatku dnie starości i cierpienia. Napoleona już nie było.

Wszystko musi się skończyć, mawiał Ludwik XV., bodaj mu Bóg tego nie pamiętał, — skończyła się więc i bitwa pod Montereau. Jeszcze na dobranoc dwie kule wirtemberskie przeleciały gdzieś wysoko ponad nasze głowy i jak słonki na wiosnę zapadły w grabowe szpalery. Wszystkie te kule puszczone *à toute volée* są zawsze pod adresem ciurów i były dla naszych jeszcze cięższą Boską plagą, niż sam marszałek Lefèvre. Jeżeli gdzie w ciasnem miejscu lub na wązkim mostku przechód został zatamowany, a Lefèvre nadjechał, — kropił bez litości ogromną trzcina z ogromnego skarogniatego hiszpańskiego ogiera *les vilains brosseurs* i kantynierki, którym także właściwych nazwisk nie szczędził. Znały go też ciury, znała niewieścia konnica. Na jego pierwsze *sacrrr...* rozwijała się jakby z kłębka splątana ciżba, której nieraz i czoło kolumny starej gwardyi rozsunać nie zdołało.

Są wszędzie arcyksiążęta, arcybiskupi, w Galicyi jest nawet arcystolnik, ale nigdzie niema arcyciury, — a tym powinien być *par droit de conquête et par droit de naissance* mój Onufry. Wysoki, pleczysty, cheiwy łupu, skory do kieliszka równie jak i do bójki, kiedy odbierał rozkazy, wyprężał się jak struna, brzuch w tył, pierś naprzód, stawał skosem jak Pizańska wieża. Odpowiedź jego była zawsze: »Słucham«. Bał się kozaków, jak dyabeł święconej wody. Wszystko to kazalo wnosić z niejaką pewnością, że był kiedyś w rosyjskiej służbie i że nie dopełnił potrzebnych formalności przy podaniu swojej dymisyi. Jeżeli kto schylony nad jakim hauptmanem lub praporszczykiem, co już nigdy nie ujrzy ojczystej

zagrody, ściąga z niego to, czego ściągnąć własni nie zdołali koledzy, albo sylabizuje po szwach i zakładach najmniejszej odzieży, czy nie doczyta się gdzie zaszytego dukata lub talarka, to pewnie Onufry. Jeżeli kto szuka furazu nie w stajni, nie w stodole, ale po kufrach i szufladach, to pewnie Onufry. W Dreźnie przyjałem go i tydzień nie minął, już stał się powodem nie małego dla mnie kłopotu.

Powiem co się stało, bo też nie mam innego celu, pletąc trzy po trzy, jak tylko bawić się, niby dziecko wolantem, wspomnieniem lat przeszłych, -- przerzucać obrazki, których mniej więcej każdy nagromadzi w skarbonkę swojej pamięci. Ale chcąc śpiewać *Achilla gniew zgubny*, muszę zastanowić się pierwej, czy mam przedstawić nagą prawdę, czyli też, pożyczając jej tła, zarzucić ją kwiatami fantazyi. Prawda w oczy kole, może ukłuć i w uszy, o tem każdy opowiadający pamiętać powinien; ale znowu z drugiej strony, uganiać się zawsze za kwiatami i tylko za kwiatami, niemi tylko sypać, niemi zdobić i stroić, strach, by się nie zdarzyło, że ołtarz nie wart ozdoby, albo ozdoba nie godna ołtarza. Prawda tylko piękna! prawda, prawda wielkie słowo. Ale z prawdą jak z ogniem, grzeje, ale i pali razem. Oby to chcieli poznać i pamiętać ci, co się weredykami lubią nazywać. Stąd szukają zalety i chluby. Nie jeden z nich chełpliwie wywołuje: »Powiedziałem mu prawdę, aż mu w pięty poszła!« Bravo! Ciąłeś jak chirurg, wpuszczałeś sondę w ranę bez względu na boleść chorego. Ale czyż to cięcie było koniecznie potrzebnem? Miałeś zaraz w drugim ręku gojący balsam? To pytanie... tak jest, wielkie pytanie, równie jak i to, czy ta prawda, którą wciskasz w głąb serca, którą mącisz myśl swobodną, którą jak drugi los, wytrącasz z dawnej, a rzucasz w nową kolej, — którą zgniatasz czasem całe życie duszy, zgniatasz na miazgę jak ową jagodę, co ci padła pod stopę i której potem już jeden Bóg tylko może wrócić dawny kształt, dawne jądro, dawną barwę, czy ta prawda, mówię, jest istotną prawdą? Czy nie jest owocem twójego tylko własnego rozumowania, rozumowania podległego błędom, bo lubo weredyk, nie jesteś niczem więcej, jak człowiekiem. A jeżeli jeszcze twój wyrok

ozłaczasz przyjaźnią, wzmacniasz ufnością w nią tego, co się wije pod twymi razami, — jeżeli nie rozważyłeś wprzód, czy wyjawienie owej mniemanej a bolesnej prawdy jest nieodzownie potrzebnem, — czy nareszcie masz w ręku środki zaradcze, — wtedy jesteś bez serca, bo się pastwisz, bez rozumu, bo działasz bez celu. Pocóż pozbawiasz mnie ufności w siebie i ludzi, jeżeli nieufność nie naprawić nie zdoła? POCO MNIESZ, zrywasz moją ufność, jeżeli nikomu szkodną nie była, a rzeczywistość ani mnie, ani komubądź pomódz nie może? Dlaczego nie pozwalasz mi snu, gdy zadrzymię na szczątkach mego szczęścia lub nadziei moich, jeżeli mi dać lepszego posłania nie jesteś w stanie? Czemu gasisz pochodnię, co mi swoją łuną w daleką przyszłość świeciła, kiedy nie stać cię w twojem ubóstwie na jedną iskierkę? Dlaczego rachujesz mi w ucho wszystkie groty na mnie rzucone, kiedy od nich nie zasłaniasz, a ja uniknąć nie mogę? Po co? Czemu? Dlaczego? Tysiąc razy jeszcze mógłbym się zapytać, ale zawsze musiałbym odpowiedzieć: Dlatego, bo lubisz pluskać się, przeciągać, rozkoszować w ciepłej kąpielce zadowolenia z własnej wyższości, — bo lubisz mieć klęczących wkoło siebie, bo wtenczas tylko widzisz się wyższym.

Proszę mi przebaczyć ten, że się tak wyrażę, gwałtowny wybryk przeciw weredykom. *Bo taki weredyk stąpił kiedyś na serce moje i zgniół je raz na zawsze.* Przyjaciół, stał się tłómaczem niby opinii powszechnej. Zapewnił mnie, że jestem nienawidzony. Za co? Nie wiedział, ale tak słyszał, — zapewniał, że dążności dzieł moich są potępiane. Dążności? Jakie? Nie wiedział, ale tak słyszał. Zapewnił, że ogólnie ganią sposób, jakim dopiero myślę wychować syna i wiele, wiele jeszcze podobnych zapewnień. Odurzony odkryciem z ust tego, którego przyjacielem być mniemałem, a zatem i o poprzedniem zgłębieniu z jego strony wątpić nie mogłem, opuściłem ręce i przestałem żyć i pracować dla świata. Dziwna rzecz. Niech każdy człowiek w późniejszym wieku spojrzy w życie za siebie, — niech dobrze śledzi powody, przyczyny ważniejszych swoich zdarzeń, a ujrzy pewnie jakąś osobistość, która zawsze w jego atmosferze, jakby drabant obok niego grawitowała

i która zawsze pośrednio albo bezpośrednio, z wiedzą lub bez wiedzy, wywierała swój wpływ na jego życie pomimo nawet częstokroć niższego stopnia wiadomości i ukształcenia albo i rozumu naturalnego. Nie jest wszakże myślą moją ganić rady lub przestrogi rzetelnej życzliwości, napomnienia macierzyńskie szczerzej przyjaźni, — przeciwnie, szczęśliwym nazwę tego, który zawsze miał je przy sobie w podróży życia jak owe różdżki wrzosu wzdłuż przepaścistej ścieżki co niby rękę podają podróżnemu, jeżeli mu się czasem noga z dobrej drogi zesunie. — Ale gdzież mnie, w jaki świat daleki odwiodło to słowo: P r a w d a. Spinałem się po szczeblach, co się za mną łamały, a teraz jakże wrócić na poziom? Skoczyć trzeba, niema innego sposobu. Skaczę więc równemi nogami do Onufrego, jego kłótni i bójki. Powiem prawdę, rzuciwszy wszakże na nią lekką gazę przyzwoitości, na jaką stać tylko może starego ułana.

Jednego wieczora, było to w Saksonii, w Dreźnie, w oberży pod Jeleniem, gdzie stałem kwatery. Onufry poszedł do Rezli, sztabmadli, i zawołał czystą niemiecczyzną: »Na — top!« — Dziewczyna rozśmiała się i przedrzeźniać zaczęła. — »Czego się śmiejesz, małpo? krzyknął luzak po polsku, nie rozumiesz co: Na — top?« — Od słowa do słowa, aż boli głowa, powiedziałby pan Jowialski, bo Onufry postąpił sobie nareszcie z Rezlą, jak ów gminną piosnecką wslawiony z Małgorzatą Grzegorz, ale Rezla miał zawołać: Czegóż? — walnęła go w łeb lichtarzem. Że zaś świeca w tym razie zgasnąć musiała, ciemnota pokryła tę część historii. Że jednak coś padło z jednej i drugiej strony, wątpić nie można.

Kiedy to wszystko działo się na dole, ja na drugim piętrze spokojnie kończyłem wieczerzę z kolegą kapitanem Maciejowskim. Rozmawiamy sobie o tem i o owem, — wtem... otwierają się drzwi i Onufry wpada. Twarz zarydzona, nozdrza sapiące, kawał knota na czole, powiadały nam wyraźnie, że walka była gdzieś stoczona i że spieszny odwrót ma miejsce. Nim jeszcze słowo mogło być wyrzeczone, wbiegł haus knecht ze świecą w rękę, a za nim sam pan gospodarz. — »Wo ist er?« — »Da steht er!« I już luzak wziął w papę aż nosem pociągnął.

Wtenczas to wymknęło mi się, co się tak łatwo z ust polskich w podobnym razie wymyka: »A walże!« — Nie potrzeba było mówić dwa razy. — Onufry jak Niemca utnie... Ach co za szkoda, że dla przyzwoitości stylu nie mogę powiedzieć: »jak utnie w pysk!« — bo w tym, acz gminnym, wyrazie leży tyle prawdy, tyle nawet naśladowczej harmonii, — ale nie wypada, nie można, więc powiadam, Onufry jak utnie Niemca gdzieś między nosem a uchem... aż szyby brzękły — *Schön!* Niemiec zwinął się, zatoczył i chyłcem, zygżakiem jak lis postrzelony leciał, leciał i aż w przeciwnym rogu padł na kanapę. A nim się zerwać zdołał, już Onufry leżał na nim. — Jeżeli kto aby raz w życiu widział niedźwiedzia idącego w hurku, kiedy schwyce pod siebie jednego z kundli, a kiedy mu drugi tymczasem szarawary skubie, łatwo wystawi sobie walczącą grupę. Hausknecht, krzycząc w niebogłose, usiłował sięgnąć ze swojego pana zajadłego nieprzyjaciela, ale jedną tylko ręką, bo w drugiej trzymał świecę, a świeca kosztuje *einen Groschen*... a on za świecę odpowiada... porządek przede wszystkim. Chwyciłem go nareszcie za kołnierz i nogą za drzwi pehnałem, zostawiając wolny bieg sprawiedliwości. Wkrótce jednak zląkłem się, bo Sas już głosu nie puszczał, — zląkłem się, czy przypadkiem za mocne uderzenie nie strąciło filigranowego niemieckiego karku. Zawołałem: »Dość tego!« — I w mgnieniu oka stał przedemną Onufry, brzuch w tył, pierś naprzód, skosem jak Pizańska wieża. Pan gospodarz podniósł się, kręcił się w kółko i byłby pewnie do drzwi nie trafił, gdybyśmy mu nie byli w tym względzie przyszli w pomoc. — Skończył się akt pierwszy. Ale cóż dalej? Otwierano i zamykano z trzaskiem i hałasem ledwie nie wszystkie drzwi w całym domu... biegano po schodach i gankach... Oczywiście chmura się zbierała. My zaś już wpół rozebrani wzięliśmy czempredzej mundury na siebie, pałasze do boku, kapelusze na głowy. Nie można było bowiem ręczyć, czy lokatorowie, po większej części krajowcy, nie zechcą przekroczyć praw grzeczności, czy nie chwycą sposobności bicia albo i ubicia francuskich oficerów.

Sasi nas nie lubili i nie tylko że nie lubili, ale byłiby

chętnie całą naszą armię z Cesarzem na jej czele w łyżce wody utopili, gdyby tylko mogli byli taką łyżkę znaleźć. Nie ma się czemu i dziwić. Ów ciągiy menuet wojsk wszystkich narodów od Portugalczyka do Czerkiesa, od Neapolitańczyka do Lapończyka po całej pięknej Saksonii, nie mógł ich ani bawić, ani uszczęśliwiać. Byliśmy w kraju arcynieprzyjacielskim, o tem trzeba było zawsze pamiętać i o tem nie zapomnieliśmy teraz, stojąc frontem ku drzwiom, za którymi coraz liczniejsze, coraz burzliwsze i coraz bliższe wznosiły się głosy. Niepewność często nieznośniejsza od złego. Otwieram więc drzwi i obraz godny pędzla Hogartha widzę przed sobą. Kilkanaście osób różnego wieku i różnej płci w nocnym stroju, czyli raczej rozstroju, w szlafmycach, pantoflach (szlafroków nie było), świeca w rękach, a gdzieniegdzie i kij, blade i drżące z gniewu i trwogi wlepiało we mnie wytrzeszczone oczy. Nie tracę czasu... korzystałam z pomięszania i jak Bonaparte ośmnastego *Brumaire* do Rady Pięciuset, wstępuję do sieni. A żółty krawiec stojący na przodzie mógł być zawołać jak Arena: *Ici des sabres!* Wstępuję do sieni i odzywam się grzmiącym wprawdzie głosem, ale mało co lepszą niemiecczyną jak przed chwilą mój Onufry: »Idę do komendanta placu oznajmić, że w tym domu napadnięto kwaterę oficerów szlabu cesarskiego«. Rzekłem, spuściłem pałasz po *ostrogach*... szeregi się rozstały... a ja z brzękiem i szczękiem tryumfalnie zszedłem ze wschodów... W samej rzeczy chciałem uprzedzić komendanta... nie zastałem go... czekałem... chodziłem, sam nie wiedząc co robić... nareszcie po godzinie czasu wróciłem do domu, — wszystko było cicho.

Nazajutrz postawiono nam kawę. Nie spieszyliśmy się do niej. Spojrzeliśmy po sobie. Jeden zagwizdał, drugi zaśpiewał, — jeden powąchał, drugi skosztował... A ba!... wymówiliśmy razem i kawa spożyta została. Niespokojny jednak idę do generała Bleszyńskiego, adjutanta króla saskiego, dawnego znajomego, a niegdyś i sąsiada rodziców moich. Zwierzam mu całe zdarzenie i proszę o radę. General słuchał mnie i golił się razem, podstrugując sobie wąsiki z najsumienniejszą precyzją i podług potrzeby wykrzywiając twarz, nadymając policzki,

albo wypychając językiem wierzchnią wargę, puszczał przez zęby przerywane słowa: »Żle!.. hm, hm... bardzo źle... niema co żartować... skarga może łatwo dojść do króla... Król odda Cesarzowi... Cesarz jest dla króla nad miarę uprzejmy i gdzie idzie o karność wojska, dla winnych bez litości«. — »Ależ ja, rzekłem, nie wykroczyłem przeciw karności«. — »Hm, mówił dalej generał, macając sobie brodę, czy jeszcze gdzie nie zostawił siwego włoska, zapewne nie wykroczyłeś, ale ogólnie armii jest przykazane dobrze obchodzić się z mieszkańcami, — a sam przyznasz, że twój służący...« — »Bronił się«, przerwałem. — »Tak, zapewne, bronił się, rzekł generał i złożył brzytwę, ale pod armatami nieprzyjacielskimi niema czasu procesu wytaczać... Dla przykładu wiele się czyni... Właśnie niedawno z powodu zażalenia poddanego na ręce króla, Cesarz kazał jednego oficera z kontroli wykreślić. Radzę ci zatem, załagodź tę sprawę«.

Tak, załagodź, rzekłem do siebie wychodząc mniej spokojny, niż byłem przychodząc. I jak załagodzić? Co ja mogę dać temu oberżyscie? Chyba buzi z jednej i drugiej strony. Pieniędzy nie mam. Komuż kiedy mogła przyjść myśl szukać u mnie pieniędzy?! Wziąłem wprawdzie na wstępie do sztabu 500 franków na ekwipowanie... z domu także trochę miałem, ale do domu przyszedłem z niewoli w sukmance, z domu jechałem pocztą, poczta droga, przytem kolasa Franciszka Skrzyńskiego czy Ludwika Porczyńskiego, z którymi jechałem, psuła się nieustannie, — gdyby nie przedłużenie zawieszenia broni, byłibyśmy ugrzęźli w Pradze. W Dreźnie musiałem kupić trzy konie, kulbaki, juki, broń, sprawić mundur z haftowanym kołnierzem, — musiałem i witać się z kolegami 11-go pułku ulanów i 5-go strzelców konnych, w których pułkach dawniej służyłem, a w pułkach oficerów nie mało, — słowem byłem w moim normalnym stanie, tj. w stanie golizny. Narazcie jak przystąpić do zgody z oberżystą? Na *Speiszellu* jego palli niema. Bóg wie, jakby ją taksował. Jednak niema co żartować, mówi generał... i prawda, w Saksonii do króla zawsze niedaleko, a królowi teraz do Cesarza nawet za blisko, jedno słowo i dosyć... Ja wiem, że Cesarz wymierzyć może



HHRABIA LUDWIK-MICHAŁ PAC
Ostatni Potomek znakomitej i zasłużonej
Rodziny na Litwie
Ur. 1780 roku.

karę jedynie przez uprzejmość dla króla, jedynie dla przykładu, — ale dyabliż z tej uprzejmości, jeżeli ma być moim kosztem. I wszystko to przez to nieszczęsne: »A walże!...« Ale jakże nie walić, Mościa Dobrodziejko! — Taka była treść moich monologów. Chciałem pójść za radą generała, ale po niej jakim czasie mogłem o nim powiedzieć to, co Molière królowi o swoim doktorze mówił: »*Il m'ordonne des remèdes, je ne les prends point et je guéris*«. Alias: co padło przepadło, a Niemiec mógł tylko w swoim dzienniku zapisać fakt, jako *casus belli*.

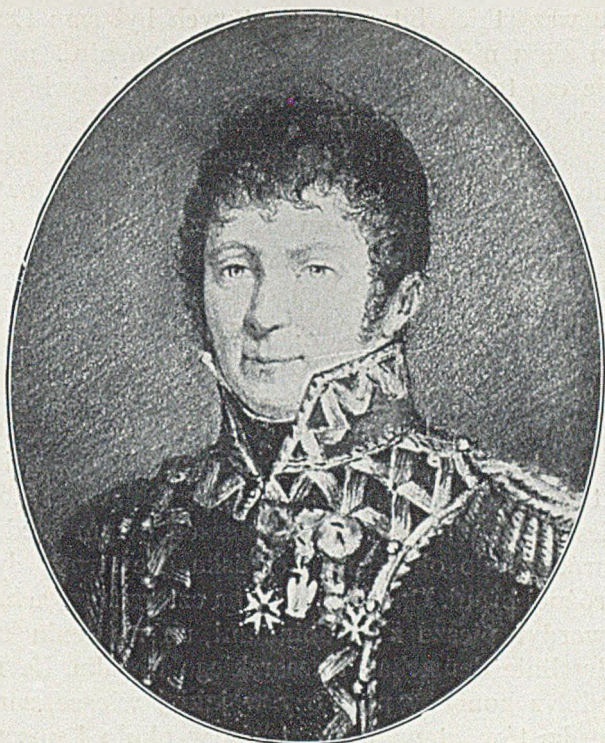
Jeżeli Onufry w Dreźnie stał się powodem niepokoju, który krótko opowiedziałem, a długo cierpiałem, to w Lipsku mógł być wtrącić mnie do niewoli, z której dopiero com się był otrząsł, albo mnie umieścić w lazarecie, albo i prosto w raj, gdzie nb. dostać się mam zawsze nadzieję, a przynajmniej skąpać w Elsterze, bo jak wiadomo, most tam nie czekał na wszystkich. Tak jest, mógł być stać się tego wszystkiego przyczyną, gdyby nie ślepe fatum, co tak dziwacznie igra w dymie wznoszącym się ponad pola bitwy.

Dziewiętnastego października, ostatniego dnia czterodniowej, najkrwawszej, jaka może kiedy była i będzie walki pod Lipskiem, między dziesiątą godziną a południem, staliśmy, oficerowie sztabu księcia Neufchatel, pod drzewami, które ulicą otaczają miasto. Czekaliśmy rozkazów, — słuchaliśmy nie wystrzałów, bo tych trudno już było rozróżniać, ale raczej grzmotu mniej więcej ryczącego, który nas wokół opływał. Już wtenczas i szary koniec wiedział jak rzeczy stoją. Z upadkiem potęgi francuskiej upadły i nadzieje Polaków. Ale mniemaliśmy, że dopiero pod Lipskiem tracimy powtórnie Ojczyznę, nie wiedzieliśmy, że Napoleon najłatwiej zawsze przyjmował warunek wrócenia jej w potrójne jarzmo niewoli. Piekielna obludo! szatańska polityko! Tyle poświęcenia, tyle krwi przyjmować za nadzieje, których w głębi serca nie myśli się spełnić. Skrępował nas ten Księstwem Warszawskiem, tym królem saskim i kiedy pozbawił wszelkiej samodzielności, jak martwą swoją własnością był zawsze gotów rozrządzić. Biada człowiekowi, którego los zawisł od drugiego, ale dwa-

kroć biada narodowi, co zawisł od interesu innego narodu. Narody sumienia nie mają. Smutne rozmowy biednych nas Polaków w lipskich alejach przerwała kula armatnia, która zaszumiała, jak gdyby kto wentyl samego piekła uchylił i potem ucięła kozła między nami. Wspomniawszy studenckie czasy, można było zawołać: Kasza, Panowie, kasza! Byłać to w rzeczy samej kasza, ale już i ze szwedami. Wtem Rejtan zawołał: »Cesarz wsiada na koń!« Ruszyliśmy i my każdy do swojego, ale nasi służący wprowadzili je byli do blizkiego domu; tam biegniemy, a wstępując na dziedziniec, widzimy znowu kaszę... tak jest kaszę, nie w alegorycznej, ale w jej najnaturalniejszej postaci. Komu, komu innemu, jak tylko ciurom mogło przyjść na myśl dziewiętnastego października 1813 r. o dziesiątej rano w Lipsku gotować kaszę!? I ugotowali ją w istocie, ale dyabeł zdawał się jakby na psotę dmuchać im ogniem w garnek, bo kasza nie stygła, a łyżka lubo ochuchana, odmuchana, jeżeli wjechała do zgłodniałej paszczy, jeszcze prędzej się cofała. Daremnie wołaliśmy, łajali. — »Zaraz, zaraz«, odpowiadały sparzone języki i bylibyśmy mostu pewnie już nie zastali, gdyby jeden z nas nie był wpadł na myśl szczęśliwą i nie był nogą w garnek uderzył. Kasza jak z bomby w tysiąc promieni bryzgnęła, a ciury boleśnie jęknęły, ale wkrótce były na koniach. Jeden tylko Onufry nie mógł dać sobie rady, a ja nie chcąc odstąpić koni, czekać musiałem. Miał on wprawdzie do czynienia z klaczą szpakowatą, dyablem wcielonym, której nie w smak były juki, a jeszcze więcej dwie wiązki siana do przedniej kuli siodła przywiązane. Kupiłem ją był w Löbau od oficera polskich huzarów za czterdzieści dukatów. Wsiadałem, zsiadałem, próbowałem do woli, wszystko szło jak najlepiej; ale nazajutrz, gdy przyszło do kulbaczenia, klacz gryzie i bije tyłem i przodem, — a do wsiadania jeszcze gorzej. Wczoraj stała jak opoka, dziś tańczy jak Paraszka, boczkiem, boczkiem odemnie, a ja za nią, za nią na jednej nodze, — istna kołomyjka. Dosiadłszy zaś, trzymaj się zrazu choćby i grzywy, bo w okna pierwszego piętra zaglądać będziesz. Nareszcie żadna przemoc, ani cierpliwość ludzka nie zdołała zniewolić jej przejść koło martwego konia. W wilią

dnia, o którym mówię, pod Lipskiem będąc na służbie, przemierzyłem na niej nieraz całe pole bitwy w słotę, błoto i o głodzie, a jednak narowy jej nie zmniejszyły się wecale.

Po długich zatem korowodach wyjeżdżam nakoniec z dziedzica, za mną Onufry. Patrzę za kolegami, — niema już żadnego. Przy sztobie koleżeństwo bez kleju, acz się niby zlepia, trzyma się nie tego. Nie widać już nawet koni powodnych ostatniego szwadronu służbowego. Ale za to Berezyna stanęła mi przed oczy. Długa procesya, jakby z arki Noego wypuszczona, wolnym i co chwila wstrzymywanym postępowała krokiem. Ludzie i zwierzęta przy sobie, na sobie, pod sobą, jedną masą posuwały się razem, a coby z tych ostatnich nie stało, można było skompletować między ludźmi. — Tak był tam lew straszny i w odwrocie, tygrys rozjuszony, wół pracowity, pies wierny, kot fałszywy, kot saski, — był tam i osioł, była i świnia, był i tchórz, Mości Dobrodzieju, a wszystko w ciżbie. Każdy o sobie, a Bóg o wszystkich! Spiałem konia ostrogą i pół siłą, pół zręcznością torowałem drogę sobie i moim koniom powodnym. Wyprzedzałem park artylerji po lewym boku, przesuając się powoli, nareszcie naprzód już nie można, ale z drugiej strony widzę trochę wolnego miejsca. Można było po leżących postronkach na ziemi, między przednimi a dyszlowymi końmi zatrzymanej armaty przejechać, co też mi się udało szczęśliwie. Onufry, mniej głupi a więcej zręczny, byłby mógł to samo uczynić, ale wjechawszy w ciasny przesmyk, zamiast długo puścić za siebie jucznego konia, wołał zrobić sobie więcej miejsca; uderzył przednie armatnie konie, te postąpiwszy, podniosły postronki, postronki zalechtały klacz, klacz zaczęła gryźć, wierzgać, związała się i padła. Kłab z ludzi i koni zrobił się w okamgnieniu. Hełto czasu, ile cierpliwości trzeba było, aby go rozplątać i jakiego szczęścia, aby po tem wszystkim z jaką taką całą głową i z wszystkimi końmi dostać się do Lindenau. Niechże się teraz kto dziwi, że ja strącony w Berezynę, mało w Lipsku nie roztratowany, a to jedynie z powodu ciżby, ciżby nienawidzę. Niech się dziwi, że dostanie odemnie łokciem w brzuch, albo nogą w łydkę, jak mnie w ciasnym miejscu zanadto przyciśnie.



JÓZEF KOSSAKOWSKI.

Napoleon miał gdzieś, kiedyś w gniewie wykrzyknąć: »Gdybym miał dwóch Vandammów, kazałbym jednego powiesić!« Ja toż samo ledwie nie codzień mogłem o moim Onufrym powiedzieć. Ale pod Montereau, gdy przyszło zsiąść z konia, nie tylko dwóch, ale i jednego nie było. Szukałem daremnie, nareszcie trzeba było konia uwiązać. Tymczasem batalion starej gwardyi złożył broń w kozły, strażę otoczyły pałac. Cesarz tam nocować będzie. Poszedłem więc zobaczyć, gdzie nasz salon służbowy (*salon de service*).

Z tego wszystkiego, co miałem honor powiedzieć, Wać Pan Dobrodziej wnosisz zapewne, że byłem zawsze przy Cesarzu Napoleonie... I bardzo trafnie. Nie tylko w moim stanie służby jest wyraźnie, że znajdowałem się w ostatnich kampa-

niach we wszystkich bitwach, w których był sam Cesarz, ale i grzałem się z nim nieraz przy jednym ogniu... prawda, że się to nie często zdarzało. Cesarz rzadko kiedy biwakował... prawda, że ogień dla Cesarza założony o wiele, wiele bywał większy, jak zwykle ognie biwakowe... prawda, że zawsze po tej stronie stawałem, na którą wiatr dym gonił, nawet najczęściej, mówiąc między nami, Cesarz był tyłem do ognia, a przeto i do mnie obrócony i do tego jeszcze rozkładał czasem poły, aby się wygrzać lepiej. W stosunkach obywatelskich możnaby to uważać za uchybienie z jego strony, ale w czasie wojny nie jest się tak dalece uważającym na etykietę i ja też urażać się nie widziałem powodu.

Przy jednym z takich biwaków, było to wieczór pierwszego dnia bitwy pod Lipskiem, piękny widok nam się przedstawił, który jako godny pędzla podają malarzom do wiadomości. Cesarz Napoleon w swoim sieraczkowym surducie stał tyłem obrócony do obszernego ogniska. Ze strony dymu oficerowie różnej broni. Opodal, jakby na czterech rogach, strzelcy konne gwardyi pieszo z karabinkami na ramieniu utrzymywali jakby linię demarkacyi cesarskiego biwaku. Ile razy Cesarz zsiadał z konia w polu czy w jakiej wiosce, zaraz czterech gwardzistów stawało na straży w około i posuwało się zawsze w równym oddaleniu w miarę ruchów Najjaśniejszego Pana. Stał więc cesarz Napoleon tyłem do ognia i do mnie obrócony, przed nim o kilka kroków na prawo generał Merfeldt, ujęty w niewolę, w surducie sinym generalskim austriackim, w kapeluszu z galonem i zielonym pióropuszem. Między nim a Cesarzem generał Caulaincourt bez kapelusza w suto złotem haftowanym mundurze, nalewał mu wina w srebrny kubek. W małym oddaleniu, w głębi, ale jeszcze w świetle ogniska, zsiadał z konia król neapolitański w swoim malowniczym, żeby nie powiedzieć teatralnym ubiorze. Miał on wówczas na sobie surducik krótki jasno-szafirowy na piersiach suto złotym haftem okryty równie jak i pas biały sukienny na sześć cali albo i więcej szeroki, przy którym wisiał krótki oręż, niby kordelas, — pantaloney obszerne karmazynowe, w rękę trzcina, na głowie wysoki ugalonowany kapelusz



STANISŁAW DUNIN WĄSOWICZ.



z strusim pióropuszem i czapłą kitką. Na krawędziach zaś ciemnego horyzontu lyskały jeszcze czasami wystrzały armatnie. Piękny to był obraz, ale wróćmy do naszego przedmiotu. Powiadam, że Wać Pan Dobrodziej bardzo trafnie wnosisz, iż byłem przy Cesarzu, ale jeżelibyś z tego wniosku drugi na pozór bardzo naturalny chciał wyciągnąć, że kto był przy Cesarzu, był przeto w sztabie cesarskim, omyliłbyś się zupełnie. Dlatego pozwolę sobie dać niektóre objaśnienia w nadziei, że, jeżeli cię nie będą interesować, to zapewne będziesz dość grzeczny wysłuchać je cierpliwie.

Sztab Cesarza Napoleona... Co jest sztab, po francusku *état major*, wiadomo Wać Panu Dobrodziejowi bez wątpienia. Tem więcej, że z jego dużych wąsów, przechodzących znacznie miarę wąsów obywatelskich, wnosić mogę, że służyłeś w wojsku?... W wojsku Rzeczypospolitej Krakowskiej. — Bravo! — A więc mówię dalej.

Sztab Cesarza Napoleona, nie licząc różnych biur towarzyszących mu wszędzie, był weale nie liczny. Składali go: Berthier, książę de Neufchatel, *Major Général*, alias Szef Sztabu, — generalowie-adjutanci, których obecnych w saskiej i francuskiej kampanii było czterech i z ośmiu *Officiers d'ordonnance*. Achselbandy przy szlifach generalskich oznaczały adjutantów. Oficerowie *d'ordonnance* mieli jasno-szafirowe mundurowe fraki suto srebrem haftowane, kamizelki z pętlcami, spodnie z galonami koloru fraka i węgierskie buty. Kapelusz z czarnym plumażem. Ten mundur zdawał się być więcej dworskim niż wojskowym. Przydzieleni do sztabu byli generał Pac i generał Kossakowski. Wąsowicz, szef szwadronu Lancierów polskich starej gwardyi, został podobno zaraz po powrocie z Moskwy oficerem *d'ordonnance*, nie zmienił jednak munduru. To był właściwy sztab cesarski, czynny, zawsze na koniu i z pałaszem w ręku. Bo lubo sekretarze, szambelanowie, pазie etc. etc. galopowali wraz z nami i musieli radzi nie radzi zakosztować czasem przysmaków wojennych, należeli oni nie do sztabu, ale do dworu. Nie mogę przepomnieć doktora Larrey de Tamor. Wielce on cenił ten w Egipcie otrzymany predykat i chętnie łączył go z swoim nazwiskiem. Powiadają, że raz

wchodził wieczorem do jednego ze swoich pacjentów: ten zapytał z cicha: *Qui est là?* — »*L'Arrêt de la Mort*«. (Larrey de Tamor) odpowiedział doktor grubym swoim głosem. Na to chory westchnął: »*Oh, mon Dieu, ayez donc pitié de mon âme*«.

Sztab zaś księcia de Neufchatel, *l'Etat Major de la Grande Armée*, był bardzo liczny. Składali go znowu, szef sztabu generał Monthyon, nieznośna, długa, dumna, nie lubiąca Polaków figura, — pięciu pułkowników, *adjutants-commandants*, — czterech adjutantów i przeszło trzydziestu oficerów sztabowych, *Officiers adjoints à l'Etat Major de la Grande Armée*, różnego stopnia i broni. My, oficerowie polscy, wstępując do tego sztabu, dostaliśmy patenta na oficerów francuskich, nie wiem więc, dlaczego odsądzono nas jako cudzoziemców od pensyi krzyża legii honorowej, — może dlatego, że nikt się za nas nie upomniał.

Berthier, jako księżę udzielnny Neufchatelu, miał przy swojej osobie kompanię piechoty i kilkudziesięciu dragonów neufchatelskich. Piechota w *chamois* mundurach z czerwonymi wyłogami, składała straż przy pomieszkaniu, a w marszu przy ekwipażach księcia. Dragony zaś w zielonych, z niebieskimi kołnierzami frakach, z białymi szlifami i achselbandami, — w helmach mosiężnych z futrem płowem niskiego włosa w koło u dołu, a z tyłu ze spadającym końskim ogonem, jak miała cała ciężka jazda francuska. Nazywali się: *Les Guides* i byli konnymi ordynansami sztabu naszego. Adjutantci księcia odznaczali się od innych adjutantów w armii pąsowymi rajtuzami z czarnym lampasem. My równie jak wszyscy oficerowie sztabowi mieliśmy haft złoty na kołnierzu, — duże gałązki dębowe jedna nad drugą. Lubo znak widoczny i głównemu sztabowi tylko właściwy, był wielce pożytecznym, wioząc nieraz bardzo pilne i ważne rozkazy, jednak miewaliśmy do zwyciężenia niezmierzone trudności w mijaniu lub wyprzedzaniu maszerującego wojska. Po pierwszym działowym wystrzale na linii bojowej pod Lipskiem, marszałek Marmont, do którego byłem w nocy z misją przybył, rozkazał nam dwóm razem z powierzonymi listami pędzić do Cesarza co koń wystarczy, — padnie jeden, dojedzie drugi. Już przy

przedmieściu Lipska wpadamy na czwarty korpus tam wchodzący. Żaden rozkaz, choćby i własnoręczny Cesarza, nie byłby naszymu cwałowi drogi otworzył. Szczęście, że znalazł się tam sam komendant korpusu, generał Bertrand, który dając ustne zlecenie, sam nas przeprowadził. Jeżeli przyszło mijając park artylerji, to często, śmiało mogę zapewnić, z niebezpieczeństwem życia. Na ścisłem dopełnieniu rozkazów oficerów sztabowych cały ruch armii zawisł. Nikt z nas nie miał czasu patrzeć, co przed nim... tylko naprzód! naprzód! Co będzie, to będzie. Razu jednego znajduję się nagle obok armaty przy wstępie wysokiego i bez poręczy mostu. Chcę konia zatrzymać, ale oś zadnia działa pcha go naprzód. Widzę przepaść, niema co myśleć... wołę konia stracić, niż siebie zgubić... spuszczam strzemiona, wznoszę się na siodle i trzymany za kołnierz pewnie przez jakiegoś świętego, do którego westchnąć musiałem, staję, zsunawszy się po ogonie, na własnych nogach. Koń mój zaś ciągle pchany przeszedł także szczęśliwie, może dlatego że był wolny, na drugą stronę, gdzie miał rozum a raczej nierozum zaczekać na mnie.

Nie tak niebezpieczne, ale za to zdarzające się bardzo często i dosyć przykre były przeprawy z piechotą. Piechur nie lubi i wprawdzie nie ma co lubić, kiedy mu kto drogę przecina lub zboczyć przymusza, bo zatrzymany, musi potem spieszenie dopędzać kolumny. Ucinki, drwinki, mniej więcej grzeczne i dowcipne leciały jak grad z pieszych szeregów na każdego, który siedząc na koniu, do konnicy miał prawo być policzonym. Konnica śmiała się z tego i oddawała wet za wet jak mogła najlepiej, ale pojedynczemu jeźdźcowi jakoś to nie uchodziło, a obojętnem być nie mogło. Pomnażały się jeszcze dla nas w tym względzie nieprzyjemności z powodu mody, której niektórzy, naśladowując Cesarza i księcia Berthier, ulegli, tj. nienoszenia znaków oficerskich u kapelusza. Ja byłem jednym z tych, ale przyznam się, że nie z innych przyczyn, jak tylko z oszczędności nie kupiłem w Dreźnie złotych kutasików i złotej plecionki do kokardy. Nieraz tego potem żalowałem. Jeżeli przytem surdut, który w wojsku francuskiem był zawsze cywilny, albo płaszcz zakrywał szlify, natenczas żarciki

w klótnie łatwo przechodziły. Pod Hanau kula armatnia z trzaskiem i łoskotem przetworowawszy sobie drogę przez galezie otaczających nas dębów, zaszumiała nad sztabem cesarskim. Miała do wyboru Cesarza, książąt, generałów, albo i jakiego z dzielnych rumaków tych wysokich panów, a przecie wybrała sobie moją biedną szkapę... com miał najlepszego. Uderzona w prawą łopatkę usiadła, jak pies na zadzie. Odpiąłem mantelzak, wyjąłem pistolety, oddałem Rejtanowi, ściągnąłem munsztuk i nie wstydzę się powiedzieć ze łzami w oczach objąłem i przycisnąłem do piersi ten łeb bułany, co się ku mnie zwracał, jak gdyby wzywał pomocy. Żegnam cię, rzekłem, towarzyszeko wierna, i oglądając się wzajemnie na siebie, rozstaliśmy się na zawsze. Z dwóch koni, które mi zostały, jeden był podbity, drugi galgan. I kiedy nazajutrz przyszło ruszyć z miejsca, wsiałem na galgana. Była to mała klacz kasztanowata. Wszystko co z urodzenia mogła mieć dobrego, zostawiła w błocie pod Dreznem... na błocie nigdy nam nie brakło... a teraz dźwigała długiego Onufrego.

Jako przyjaciel prawdy, muszę wyznać, że wzięwszy razem mnie i kobyłkę, składaliśmy całość nie tęgą. Kobyłka w skutku trudów wojennych nabyła nalogu uderzać hołupca zadniemi nogami, a potem na jednej tylko nodze kończyć taniec, co równie dla niej jak dla jeźdźca ani powabnem, ani zaszczytnem nie było. W takich okolicznościach na czele luzaków moich kolegów musiałem wyprzedzać kolumnę grenadyerów starej gwardyi. Wczoraj kiedy szli do ognia, a jeden ze sztabowych oficerów odezwał się do nich: *«L'Empereur vous attend»*, kilku odrzekło, podrzucając karabiny lub opatrując skalki, jak myśliwi, co zasłyszeli goniące w kniei ogary: *«Il ne nous attendra pas longtemps!»* — wczoraj byłbym uściskał każdego, a dziś byłbym chętnie z mojej kobyłki każdego chwycił za harcap i łbem jak na mszę dzwonił. Zawsze i wszędzie człowiek z własnego stanowiska sędzi o rzeczach. Nie było podobieństwa przecisnąć się na drugą stronę drogi, gdzie miejsce szersze dozwoliłoby pospieszyć. Nareszcie zniecierpliwiony wspomniałem, że należę do sztabu cesarskiego. — Biada! — *Voyez donc l'Etat Major de l'Empereur!* krzyknął



ALEKSANDER FREDRO POD HANAU W R. 1813.



jeden. — *Place pour l'Etat Major de l'Empereur!* zawołał drugi... i śmiech ogólny. A biorąc mnie, który miałem surdut na mundurze, za jakiego urzędnika administracyi, wołano: *Hè! Monsieur Riz-pain-sel!* — *Par ici Monsieur l'Employé au vinaigre!* — *Bon voyage Monsieur Du Molé... hop, hop, hop!* i tysiąc, tysiąc podobnych konceptów. W takim razie trzeba udawać głuchego, albo śmiać się ze śmiejącymi, ale tak jedno jak drugie rzadko kiedy dobrze się powiedzie. Miąłem nareszcie sztydzącą kolumnę, tak jak mnie minęło przeszło lat trzydzieści od bitwy pod Hanau, jak ty minąłeś luby wieku młodości »*mit deinen Schmerzen, mit deinen Freuden*«. Im dalej od ciebie, tem ja-skrawsze zdają mi się twoje kwiaty, tem grubsza mgła zasłania pomniki smutku i cierpienia. Im dalej od ciebie, tem więcej wzrasta tęsknota za tobą, tak jak wzrasta cień nasz własny na ścianie, gdy się od niej ku światłu cofamy, — wzrasta, sięga stropu, — na strop występuje i nareszcie opływa nas zupełnie. Gdzież jesteście zwycięskie roty? Wodzowie? Gdzie jesteście potęgo, dla której strumienie krwi lały się lat tyle? Zwycięzcy i Zwyciężeni — Upokorzoni i Tryumfatory znikli jak słońce, co zaszło przed chwilą, jak zniknie świeca, co stoi przedemną. Cóżście po sobie zostawili światu? — Nie wiele, nie wiele. — A mnie? — Co? — trochę wspomnień, dwa krzyżyki i pedogrę. Ale acz z pedogrą, galopuję nie pomału z Lipska do Moskwy, z Moskwy do Montereau — trzydzieści lat w tył, trzydzieści naprzód — ze śmiechu do płaczu... bo na tem, niestety, Polak musi zawsze swoje wspomnienia zakończyć. Hola! więc ty myślo! i ty lzo! Wracam do mego sztabu. Było nas tam Polaków, już przy końcu, podobno dwunastu. Trzymaliśmy się parami, ażeby gdy jeden będzie na misyi (tak nazywaliśmy posyłki), drugi miał opiekę nad ludźmi i końmi. Były to małżeństwa koleżeńskie i jak każde małżeństwo, miały swoje pogody, miały i burze. Tak zawsze widziałeś pod jednym dachem albo przy jednym ogniu Rejtana z Suchorzewskim, — mnie z Henrykiem Milbergiem, — Ludwika Jelskiego z Romanem Sołtykiem, a jak ten był wzięty w niewolę, z Niegolewskim, — Grabowskiego Józefa ze Stofflem Szwajcarem, pułkownikiem-adjutantem-komendantem, Kościel-



TADEUSZ SUCHORZEWSKI.

skiego z Krauzem. Kapitan Szercel, którego do Polaków liczę, bo z polskiego wojska, nie wiem, czy nie z legionów, trzymał się pojedynczo... To jest osobno ale nie pojedynczo, bo miał przy sobie służącego, a ten służący żonę. Służący zwał się Pular, przeto ona Pulardką. Hrabia Fiuflu mógł był zaśpiewać:

Że po polsku mówić twardo
Przeto kurę zwą pulardą.

Wstydziliśmy się nieraz tego suplementu, ale kapitan Szercel był dla nas zanadto znaczącą osobą, abyśmy nie starali się utrzymywać z nim najprzyjaźniejszych stosunków. Raczył on czasem na usilne prośby wydobyć jakiego hiszpańskiego numizmata i laskawie pożyczyć. On przyszedł mi w pomoc, kiedy w Metz, przymuszony słabością nie wychodzić z pokoju, nie miałem już za co kupić wiązki chrustu na komin, ani dziesięć maronów na wieczercę. Daj mu Boże zdrowie, jeżeli jeszcze żyje, a wieczny odpoczynek jeżeli już rozstał się z tym światem i Pulardką swoją.

Nie mogę sobie przypomnieć, z jakiego powodu w St. Denis nie z Milbergiem, ale z Rejtanem mieszkałem za miastem u mielnika, którego wspominam dla dwóch osobliwości. Zwał się bowiem Meurt-de-froid, nie wiem czy dobrze piszę, ale tak się wymawiało — i miał żonę, która raz na tydzień brodę sobie goliła. St. Denis pamiętne miejsce.

Po rozwiązaniu jednego z największych, jeżeli nie największego dramatu historycznego w Fontainebleau, oficerowie sztabowi Polacy udali się z pułkiem polskich ułanów gwardyi do St. Denis, gdzie i reszta naszego wojska zgromadziła się pod komendą generała Wincentego Krasieńskiego. Tam przeszliśmy z niewymownym wstrętem pod władzę rosyjską. Wielki Książę Konstanty objął naczelne dowództwo wojska polskiego.

Kiedy cesarz Aleksander zjechał z Paryża do St. Denis, aby odbyć rewję, a raczej wziąć w faktyczne posiadanie wojsko reprezentujące Polskę, ubraną jeszcze w nazwę Księstwa Warszawskiego, stanęliśmy w liniach cicho i ponuro. Na prawem skrzydle *Les Chevaux legers lanciers de la Garde Impériale*, o których można było powiedzieć, że ich lzy jeszcze nie oschły — tak jest lzy. Bo wychodząc z Fontainebleau, kilkanaście dni temu, płakano, a gdzieś tam i głośno w szereгах tych weteranów, co od bitwy pod Sommo-Sierra aż do ostatniej pod Paryżem, *sans peur et sans reproche*, utrzymali wobec całego świata sławę polskiego żołnierza. Dalej brygada ułanów pod komendą generała Kurnatowskiego, piechota, artylerya i krakusy pułkownika Dwernickiego. Wielki Książę, stojący na czele, wysunął się menażowym galopkiem na spotkanie cesarza Aleksandra i z wszelką precyzyą zatoczywszy koniem, wręczył mu raport. Na całej linii panowała głucha cisza, a kiedy później generał Krukowiecki krzyknął: Niech żyje cesarz! — słabe tylko obudził echo. Komu tylko prawe serce biło tak pod polskim jak i rosyjskim mundurem, ten musiał bolesnego doznać uczucia, słysząc ten okrzyk, w którym szczerości, Bogu dzięki, być nie mogło. Gdyby był szczery, byłby razem i podły. Zrobiliśmy kilka obrotów. Dwernicki, także nie bardzo *à propos*, kazał obejść oddziałowi swoich krakusów i z okrzykiem natrzeć z tyłu. — Na kogo? — Niby na nieprzyjaciela, ale sztab rosyjski zanadto dobrze jeszcze go udawał, dlatego zdaje mi się, miarkując po twarzach,



JÓZEF DWERNICKI.

że ta niespodzianka nie najlepsze na wszystkich zrobiła wrażenie. Nie jeden może spytał się w myśli: czy to żart, czy prawda? — Nareszcie ten niby napad był za wyraźnem naśladowaniem kozaków i z tego także względu nie na swoim miejscu. Potem było śniadanie u generała Krasieńskiego.

Duch wojska francuskiego a zatem i naszego, tak był różny nawet i we formach objawiania się od rosyjskiego, że kiedy sobie przypomnę to śniadanie, teraz dopiero wystawiam sobie, jakie było cesarza Aleksandra, Wielkiego Księcia i ich świty zadziwienie, a może i skryte oburzenie na to obozowe brat za brat polskiej Wiary.

W niewielkim saloniku kwatery generała Krasieńskiego siedział cesarz przy stole ze swoimi i polskimi generałami. Rozmowa, w której często generał Krukowiecki głos zabierał, zanadto wykraczała z dworskiej etykiety, aby podobać się mogła. Ale co gorzej, w drugim obok pokoju, gdzie bracia szlachta różnych stopni śniadała, nie było przyzwoitej ciszy. Nikt tam nie byłby dostrzegł czolobitnego uszanowania, które nam powinna była narzucić bliskość tak dostojnych osób. Wychylano kieliszki, aby zalewać niemiłe uczucie, co się z serca parło. Za liczbą kieliszków szła i głośniejsza rozmowa, — nareszcie kto chciał stawał we drzwiach i bez ceremonii przypatrywał się i przysłuchiwał, co się działo przy stole cesarskim.

W kilka dni potem Wielki Książę sprowadził kilka pułków jazdy rosyjskiej do St. Denis, — wyraźnie więc dla pokazania tam konsystującemu wojsku polskiemu. Musieliśmy być przytomni manewrom, które miały nam powiedzieć: Patrzcie! to jest wojsko! Nie mogliśmy nie podziwiać postawy żołnierza po tak długiej kampanii, ale nie zmieniliśmy przekonania, że szczątki naszego wojska jako wojsko o wiele wyżej stało. W końcu ostatniej kampanii sam wybór tylko pozostał i nikt pewnie nie widział ułanów tak gwardyi jak i linii odpartych w ataku. Jako świadek bezstronny, a świadek co wiele widział i wiele myślał, mogę śmiało powiedzieć, że dużo, dużo czasu upłynie, nim taki pułk, jakim był pułk ułanów, czyli polskich Lancierów Gwardyi Cesarskiej, — pułk

takich dzielnych żołnierzy, a jeszcze dzielniejszych oficerów i w takich wojnach wyćwiczony, rozwinię swój sztandar w jakimkolwiek kraju. Mogłem być do niego należeć i teraz tem się poszczycić, bo w Dreźnie generał Krasiński ofiarował mi w nim miejsce, ale nie mógłbym być wstąpić jak tylko w stopniu porucznika. Z kapitana na porucznika, acz porucznika gwardyi, zawsze to był krok wsteczny, — dlatego nie przyjąłem i pozostałem w zniechęconym mi sztabie, gdzie mnie Protót dręczył niepotrosze.

Pułkownik Protót, później generał, był na czele oficerów sztabu księcia de Neufchatel. Chudy, mały Francuz zadzierał głowy a przeto i nosa dla nadania sobie większej powagi. Bywał często podobny do pedagoga jakiej wiejskiej szkółki... Ale i my, prawdę mówiąc, zakrawaliśmy czasem na swawolnych a nawet i krnąbrnych studentów. Protót wymagał, aby nie tylko ci co byli na służbie, ale i wszyscy oficerowie otaczali go zawsze w marszu, co było prawie niepodobieństwem. Cesarz jeździł zwykle jak cesarz, to jest jak mu się podobało, konno lub karetą, ale zawsze prędko. Chcąc być zawsze ze służbowymi szwadronami, trzeba było konia nie żałować, konia, który jeszcze tej samej doby mógł być skazany na kilkomiłową wędrówkę. Nie można było także odstępować koni powodnych, bo gdzież ich potem szukać?! W czasie bitwy, albo kiedyśmy się jej spodziewali, byliśmy wszyscy na rozkazy, jakby wszyscy na służbie, ale w marszu zwyczajnym ci co nie byli na służbie, jechali sobie jak im wypadło... naprzód, z tyłu, wolniej, prędzej, byle na czas stanąć na miejscu oznaczonym. Protót tego nie lubił, — kręcił się jak mucha w ukropie, wołał, gniewał się, oskarżał nawet, ale wszystko nadaremnie. Ciężko mu było oficerów liniowych przeistoczyć w nadskakujących sztabowców. Dobrze jednak ten z nas wyszedł, co się do dworowania dał nakłonić. Dwa razy pan Protót podwoił mi czas służby za karę, a to nie była frazka dzień po dniu być na służbie. Zjadł on za to parę milionów polskich dyabłów, ale jak pierwsze nie pomogło, tak drugie nie zaszkodziło.

Książę najczęściej stawał w jednym domu z Cesarzem,

więc jeżeli tylko miejsce dozwalało i nasz salon tam bywał. Zawsze jeden pułkownik, *Adjutant-Commandant*, był na służbie, a pod jego rozkazami dwóch, czterech oficerów sztabowych, czasem i więcej podług spodziewanego ruchu. On oznaczał z listy służbowej, który miał być: *premier à marcher, second, troisième* itd. Kiedy z misją już przedostatniego wyprawiał, wysyłał razem i *Guida* po kilku innych oficerów, dając mu kartkę z nazwiskami powołanych. Oficer, jadący z misją, odbierał rozkaz otwarty, podobnej treści: »Kapitan R... uda się na F...G...N... do B... gdzie zastanie marszałka A... któremu wręczy załączoną ekspedycją«. Najczęściej sam książę oddawał tę ekspedycją, zwłaszcza kiedy potrzeba było jakiego objaśnienia. Czasem powierzano oficerowi wysłanemu treść listu, czasem wyprawiano dwóch i trzech w pół godziny jednego po drugim z ekspedycją jednej treści i w jedno miejsce, co miało znaczyć, że droga nie pewna i że weźmie dyabeł dwóch, a czy trzeci dojedzie? Jeżeli w otwartym rozkazie było wyraźnie, że oficer ma pocztą jechać, wtenczas udawał się on do kasyera, ten zaliczył pieniądze, z których wszakże za powrotem trzeba było się wyrachować, podając rachunek na drukowanej kartce, wręczonej wraz z pieniędzmi. Pocztą można było jechać, albo jednokonnym wózkiem, albo konno (*à franc étrier*). Wózki te pocztowe we Francji na dwóch wysokich kołach, zwą gminnie, ale bardzo właściwie *Tapecul*. W St. Denis w owym czasie kiedy pani Meurt de-froid brodę golila, a Wielki Książę manewrował, karetki utrzymujące komunikację z Paryżem nazywano *Pot de Chambre*. Ci ugrzechnieni Francuzi mają często wyrazy, których my barbarzyńcy nie śmiemy i wymówić. Otóż tych *Tapecul* używaliśmy bardzo rzadko. Raz że strudzonemu trudno nie zatrzymać się czasem, a wtenczas gdyby koń idący między dwoma dyszlami upadł, czego się zawsze po koniu pocztowym spodziewać należy, — można było łatwo sięść na niego, lecz *à la Franconi*, to jest głową na dół. Powtóre, że tylko wtenczas można było puszczać się niemi, kiedy droga była dobra i wolna od maszerującego wojska. Inaczej jechałby kuryer głównego sztabu wielkiej armii jak jeździł czeski student wiedeńskim land-

kuczerem na koncepiście do Lwowa. Zawsze więc prawie jeździło się konno. W początkach kampanii były na pocztach we Francji niezłe konie wierzchowe, zwane *bidets* i z dobrym okulbaczeniem, ale później łaska boska jeżeli znalazło się na stacyi jaką taką niezbyt zmęczoną szkapę z wszystkimi czterema nogami. Postylion jechał naprzód, wytrząskiwał charapem albo jęczał i krzyczał kiedy mu przyszło pędzić jak na złamanie karku dzień czy noc, błoto czy lód.

Pierwszy raz w życiu odbyłem szlichtadę po gołoledzi na koniu okutym bez ocelów przy samem otwarciu kampanii 1814 roku z Châlons do wsi Islettes. Tam to jest owa sławna *position des Islettes*, gdzie nieszczęsny Dillon w pięć tysięcy zatrzymał 1792 r. całą armię księcia Brunszwickiego. Stamtąd dogoniłem sztab w Vitry. Te dwa dni zostaną wiecznie w mojej pamięci, lubo z podobnych nie były ostatnie. Noc ciemna powiększała i niebezpieczeństwo i obawę. Mimo ostrego zimna pot kapał mi z czoła a każde poślizgnięcie się tępych podków, grożące zdruzgotaniem ręki lub nogi, uderzało jakby siłą elektryczną mrozem i gorącym od stóp do głowy, od głowy do stóp. I cóż stąd za zaszczyt, pytałem się nieraz, klnąc służbę sztabową. Linia nie lubi sztabu, zazdrości mu tego dachu, pod którym często nocuje, a nie wie jak on gorzko, bo bez uznania zasługi, opłaca pozorne wygody.

Jeżeli postyliony we Francji, gdzie poczta zwykle szybko jeździ, gdzie i w czasie pokoju podróżować konno nie jest nowością, utyskiwały na nasze szalone wyścigi, cóż dopiero w Niemczech a zwłaszcza w Saksonii. Od dzieciństwa słyszałem zawsze użalania się na niezem nie wrzuszoną flegmę saskich postylionów, dlatego następujące zdarzenie było dla mnie wielce uciesznem.

Posłany byłem do generała Latour Mobourg. Wyjechałem kolasą, jakiej już w naszym kraju pod denominacją *Skarbnika* trudno gdzie znaleźć. Postylion dobrze wykarmiony, w żółtej kurcie, stosowanym kapeluszu, odpowiadając na wszystko: *Schön!* i jeszcze raz *Schön!* usiadł poważnie na koziołku, — lokecie do siebie jakby do *steyera* zaokrąglił, — batożek na bok spuścił, — klasnął językiem i ruszył wolnym trucheikiem.

Zadziwilo go, gdym mu kazal pędzej jechać, a jeszcze więcej gdy zniecierpliwiony jego nieposłuszeństwem dałem mu do zrozumienia, aby robił co każe, bo jego grzbiet blisko, a moje buty kończaste. Zamruczał i mruzczał ciągle, ale jechał żwawo. Pod wieczór przyjeżdżamy do miasteczka gdzie spodziewałem się zastać generała, ale zastałem tylko oficera, który mi oświadczył, że forpoczty swoje w ten moment ściągają na tę stronę miasta. Bliskość niespodziana nieprzyjaciela nie dozwalała mi podróżować kolasą, tembardziej że trakt trzeba było opuścić i od wsi do wsi szukać tego, którego tu nie zastałem. Kazałem więc wyprządz konie, na jednego włożyć kulbakę, którą przezorny Niemiec miał w kolasie, — na drógięgo zaś wsiąść oklep Jego postylionskiej Mości — i ruszyłem żwawo w stronę mi wskazaną. Póki jeszcze było dnia trochę, szło jako tako, ale wkrótce nadeszła noc ciemna a z nią i wieher w same oczy.



ROMAN SOLTYK.

Wtenczas mój postylion zaczął powoli i z cicha, a potem coraz pędzej i coraz głośniej jęczeć i zapewne wzywać wszystkich świętych przez dzwoniące zęby. Prawdę mówiąc nasze obie szkapki, wyniesione niespodzianie i bez najmniejszej kiedybydź oświadczonej z ich strony pretensyi, na wierzchowców, trzęsły bez litości, jak gdyby chciały nas przekonać o niedorzeczności postępków naszego. Niejeden z naszych generałów był takim improwizowanym wierzchowcem, — trząsał kaducznie, nareszcie potknął się i upadł. Nie tu wszakże koniec cierpień mojego towarzysza kurjerowskiej pogoni. Zaczęły go wkrótce straszyć coraz częstsze: *Qui vive!* — których w szumie wiatru nie zawsze odrazu można było dosłyszeć. Wiedział on zapewne czem pachnie koniec

pistoletu straży obozowej, bo usłyszawszy parę razy, że odpowiedziałem: *France!* — krzyczał potem ciągle: *Franz! Franz!* czy się kto pytał, czy nie pytał. Nazajutrz wracaliśmy już powoli i w najlepszej komitywie. Ledwie jednak nie płakał, poprawiając się na *Schimlu* z boczka na boczek, że taka plaga w analach saskich poczt nie zapisana, na niego nieszczęsnego paść musiała.

Czasem udało się odbyć dobę służby na miejscu, ale czasem wróciwszy z misyi wcześniej, trzeba było i raz drugi ruszyć w drogę. I lubo przysłowie mówi: *bis repetita placet*, my nie byliśmy tego zdania, dlatego wracając zwłaszcza w nocy, a mając ustne jakieś zlecenie, choćby najmniejszej wagi, staraliśmy się mówić z samym księciem. Obudzony podniósł głowę kolorowym fularem obwiązaną, wysłuchał, potem zwykł mówić: *C'est bien, — allez Vous reposer.* Ten rozkaz oznajmiwszy pułkownikowi służbowemu, wypełniło się zawsze z największym pośpiechem i wzorową akuratnością.

Z miast *Troyes*, które nie wiem czy po polsku można nazwać *Troją*, byłem wysłany do generała *France*. Zostałem go na probostwie. Gdy oddałem ekspedycję i powiedziałem co miałem powiedzieć, napiłem się wina i usiadłem przy kominku. Wtenczas proboszcz staruszek odezwał się do mnie: *Acian Dobrodzi jesteś Polak?* — Gdyby to nie z księdza, byłbym myślał, że dyabeł z niego przemówił. Z dalszej rozmowy po polsku dowiedziałem się, że jako emigrant, kilka lat przepędził, nie pamiętam w czyim domu. w *Poznańskim*. Spytałem go się, czy na takiej ustroni nie lęka się rabunku kozaków? Z uśmiechem odpowiedział mi: *Nie boję się kozaków, ja się z nimi rozmówię.* — *Francuz zawsze Francuzem,* — że umiał kilka słów po polsku, zdawało mu się, że całą *Słowiańszczyznę* ma w kieszeni. Wkrótce byłem znowu w tej wiosce — z probostwa tylko dwa kominy stały. Nie wiem dlaczego kozaków wystawiają jako uosobistnienie rabunku. Bardzo mylnie mojem zdaniem. Kozak bierze tylko to, co mu się zdać może. *Francuzi* więcej jeszcze niszczą, niż biorą lub brać lubią. W domach tłuką co mogą. W stodołach ogień zakładają. Gdzie łan zboża wjeżdżają w środek, — więcej wytłuką niż spasą, nie-

pamiętni, że może za parę godzin ich własne wojsko furazę tam szukać będzie. Prusak znieważa osoby, jak tylko może to bezkarnie uczynić, — zemsta w nim góruje. Prusacy są ludziami, o których mówią: *qu'ils crachent sur le cadavre*. Byłem w niewoli u Rosyan i to w chwili, gdy do zemsty nie mało mieli powodów. Moskwa spalona, część kraju w puszcę zamieniona — a wyjąwszy pierwszego zetknięcia się, na złe, ubliżające obchodzenie żalić się nie mogę. Słowianie pastwić się nie umiały, nie znają nieprzyjaciela jak tylko z bronią w rękę. Kozacy, zwłaszcza starsi, obdarłszy pierwej, to się rozumie, i przeciągnawszy raz nahajem, byli potem dla jeńców z tem poszanowaniem, jakiego nieszczęście głośno się domaga a którego Niemcy zupełnie nie rozumiały, Kozak uderzył i dwa razy nahajem, jeżeli zdobycz nie odpowiedziała jego nadziei. — Co ty za oficer kiedy nie masz zegarka! — Ale bili bez litości, jeżeli przy wziętym w niewolę znaleźli co z cerkiewnych rzeczy.

W kilkanaście dni po mojej rozmowie z proboszczem, znowu w Troyes, kiedyśmy aż z pod Bar-sur-Ornain forsownym marszem zwracali się ku Paryżowi, wszedłem do salonu służbowego, zrobiwszy jednym ciągiem mil dwanaście. Ledwie rozciągnąłem się i to, proszę wierzyć, nie na materacu, pułkownik zawołał: *Premier Officier à marcher!* — a nim był pan Fredro. Zerwał się więc pan Fredro, wszedł do drugiego pokoju i stanął przed księciem, Księżę, trzymając list w rękę, spojrzał na mnie i odezwał się jeszcze więcej przez nos, niż kiedykolwiek: *Comment, Vous n'avez pas encore le ruban rouge?* — *Non Monseigneur.* — *C'est la seconde campagne, que je fais à l'Etat Major de Votre Altesse etc. etc... Eh bien je Vous la donne à présent,* rzekł, i zaczął dawać mi objaśnienia, gdzie, jak i do kogo mam jechać. Uradowany nie miałem przytomności zapytać się, czy mogę krzyż nosić, albo do kogo mam się udać, — później nie śmiałem się naprzykrzać, aż dopiero dany krzyż w Troyes, otrzymałem w Fontainebleau. Jeszcze w pułku a powtórnie w Moguncyi po bitwie pod Hannau byłem do tego krzyża podany. O! źle wychodzi, kto się nie przypomina i nie upomina.



ANDRZEJ NIEGOLEWSKI.

W głównej kwaterze były zawsze dwa stoły, — stół *des grands officiers*, to jest sztabu i dworu cesarskiego i stół księcia de Neufchatel. Do tego ci z nas siadali, którzy byli na służbie, szef sztabu, adjutanci, sekretarze i przybyli oficerowie w interesie do sztabu. Sam książę jadł zawsze z cesarzem. Nie wszyscy i marszałkowie siadali do stołu ze swoim sztabem, ale ich adjutanci robili honory i przyjmowali nas zawsze uprzejmie i gościnnie. Nie jedną dobrą chwilę mogę wspomnieć na tych mimowolnych odwiedzinach i nieproszonych obiadach. Przed samem rozpoczęciem kampanii jadę z Châlons do Brienne, — zimno, gruda, noc nastaje, klęę po polsku i po francusku, a nawet podobno i po węgiersku, nareszcie przy-

bywam i wręczam ekspedycję marszałkowi Mortier. Stół długi, dobrze oświetlony, zupa już rozdana, sam czas. Marszałek przeczytawszy, siada do stołu; na jego zapraszające skinienie ruszyliśmy się wszyscy, każdy chwycił za najbliższe krzesło i wgnieniu oka stół został jakby opasany wieńcem epolet, achselbandów, faworytów i wąsów. Milczenie spadło na towarzystwo, przerywała je tylko łyżka, co jak wiosło gondoliera na weneckich lagunach, głaskała z lekkim pluśnięciem kurzącą się zupę. Gdzieniedzie zaszumiało studzące dmuchanie — albo i mniej przyzwoite głośnie wciąganie pożywnego płynu. Złe na świecie zdaje się być potrzebnem, ażeby wartość dobra zrobić człowiekowi wydatniejszą. Cóż byłby ten talerz cienkiego rosolu nalanego na bułkę grubo pokrajaną, gdyby nie wiatr co mnie ziębił dzień cały, gdyby nie gruda co mi wszystkie zasoby wytrzęsła. Bądź co bądź ta czy owa przyczyna, — zupa zniknęła, jak zniknęła poprzedzająca para. Nalano szklanki, postawiono *les boudins et le gigot de mouton aux haricots* (potrawy sine qua non) i rozmowa wzmagać się zaczęła. Marszałek był w dobrym humorze, kazał dać szampana. Korek puknął z powszechnem zadowoleniem obecnych. Dowcip się roił, śmiech nie ustawał. Ja nawet zapomniałem, że wózek pocztowy czeka przed domem, że na nim resztkę nocy będę mój obiad trawił, mój los roztrząsał, mój sen wojował.

Nie wiele czasu upłynęło od tej poczty w Brienne a inni tam znowu znaleźli się goście i inaczej byli częstowani. Potentaty ekskomptowali weksle, które po odtrąceniu namiętności i miłości własnej nie wiele podobno korzyści światu przyniosły. Mógłbym wam, moi państwo, obszernie opowiedzieć bitwę pod Brienne, ale sumiennie wolę was odesłać do dzieła pana Thiers, — lepiej bez wątpienia na tem wyjdziecie. Muszę bowiem przy tej sposobności ostrzedz, że jeżeli jaki oficer subaltern zdaje sprawę z ogólnego ruchu jakiej batalii, jako naoczny świadek i sędzia, ten kłamie niezawodnie; — bo albo powiada to, co później z raportów wyczytał, albo też powtarza to, co mu się udało w górze zasłyszeć. Oficer subaltern liniowy może tylko widzieć co się dzieje przed nim i na jego często

bardzo ciasnym horyzoncie. Oficer nawet sztabowy, który z rozkazami przebiega pole boju w różnym kierunku, nie znając pierwotnej pozycyi i szyku, o szczególnych tylko zdarzeniach może otrzymać własne naoczne przekonanie. Niech mi wolno jeszcze będzie wspomnieć, że nie jeden z szanownych agronomów słuchając o batalii, wystawia ją sobie najczęściej ściśniętą jakby na dziedzińcu, albo na pastwisku za sadem. Zdaje mu się, że zawsze być musi jakiś punkt, z którego całą bitwę przejrzeć można, dla czegożby i Onufry, stojąc na takim punkcie, nie miał powiedzieć, co się działo. Ale jeżeli uwierzy, że linia bojowa czasem i na milę i więcej się rozciąga, wtenczas już wątpić nie będzie, że ten kłamie co opisuje batalię podług tego, co niby sam widział i sam doświadczył.

Słuchacie mnie a ja plecę trzy po trzy, zwyczajnie jak stary, ale jednak nie będę wam dzisiaj powtarzał co wczoraj wyczytałem. Nie chcę także wyliczać wam wszystkie moje utarczki, ataki i odwroty — cięcia w prawo i w lewo, na koniu i pod koniem, muszę jednak wspomnieć dziwne jakby przeznaczenie, że z czterech razy, w których o ile sobie przypomnieć mogę, śmierć najbliżej mi w oczy zaglądała, rozumie się od kuli armatniej, bo karabinowych któż spamięta co brzęczą, gwizdzą, szumią jak chrząszcze na wiosnę, że z czterech razy, mówię, wszystkie miały miejsce nie dalej jak pięćdziesiąt kroków od Napoleona — a jednak w kampaniach 812, 813 i 814 na kulach, granatach, kartaczach nie zbywało wcale.

Pierwszy raz było to 16-go pod Lipskiem. Pędzącemu od marszałka Marmonta, generał Bertrand, jak wspomniałem, dał mi ustne zlecenie. Zastaję Cesarza chodzącego z w tył założonemi rękoma; opodal za nim stał batalion młodej gwardyi, trochę dalej na prawo służbowe szwadrony. Zbliżyłem się do niego i powiedziałem, że mam rozkaz donieść mu, że czoło kolumny czwartego korpusu wchodzi do Lipska. — Czwartego? — więcej powtórzył niż zapytał. — *Oui, Sire, du quatrième corps.* Chciałbym był przeciągnąć rozmowę, ale nie było podobieństwa, tem więcej że Najjaśniejszy Pan raczył od-

wrócić się odemnie. Wracalem więc do konia, którego puściłem za frontem wspomnianego batalionu, ale zaledwie obszedłem lewe skrzydło, kula armatnia kładzie trupem dwóch żołnierzy. Tak jak stali za sobą w drugim i trzecim szeregu padli na wznak. Jeden krok dalej a byłbym trzecim.

Następnego dnia staliśmy w miejscu. 18-go byłem znowu na służbie. Posłano mnie uwiadomić króla Neapolitańskiego, że brygada młodej gwardyi wzmocniła księcia Poniatowskiego. No, już to wyznać muszę szczerze, że kto w czasie boju szukał Murata, temu zimno być nie mogło. Ten człowiek lał w ogień i szukał guza *con amore*. Przejechałem poza front artyleryi konnej gwardyi i jeszcze jakiejś drugiej bateryi; z pół godziny stałem przy królu, kul tam więc różnego rodzaju nie brakło, a jednak dopiero minawszy Cesarza, stojącego koło wiatraku, i zwracając konia ku memu bratu Sewerynowi, który komenderował służbowymi szwadronami, mało co nie beknąłem. Kula armatnia obrzuciła mnie błotem. Od tego wiatraku do bateryi gwardyi, od której dopiero co byłem wrócił, był pewnie dobry wystrzał armatni; jakąż więc ogromną przestrzeń, ledwie do uwierzenia, kula ta przelecieć musiała, aby ze trzydzieści kroków za Napoleonem, pana Fredrę tylko co nie sprzątnąć. Wyraźnie nie służyło mi sąsiedztwo Wielkiego Człowieka.

22-go we Frejbergu, gdzie, mówiąc nawiasem, wsadziliśmy z Milbergiem na konia rannego generała Klickiego i z ciężką biedą przeprowadzili przez ciżbę zatarasowany most, co nieraz potem z wdzięcznością wspominał — we Frejbergu więc przeszedłszy *Unstrutt*, cesarz zatrzymał się na małej polance, co od lasu ciągnęła się pochyło na prawo aż w dół do rzeki, zatrzymał się i przez perspektywę obserwował nieprzyjaciela, który nas z boku kanonował, z boku, z prawej strony dyrekeyi naszego marszu. Nie byłem bardzo spokojny postrzegłszy, że mój brat Seweryn ruszył ze swoim szwadronem służbowym za linię bojową. Góra poprzecinana winnicami, obsadzona na szczycie artyleryą, niżej piechotą, nie obiecywała zwycięstwa kawaleryi. Mówiono wtenczas, że był wysłany dla dostania języka i w samej rzeczy po kilkugodzinnej pukaninie

przywiózł kilku jeńców. Zdaje, się że Cesarz był poznany, bo kule zaczęły gęsto padać koło niego, a kiedy zwrócił konia na lewo i jechał powoli, my stojący pod lasem uczyniliśmy to samo. Między drożyną po pod las a polem, była spadzistość niby wysoka miedza: pod tę więc miedzę w pół mego konia pada granat i zaraz pęka. Wiadomo każdemu, że granat padłszy, zakręciwszy się mniej więcej podskakuje i pryska promieniami w górę. Dlatego artylerzyści kładą się jak padnie blisko, dlatego im kto wyżej stoi, tem gorzej. W pozycyi więc mojej ówczesnej nie dziesięć, ale sto przeciw jednemu, powinienem był ja albo mój koń zginąć. A jednak, ani jedno, ani drugie.



STANISŁAW KLICKI.

O! los, Panie, to figlarz, nie można nigdy na niego rachować. Kilka chwil minęło nim uwierzyłem, że jestem nie mówię żywy, ale cały. To był raz trzeci, a nareszcie czwarty, kiedy pod Hanau straciłem moją klacz bułaną. Cesarz wtedy był się zwrócił i jechał ku mnie, a minął mnie nim mantelzak odpiąłem. Wyraźnie, wyraźnie sąsiedztwo Napoleona nie służyło mi wcale.

Kiedy po skończonych wojnach wróciłem w domowe zacisze, wielu, wielu razami uderzone serce, serce zakrwawione, zbolełe nie dozwalało pamięci rozpowiadać zdarzeń z onego czasu, w którym morze nadziei a sławy kropelka czyniły życie istotnem życiem duszy, — czyniły nas ogniwem, aczkolwiek drobniejszem niż myśl sobie wystawić może, ale jednak ogniwem łańcucha, który wzruszał zardzewiałe zapory świata. Nie raz w rodzinnem kole stokratne zapytania zbywałem krótką odpowiedzią. Chciałem jakby zamknąć już zapisaną pierwszą księgę mojej przeszłości, a zwracać tylko całą uwagę na tę drugą, co mi jeszcze białemi błyszczała stronnicami. Przeciwnie

zupełnie się dzieje po wielu upłynionych latach. Białych stronnic nie dużo, a zapisane ciągną ku sobie. W podróży życia bywa jak i w każdej innej podróży. Póki idzie się rażno, ochoczo, póty rzuca się okiem tylko przed siebie. Każdy przedmiot jest celem nowej dążności, zaledwie się go dojdzie, szuka się drugiego i tak dalej, dalej... *Naprzód* hasłem wędrowca. Ale kiedy siły osłabną, kiedy wyszedłszy na wzgórek odetchnąć trzeba...



GRANAT.

otrzeć znojone czoło, wtedy zwraca się oko na przestrzeń, którą już się przebyło. Odległość przed nami, mierzymy podług tej co za nami. A owe cieniste gaje, wonne łąki, srebrzyste potoki, których nie uważaliśmy w naszym biegu, jakże są piękne jak lube w pamięci naszej wtenczas, kiedy droga coraz ostrzejsza, wiatr coraz chłodniejszy, niebo coraz ciemniejsze. Teraz, zasiadłszy przy kominku, chętnie gwarzę o Cesarzu Napoleonie. Młode pokolenie słucha jak o Stefanie Batorym albo Janie So-

bieskim, bo przeszłość, której pamięć nie sięga, wąskie ma przedziały, stulecia ledwie czasem komat dzieli. *Alles zer-schmilzt in grosse Massen*. Słuchają mnie młodzi, a ja gawędzę i pierwej drugich, niż siebie utrudzę. Nieraz kiedy wracam z polowania, a dojmujące zimno jesienne i dym ścielący się z kartoflanej naci, biwak przypomni, — zdaje mi się, że mam jeszcze pałasz przy boku, depeszę w zanadrzu. Mimowoli wy-ciągam szyję i śledzę okiem, czy droga wolna. Wtenczas wła-dza wspomnienia samą nawet dolegliwość nietylko znośną, ale i przyjemną robi. Może w części i dlatego, że myślę sobie: Jeszcze to zdołam, com zdołał przed laty trzydziestu. Najmil-sze jednak budzi wspomnienie obiad późny, myśliwski. Wszystko jak dawniej, tylko że zamiast marszałka siedzi żona, zamiast oficerów sąsiedzi. Gwar jak tam, tak i tu, ale jeżeli mowa o strzałach, to z dubeltówki, jeżeli o zabitych to o lisach i za-jącach. A co najlepsze, że na koniec zamiast wózka pocztowego, czeka dobre łóżko, łóżko, którego wartość uczyłem się oceniać i za wcześniej i za długo.

Nie wszystko jednak w przeszłości da się wspomnieć z przyjemnością a nawet i obojętnie. Bolesnem jest wspom-nienie nieszczęścia, nie tego, co nas jak rozburzona fala po-rywa, skręca i o skałę uderza (myśl przebytego niebezpieczeń-stwa staje się poniekąd pociechą), ale nieszczęścia, co jak sto-jąca, zatechła, zielona woda kałuży, podtapia powoli. A takim nieszczęściem jest niewola, — to nagle strącenie z wyższego sta-nowiska, — to zerwanie nadziei, — to upokorzenie, — to na-reszcie położenie nowe, nieznanne, nieprzeczone. Nie pierwsze to chwile niewoli wojennej, aczkolwiek najniebezpieczniejsze bywają najprzykrzejszemi. Jeżeli w pojedynczej walce zosta-łem pokonany, zwycięzca staje się moim opiekunem. Jeżeli w szeregu z innymi byłem przemocną siłą ujęty, jestem zawsze samym sobą — jestem wojskiem, któremu tylko broni nie staje, nareszcie mam z żołnierzem do czynienia, a to wiele znaczy. Ale kiedy zapędzony gdzie w głąb obcego kraju, od-dany dowolności lada urzędnictwa, zmuszony jestem przy-jmować kawałek chleba rzucony jak jałmużnę nawet od tych, którymi gardzę — albo jeżeli w długim przeciągu czasu starła

się wszelka powierzchowna cecha wojskowości, a dziwaczny jaki tandetny strój zbiedzoną okryje postać. O! wtenczas je-
niec wojenny staje się niewolnikiem. Tego doświadczyłem
w Wilnie, tego niejeden z wojska polskiego doświadczył 1831 r.
w Galicyi, tego, niestety, doświadcza jeszcze po największej
części emigracya nasza we Francyi.

Jeżelim wyszedł z wilgotnego pomieszkania gdzie przez
całą noc szczury skakały mi po głowie, — jeżelim wstał od
stołu, gdzie się pożywiłem ze wstrętem prawie — jeżeli mam
na sobie jaką starą kapotę, nie w mój stan skrojoną i buty,
które zwycięzca nie uznał za godne zająć miejsca w snopku
swoich wawrzynów — jeżeli więc w takich okolicznościach
wejdę w progi domu, gdzie może niedawno w świetnym mun-
durze, w odbłasku zwycięskiej broni, ufny w niejakie zalety,
co mnie nad poziom społeczeństwa nieco wznosiły, gościłem, —
już tam teraz tem nie jestem czem byłem. I ten co mnie tam
przyjmuje, mój równy w każdym względzie, nie jest już dla
mnie tem, czem był. Wstaje z krzesła, w którego miękkich
ramionach czytał romans nowy i po krótkiej gonitwie za szar-
lotem, co przy kominku wygrzany, rozgniewał się na figurę,
która przyniosła z sobą trochę zimnego powietrza, bo przy-
szła piechotą, w mróz, bez płaszcza. I po krótkiej mówie gon-
nitwie, wita mnie serdecznie, sadza na sofie, której poduszki
zagięły się więcej niż zwykle pod dotknięciem egzotycznej
kapoty. Sam podaje cygaro, sam nawet zapala, ale on już nie
jest dla mnie tem, czem był dawniej. Jego dobre, najlepsze
chęci przybierają niejako *vernix* opiekuńczej wyższości. W jego
zdaniu jest jakaś oględność, w żartach wstrzemięźliwość,
w grzeczności zbytek. Ja to czuję i coraz więcej cofam się
w siebie jak ślimak w swoją skorupę za pierwszym dotknię-
ciem. Rozmowa między nami idzie na szczydlach. Obydwom
nam ciasno, bo jakaś, że się tak wyrażę, obcość zaległa naj-
większą część przestworza. Nakoniec uściskawszy się po przy-
jacielsku, rozstajemy się i wolniej oddychamy, on w gabinecie,
ja na schodach. Odzież, wydatna część powierzchowności, po-
ciąga gwałtem do stosowniejszego sobie świata, jeżeli w dół,
to w dole, w obcym żywiole władze umysłowe drętwieją po-



SPOTKANIE PODPUŁK. MAKSYMIL. I KAPITANA ADJUT.-MAJORA ALEKS. FREDRO
Z RANNYM PODPUŁK. ARTUREM HR. POTOCKIM DNIA 5-GO WRZEŚNIA 1812 R.



woli. Doświadczyłem tego na małą skalę, ale zdaje mi się, że nędza, a do tego w niewoli, jest rdzą zjadliwą, która najczystszą stal koniec końców zeżreć musi.

Los jeńców wojennych za Niemnem w 1812 r. był wyjątkowym. Niewola nie była internowaniem rozbrojonych, ale była nędzą głodu, zimna i choroby posuniętą, szczególnie w Wilnie, do najokropniejszej ostateczności. Tam odegrała się ostatnia scena długiego i bezprzykładnego dramatu.

Zaczawszy od Mało-Jarosławca aż do Berezyny odwrót nasz był odwrotem wojska, otoczonego wprawdzie zbytnią masą pociągów, rannych i *trainerów*, ale ta niesforna masa acz zatrzymywana, spierająca się, nawet tratująca się w każdym ciaśniejszem przejściu, miała jednak przed sobą długą, wolną przestrzeń, którą upływała powoli. Ale Berezyna wszystko to skoncentrowała co się na cztery, sześć a może i więcej mil szczegółowo rozciągało. Od Berezyny ku Wilnu coraz bardziej szeregi szepuły, a liczba bezbronnych, samopas idących wzrastała. Na kilka mil długa ciągnęła się czarna wstęga po śnieżnej przestrzeni. Nie było może tyle spierania się na mostach, jak z tamtej strony Smoleńska, bo ubyłoby wiele artylerji, wozów i wózków, ale za to widziałeś kilkadziesiąt tysięcy ludzi nie chcących, nie mogących już innego pojmować wroga, jak głód i zimno. Zimno wzrastające do dwudziestu stopni nie tylko wytrącało z ręki karabin, ale uderzało już przedśmiertnym uderzeniem. Nietylko bowiem trzeba było cały dzień maszerować w mundurze okrytym surdudem bez podszewki, ale trzeba było gdzieś i spocząć, zdrzymać się, choćby na chwilę. Biada tym, co za wiele zaufali zaświeconemu ognisku. Ogień często gasł, a z nim i życie. Okropnie tam było okropnie, moi Państwo! Widziałem padających pod koła, a nikt nie pomyślał, aby koła zatrzymać, — łamiących lody, tłukących się w otwartych toniach, a nikt ręki nie podał. Widziałem konie gryzące z bólu skamieniałą ziemię, którym jakiś Szylok nowy wykroił z uda parę funtów mięsa, — skąpił jednego uderzenia nożem i to właśnie wtenczas, kiedy dobrodziejstwem było. Widziałem jak uporeczywie broniono przystępu do ognia, nie temu, co wpół zmarznięty chciał ogrzać się na chwilę...

to się rozumie samo przez się... ogień tam był życiem... życiem nikt się nie dzieli, ale broniono żebrzącemu odrobinę płomienia, któryby swoją słomą przeniósł do własnego barłogu. Niejeden na oświeconym tylko śniegu wlepił oczy w ciepło, do którego nie śmiał się zbliżyć, a poranek zastał go bryłą lodu. Widziałem rannych rzuconych na drogę, bo zdrowszy, silniejszy zapragnął jego szkapy i powózki. Widziałem jeńców strzelanych, jeżeli który osłabł i dalej iść nie mógł. Widziałem budynki podpalone ze złości i zawiści, że inni w nich pierwej znaleźli przytułek. Widziałem... tak widziałem siebie, kiedy kolega, niby przyjaciel przedał futro ze mnie, które mi był pożyczył, bo ich dwa zdobył w Moskwie. I ja głupi myślałem, że cudze oddać trzeba, nie napiętnowałem go przynajmniej hańbą, zmuszając, aby mnie własną obnażył ręką. I teraz nie rzucę jego nazwiska wzgardzie pocziwych ludzi. Nie był zły. Nie wiedział co czyni. Umarł — niech mu Bóg przebaczy, jak ja mu przebaczam — *jak przebaczam z duszy sercã i innym, co mnie odstąpili w ciężkiej potrzebie.*

Gdyby ta ogromna masa ludu, bo nie powiem wojska, nie była w swojej drodze trafiła na rozległe miasto, byłaby przynajmniej w połowie przeszła Niemen, a z tej połowy byłaby może odżyła połowa. Ale wszedłszy do Wilna każdy cisnął się w ogrzane izby, zgłodniały napychał żołądek, a co gorzej zanadto trunkiem się zasilał. Ci ludzie z rozmarznieniem swoim, że się tak wyrażę, stracili resztę sił swoich. Co się działo w Wilnie w pierwszych kilku tygodniach po 10-ym grudnia 1812-go roku, łatwiej powiedzieć niż uwierzyć, a i powiedzieć trudno.

Jeney, spędzeni po największej części do pustych gmachów, marzli dziesiątkami. Mówią, ale ja tego nie widziałem, że przy każdym rozdawaniu żywności, to jest rzucaniu w ciżbę trochę sucharów, kilku zduszonych zawsze bywało — trupy wyrzucano przez okna, czasem jeszcze nie doduszone. Szczególnie w jednym klasztorze okrucieństwo miało być bez granic. Ku wiosnie stos trupów sięgał pierwszego piętra. Żydzi wyszczególniali się srogością, właściwą tylko tchórzom i podłym, wyrzucali chorych na ulicę, albo ich zabijali bez wielkiego

zachodu, jeżeli spodziewali się jakiej zdobyczy w pieniądzech lub w jakim kosztowniejszym mundurze. Wpół martwe, po-czerniałe mumie snuły się po ulicach od domu do domu — obdarzane czasem kawałkiem chleba, ale najczęściej wytrą-



NĘDZA FRANCUZÓW W R. 1812, WSPIERANA OD ZGROMADZENIA
SS. MIŁOSIĘRZDZIA W WILNIE.

cane bez litości... bo też prawdę mówiąc, każdy swego mie-
szkania bronić musiał — ale niejednen z żebrzących za gwał-
townie pchnięty padał i konał u progu. Do tego wkrótce tyfus
zaczął wielką śmiertelność szerzyć i pomiędzy mieszkańcami —
palono gnoje po ulicach — a z dymem zdawało się każdemu,

że polyka cząstki zarazy. Nie było kupy śniegu, lub stosu śmieci, żeby z niej nie sterczały nogi lub ręce — umundurowane — nikt już i nie obdzierał. Po wąskich ulicach (zaułkami w Wilnie zwanych), przez całą zimę można było widzieć po kilku trupów o ścianę opartych, którym szyderstwo nie szczydziło różnych dodatków. Ten miał wiecheć, niby bukiet, ten w ręku drag, niby karabin, a tamten w zębach przelamany patyk, niby fajkę. Stali jak na targach w zimie stoi zamarzła zwierzyna. Na wiosnę dopiero zbierano i wywożono trupy drabiniastymi wozami. Mówiono, co mi się zdaje przesadzonym, że w samej gubernii wileńskiej pochowano czterdzieści tysięcy.

La vengeance est un morceau de roi, mówią Francuzi. Trzeba przyznać, że spory jej kawał miała Rosya w 1812 r. Ale go też drogo okupiła. Dziwna rzecz, że po skończonych wojnach więcej było chępliwości i przechwałek i tryumfatorskiej fomy w niemieckim niż w rosyjskim wojsku. Austria zerwała przymierze, — dobrze, wydała wojnę — dobrze. Ale inne państwa niemieckie podle, skrytobójczo zdradzały. Zdrada stała się ich siłą i zaletą. Sasy nietylko, że odstępują śród boju, ale i zwracają broń na ufnych w rycerskie słowo wczorajszych swoich towarzyszy. Bawarya ledwie jeszcze nie podlej. Pod Lipskiem szło jeszcze o pokonanie wroga, w bliskości Renu już on był wpół pokonany. Zastąpienie więc drogi pod Hanau można nazwać: *Le coup de pied de l'âne*. Szczęściem, że w zapędzie padło bydłę, padło splugawione, a po nim przeszło wojsko wierne sztandarom, których bronić przysięgło.

Spodziewacie się może, że wam teraz powiem coś o sobie — ale nie, to przechodzi moje siły. Węzeł splątany z tysiąca nitki cierpienia i boleści rośnie, rośnie przedemną, jak widmo maligny, ile razy chcę wątek uchwycić — każde szarpięcie boli aż w sercu. I na cóż zresztą tych wspomnień? Strumyk zamącony przy źródle, płynie mętny aż do ujścia w inny strumień, w inne życie.

Wspomnieć tylko muszę, że dużo dobrych ludzi znalazłem w Wilnie. Wspomnienia moje składam jak wianki na ich

grobach — grobach, bo o wiele byli starsi ode mnie. Wspomnę ich w porządku chronologicznym moich z nimi stosunków.

Właściciel traktyerni S.... (ledwie czasem pierwszą literę nazwisk zapamiętam) ofiarował mi stół bezpłatnie. Nie nadużywałem, Bóg widzi, nieograniczonego kredytu do jego kuchni. Gorzki chleb łaski.

Doktor M.... dźwignął mnie z ciężkiej choroby. Mówił, że lekarstwa nie kosztują, bo doktorom aptekarze darmo je dają. Tak kłamać wolno. Szczęściem, że z takiego kłamstwa serce umie wybrać zdrowe ziarno.

Prezes Łapa zbierał składki i ubrał wszystkich Polaków będących w niewoli w Wilnie.

Jędrzej Szumlański, który jechał za armią rosyjską, podobno jako urzędnik administracyi, przysłał potem po mnie powóz aż z Czarnokoniec z Tarnopolskiego Obwodu. Nie mogę przypomnieć sobie, dlaczego nie korzystałem wtenczas z podanej i łatwej sposobności ujęcia z niewoli.

Głowiński czy Gołowiński, dymisyonowany generał rosyjski, był długi czas opiekunem moim. Umieścił mnie w lazarecie Sióstr Miłosierdzia przy ulicy Sawiecz. A te Siostry pocziwie! Antoninę i Elżbietę dobrze pamiętam, dziśbym jeszcze poznał, gdyby można cofnąć się w czas ubiegły. Bóg z Wami, anioły cichego poświęcenia się cierpiącej ludzkości!

Michał Mineyko, który mnie pokochał miłością ojcowską. Ileż dowodów troskliwej przyjaźni nie otrzymałem od niego. On skłonił mnie do ucieczki i wyprawił mnie z Wincentym Makomaskim, kapitanem 6-go pułku piechoty, do swojej majątności nad Niemnem. Dał mi na drogę zegarek srebrny. Ceniłem go jak relikwię, ale służący w Bautzen zatracił. Miał



MICHAŁ MINEYKO.

Mineyko wówczas dziesięcioletniego syna. Może kiedyś do niego dojdzie mój głos wdzięczności. Do ojca pisałem później, dowiadywałem się o niego, ale nigdy żadnej nie otrzymałem wiadomości. }

W mojej zaś ucieczce z niewoli na Augustów, Siedlce, Puławy, Tarnogród do Galicyi, wśród zamieci, nowych cierpień i niebezpieczeństw, świeci mi tylko jedna gwiazdka. Godny, poczciwy, gościnny szambelan Kujawski, obywatel pod Augustowem. Ach, Polak też to był z duszą i ciałem — polskim był i jego dom, jakich już teraz rzadko widzieć. Dom, o którym Pol tak cudnie powiada, że się zdawały rozszerzać w miarę przybywających gości. Cały tydzień tam wypoczywałem, tam rozstałem się z Makomaskim, któremu jako ranemu odstąpiłem miejsca w powozie czy za powozem, bo przybrał tytuł kucharza pułkownika B.... jadącego do Warszawy, gdzie i szczęśliwie zajechał. Ja zaś puściłem się już sam w dalszą podróż... Dajmy temu pokój... Ósmego lipca przebyłem granicę — kląkłem, ucałowałem ziemię, na której poczułem się wolnym. Wolnym!... to jest oswobodzonym z więzów niewoli. Wędrując w sukmanie granatowej i słomianym kapeluszu, spotkałem w Przemyślu Ignacego Konarskiego, przyjaciela z lat dziecińczych... Ale kogo wspomnę, już nie żyje... O! chodźmy spać — Dobranoc. }

Byliśmy podobno wczoraj w Montereau. W Montereau więc, a raczej na dziedzińcu pałacu Surville, uwiązawszy konia, wszedłem, sam nie wiem po co, przez jakąś bramę do jakiegoś parku czyli sadu, gdzie zgromadzono jeńców, po największej części Austryaków. Od czasu jak doświadczyłem co to niewola, został w mojem sercu udział dla tych, których później zdarzyło mi się spotkać w podobnem położeniu. Pieniądzy nie niewałem, aby niemi wesprzeć, ale kawał chleba, łyk z flaszki, a czasem tylko i dobre słowo, którego wartość ten tylko cenić może, co je kiedyś otrzymał, niosłem zawsze tym, których los zdradził. Egoizm Francuzów nie dozwala im czynnego udziału. Żaden nigdy nie znieważy jeńca, ale gotów dać mu umrzeć z głodu. Polacy jedni posuwają dawną szlachetność rycerską ledwie nie do zbytku. W ostatniem naszym powstaniu naro-

dowem, pamiętano nieraz kosztem własnego wojska o zwyciężonym nieprzyjacielu. Dla Polaka zwyciężony i bezbronny jest świętą, nieetykalaną osobą. Zaledwie pierwszy zapal ostygnie, dzieli się żywnością, odzieżą, pieniędzmi, wypilby z nim »kochajmy się«, byle było czem. Pod Vitry, ułany polskie z komendy Tomickiego, dawniej mego szefa szwadronu w 11-ym pułku, zabrali cały podjazd pruski. W mgnieniu oka złożyliśmy kilkadziesiąt franków. Oficer przyjął je z większym zadziwieniem niż wdzięcznością. Prusak na taką czynność nie ma pojęcia. Ja sam, nie chwając się, dałem w Berg-au-bac majorowi rosyjskich huzarów Gagarin (którego nie wiem dlaczego Fain wspomina), moją czarną, jedwabną szlafmycę — wprawdzie nieco podszarzaną, ale on nie miał co włożyć na głowę. Dałem wspólnie, lubo moja garderoba i ruchomości nie zalecały się wielkimi zasobami, lubo długo potem w nieustannych kursach musiałem mój kapelusz na bakier nasuwać na to ucho, w które wicher gorliwie szeptał.

Kiedy wchodziłem do pałacu w Surville, spotkałem na schodach nowo przybyłego adjutanta księcia, kapitana Bauffremont, w którym poznałem owego porucznika huzarów, co gdzieś między Freibergiem a Altenburgiem, na rozkaz generała Belliard, szefa sztabu Króla Neapolitańskiego, dał mi białą szkapę z pod trębacza, bo przybyłem pieszo z pilną depeszą. Dlaczego pieszo? Bo konia nie miałem — rzecz jasna. Zastąpiłem tam Suchorzewskiego, który mnie uwiadomił o klęsce i wzięciu Vandamma pod Kulmem.



SUKMANA AL. FREDRO W KTÓREJ
UCIEKAŁ Z WILNA W R. 1812.

Biały koń trębacki zakrawał na kulawego. Gdyby nie jego wiek sędziwy, myślałbym był że figle, kiedy nie potknąwszy się wywrócił się podemną jak długi. Nie zeskoczyłem ja wprawdzie, nawet koń już stał, a ja jeszcze w dół głową wisiałem. Ostrogą krzywą zaczępiłem jakby haczykiem za ramię mantelzaka. Szczęściem, że Tezeusz nie wezwał Neptuna i Neptun nie podgonił, bo byłbym niezawodnie zginął jak Hipolit, lubo równie niewinny jak i on. Przy Królu Neapolitańskim trzeba było mieć dobrego konia, bo kiedy kolumna jazdy jak potok sunęła się drogą, on przenosił się czwałem z pagórka na pagórek. Obserwował, *pozował* chętnie, a czasem i nacierał na czele swojej świty na nieprzyjacielskie forpoczty. Nie mogłem w tych okolicznościach jak tylko być jednym z ostatnich. Wtem, głos podany z ust do ust aż do mnie dochodzi: „*Le Roi demande l'Officier du Prince de Neufchatel*“. — Spiąłem konia ostrogą — wyraźnie był kulawy — i zbliżyłem się do Króla. Spytał mi się, czy marszałek Marmont jest w N. N. — Nie wiem, odpowiedziałem, bo nie byłem w N. N. — Odpowiedź areylogiczna, logiczniejsza jak tego Żyda, który zapytany dlaczego białego psa nazwał Krukiem, odrzekł: »Bo jego ojciec był kasztan«. — Na silną moją odpowiedź, Król odezwał się: Al... A! — i nic więcej, nie, ani słowa. Cóż u dyabła za przeznaczenie, że z żadnym monarchą pogadanki zawiązać nie mogłem. Ale tym razem dobrze się stało, bo byłbym niezawodnie jakie głupstwo powiedział. Jest albowiem rzeczą dowiedzioną, że nikt z kulawego konia nie mądrego powiedzieć, tak jak złem piórem nie dobrego napisać nie może. Nie mniej bolał mnie jednak ten brak szczęścia do królów, a nawet do królewien, tak, do królewien, a przynajmniej do jednej, królewnej saskiej. Było to w onym czasie, kiedy ktoś w transparencie napisał: »O Sasie, w dobrym czasie, drugi raz walisz, przez Kalisz«. W onym czasie, kiedy król saski, jako Wielki Książę Warszawski jechał z Krakowa do Warszawy. Dyabli wiedzą na co był księciem warszawskim i po co jechał z Krakowa do Warszawy, ale tak było. Jazda nasza wzdłuż drogi plutonami rozstawiona, eskortowała królewskie powozy. Na mnie padł ten zaszczyt w Lublinie. Pułkownik jechał przy

karecie króla, ja przy królowej. Król i królowa zwykli byli rozmawiać z eskortującymi oficerami. Oborski powiadał, że galopując ciągle zażywał tabaki z papierka w nadziei, że król to spostrzeże i że daruje mu tabakierkę, a tabakierka królewska zawsze złota. Ledwie za miastem królowa wychyla się... ja się nachylałam, a wtem balwan kurzu uderza między nas. Królowa cofnęła się, podniosła taflę, a ja przygotowane na języku „*Oui, Madame*“, wypaliłem w powietrze. Ale aczkolwiek rozmowa moja z królową w ciasniejszej granicy została niż z Królem Neapolitańskim, jednak w czapce ulańskiej, na dzielnym kasztanie, któregoś był przepłacił memu kapitanowi Sulimierskiemu, lepszą miałem minę niż na trębackim koniu, w stosowanym kapeluszu. Co prawda, to prawda.

Powiedziałem, że pod Altenburgiem przybyłem pieszo z depeszą dlatego, że konia nie miałem, argument silny. Ale dlaczego nie miałem konia, to potrzebuje objaśnienia. Wyjechałem z Drezna na własnym koniu, przyjechałem pocztowym

w nocy do Freiberga. W Freibergu na poczie nie mogli mi dać tylko wóz chłopski parą ciężkimi końmi. Nad ranem jeden ustał. Wsiadłem na drugiego i tym razem bez wszelkiego przyrzędu. Mogłem służyć za model do jakiego posągu. Posąg zawsze oklep siedzi. Różnica tylko byłaby taka, że rycerz brązowy zawsze w płaszczu i bez spodni, a ja bez płaszcza ale w spodniach, Bogu dzięki. Ale i drugi koń zaczął folgować tak dalece, że chwyciłem heroiczne przedsięwzięcie kontynuować *per pedes Apostolorum* moje poselstwo do Najjaśniejszego Pana.

Oficer sztabowy, *le Juij errant de l'Armée*, musiał strzedz się nie tylko nieprzyjaciela, ale, zwłaszcza w saskiej kampanii



ALEKSANDER OBORSKI.

i aliantów niemieckich, którzy ulegając swojemu *Heimweh*, porzucali nasze szeregi i wędrując lasami, zabijali kogo mogli, nie z patriotyzmu, ale *der Reisegelder wegen*.

Jednakże małe to jeszcze były przykrości, to jest przykrości samotnych wędrowek w porównaniu nieustających utarczek na każdym noclegu po wsiach. Z maroderami ciągle walka. Ale kiedy już przyszło do starcia się na piękne, pałacze tylko albo drągiem można było działać. Francuza dobitnym razem trzeba zbić z terminu. Wtenczas dopiero powie »*Tiens!*« i ustąpi z placu — rozumie się w niesłusznej napaści. Ale i linia, nawet gwardya napadała jak szarańcza domy, przed którymi warty nie było. Z bronią w rękę trzeba było bronić swego schronienia wtenczas, kiedy czas było spocząć. Inaczej wyjęli drzwi, okna, gotowi palące się polana wyciągnąć z pod kociołka, a snopek słomy z pod ciebie. Cały dom gotowi byli rozebrać, gdyby to tyle pracy nie kosztowało.

Pierwszy marsz z Drezna do Seerhausen; przychodzimy późno — deszcz leje. Na Rejtana kolej odbierać furaz — ale dystrybucyi niema. Jazda gwardyi przybyła wraz z nami. Trzeba szturmem zdobywać. Każda sterta najeżona ludźmi, zdaje się ogromnem rozbitem mrowiskiem. Snopy bieleją się w środku, jak mrówcze jaja sprzątane przez strwożone matki. Ten ciągnie, ten wrywa tamtemu, ten pada pod ciężarem, a tamten go unosi. Ruch, ścisk, cały kopiec żyje. Do tego dołącz żołnierską wrzawę, ludzką klótnię, krople deszczowe, kurz zbożowy, a obraz będzie dokładny. Nareszcie Rejtan przybywa; niosą za nim siano i słomę, ale je prawdziwie wywalczył, bo nazajutrz rąbie się z francuskim oficerem.

My tymczasem umieściliśmy się dobrze nad wszelkie spodziewanie. Spoczywaliśmy pod sklepieniem mirtów, granatów i pomarańcz. Śnieżny kwiat padał na kulbaki. Woń godna bogów walczyła zwycięsko z różnorodnym zapachem biwaku. Byliśmy w obszernej oranżeryi. Ale niedługa rozkosz, a sen jeszcze krótszy. Piesza gwardya nadeszła. Wyjmują okna, niema co mówić, my mamy dach, słusznie aby oni mieli okna, Ale od łyczka do rzemyczka. Wyjąwszy okna, ciągną ze środka jaką mogą tarcicę, jaki mogą kawał drzewa. Jeszcze nic. Ale

nareszcie zaczynają zbijać obrycze z wazonów, wazony brać na opał. Padają oleandry, aloesy, kaktusy i agapantusy. Bierz je lichy — nigdy nie byłem miłośnikiem botaniki, a tem mniej wtenczas, ale można jakim wykorzenionym kaktusem albo cyprysem w łeb dostać. Ziemia się sypie, rusztowania trzeszczą. Końiec końców trzeba było zrejterować się w jeden kął i tego jeszcze do białego dnia bronić od zupełnego zniszczenia.

Podobne lecz śmieszne dla nas mieliśmy zdarzenie w Perthe, dużej wsi między Vitry a St. Dizier. W noey otwierają się drzwi z trzaskiem, hałasem. Jeden z kolegów, co zawsze odosabniać się lubił i nad wygodami przemyśliwał, wpada do naszej izby. Spodnie pod pachą, buty w jednym, pałasz w drugim ręku. Cóż się stało? Co się dzieje? Kozaki czy ogień? — Wcale nie. Nasz kolega wybrał sobie kwatere na piecu piekarskim, które to piece w Francyi opodal od domu przykryte bywają płaskim daszkiem, jak u nas piwnice. Zasnął smacznie, a w tem... trzask! prask! gąty się łamią, krokiew pęka i piechur na kark mu spada. *Excusez!* Dach rozbierają. Ledwie wyszedł cały, a my musieliśmy pospieszyć, aby resztę rzeczy wyratować z tej zburzonej Troi.

W tej wsi Perthe usłyszałem miejscową anegdotkę, którą pozwolę sobie Państwu powtórzyć. Żył tam przed laty pleban, który tylko wierszami mówił. Razu jednego między nim a biskupem taka nastąpiła rozmowa:

— Vous êtes le Curé de Perthe?

— Certes.

— Le fameux rimeur?

— Oui, Monseigneur.

— Descendez de cheval.

— Vous dites mal.

— Comment?

— C'est une jument.

. . . I mruga! piękna to piosneczka, nie długa.

Przykre bywały te utarczki z rzeszą obozową dla oficerów sztabowych, którzy zmęczeni zawsze jak psy gończe, co dzień cały po trzeinach starego lisa gonili, potrzebowali tak dla siebie, jak i dla koni kilka godzin odpoczynku — odpoc-

czynku, którego każdy inny w jakim takim, ale niekontestowanym biwaku mniej więcej używał. Biwakować zaś także trudno nam było. Jeżeli to czasem się trafiło, leżeliśmy na kwiecistym kobiercu ziemi pod gwieździstym namiotem nieba. Bo nie było komu spać jaką taką barakę, przynieść drzewa, słomy, wody. W pułku jedni drugim pomagają, jedni zostają przy koniach, drudzy przy kociolku, a inni idą na łówkę. Ale oficer sztabowy ze swoim służącym nie rozbierze dachu, ani też wyjmować będzie okien z oranżeryi. Na to trzeba stowarzyszenia nie przez akcye, ale przez pięści. Sama epoleta za słabą w tym razie. Nie mniej przykrymi bywały te noclegi, gdzie gwardya dostawała rozkaz *de se loger militairement*, to jest jak kto może. Kilku nas ze swojemi i tych kolegów, którzy się na misyi znajdowali, służącymi i końmi, zajmujemy jaki domek. W parę godzin klapanie tysiąca trzewików oznajmia, że piechota przybywa. Wkrótce potwierdza to mniemanie dwukrotne uderzenie kolbą w drzwi — podpira kto może — rozmowa przez deski — czasem uda się odwrócić ten pierwszy napad — ale niezadługo nastaje drugi, trzeci, a im późniejszy, tem upartszy, bo to ogon kolumny, ten nie ma wyboru ani czasu do stracenia. Drzwi trzeszczą, kapitulować trzeba. — Wielu was? — Trzech. — Dobrze, trzech przyjmiemy. — Otwierasz, wchodzi sześciu. *Pardon Messieurs! mais que voulez-vous... Il faut bien... etc. etc...* Dobrze, dobrze, tylko cicho — wy tam, a my tu. Ale zaledwie utasowano się jako tako, nowy szturm. — *Briquet! Est-tu par là? — Ah! C'est toi Colicaut! — Allons sacrrr!... Vous allez faire entrer toute une compagnie!... Dutout!... dutout... un seul, pas plus, notre camarade... Voyons!* — I wchodzi jeden, za nim weiska się znowu jeden i niby niepuszczany przez tego co drzwi uchylił, jeszcze jeden. — *Fermez donc, sacrrr!... — Oui, Messieurs.* Ale już obrócić się trudno. Otóż to nocleg sztabowych oficerów.

Raz wróciwszy z misyi, strudzony, zziębnięty, oddaję konia, wchodzę do wskazanej mi izdebki i rzucam się na łóżko bez wszelkiej przemowy. Zasnąłem twardo jak panna po balu, albo wikary po stypie. Nad ranem, jeszcze ciemno było, wstaję — potykam się na czemiś... chwytam się czegoś drugiego... upa-

dam na coś trzeciego... Słowa zagrzmiały, słowa się krzyżują, słowa, których niema ani w dykcyonarzu, ani w encyklopedyi i których powtórzyć nie mogę. Cóż się to stało w mojej samotnej izdebce podczas mego snu? Oto grenadyery gwardyi zaległy ją pokotem. Dziwna rzecz, że żaden nie położył się na mnie. Ale Francuzi tak grzeczni!

W owych szturmach, obronach, walkach o trochę słomy albo kawałek poddasza kto był Ajaxem? Kto Hektorem? Mój Onufry. To przyznać trzeba. O! jak pięknym był, kiedy zwabieni hałasem na podwórze, ujrzeliśmy go nad leżącym pod wozem *Garde d'honneur'em*, z ogromnym dragiem w rękę. Stał jak ów, słynnego dłuta Canovy, Tezeusz nad Minotaurem. *Garde d'honneur* krzyczał i nieufny zapewne w siłę pałasza, parował obu nogami grożące mu razy. Wiązka siana obok walczących świadczyła, o co poszło. Krzyknąłem — drag się spuścił — *Garde d'honneur* wstał — zdjął czako z ziemi mruczając: *Est-il mal-apppris, celui là!* I obcierał sobie mundur... nie na piersiach zwalany.

Pułk huzarów w zielonych dolmanach z białymi sznurami i w ponsowych rajtuzach, nazwany *Gardes d'honneur*, był to pułk świeżo uformowany po największej części z dzieci paryskich. Bili się z honorem i męstwem, tak jak się Francuzi bić zwykli, ale niemało bawili starszych żołnierzy swoją powierzechnością również jak i swoim zachowaniem w różnych obozowych okolicznościach. Jeden z francuskich generałów powiedział: Niema się co dziwić, że Polacy są dobrymi lancierami, bo Polak jeszcze dzieckiem, już z lancą w rękę bydlę pasie. Lubo Francuzi zawsze wszystko najlepiej wiedzą — teraz nawet w Algeryi Arabów uczą po arabsku — ja prawdy twierdzeniu szanownego generała przyznać nie mogę. Powiem jednak, że nam Słowianom łatwiej niż Francuzom złożyć dobrą jazdę lancierów czy nie lancierów, a zwłaszcza złożyć na prędee. U nas chłopak wzrasta między kołniami — dosiada szkapy, pędzi po pastwisku, przepływa rzeki, wtenczas kiedy jeszcze po płocie wydrapał się na nią, kiedy między nim a jej grzbietem płótna nawet niema. Nie będzie on zapewne od razu zgrabnym kawalerzystą, ale z koniem poradzi sobie za-

wsze, a do koczowania nawykł od dzieciństwa. Każdy nowy kawalerzysta wzbudza śmiech starego żołnierza, a cóż dopiero Francuz prosto od *Comptoir*a kawiarni, albo od perukarskiego warsztatu na francuskiego konia wsadzony. Proszę mu się przypatrzeć. Najprzód jego punkt dotknięcia z kulbaką jest w ciągłej z nią niezgodzie... zdaje się, że jakaś odpychająca siła zmusza je do oddzielnej grawitacyi. Jego łokcie odparte od ciała jak skrzydła młodego gołąbka, co chciałby a boi się pierwszy lot z gniazda przedsięwziąć. Jego głowa w tył zadarta, a pierś nachylona jak u naszego popa, kiedy o prezencie prosi — brzuch wypięty, jak u spaszzonego karczmarza. W jego ruchach, od pięty aż do czubka paryskiego, zgniecionego teraz rycerskiem przykryciem, jest coś nerwowego, coś ostrokatnego, co go czyni podobnym do telegrafu, nie elektrycznego, ale tego, co za naszych czasów z wieży do wieży łamańce wyprawiał. Bądź przy tem pewny, że oba strzemiączka, a przynajmniej jedno urwane — rajtuzy w górę skurczone odkrywają cholewę niepoczernioną, albo część płóciennego ubioru, który nigdy słońca widzieć nie powinien. Ostroga młodego rycerza na dół zgięta nadwerezyla obcas; to na pierwszych schodach, z których zstępował jako obrońca ojczyzny, stać się musiało niezawodnie. Czako przestronne ociera uszy, albo za ciasne natęża podpinkę, która koniec końców urwana igrać będzie z wiatrem wzdłuż policzków. Cugle długo trzymane zdają się być lejcami czterech koni w ręku stangreta rozpartego na koźle. Nareszcie zawsze coś niepotrzebnego, rzemyk, tasiemka, sznurek wygląda, skąd mu wyglądać nie wolno. Ileż to razy jaki stary wiarus rozkuł w nocy konia *Garde d'honneur*owi, potrzebując podkowy. Ileż to razy wiozącemu furaż wymknęły się źle związane snopki, a nim konia zatrzymał, nim zlaź z niego, już snopków nie było. Jeżeli zaś nauczony w tym względzie doświadczeniem wziął cugle w zęby, a wiązki pod pachę, wtenczas tracił łatwo równowagę i zsuwał się z kulbaki, a nim się z siana wydobył, koń już kawał uszedł. Ileż razy nie śmieliśmy się, patrząc na biednego Paryżanina, jak nie mogąc dać sobie rady w trudnej sztuce przypięcia sobie mantelzaka, siadał twarzą do ogona i tak sza-



PRÓBA LANCY.

motął się z krnąbrnym rzemieniem i zuchwałą sprzączką. Notabene w okularach na nosie często, a z kroplą u nosa zawsze. Ta kropla, aczkolwiek mniej ważna niż owa, o której Alba wspomniał Don Karlosowi (z wielkiem zgorzseniem ultra-kłasyków), godna jednak wspomnienia. Zdaje się nie podpadać wątpliwości, że nosy francuskie drażliwsze od nosów innych narodów, bo zacząwszy, nie od Cesarza, u którego nie zdarzyło mi się nigdy ujrzeć owej perełki, ale zacząwszy od mojego szefa generalnego majora Księcia Neufchatelskiego aż do porucznika Pascalis, którego (*par parenthèse*) nazywaliśmy *Tête de veau bouillée*, wszyscy Francuzi, gdy chłodny wietrzyk przeciągał, mieli kropelkę u nosa; niebytność tejże była cechą niemylną obcego Gallom szczepu.

Z czasem trafiało się, że w miasteczku, gdzie stanęła główna kwatera a z nią gwardya, miejsca dla wszystkich nie było, natenczas część sztabu zostawała umieszczoną w blizkiej jakiej włości. Mocnymi marszami dążymy ku zagrożonemu

Paryżowi. Ostatniego marca przybywamy do Pont-sur-Yonne. Kwatera nasza o ćwierć mili na prawo w dużej wsi zwanej (czego do śmierci nie zapomnę) Michery. Poprawiliśmy się na kulbakach i dalej panie koniu, dalej! do stajni jeszcze kawał drogi. To co w zmroku wieczornym widać jak czarną plamę, jest Michery. Dalej naprzód! Już się zciemniło, ha, ciemno było, jak to mówią »oko wykol« albo vulgo »w pysk daj«, kiedyśmy dojechali światełka, co z okienka krajnej chaty od dawna mrugało na nas uprzejmie. Ile razy zdarzyło mi się przejeżdżać po przed porządną chatę, gdzie ogień w kominie jarzący muskał zarazem światłem białe ściany i niski strop, z którego święcone wianki zdają się wieńczyć zgromadzoną rodzinę, zawsze doznawałem jakiegoś błogiego uczucia. Zdawało mi się, że szczęście widzę. Myślałem sobie: Jak im tam dobrze, jak spokojnie, jak mało trzeba! Nigdy pałac oświetlony nie wzbudzał we mnie zazdrości, — chatka z dobrem ogrodzeniem, ze swoim nieodzownym Kruczkim albo Biłkiem, zawsze prawie. Raz nawet, na kilkudniowym polowaniu w lasach lubartowskich, nocując w domku leśniczego tak byłem zachwycony widokiem rodzinnego, cichego, skromnego życia, że zachwiało się we mnie młodzieńcze przedsięwzięcie wojowania aż do śmierci. Takiego, rzekłem, chcę ustronia... prawda, że wtenczas kochałem się po raz pierwszy... nie, po raz drugi. Prawda, że później poznałem, że nie wszystko grzeje, co się świeci, a jednak wrażenie z wiosny mego życia rozciąga swoją bladą lunę i na jesień, co już nie jednym żółtym rzuciła mi listkiem. Dwa małe okienka, ale czyste i proste, z pod grubej strzechy świecące w noc daleką, przemawiają jeszcze do serca mojego.

Nie tak przyjemne wspomnienie o chatkach i światełkach zachował zapewne jeden z moich kolegów. Jechaliśmy przy sobie na czele kompanii przez jakąś nędzną wioskę; było to jeszcze w czasie pokoju, ale w noc dyabło czarną. Wiatr dął i ryczał, niby gniewał się jak demagog, że nie może wszystkiego obalić, co nad poziom wyższe. Fajka w takich chwilach niby rozwesela, niby rozgrzewa. Mój kolega (Boże mi odpuść, nie pamiętam jak się zowie, czyli jak się zwał) chciał ognia,

ale w bliskich rotach nikt nie miał. W chatach ciemno. Nakoniec w ostatniej, opodal od drogi migąło światelko, słabe, blade, więcej podobne do promyka księżyca niż do płomienia kagańca albo lucywa. Tam zatem konia skręcił. Pięć minut zaledwie uszło — slysze cwał — kolega mnie dopędza, przegania — biały płaszcz wzdęty wichrem, wznosi się, płacze, układa różne kształty — raz jeździec zdaje się bez głowy, raz w olbrzyma rośnie, raz zdaje się trzymać w objęciu wiarodolną Leonorę, hop! hop! hop! Puszcza konia za nim. — Hola! hej! stój! gdzie pędzisz? — Wstrzymał się nareszcie, spojrzal na mnie, odetchnął i zawołał: Mnie się zdaje, że zwaryowałem. — Nie spodziewam się, odpowiedziałem, ale w świecie wszystko jest podobne. — Nie żartuj, rzekł dalej, bo mnie w samej rzeczy kręci



ALEKSANDER FREDRO.

się w głowie. Zrównał swego konia z moim i ujechawszy kawalek, krzyknął: I fajkę pałę! To wykrzyknięcie przeraziło mnie cokolwiek, bo zacząłem myśleć, że jego rozum w istocie koziołka wywrócił. Spojrzałem na niego z ukosa, ale prócz dymu puszczonego wielkim kłębem, nic więcej nie dojrzałem. I fajkę pałę, powtórzył jakby do siebie, a potem zwracając się ku mnie, rzekł, zaśmiawszy się niby: To jest rzecz dziwna. Wstydzę się trochę, ale powiem. Kiedy zwróciłem konia ku chatce, musiałem go spinać ostrogami, bo szedł trwożnie i z oporem. Zniecierpliwiony zsiadłem z niego i znalazłszy jakiś kół, ostatni zapewne w wyłamanym płocie, zarzuciłem nań cugle i wszedłem do chaty. W sieni ciemno. Macam po ścianie, nareszcie natrafiam na sznurek u drzwi, ciągnę, otwieram i w pierwszym kroku znajduję się przy twarzy, tuż przy twarzy... umarłego. Leżał białym płótnem przykryty — jedna

świeczka przy nim świeciła. Jakaś okropność mnie chwyciła — jakiś mróz przejął — martwym wydałem się sam sobie. A wtem... coś się ruszyło — wszystko i nic... Nic, bo tam prócz umarłego nikogo nie było — wszystko, bo nigdzie jednego stałego punktu oko moje znaleźć nie mogło. Nawet ściany nagle przebiegało coś, co ni cień, ni światło. Co się ze mną dalej stało nie pamiętam. Musiałem fajkę zapalić, bo pałę... i dmuchnął, aż cały nabój tysiącami iskier wyleciał w górę i spadł potem na grzywę. Jak wyszedłem, nie wiem... jak się znalazłem na kulbace, nie wiem — jak tu przyjechałem, nie wiem. Twój głos mnie obudził. Powiedz mi, czy nie zwaryowałem, bo juźci trupa się nie boję. — I znowu zaczął opowiadać od początku do końca, a gdyśmy się spać pokładli, jeszcze raz powtórzył: To światełko ciągle świeci mi w oczach. Śmieję się sam z siebie, ale światełko świeci przecie.

Kiedy byłem poetą, a byłem nim niegdyś, bo pamiętam jeszcze gwiazdy, co mi wtenczas świeciły, głosy co mi śpiewały, mgły co swoją wonną gazą łączyły niebo z ziemią, w których pomroku oko gubiło się tak chętnie. Tak jest, pamiętam, byłem poetą, wtenczas więc, kiedy myśl obfita przelewać się zdawała, jak woda przez krawędzie przepelnionej czary, obstawiałem się zwykle krzesłami, ażebym chcąc wstać od stolika trącił się o nie i był zmuszony usiąść znowu nad papierem przed kałamarzem. Inaczej zrywałem się jak osą ucięty, chodziłem wzdłuż i wszerz pokoju, prędko, coraz prędziej... a myśl ze mną, przedemną, prędko, coraz prędziej, aż nakoniec zadychany usiąść musiałem, aż nareszcie myśl zapędzona gdzieś w manowce, jary, szczyty, nie wiedziała jak trafić do swojego gniazda i czarną łzą zawisła na ostrzu pióra. Otóż tak należałoby postąpić przy opowiadaniu mojem. Należałoby otoczyć mnie jakąś poręczą, bo mam brzydki nałóg, a co gorzej, wątpię abym się kiedy poprawił, zbaczać nieustannie z mojej ścieżki za lada bławatkiem co gdzie zaświeci. Wjeżdżałem do Michery i juźci skoczyłem trzy lata w bok, sześć lat w tył, jak zajac kiedy na ponowie zrzuca przed psami. Nieraz psy ręczo goniąc...

»Ale Michery! Michery!«... Prawda, Michery. Wjeżdżamy

więc w uliczkę wąską, jedziemy nią dość długo, potem wyjeżdżamy na plac, potem znowu wjeżdżamy w uliczkę, a przejechawszy tak wzdłuż całą wieś, którą u nas nazwanoby dobrem miasteczkiem, skręcamy na prawo i stajemy u bramy przeznaczonej nam kwatery. Był to domek niewielki, mury, okna kratami opatrzone, drzwi były wąskie i jedno tylko, właśnie prosto bramy i furtki, które także były jedynym otworem w murze wysokim, otaczającym pomieszkanie i stajnię razem, co o kilkadziesiąt kroków na lewem skrzydle formowała z domem kąt prosty. Z tego krótkiego opisu łatwo pojąć, że kto był panem furtki (brama bowiem była zamknięta) był oraz i panem placu. Nietylko mógł wzbronić wyjścia z dziedzińca, ale nawet i z domu, przecinał przytem komunikację ze stajnią. Ci zaś, co byli w domu, stajni lub na dziedzińcu, mieli wysokim murem cały świat zasłonięty.

Zsiedliśmy z koni. W dużej izbie prosto z dworu przywitał nas dobry ogień na kominie, nad ogniem wisiał kociołek, a na stole stał już dzbanek pełny. Wieczór przeszedł wesoło, nareszcie masztalerze poszli do stajni, a my rozłożyliśmy się w alkierzu. Nie wiem dlaczego tej nocy byliśmy mniej ostrożni niż kiedykolwiek. Rozebraliśmy się zupełnie i położyli się spać z wszelką spokojnością umysłu, tak jak się kładzie w Rudkach na noclegu szlachcic z Sanockiego jadący do Lwowa na kontrakty.

Spaliśmy dłużej niż zwykle, a obudziwszy się, wstawaliśmy leniwo. Milberg ubrał się najpierwszy i zrzędził, że się nie zbieramy. Suchorzewski poszedł ze swoim koniem do kowala. Grabowski zaczął się ubierać. Rejtan jeszcze drzymał. Ja przy stoliku w oknie, z którego widziałem bramę i furtkę, przypinałem sobie torbeczkę skórzaną, którą pod mundurem na piersiach nosilem i w którą chowałem tak własne ważniejsze papiery, jak i powierzone mi depesze. Taki był stan rzeczy, kiedy Stefan, służący Rejtana, wpada błady jak kreda, trzęsący się jak febra *in persona* i cichym, gasnącym prawie głosem woła: »Kozaki!... Jak Boga kocham Kozaki!« Jakkolwiek cicho i niekoniecznie wyraźnie wymówił te słowa, głośno wszakże zagrzmiały w uszach naszych. Obudził się kto drzymał, zerwał

się kto leżał, kto stał podskoczył. Nie trzeba było pytać gdzie? jak? co? Bo rzuciwszy okiem w okno, ujrzelśmy u furtki z tamtej strony muru część zielonego płaszcza, połowę białej juki, łeb koński, a nad nim kozacką brodę. Niebawem okazała się i druga. Kozak wszedł na dziedziniec; czy to pierwszy czy dziesiąty, nie wiemy. Co się dzieje w stajni trudno zgadnąć. Bierzemy odzież, chwytamy za broń, ale przy moim boku szpada, pałasz u Onufrego, pistolety, jeżeli który nabity, spoczywają w olstrach, olstra przy siodłach, siodła w stajni. Kiedy w naszym alkierzu alarm, w stajni tymczasem ludzie nasi spokojnie jedni konie chędożą, drudzy kulbaczą, pomimo że kozak we drzwiach, ten którego widzieliśmy wstępującego na dziedziniec.

Zdaje się, że św. Balbina patronka dnia tego, opiekuje się głupimi, bo trudno wierzyć, aby tyle głupstwa ile wówczas w Michery mogło skoncentrować się w jeden punkt i w jedną godzinę. Kozak widzi w stajni ze dwadzieścia koni — nie dostrzega popłochu — przemawia kilka słów i cofa się za furtkę. Kozacy pamiętni zawsze przysłowia: *Quis scil co za górą wyje*, — kto wie co w domu? co za domem? Między murami kulka z bliska uderza, — lepiej postępować powoli a bezpiecznie. Oni przynajmniej rezonowali... ale my!... Proszę tylko słuchać.

Za kozakiem na próg furtki wstępuje Milberg. Jeszcze widzę jego mundur, epolety, krzyże odsłonięte, szpadę w pochwie, kapelusz na głowie, fajkę w ręku. Staje przed kozakiem i mówi do nich z ruska po polsku. »Co wy tu robicie? Tu dużo Francuzów«. A na to kozak trzymając pistolet w jednym ręku, uchyla drugą ręką kaszkieci i z wszelką uprzejmością odpowiada: »My Hrancuzów ne boim sia«. Postrzegłem tę scenę z okna. To uszanowanie kozaka odkrywa mi nagle, co się dzieje za murem. Niema ich wiele. ...Boją się nas... pomyślałem, a po łyśnięciu tej myśli uderza piorun czynu. Chwytam jakiś pałasz leżący na stole jeszcze pendentem obwinięty i wypadam z domu krzycząc: Hurra! — Hurra powtórzyli nasi z wszystkich kątów... Kozaki w nogi. Grabowski w pół ubrany dopadł przecie pistoletu, strzelił za niemi, kulka świsnęła, ko-

zunie jeszcze lepiej... tak dalece, że jeden pikę swoją upuścił Suchorzewski także narobił hałasu. Uderzono w dzwon (*le tocsin*), kilku chłopów wybiegło z widłami. Kozaki zaś ze-



LUDWIK MILBERG.

brawszy się, uformowali się za wsią o wystrzał armatni na pagórku i w nieczynnej stali obserwacyi. Od naszej furtki widać ich było, a przez to samo i oni widzieli punkt, przez

który trzeba nam było defilować wychodząc z opiekuńczych murów. Ośmielony pomyslnym skutkiem mojej wycieczki, wpadłem w błąd, który zwykle za szczęściem krok w krok idzie. Zostałem zuchwałym, zarozumiałym, zdało mi się, że ja tu działać muszę, że tylko taktyczna zręczność wyprowadzić nas zdoła z niebezpiecznego położenia. Włożywszy zatem kapelusz à la Napoleon, to jest rogami nad uszy, rekognoskowałem nieprzyjaciela (nie mając perspektywy), gołem okiem i tak zacząłem rezonować: Jeżeli wyjedziemy z bramy w nieładzie, odsłonimy nasze słabe siły i zamiar ucieczki. Potrzeba zatem, rezonowałem dalej, zrobić demonstrację, któraby nieprzyjaciela w błąd wprowadziła, że my jesteśmy tylko częścią większego oddziału, rozłożonego po wsi, że nie uciekamy, ale że udajemy się spiesznie na plac zbioru, że nareszcie zebrawszy się, nie myślimy ustąpić z naszego stanowiska. Aby więc dopiąć tego celu zdawało mi się być najstosowniejszym krokiem posunąć naprzód korpus obserwacyjny. Że zaś zawsze podług stawu grobla, więc i nasz korpus obserwacyjny musiał objawić się tylko pod postacią skromnej wedety. Udzieliłem mego planu kolegom i nie czekając ich przyzwolenia, siadłem na konia, wziąłem pałasz w rękę i ruszyłem ku kozakom w zamiarze zatrzymania się i pozostania na brzegu wsi póty, póki w tyle nie uporządkują się rozstrzelone nasze siły. Ruszyłem, stanąłem... dotąd wszystko pięknie, bo w samej rzeczy zdaje się, iż okazanie się moje na linii bojowej zajęło uwagę kozaków i pozbawiło ich przez to potrzebnego czasu do obejścia wsi i przecięcia nam powrotu do Pont-sur-Yonne, dokąd dążność nasza nie mogła być wątpliwą i z najgłupszych najgłupszemu. Ale stanąwszy na miejscu postrzegam, że droga zaczyna być wąwozem i że wzdłuż tejże po lewej stronie ciągnie się murek na paręset kroków. Skręcam więc konia na prawo z drogi, aby odsunąć się na plac otwartzszy, bo bliskość murów, płotów, lub zarośla, zawsze kawalerzyście jest nie miłą, oraz aby osiągnąć wyższą pozycję. Tam zacząłem toczyć koniem, jak to zwykle robi się na hareu.

Wtenczas to zapewne duch jakiegoś doświadczonego wojownika, którymi w onym czasie zapelniały się obficie wyższe

sfery, zawieszony gdzieś, na jakiej chmurze, roześmiał się z mojego przemądrego obrotu. Przez oddalenie się od drogi traciłem możność schronienia się między domy — bo już cię o tyle ja tylko byłem tam groźny, o ile moja szarlatanerya czyniła mnie straszny. Mogła ona łatwo stracić swój urok a wtedy jedynie ucieczka ratować mnie mogła. Ale razem, a to najgorzej, pozabawiłem się widoku za siebie ku bramie. Bądź co bądź, mądrze czy głupio, harcowałem śmiało. Jeden tylko kozak, w którym po zielonym płaszczu poznałem Barbarosę od furtki, wyjeżdżał ze swego hufca, złożonego mniej więcej z trzydziestu koni i strzelał do mnie... to jest chciał strzelać, ale ognia mu brakowało, kłapał ciągle. Może ów duch ze swojej chmury, litując się nade mną plunął mu na panewkę.

Nareszcie wytrzymałszy czas jakiś, który zdawał mi się dostatecznym, rozpocząłem odwrót. Przybywam do bramy — dziedziniec pusty jak wymiótł. Koledzy nie opuścili mnie, wiem z kim mam do czynienia, ale zapewne nie dosłyszeli, nie zrozumieli... nie mniej przeto uczulem za nimi głęboką tęsknotę. Nadziei jednak nie tracę. Na placu, rzekłem, czekają mnie pewnie — organizują obronę. Jadę więc wolno aż do zakrętu ulicy, stamtąd rzuciwszy okiem na hufiec nieprzyjacielski posuwam się jeszcze parę kroków... i nuż w konia!... Rejteruję się w porządku, ale spiesźnie. Czoło mojej kolumny debuszuje na plac pożądanym... żywej duszy!... A do stu dyabłów!... (tu kłąć wolno). To nie przelewki, ale planu mego odwrotu nie widzę potrzeby zmieniać... Marsz! marsz! pędzę cwałem... za mną się kurzy, a ja pędzę, pędzę przez wieś, przez pole... widzę grenadyera prowadzonego przez dwóch kozaków... Bywaj zdrow! o mojej przyjaźni dobrze mów!... Ja pędzę dalej, aż nareszcie postrzegam oddział naszej jazdy spieszący nam z miasta na pomoc. Odetchnęła moja szkapa, odetchnąłem i ja. I jakkolwiek teraz ten popłoch godniejszy śmiechu niż politowania, ja honorem ręczę, że dla mnie był arecynieprzyjemnym. Dobrze wyciągał się koń pode mną, ale myśl moja jeszcze lepiej. Przebiegła całą nędzę i cierpienie niewoli, z której otrząsałem się zaledwie, a potem prawdę mówiąc, być raz w niewoli jest dla człowieka wiele, nawet bardzo wiele, ale dwa razy, raz po raz,

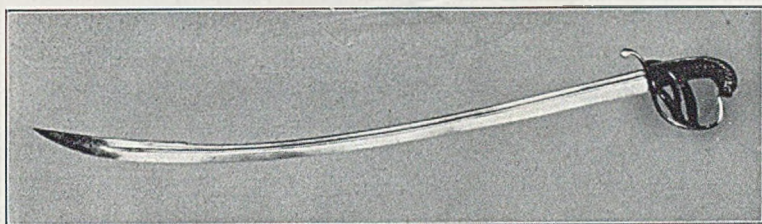
to przeszłoby miarę... to już zbytek, a moje żądania były zawsze nader skromne.

Nic nie straciliśmy w tej dziwnej przeprawie, w tem szczególnem *Prima Aprilis*. Ale w Pont-sur-Yonne czekało nas drugie, boleśniejsze, niszczące całą przyszłość, zabijające wszystkie nadzieje nasze. Paryż kapitulował.

.....
Teraz pozwól szanowny Obywatelu zapytać się, czy stałeś kiedy dzień cały w polu na wietrze zimowym bez delii, li-siurki albo i płaszcz? — Nie. — Tem lepiej dla ciebie, a gorzej dla mnie, bo nie pojmujesz dobroczynnego uczucia, z którym w Montereau, tysiąc ośmset cztertnastego po narodzeniu Jezusa Chrystusa, koło szóstej wieczór odpiąłem pałasz, zdjąłem mundur i zasiadłem gdzie potężny ogień strzelał węglem i lizał płomieniem szerokie podniebienie komina. Już patelnia zaczęła swoją służbę. Już omlet na niej kozła wywracał, tak jest, kozła — i w tem cała sztuka — a ta sztuka właśnie była niedościgniętem dla mnie zadaniem. Kiedy omlet zajmujący całe dno patelni przysmaży się już dostatecznie z jednej strony, trzeba go w górę podrzucić i gdy robi *salto mortale* podłożyć z ręcznie patelnię, aby drugim bokiem upadł na skwierczące masło. Ileż to ja omletów nie popsulem! Ileż za to gorzkich nie nasluchałem się wyrzutów! Mój omlet niezgrabnie zawsze podrzucony, albo spadał na ogień i konał w płomieniach, jak wdowa Malabaru, albo w pół schwycony zwijał się w haniebną trąbkę. Dlatego pomimo wszelkich z mojej strony reklamacyi (bo człowiek najgorliwiej chce to robić, co najmniej umie), zostałem *unanimiter* od patelni odsądzony. Mściłem się krytykując — bo krytykować łatwo, a mścić się przyjemnie — bo zemsta niezdolności blizka krewniaczka.

Podjadłszy nieco i napiwszy się jakiegoś kwaśno-cierpkiego czerwieniaka, rozciągnąłem się na słomie i twardo zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem. Pukanie w okno budzi mnie pierwszego. — Qui vive? — Guide. — Zjedźże dyabła! — Podniosły się głowy z pod płaszczów jak kacze lebki na jeziorku, kiedy blizki szmer zasłyszają. Biorę złowieszczą kartkę, trącam nogą przygasłą kłodę, a dobywszy z niej trochę blasku,

schylam się, by odczytać nazwiska powołanych na służbę, Jedno z pierwszych, Capitaine Fredro. — C'est bien, rzekłem do Guida po francusku, a po polsku dodałem: Niech cię piorun trzaśnie! — Trzaśnie czy nie trzaśnie i zapewne nie trzaśnie, bo to luty, ale zbierać się trzeba. Nigdy zając albo jarząbek na czwartkowym obiedzie u króla Poniatowskiego nie był tak młodą słoniną naszpikowany, jak był dyabłami mój monolog ostatniej nocy. Zakończyłem go wykrzyknikiem: Wolałbym być Kundlem, Brysiem albo Kurtą przy młynie albo karczmie



SZABLA KAWALERYJSKA Z CZASÓW KS. WARSZAWSKIEGO.

gdzie na Podolu, jak oficerem sztabowym. Miałbym albo mniej trudu, albo więcej zasługi.

Przychodzę do salonu służbowego, melduję się adjutantowi komendantowi, przewracam nie tracąc czasu krzesło, tak aby poręcz mogła mi służyć za poduszkę... i obróciwszy się w kółko jak pies co sobie legowisko wytlacza w barłogu, kładę się jak długi. — *Streckt die Glieder, und legt sich nieder.* Ale wkrótce drzwi się otwierają: *Premier Officier à marcher!* — *Me voilà.* — Wchodzę do gabinetu. Stół długi na środku — na jednym końcu rozłożona mapa, przy drugim sekretarz Dupuis pisze, Salomon pieczętuje listy. Książę Jegomość rozłożwszy poły, grzeje się przy kominku, a zobaczywszy mnie, powiada przez nos, jak gdyby mu go trzy par babskich okularów ścisnęło: *Ah! c'est Vous!* Ale gdybym był go się zapytał kto jest ten *Vous*, byłby odpowiedział niezawodnie: Siukoroski — co miało znaczyć Suchorzewski. Nauczył się tego trudnego nazwiska, a raz zrobiwszy *ce tour de force*, chrzcil

nim potem wszystkich polskich oficerów, będących przy jego sztabie.

Ksiązę przystąpił do stołu i pokazując palcem na mapie rzekł do mnie: Tu jesteśmy: Montereau — tu jest Moret — a tu Fontainebleau. Weźmiesz Waćpan trzy ekspedycye. Jedną oddasz generałowi A*** w Moret, drugą generałowi C*** w Fontainebleau, trzecią także *mairowi* alias burmistrzowi. Ale ponieważ lewy brzeg Sekwany między Montereau a Moret jest jeszcze zajęty przez nieprzyjaciela, zatem popłyniesz Waćpan czółnem aż poniżej Moret. Tam doszedłszy, generał A*** ułatwi Waćpanu sposób dostania się dalej. Ten jegomość będzie Waćpanu przewodniczył. — Rzuciłem okiem w stronę wskazaną i zobaczyłem człowieka wysokiego, grubego, w którym po jego siwym ubiorze łatwo mielnika poznałem. Skłonił on się nisko, nie wiem czy indeksowi ksiąźcemu, czy mojemu badawczemu wejrzeniu. — Rozumiesz Waćpan, mówił dalej Ksiązę do mnie. — Rozumiem. — Powtórz więc co powiedziałem. — A gdy powtórzyłem: — C'est bien, partez! — Niema lepszej rękojmi że rozkaz został zrozumiany, jak powtórzenie go dosłownie przez odbierającą osobę. Ksiązę miał ten chwalebny zwyczaj, zachowywał go święcie, zwłaszcza w czasie boju dając ustne zlecenia. Teraz w czasach, kiedy pleć moje trzy po trzy, mój dojeżdżacz powtarza zawsze rozkaz skąd ma psy puścić i któredy podkładać, a ja mu powiadam: C'est bien, partez!

Nie wyszło kwadransa już kładłem się wzdłuż czółna na skąpo rozścielonej słomie. — Etes Vous bien, mon Officier? zapytał grubulo. — Parfaitement, odpowiedziałem. — Allons! Vogue la galère! — Noc była ciemna, zefir chłodny, sparłem głowę na kulaku, pałaszem się przykryłem, a kapelusz wzięłem w rękę... kapelusz stosowany, piękny wynalazek!... szczególnie do nocy i na czółno! O czemuż ciebie nie miałem w objęciu mój ty płaszczu biały! Treny nad utratą twoją przesłę kiedyś potomności trzynastosylabowym wierszem! Oby mogły dojść drugiego pokolenia! Mniej żaden poeta nie żąda. Mój przewodnik usiadł w moich nogach — a dwieście pewnie funtów

dobrej wagi zachwiała czołmem, ale stało się dla mnie dostatecznym parapetem przeciw frontowemu ewentualnie natarciu. Na samym zaś przodzie ukląkł majtek czyli rybak, czy jak tam nazwać indywiduum, dzierżące wiosło.

Odepchnął łódkę, puścił z biegiem wody
Rybak młody etc.

Płynęliśmy. Z mojego stanowiska a raczej położenia, bo nie stałem, ale leżałem do góry brzuchem, mogłem do woli robić astronomiczne postrzeżenia. Patrzałem na gwiazdy. Mrugały. Nie wiem czy przez to chciały powiedzieć: Ah! c'est Vous, Siukoroski! czyli też może z utrudzenia, że zawsze muszą patrzeć, a nigdy na coś dobrego. Albo też mrugały jak człowiek, który postrzegłszy coś niespodziewanego nie dowierza oczom swoim. Tak jest, gwiazdy moje, zawołałem w myśli, ja to jestem przy głównym sztabie Wielkiej Armii, ja, który zawsze stroniłem od sztabów, ugrzązłem w najnieznośniejszym. Przy każdym sztabie mniej więcej trzeba nadskakiwać, dworować, czapką i papką ujmować, a czasem, Mospanie, i buty uszyć komu. Trzeba swoje zalety kłaść w każde ucho, jakie się nastreczy, duże czy małe, pod hełmem czy pod kornetem — a uszy podadzą pamięci, pamięć rozumowi i rozum uwierzy, bo powie: Vox populi, Vox Dei. Ja tego wszystkiego nigdy nie umiałem. Moje miejsce było w linii. Los mnie czasem naprzód wypchnął, a jeden Bóg tylko wie, do ilu cierpień duszy bywało nieraz powodem to, co gmin szczęściem nazywał, czego mi nieraz zazdrościł. Ile to goryczy nie wlało w serce moje. I tak weześnie! I tak późno!

Zostaw, Panie Szlachcieu, twoje czoło na domowym zapiecku, kup sobie wstępując w świat inne, miedziane, dobrze wytarte... Wierz mi, nieżle na tem wyjdiesz. *Wiem*, wielkie słowo, powtarzaj śmiało. Mądry ci uwierzy, bo u niego wiedza nic dziwnego. Głupi nie zaprzeczy, bo sam nic nie wie. A nim okoliczności obnażą cię z cudzych piórek, już wtenczas stać będziesz tak wysoko, że od twojej nagości oczy tylko odwracać będą. Jedni ze wstydu że się na niej weześnie nie poznali, drudzy że z niej korzystać zechcą, a reszta że się lękać

będzie Akteona losu. Możliwemu na psich pyskach nigdy nie braknie.

Ale prawda przed wszystkim moi Państwo, a prawda nie szkodząca nikomu. Nie wszystko ja co do słowa myślałem w czóźnie, co teraz przy stoliku. Przebaczenie mi te anachronizmy. Trudno przepiłować się na dwoje i dwie ze siebie zrobić połowy, jedną jakim się było, a drugą jakim się jest. Niema jednak wątpliwości co do treści rzeczy, że sztabowej służby nienawidziłem, że jej wówczas złorzeczyłem, i że mi kaducznie zimno było.

Po kiegoż dyabła wlałeś Pan do niej?... Ach mój Mości Księżu Proboszczu! Nie zawsze tam się włązi gdzie się chce, ani też nie zawsze się nie włązi tam, gdzie się nie chce.

Na wiosnę 1812 r. los wysunął mnie naprzód. Miałem lat osmnaście. Zostałem kapitanem adjutantem majorem w 5-tym pułku strzelców konnych. Niedosć więc że awansowałem, niedosć że mnie zdolnym uznano pełnić obowiązki adjutanta pułkowego, co większej czynności i większej znajomości służby wymagało, niż dowództwo kompanii, ale jeszcze do tego awansowałem z nowego do starego pułku. Tu potrzeba małego objaśnienia. Muszę nawet dotknąć trochę, bardzo niewiele i polityki, nie rezonując broń Boże, albo powtarzając co mądrzy ludzie napisali, aby oświecić przyczyny wówczasowego naszego położenia.

Kiedy stanęło zawieszenie broni w Wiedniu 1809 r., Napoleon nie był zdecydowany, co robić z zawojowaną przez Wojska Polskie pod dowództwem Księcia Poniatowskiego częścią Galicyi. Nie wiele on dbał o nią, wołał był z Niemiec szarpnąć. Austria zaś wołałaby dać więcej z Galicyi jak z Niemiec. Napoleon długo nie objawiał swojej woli ze względu na Rosyę, która protestowała przeciw powiększeniu Księstwa Warszawskiego, widząc w niem zamaskowaną tylko do pewnego czasu Polskę.

Dlatego podczas wojny zawieszano Orły polskie, formowano Wojsko Polskie¹⁾; po zawieszeniu broni zdejmowaliśmy

¹⁾ W nominacjach oficerów do nowo formujących się pułków unikano wyrazu Wojska Polskiego. Na dowód przytaczam moje nominacje:

w zawojowanym czyli raczej odebranim przez nas kraju Orły nasze, a zawieszali francuskie.

Pozwólcie mi, moi Państwo, przerwać opowiadanie i wspomnieć małe dość śmieszne zdarzenie, którego byłem świadkiem. Pułkownik Adam Potocki, na czele całego swego sztabu i pierwszej kompanii 11-go pułku (który wtenczas je-

1) Wojsko sprzymierzone (?). W kwaterze głównej w Trześni.
Dnia 8. Czerwca 1809.

Sztab Generalny
Do Jmć Pana Aleksandra Fredro.

Uwadamiam WmPana, iż J. O. Książę, naczelny dowódca Wojska Polskiego mianował go Podporucznikiem w Pułku Jazdy pod dowództwem Pułkownika Adama Potockiego formującym się. Stosownie więc do tego mianowania udasz się WmPan natychmiast do powyższego pułku, gdzie zameldowawszy się Pułkownikowi onego, pełnić będziesz obowiązki do stopnia swego przywiązane.

Nominacya na ten stopień WmPanu później z Ministerium Woynennego wydana zostanie.

General Brygady
Szef Sztabu Generalnego
Fiszler.

2) Wydział Stanu Wojska.

W (Trześni)
dnia 9. Czerwca 1809.

Jozef Xiąże
Poniatowski
Minister Woyny

General Dywizyi. Naczelny Dowódzca Woysk Polskich Xięstwa Warszawskiego, różnych Orderów i Wielkiego Krzyża Woyskowego Polskiego Kawaler.

Do Jmci Pana Aleksandra Fredro.

Uwadamiam WmPana, iż przychylając się do uczynionego mi przedstawienia z zaletą Jego zdolności i gorliwości w Służbie, mianowałem Go

Podporucznikiem w półku Dowództwa W. Adama Potockiego Półkownika.

Stosownie więc do tego mianowania obecniesz WmPan stopień rzeczony, i pełnić będziesz obowiązki onego, oczekując wydania mu w czasie łatwiejszym zwyczajnego Listu służby.

Jozef Xiąże Poniatowski.

(Przypisek autora).

żeli się nie mylę miał numer 5-ty) wyruszył, skąd nie pamiętam, do Sokala, aby tam solennie zawiesić Orły francuskie. Zastaliśmy już przed urzędem owalną tarczę z wymalowanym



NOMINACJA ALEKSANDRA FREDRY NA PODPORUCZNIKA 11. PUŁKU ULANÓW.

na niej dziwotworem koloru żółtego, ceglastego. Te Orły francuskie były nie małym kłopotem dla parafialnych malarzy. W białym polskim Orle, aczkolwiek częstokroć objawiającym się na tarczy w postaci tucznej gęsi, nie można było jednak, przy trochę dobrej woli nie odgadnąć orła. Ale co do francuskich rzecz miała się inaczej — tylko podpis mógł oświecić, co to za dziwotwór, niby kogut, niby sowa. Ale mniejsza z tem. Kazano wierzyć, że to orzeł i nikt z nas pewnie nie śmiałyby powątpiewać. Trzeba było, podług przyjętego zwyczaju zacząć od nabożeństwa. Wchodzimy więc do kościoła, (zsiadłszy pierwiej z koni rozumie się) szeregi rozstępują się... w prawo, w lewo front!... I śliczny szpaler proporców rozciągnął się od drzwi aż do wielkiego ołtarza. Pułkownik poprawia sobie okulary i epolety, uszczęśliwiony tą pierwszą paradą swojego pułku. Po długiem oczekiwaniu odezwał się nareszcie dzwon przy drzwiach zakrystyi i ksiądz wyszedł ze mszą, ale mija wielki ołtarz i do bocznej udaje się kaplicy.

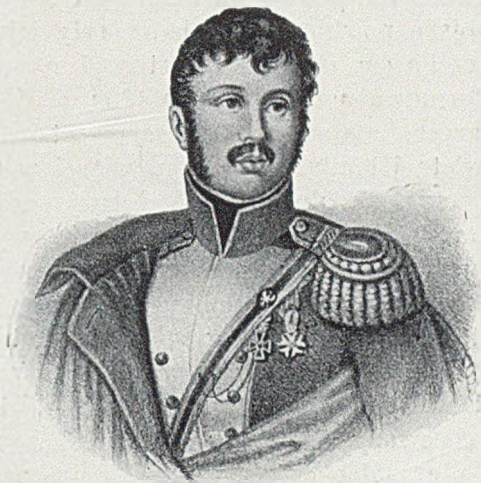
na niej dziwotworem koloru żółtego, ceglastego. Te Orły francuskie były nie małym kłopotem dla parafialnych malarzy. W białym polskim Orle, aczkolwiek częstokroć objawiającym się na tarczy w postaci tucznej gęsi, nie można było jednak, przy trochę dobrej woli nie odgadnąć orła. Ale co do francuskich rzecz miała się inaczej — tylko podpis mógł oświecić, co to za dziwotwór, niby kogut, niby sowa. Ale mniejsza z tem. Kazano wierzyć, że to orzeł i nikt z nas pewnie

Zadziwienie, oburzenie całego sztabu i całej zbrojnej siły a nawet i cywilnej władzy, — ale z księdzem i to jeszcze z księdzem w ornacie trudna sprawa, — zagrzmiało więc znowu kościelne sklepienie donośną komendą. Manewrujemy i nakoniec jakie takie stosowne zajęliśmy stanowisko. Cóż za powód tego nieprzyzwoitego i zuchwałego wystąpienia proboszcza sokalskiego przeciw woli

Napoleona Wielkiego i wojsku galicyjsko-francuskiemu? Oto ten, mały ale ważny: Proboszcz sokalski był kiedyś na probostwie w dobrach Adama Potockiego. Tam wskutek różnych zatargów i kłótni, szwagier pana Adama, pan Jan Rostworowski obraził go fizycznie i to nawet podobno w pewnej liczbie paragrafów. Stąd wynikły proces

zmusił był Rostworowskiego kraj opuścić, ale przeto nie odjął księdzu pamięci otrzymanej zniewagi. Teraz zemścił się jak mógł, — ale czy w takim usposobieniu duszy powinien był do ołtarza przystępować, to pytanie, na które nie ułanowi odpowiedzieć wypada. Koniec końców śmiał się długo pułk 11-ty z tego niespodziewanego spotkania. A teraz wracam do wojska galicyjsko-francuskiego w roku 1809.

Wojsko nowo formujące się wzięło kokardy trójkolorowe i nazwę wojska francusko-galicyjskiego, czyli (bo już nie pamiętam) galicyjsko-francuskiego. Zostawało wprawdzie pod dowództwem Księcia Józefa, ale nominacye na oficerów do nowych pułków, które podczas wojny zaczęto wydawać, wstrzymano. Największa część nowych oficerów nosiła epoletę tylko na mocy podania pułkowników. Byli więc i nie



ADAM POTOCKI.

byli oficerami. Dopiero po zawarciu pokoju, nie domyślając się, ani będąc w stanie wierzyć, jak nas i nasze zasługi Wielki Napoleon mało cenil, zostaliśmy znowu wojskiem polskiem, a część zajętej Galicyi została dołączoną do Księstwa Warszawskiego, wyjąwszy Obwodu Tarnopolskiego, który ofiarowano Rosyi, jako *douceur*, mało od niej ceniony i z widocznem niezadowoleniem przyjęty. Po złączeniu zaś finalnem wojska polskiego pod jedne orły i jedno dowództwo, armia dzieliła się *in petto* na stare i nowe pułki. Stare, które się uformowały od 1807 do 1809 i odbyły dopiero ukończoną kampanią, nowe zaś, które powstawały już po owej krótkiej, świetnej kampanii 1809 r., więcej w Galicyi do tryumfalnego marszu, niż do wojny podobnej. Jeden zwyciężał dziesięciu. Kampanii przypominającej owe wyprawy z czasów Ludwika XIV, gdzie panowie w dworskich plumażach pędzili pocztą na żniwo chlubnych wawrzynów. Ta różnica w armii, którą wkrótce zniszczyło kilka wystrzałów armat rosyjskich, była wówczas wielkiej wagi. Dęli i zadzierali nosa oficerowie starych pułków, z wyjątkiem legionistów, weterany dwuletnie. Lekceważyli i nie szczydzili ucinków równym sobie w randze, a nie znającym jeszcze zapachu prochu.

Żyłem z oficerami z czasów Kościuszkowskich. Zacząłem służyć 1809 r. Byłem świadkiem powstania 1830 r. i muszę wyznać, że w tych trzech epokach, z małą różnicą, formacye wojska tą samą szły drogą i tym samym podlegały błędom. Zamiast żeby istniejące już pułki rozdymały się i w sobie nowy żywioł umieszczały o ile tego możność dozwalała, nowe pułki zawiązywały się oddzielnie, ledwie po kilku oficerów dawniejszych przyjmując w swoje szeregi. Nieleddie każdy powiat w pierwszym uniesieniu podejmował się wystawić pułk a czasem i dwa — jak to w Żółkwi, jeden konny, drugi pieszy. Nie chciano wierzyć wielkości podobnego przedsięwzięcia, nikło też niczem nie zapewnione w samym zawiązku. Byli tacy, których znaczny majątek czynił deklaracyą z ich strony wystawienia pułku do prawdy podobnem. Ale dając im epolety pułkownikowskie nie żądano od nich złożenia a przynajmniej zapewnienia potrzebnych funduszów. Dlatego

nie jeden z nas pytał się potem dlaczego ten lub ów bez żadnej zasługi, często bez żadnej zdatności otrzymał od razu tak wysoką rangę. Pytał się i nie mógł innej wydobyć odpowiedzi: Bo miał bezczelność jej żądać. Stądto mnożyły się owe fragmenta pułków, a każdy z kompletem oficerów, stąd mały przybytek na linii bojowej, stąd czas stracony na krakwieckich manipulacjach, wydatek pieniędzy na niepotrzebne ozdoby i nareszcie brak jedności... Ale potem o tem... a zwa-



JAN ROSTWOROWSKI.

szcza i szczególnie o roku 1809-ym, o tym ostatnim polysku gasnącej narodowości w Galicyi.

A teraz wracam do mego awansu. Zazdroszczono mi go, a jednak to mniemane szczęście stało się dla mnie źródłem niezliczonych przykrości, zahamowało mnie, a potem strąciło z murowanej, prostej drogi, którą sobie zamierzyłem i którą tak raźnie zrazu posunąłem się naprzód. W ówczesnej francuskiej organizacyi wojska major (Gros Major) był niby drugim pułkownikiem, naczelnikiem administracyi pułkowej, ale pułkownicy niechętnie dopuszczali tego podziału swojej władzy. Stąd wieczna wojna. Dążność do samowładztwa z jednej,

opozycya z drugiej strony. Kiedy zakłady dwunastu pułków jazdy pod dowództwem majorów stały w Poznaniu, nazwano ten czas panowaniem Dwunastu Majorów. Teraz, kiedy powiem, że mój brat Maksymilian był majorem w pułku, w którym zostałem adjutantem majorem, więc poniekąd i adjutantem pułkownika, łatwo można pojąć, że byłem palcem między drzwiami. Brat mój był najlepszym, najuprzejmiejszym towarzyszem, zawsze starającym się komuś pomódz, usłużyć, ale z pułkownikiem Kurnatowskim trudno było żyć w zgodzie. Człowiek godny, żołnierz dobry, ale despota z podwładnymi, a niechętny przełożonym. Ciężka praca zachwiała niedościgłe jeszcze moje siły młodzieńcze. Przykrości, zmartwienia, sącząc się kropla po kropli, zaćmiły nareszcie ów świeży połysk duszy, w którym świat odbija się tak pięknie a tak nietrwale. W każdym pułku jazdy było dwóch adjutantów majorów, jeden niły do pióra, a drugi do korda; do tego dwóch albo czasem trzech adjutantów podoficerów. Ja byłem sam jeden. Zaraz na początku kampanii, mój kolega kapitan Mieroszewski był wzięty w niewolę. Adjutanta podoficera miałem tylko jednego i to pół Niemca. Służba zaś adjutanta majora jest tak rozciąglą i tak rozmaita, że trzeba się dziwić, jeżeli kto jej wydołał przez kilka miesięcy wojny. Adjutant major komenderuje całą służbą wewnętrznego porządku i zewnętrznego bezpieczeństwa obozu, stawia placówki, wyprawia patrole, dowodzi często flankierami, rozdziela furaż i żywność, a co najnieznośniejsze, pisze codzienny apel czyli stan pułku, raporta pielnastodniowe i miesięczne, nakoniec wszelkie ekspedycye. Prawdę mówiąc, niedoświadczenie podwajało mi każdą pracę, nadewszystko piśmienną. Całą noc przed dniem bitwy pod Możajskiem (którą Francuzi zowią de la Moscowa, a Rosyanie pod Borodino), staliśmy w przedniej straży, cugle w ręku — równo za dniem wstąpiliśmy do boju — słońce zachodziło, kiedy cisnąc się krzakami uderzyliśmy na lewe skrzydło nieprzyjaciela — a ciemno już było, kiedy wróciwszy na plac bitwy, zsiadliśmy z koni. Zaświeciły się ognie pomiędzy ciepłymi jeszcze trupami. Spoczął każdy, ja tylko przy świeczce trzymanej pod płaszczem kreśliłem moje raporta. Wtenczas ślubowałem na odległą przyszłość, że wystą-

piwszy ze służby przybiję na drzwiach raport i od czasu do czasu strzelać będę do niego i że pióra nigdy w rękę nie wezmę. Nie dotrzymałem i Bóg widzi żem na tem dobrze nie wyszedł.

Uszedłszy z niewoli przybyłem do Drezna. Nie chciałem wrócić do pułku, gdzie mnie czekało adjutantostwo, pomimo że zastałem krzyż wojskowy *Virtuti Militari* dany mi przez Komisję na wniosek pułkownika i pomimo że mój brat już był awansował i wziął dowództwo 9-go pułku Lancierów francuskich. Staralem się w innym jakim pułku umieścić, choćby jako nadliczbowy, ale Wojsko Polskie znacznie zmniejszone, miało o wiele więcej oficerów, niż potrzeba wymagała. Zgromadzono więc oficerów zbyszających w jeden oddział pod komendą generała *** i generała Niesiołowskiego. Nie wiem dlaczego ten oddział ochrzczono nazwą *Garde d'honneur*. Stałiśmy, mówiąc nawiasem, w miasteczku w okolicy Görlitz, którego mieszkańców nazywano



IGNACY JÓZEF MIEROSZEWSKI.

Gelbfüssler, z powodu, jak niesie ludowe podanie, że niegdyś, dawnymi czasy, gmina owego miasteczka uradziła dać Cesarzowi podarunek. Dać, dobrze, ale co? Wielki kłopot! Rada w radę zgodzono się na beczkę jaj. Jak przyszło do pakowania, gorliwi cesarscy stronnicy chcąc się okazać szczodrymi, nogami tłoczyli jaja w beczkę, przyczem oczywiście poźłócili sobie nogi. Dlatego nazwano ich żółtonogami (*Gelbfüsslerami*). Nie mniej ciekawą jest tradycya z tychże okolic tycząca się wojska saskiego. W roku 1806-ym, jednego dnia, na jednym polu padło sześć tysięcy... nie Sasów, ale sześć tysięcy saskich

harcapów, — niby zadatek przymierza z Francuzami. Był to dzień sądny, jak mówi tradycya.

Kampania 1813 i 1814 r. nie wyczerpała tego zasobu polskich oficerów. Znaczna ich liczba udała się potem do Sedan, tam pozostała do końca wojny i dopiero po abdykacyi cesarza Napoleona złączyła się ze szczupłym czynnym polskim wojskiem w St. Denis.

Wcielony 14. sierpnia w Zittau do tej szczególnej gwardyi, podróżującej po największej części wozami, bo oficerów piechoty było najwięcej, dostałem 20-go rozkaz udania się do sztabu Księcia de Neufchatel, a 22-go w Löwenberg wszedłem w czynną służbę *d'Officier Adjoint à l'Etat Major de la Grande Armée*. Francuz mówi: *Le mieux est souvent l'ennemi du bien*. Doświadczyłem tego, niestety. Unikając adjutantostwa pułkowego, wpadłem do Sztabu Głównego, jak z deszczu pod rynnę. Otóż to moi Państwo przyczyny, dla których po bitwie pod Montereau, zamiast dowództwa szwadronu, co byłbym osiągnął niezawodnie, leżałem jak długi w czóźnie, lubo nigdy najmniejszej ani chęci, ani zdatności do marynarki nie miałem.

Płynęliśmy z nurtem Sekwany, którą zwaliśmy zwykle po francusku *Seine*, co w błąd wprowadzało niejednego z naszych wiarusów od Przemyśla, że to ten sam *San* co niegdyś z Nielipkowie nosił polską pszenicę do polskiego Gdańska. Służący pana K***, który źle służył, ale pisał dziennik podróży, przyjechawszy do Paryża wciągnął w swoją księgę: »Paryż duże miasto, środkiem płynie San«. Pan K*** przeczytawszy to, napisał na marginesie: *Seine*, durniu, nie San«. Przepraszam za wyraz, ale historyczny, — styl zaś zwiastował już grzeczność terażniejszych recenzentów. Płynęliśmy więc nie Sanem ale Sekwaną. Przebiegłem myślą, co tylko można było za sobą i przed sobą. Nucilem (w myśli rozumie się) ulubione wówczas piosnki, jako to krakowiak, który wtedy robił furore w 11-ym pułku, i który pozwolę sobie powtórzyć:

Jeden mówił z drugim, a jam podsłuchała:

Żeniłbym się z kozą, gdyby posag miała.

— A ja podsłuchałem, żeś rzekła do swaty:

Poszłabym za capa, byle był bogaty.

Równie jak ten drugi zawistny miłostek i sławy żołnierskiej:

Płynie łódka, płynie, po głębokiej strudze,
Ożenię się z tobą jak z wojny powrócę.
— Nie będę ja czekać, bo kto z wojny wraca
Nie zawždy wszystkiego w sobie się domaca.

Wszystkie te wspomnienia nie wiele pomagały, zacząłem słabnąć widocznie w walce z snem, co mnie oskrzydlał coraz, coraz ciaśniej. Daremnie głowę podnosiłem, oczy otwierałem, głowa spadała, oczy się zamykały. Gwiazdy to mi gasły, to mi błyskały, a zawsze dalej, coraz dalej, coraz ciemniej. Wtem lekkie wstrząśnienie mojej nogi i przeciągnięte: Pst!... wraca mnie w świat, z któregoś się był już na pół wysliznął. Podnoszę głowę. Mój przewodnik wyciągnął rękę na lewo, trochę przed siebie, ale milczał jak kamień. Pojął on, w ciemność nie bity, że milczenie nam jak kamedulom do zbawienia było koniecznie potrzebnem. Nie mógł zapomnieć i o swoim brzuchu: ten niewiele miejsca zajmował, aby mógł być zupełnie bezpieczny, w razie gdyby jaki szeleścią ściągnął strzały w naszą stronę. Prawda, że w nocy trudno trafić, ale dyabeł nie śpi i chybnej kuli można w drogę wjechać. Spojrzałem w stronę wskazaną i postrzegłem w znacznem jeszcze oddaleniu ognie biwaków. Co chwila zmieniało się ich położenie względem nas. To nam się zdawało, że są na lewym, to, że na prawym brzegu, to, że prosto w sam ich środek płyniemy, to znowu, że nas nie powinny niepokoić, bo to jakiś obóz daleki od naszych brzegów... że nawet już niby za nami. Potem czas jakiś, wszystko znikło — ciemno — aż nareszcie skręcając nagle ujrzelśmy rzekę niby słup przed sobą. Lewy brzeg oświetlony, a prawy czarny leżały przed nami, jak dzień i noc, jak życie i śmierć. Niektóre ognie nie były daleko od wody, bo ich odbłask padał na rzekę jak poprzeczne szczeble, co się kurezyły albo przeciągały w miarę jak się płomień wznosił albo opadał. Zbliżyliśmy się jeszcze więcej do prawego brzegu. Wiosła spoczęły. Prąd nas posuwał. Słyszałem oddech grubuła. Nie było wprawdzie podobieństwa, aby nas zasłyszano — tem więcej, że ognie jeszcze świeże, cienie prze-

suwające się po przed nie, pluśnięcia wody, nareszcze i szmer dochodzący na nasze spotkanie, wszystko kazalo wnosić, że obóz był w pierwszych chwilach roztasowania, a wtenczas każdy jak w młynie własnego głosu nie słyszy. Zbliżaliśmy się — zrównali — w obozie coraz głośniejsz — w czólnie coraz ciszej. Że zaś obóz stał, a my płynęli, musieliśmy najnaturalniejszym sposobem minąć go nakoniec. Niknęły za nami powoli światełka, jak owe iskry ze spalonego papieru, na które mówiono mi w dzieciństwie, że to zakonnice spać idą. Kręcą się... biegną... jedna po drugiej gasną... wszystkie zgasły... śpią wszystkie. Ileżto drogich iskierek już nam nie zgasło!... sercu tylko świecą, świecić nie przestaną.

Noc znowu czarna zaległa świat nad nami i przed nami. Cośmy widzieli snem się zdalo. Mój urzędnik pytła zaczął głośniejsz sapać, przemówił nawet parę razy, ale jeszcze szepcąc, zapewne przez uszanowanie dla niedawnej przeszłości. Podobny w tem do dworaka, co za zamkniętymi już drzwiami jeszcze się kłania, albo co uśmiech fałszywy aż do domu przynosi. — Jesteś Waćpan pewny, zapytałem go stawiając nogę na ładzie, żeśmy Moret nie minęli? — *Ah, par exemple!* odrzekł. — No, kiedy: *par exemple*, idźmy dalej. Szliśmy obydwaj, on naprzód a ja za nim, nie bardzo spieszenie, bo ślizko i ciemno. Nareszcze światło z okna i chrapliwe: *Qui vive!* uderzyło nas razem w oczy i uszy.

Dla oficera sztabowego, pędzonego ciągle jakby złym duchem po drogach, ścieżkach, manowcach dniem i nocą, zapytanie: *Qui vive!* jest zanadto wielkiej wagi, aby mógł nie znać wszystkich tegoż odcieni. Pędząc z nocnym wichrem jak *Der wilde Jäger*, częstokroć przez niewychłódtle jeszcze pola bitwy, woła: *Qui vive!* do konia, co się o trzech nogach dowłókl do drogi — woła do drzewa, co się opodal czerni — woła czasem do niczego. Ciekawość nieustanna, ale do przebaczenia — i lis po kniei goniony pytałby się: *Qui vive!* niezawodnie, gdyby mógł przemówić. Jeżeli nawet wjedzie (oficer rozumie się) na nieprzyjacielską placówkę, jego *Qui vive!* staje mu się chwilową tarczą. Alarmuje niem drugich, kiedy sam tymczasem coła się podług metody zwanej: *W nogi!* Dlatego

Qui vive zawsze ma na języku, dlatego i sposób w jakim je usłyszy odkrywa mu wyraźnie z kim ma do czynienia. I tak: Qui vive! głośne, przeciągłe, jakby echa wyzywające, oznacza



PIKIETA.

dobrego żołnierza — zdaje się mówić: »Stój, bo ci w łeb strzelę«. Wrzaskliwe ale prędko, krótko wyrzucone zdradza rekruta — mówi: »Odpowiadaj czempredziej, bo mnie tu samemu długo stać nie miło... albo też: Uciekaj! bo ja ucieknę!« Chrapliwe nareszcie a grubym głosem wyrzeczone, znamionuje indywidualium, które niespodziewanemi okolicznościami zostało pchnięte

w zawód rycerski, podobne jest do śpiewu dziecka, kiedy musi przez ciemny pokój przechodzić. Na *Qui vive!* pierwszej kategorii nim odpowiesz, możesz zażyć tabaki. Na drugiej zaś i trzeciej odpowiadaj jak najspieszniej, bo gdzie dusza na ramieniu, tam palec na cynglu. Krzyknąłem też: *France!* aż się wzdrygnął, aż się straż cofnęła. Otwieram drzwi, wchodzę do malej, słabo oświetlonej izdebki i obraz nieraz dawniej na płótnie widziany, przedstawiający jaką scenę z rewolucyi francuskiej, stanął mi żywy przed oczy. Kilkunastu chłopów w bluzach, sabotach, ładownice przez plecy, karabiny w rękach składało malownicze grupy. Gdzieniegdzie i kapelusz stosowany odznaczał się powagą wieku i ogromną trójkolorową kokardą. Nie dostawało tam tylko wyrazu w uśmiech: *Citoyen* i napisu na drzwiach: *Ici on se tuloie. — Fermez, s'il Vous plait.* Pięta czerwieńnięła się w szklankach i na nosach, a język jak w pantoflach skłonniejszym zdawał się wymówić: *Vive la République!* jak: *Vive l'Empereur!* Omyłka wszakże, którą w onym czasie można było drogo przepłacić. Może i nieszczęsny *Gonaut* omylił się krzyząc w Troyes: *Vive le Roi!* a jednak rozstrzelano go na piękne. To było za ostro, wyznać trzeba, bo jużci każdemu wolno życzyć zdrowia komu się podoba, kichnie czy nie kichnie. Jeżeli za słowo zabijać będziemy, jakaż kara za czyn pozostanie. Ten, co zabił i ten co o tem wiedział nie są przecie równo karani... dlaczegoż?... Ja tego zrozumieć nie mogę... bo to podobno polityka.

Po krótkiej rozmowie ze siłą zbrojną, pożegnałem mego przewodnika i eskortowany przez kilku podpitych obywateli, przeszedłem wkrótce warownie i obudziłem generała kominerującego w Moret. Jeszcze komunikacya między Moret a Fontainebleau nie była pewną, dlatego generał uznał potrzebę dać mi pół kompanii piechoty, a na moje zapewnienie, że nigdy w piechocie nie służyłem i że pieszo podróżować ani umiem ani chcę, konia z pod żandarma. Cofnąłem się dwa kroki w tył zobaczywszy przed frontem mojego oddziału dromadera raczej niż konia przeznaczonego dla mnie, którego żandarm, na drugim podobnym siedzący, płaszczem granatowym wyżej nosa obwiniejący, trzymał za cugle. — *Quelle diable de rosse*

me donnez-vous là? zawołałem rozniewany. — *C'est ce qu'il y a de mieux, mon Officier*, odpowiedział żandarm. Stałem nie wiedząc co począć. Ale prędko trzeba działać, gdzie niema czasu do namysłu. Westchnąwszy zatem głęboko i wypuściwszy parę słów, które tylko życie obozowe uniewinnić może, rzuciłem się na kulbakę. Obadwa niekontenci z naszego wzajemnego stosunku, nie spieszyliśmy się rozpocząć ruchu nie nam dobrego nie wróżącego i kiedy officer dowodzący oddziałem piechoty spytał mi się, czy można ruszać, kiwnąłem tylko głową z wysokości mojej, jak komandor kiedy przyjmuje zaproszenie Don Juana. Mój towarzysz podrzędny przyjął pierwszą odezwę mojej ostrogi z wszelką obojętnością. Ale ledwie kilka kroków uszedł, już pot na mnie uderzył. Zdrajca! podkowy miał scheltane albo może od urodzenia bez ocyłów...

Dziwna rzecz, że tak wiele myślą o sposobach niszczenia sił nieprzyjacielskich, a tak mało o zachowaniu swoich własnych; nie mówię w boju, ale w wojnie i szczególnie co do kawaleryi. Dla pułkownika jazdy wszystko jedno stracić człowieka czy konia — strata tak jednego jak drugiego uszczupla szeregi. Człowiek z koniem, niby centaur, jest dopiero jednostką w kawaleryi. Konie mojem zdaniem nie dosyć doznają starania i opieki. Więcej koni ginie w czasie wojny z powodu okulbaczenia i okucia niż od kuli. Jak są rezerwy i lazarety dla ludzi, tak powinny być i dla koni. Koń uszkodzony jakim bądź sposobem z powodu okucia, mógłby ozdrowieć w kilku, a odsedniony w kilkunastu dniach. Zaniedbany zaś, nie usunięty z pracy musi wkrótce stać się nieużytecznym i później marnie zginąć. Po kilku miesiącach kampanii zgroza zajrzeć pod kulbaki. Smród z jątrzących się pod nieustającym naciskiem ran ciągnie się wzdłuż maszerującej kolumny. Trzeba się tylko dziwić, jak zwierzę może znosić i to czas długi takie męczarnie. Ale wszystko ma swoje granice — koń cierpi, chudnie, słabnie i koniec końców ginie. Dostarczają amunicyi, dla czegoż nie dostarczają od czasu do czasu derek i kulbak na miejsce zużytych i popsutych. Trafia się niedbały żołnierz i nie wie, że terlica pękła, a przeto konia naciska. Terlice powinny być ze stosownego i suchego materiału, równie jak i umie-

jętnie zrobione. Przy nowych formacyach, gdzie dawnych terlic magazyny dostarczyć nie mogą, lepsze są siodła. Oficerowie mało zwracają uwagi na okulbaczenie. W wojsku polkiem w 1812 r. było nie dobre. Niemniej ważną jest rzeczą okucie. Im więcej koń strudzony tem lepszego wymaga okucia. Im słabszy, tem łatwiej się ślizga, tem ciężiej upada. Widziałem konie Grenadyerów Konnych Gwardyi Cesarskiej, karmione lepiej i więcej szanowane niż konie jazdy liniowej, które padłszy jakby piorunem uderzone, już więcej nie wstały. Podkowy z hufnalami powinnyby mieć swój osobny wóz, zawsze być pod ręką. Prócz tego każdy żołnierz jedną podkowę w torbie trzeba aby zawsze miał. Każdy powinien umieć przymocować podkowę. W czasie pokoju byłoby bardzo łatwo pomnożyć liczbę, nie mówię dobrych kowali, ale umiejących w potrzebie róg wybrać i podkowę przybić. Doświadczyliśmy jaki był zawsze ścisk przed miejscowemi równie jak i wojskowemi kuźniami. Złotem trzeba było czasem opłacić podkowę, która na prędcie sklejona, na prędcie przybita długo trwać nie mogła, a zwłaszcza wtenczas, kiedy była najpotrzebniejszą, bo na kamienistej albo grudzistej drodze. Parę dni przed bitwą pod Hanau jestem posłany do generała Bertrand. Dojeżdżam do aryergardy, do ostatnich jej tyralierów, nikt o nim nic nie wie. Znaleźć go nie mogę. Nareszcie po całodziennej gonitwie za łada białym dymem, wracam na kulawej klaczy; — podkowę zgubiła. Niedosć okuć nie mogę aż w Frankfurcie. Róg obłamany kowal zagwałdża. W kilka tygodni później, wychodząc z Moguncyi, musiałem tę klacz, ową szpawką chimeryczkę, ale zresztą bardzo dobrą, zostawić w opiece oficera Polaka będącego przy sztabie marszałka Kellermana. Tyle też widziałem moją klacz i mego kolegę.

Wszystkie te uwagi na moim żandarmskim dromaderze nie wiele mi pomagały. Jak na łyżwach wsuwałem się coraz głębiej w rozciągly bór między Moret a Fontainebleau. Wiatr grał po żebrach a zęby dzwoniły. Ani pomyślałem gdzie byłem. Szum drzew nie przynosił fantazyi mojej ani lubieżnych westchnień dworzanek królów francuskich, ani odgłosu myśliwskiego rogu, ani radosnego Halali, któremi niegdyś żyły

te sławne lasy, miejsca ulubione królewskich łowów. Kląłem tylko i niema się czemu dziwić. Wojna czyni prozaicznym. Przeszłość jest to pole, po którym żołnierz nie lubi harcować i przyszłość — prawdę mówiąc, nie chętnie zmierza — korytna za blisko — jutro nie jego — trzeba się czasem i z dyabłem podzielić. Czas więc obecny żywiołem żołnierza — jak ryba, co się w ziemię nie spuszcza, ani wznosi w powietrze, ale płąsa po wodzie, w nim on się zwija i w nim żyje. Co mam, trzymam, czego nie mam, biorę — co było, to było — co będzie, to będzie... A ty ruszaj szkapo, bo mi zimno kaducznie, bo już noc na schyłku, bo już widzę i cel mojej podróży.

General komenderujący już nie spał — może wyszedł ze szkoły mojego niegdyś pułkownika Kurnatowskiego, który mi mawiał: Ech! adjutant-major nigdy spać nie powinien. — Przyjął mnie uprzejmie, poczęstował winem i prędko wyprawił. Potem obudziłem burmistrza. Zerwał się od żony szczękiem pałacza przestraszony, a mnie niegodne uczucie głasnęło po sercu, że mogłem kogo z wygodnego wyciągnąć łóżka. Wyszedł do kancelaryi, otworzył ekspedycyę, którą mu wręczyłem, włożył okulary i cicho, a potem głośno przeczytał: L'Ennemi a été culbuté... douze canons... cinq mille prisonniers... etc. etc... O, czcigodny burmistrzu! Jak pięknym byłeś w tej chwili! Pamiętam twój nos, pamiętam kwiaty twego szlafroka. Widzę cię, kiedy sparty jedną ręką na urzędowym stole, spuściłeś drugą z listem aż do kolana i wzniosłszy oczy ponad okulary zaplakaleś z radości. Aktuaryusz także zaczął mrugać, a czy tam czego nie wyciśnie — a ja, rozparty w wolterowskiem krześle, twardo zasnąłem.

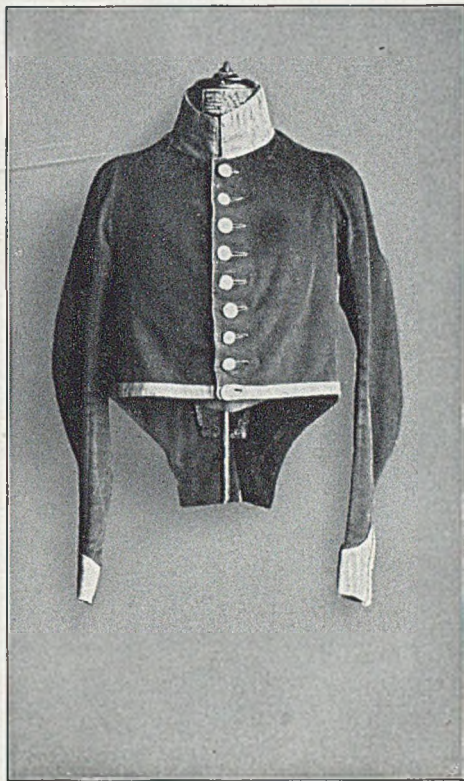
Jużto zapewne domyśliliście się laskawi moi słuchacze z niejednego miejsca mego opowiadania, że spać lubilem. Tak jest, nie zaprzeczam, lubilem. Głód i pragnienie były dla mnie mniej przykre, jak bezsenność. Proszę jednak nie wnosić z tego, że byłem ospalym, — wcale nie. Ja byłem w tym względzie podobny do pijaka, co lubi pić dużo, ale się nie zapija. Dwa razy tylko przekroczyłem granice i ciężko skarany zostałem. Pierwszy raz kiedy straciłem mój płaszcz biały, o którym już

wspominałem i którego utrata ściągnęła na mnie najdotkliwsze cierpienia, cierpienia zimna. Drugi raz (który właściwie powinienym nazwać pierwszym, bo ma chronologiczne pierwszeństwo), kiedy w samych początkach mojej służby wojskowej jechałem kuryerem z Krystynopola do głównej kwatery Księcia Poniatowskiego.

O płaszczu muszę zacząć z samego początku, podobnie jak się zaczyna śpiew o Krzywoustym: *Jeszcze Bolesław był małym dziecięciem...* Ale nie Bolesław, ani też płaszcz, ale ja byłem jeszcze dziecięciem, kiedy do mojej ciotki Ruckiej, mieszkającej w *Mały*, przyjechał pan Bogusz, gwardzista galicyjski, będący na urlopie w sąsiedztwie. Przyjechał konno w stosowanym kapeluszu z kitką i w kolistym płaszczu. Od tego czasu kapelusz z kitką i płaszcz kolisty uczepliły się mojej głowie i stały się celem gorących życzeń. Po wszystkich kopertach i na każdym świstku rysowałem siebie jako wojskowego — ale czy to atakującego, czy tryumfującego, zawsze z kitką, zawsze w płaszczu. Z dzieciństwa więc uniosłem miłość do kolistego płaszcza i zachowałem ją po części i w późniejszym wieku. Zbliżyłem się wprawdzie do ideału mego, wstępując do 5-go pułku Strzelców konnych, ale przecie nie osiągnąłem. Przyniosłem ze sobą z pułku ułanów płaszcz granatowy z długim kołnierzem, który przemienić na biały kolisty, stan finansów nie dozwolił. Dopiero wróciwszy z niewoli sprawiłem sobie we Lwowie płaszcz biały, kolisty, z zielonym stojącym kołnierzem i pomarańczową podszewką z przodu. Został on dla mnie zupełnie niestosownym, kiedy przeszedłem do sztabu, ale nie miałem serca rozstać się z nim, tak był ciepłym, tak wygodnym. A teraz katastrofa. W odwróceniu wojsk francuskich po bitwie pod Lipskiem, przybywamy do Gotha. Jestem na służbie, zdejmuję płaszcz, składam w salonie służbowym i idę zobaczyć, co się dzieje z mojami końmi, gdzie umieszczone i czy mają wygodę. Wracając spotykam kapitana Jankowskiego ze szwadronu służbowego Chevauxlegerów gwardyi komendowanego przez mego brata Seweryna.

Jankowski był wówczas (lubo to nie ma do rzeczy, ale o Jankowskim przemilczeć nie mogę), jednym z najdziel-

niejszych subalternów pułku. Przy końcu ostatniej kampanii 1814 r., został szefem szwadronu razem z Zielonką w uformowanym polskim pułku pod nazwiskiem *Eclaireurs de la Vieille Garde*. Po abdykacyi cesarza Napoleona i kiedy szczątki wojska polskiego pod opieką cesarza Aleksandra odeszły z Francyi, Jankowski pozostał w Paryżu, aby wszystkich Polaków rozrzuconych po pułkach i lazaretach francuskich zebrać i do kraju odprowadzić. Powrót Napoleona z Elby przerwał to zlecenie i jak nie miał przerwać, kiedy i Kongres Wiedeński placu nie dotrzymał. Polacy ubóstwiali Napoleona. Żaden nie pomyślał nawet, aby można nie wstąpić w nowo zbierające się hufce pod odrodzonym cesarskim orłem, orłem do którego zawsze mieli tyle pociągu, ile wstępu do moskiewskiej opieki. Jankowski jeden wymawiał się słowem danem cesarzowi Aleksandrowi i sam żądał paszportu do Polski. Nie odmówił mu go Napoleon, ale mniemał, że może zaufać oficerowi swojej gwardyi i Polakowi — powierzył mu więc list do Maryi Ludwiki. Jankowski przyjął list i oddał... cesarzowi Aleksandrowi. Czy to prawda, rzeczy nie mogę; ale takie było wówczas ogólne mniemanie. Założył sobie tym czynem silny szczebel do przyszłych awansów. Dostał wkrótce pułk jazdy,



MUNDUR 5-GO PUŁKU STRZELCÓW
KSIĘSTWA WARSZAWSKIEGO.

cerowi swojej gwardyi i Polakowi — powierzył mu więc list do Maryi Ludwiki. Jankowski przyjął list i oddał... cesarzowi Aleksandrowi. Czy to prawda, rzeczy nie mogę; ale takie było wówczas ogólne mniemanie. Założył sobie tym czynem silny szczebel do przyszłych awansów. Dostał wkrótce pułk jazdy,

ale stracił w szacunku współkolegów. Wojna powstania narodowego 1831 r. zastała go generałem brygady. Osłabiony jego stan zdrowia, a może niezdolność do znacniejszego dowództwa, spowodowały błędy, które zniweczyły wyprawę przeciw Rydygerowi, a które niesłusznie za zdradę poczytane, stały się przyczyną okropnej jego śmierci z rąk rozuzdanego motłochu 15-go sierpnia w Warszawie.

Nim więc Napoleon abdykował, nim monarchowie dernęli z Kongresu, nim Jankowski umęczony skonał, spotkałem



ANTONI JANKOWSKI.

go w Gotha na ulicy i taka rozmowa wszczęła się między nami: Jak się masz? — Jak się masz. — Dziwne też to polskie powitanie, złożone z dwóch pytań a żadnej odpowiedzi. Jest ono podobne do rozmowy na królewskich pokojach. Najjaśniejszy Pan robi parę kroć sto tysięcy zapytań nie dbając i o jedną odpowiedź. A jednak lud polski tak piękne ma wyrażenie przy powitaniu: Daj Wam Boże dobry dzień; albo: Bóg z Wami. I czyż może być piękniejsze, czyliż nie zawiera

w sobie wszystkiego, czego życzyć można. Ale my wolimy formę bez duszy — poczwarkę z motyla, albo cudzoziemskie *Bonjour*. Po przywitaniu się z Jankowskim, mówiliśmy dalej. — Gdzie idziesz, zapytał. — Na służbę, odrzekłem, a ty? — Ja do obozu, ale twój brat, mówił, lepszej niż my użyje wygody — rozciągnął się jak położnica pod zieloną kotarą na szerokim łożu. Westchnąłem głęboko na ten obraz, a on, jakby zły duch kusiciel wstąpił w niego, wskazał mi blizki dom i dodał: Jest tam i drugie łóżko, jakby dla ciebie. — Pójdę przynajmniej popatrzeć się, rzekłem. — Bądź zdrow. — W istocie poszedłem, pomacałem posłanie, tak jak głodny, kiedy pieczeń wacha i nie mogąc oprzeć się pokusie, biegnę czempredzej do sa-

lonu, melduję adjutantowi komenderującemu, że mi koń uciekł, że go szukać muszę i idę, lecz nie szukać, bo znalazłem, i nie konia, ale łóżko takie, jakiego od kilku tygodni nawet widzieć mi się nie zdarzyło. Zanurzyłem się wkrótce w puchu, nos mi tylko spłynął. Śpij zdrow, panie kapitanie, a my tymczasem powiemy, jaką była pod ten czas ogólna postać rzeczy.

Zgon księcia Poniatowskiego pod Lipskiem osierocił wojsko polskie w całym znaczeniu tego słowa. Zarzucają Polakom, że są niesforni, że trudno nimi rządzić. Mnie się zdaje, że bardzo łatwo, byle rządzić z konia i z szablą w ręku. Więcej natchnienia, niż rozważli zwykliśmy słuchać. Zgromadzamy w jedną osobę wszystkie nasze wymagania, całe nadzieje nasze, w niej zamykamy całą sprawę, — czynimy ją poniekąd fatum naszym. Niem był Kościuszko, Poniatowski i charakteru tylko Chłopickiemu a talentu Skrzyneckiemu niedostawało, aby się utrzymać na szczycie, na które ich barkami narodu parło przeznaczenie. Dlatego to każdy upadek podobnej gwiazdy roztopia do razu łączący nas cement, ogół rozkłada się w cząstki, rozumowania wyradzają się w zatargi i trwają, póki jaka nowa iskra nowego entuzjazmu nie zapali i na nowo nie zacznie lutować. Nie mamy w sobie wielkiej wzajemnie przyciągającej się siły — przeciwnie, antylączne usposobienie jest główną naszą wadą. Każdy chce robić swoją głowę — pracuje często w krwawym pocie czoła, ale póki sam. Zaledwie jaka zawiąże się asocjacja, już więdnie w zawiązku. Jeden spuszcza się na drugiego, a co więcej, jego zapal stygnie w miarę wzmagającej się gorliwości drugiego. Dlatego gwałtowny tylko wir może łączyć rozstrzelone siły. Ale natenczas neutralizuje się indywidualna działalność, energia. Duch władzy ubóstwionej porywa nas, ale nas nie przenika wskrós, stoi poniekąd zawsze osobno. Raz w prądzie, niech nas prąd niesie, my ręce zakładamy. Nie przegrana pod Maciejowicami, ale wzięcie Kościuszki, pomimo, że on nie miał znakomitych zdolności wodza, zadało śmiertelny cios ówczesnej sprawie. Książę Józef byłby na koniec świata szedł za Napoleonem a wojsko polskie za nim. Zginął a z nim i duch jego. Każdy wrócił do siebie samego i nie

mógł się zrozumieć. W ostatniej walce niepodległości narodowej zamknęliśmy cały byt Ojczyzny w Warszawie. Warszawa upadła, a wojsko niezwyciężone rozchodzić się zaczęło. Bo nie z własnego przekonania przedziemy istotę rzeczy, du-



ANTONI KS. SULKOWSKI.

cha sprawy — ale przyjmujemy go za pomocą chwilowego uniesienia, za pomocą jednej indywidualności albo przedmiotu, którym to uniesienie zaufać kazalo.

Książę Antoni Sulkowski objął tymczasowo dowództwo wojska polskiego. Nie posiadał on ani ufności, ani przywiązania podkomendnych. Nie miał przymiotów ani na wodza, ani na Naczelnika Narodu. Te dwie władze zlewały się już

bowiem potrosze w jedną. Na ostrzu szabli unosili już wtenczas Polacy po raz drugi był swojej Ojczyzny. W roku 1806 został Sulkowski pułkownikiem 9-go pułku piechoty, czyli raczej dozwolono mu go formować, bo się nazywał Sulkowski, tak jak adjutant Napoleona, poległy w Egipcie. Pod Ocaud w Hiszpanii, kiedy przełamane linie francuskie ustępowały w nieładzie, młody Sulkowski chwycił sztandar 4-go pułku polskiej piechoty, zawołał: Kto Polak za mną! I tak dzielnie natarł na czele zgromadzonego oddziału, że odzyskał stracone stanowisko i w bitwie tego dnia wyjednał zwycięstwo. Opromieniony sławą tego świętego czynu, dostał w 1812 r. dowództwo brygady jazdy, złożonej z 5-go pułku Strzelców konnych Kurnatowskiego i 13-go Huzarów Tolińskiego. Ta brygada z drugą pod komendą generała Tyszkiewicza złożoną z 4-go Strzelców konnych Dulfusa i 12-go Ułanów Rzysszczewskiego składały dywizję jazdy 5-go korpusu. Komenderował nią z początku generał Kamiński, później generał Sebastiani, a na koniec generał Lefévre-Desnouettes.



JÓZEF TOLIŃSKI.

Sulkowski jakkolwiek uprzejmy, pełen honoru, odznaczającej się odwagi, nie umiał pozyskać ufności podwładnych jako dowódca brygady. Oficer piechoty zapominał często, że jazdą dowodzi. Nieraz płaciliśmy krwawo infanteryjskie jego obroty. Kiedy zaś, już generałem dywizyi, otrzymał tymczasowo dowództwo szczytków ósmego korpusu z ubliżeniem starszeństwa wielu generalów, nie pojął jak świętą drogę szczęście mu otwierało. Cement w szeregach topił się coraz to bardziej. Wojsko sejmikować zaczęło... Gdzie idziemy? Po co? Król saski jest naszym księciem, któż nas upoważnił iść z Francuzami, z Francuzami, którzy wtenczas jeszcze kiedy

mogli, okazali się tak skąpyimi nawet w udzielaniu nadziei Polsce?... Czy znowu będziemy formować legiony, aby potem od ręki do ręki jak najemnicy przechodzić? Czy znowu w St. Domingo szukać będziemy Ojczyzny naszej? Zawsze opuszczani przez Francuzów, zawsze jednak ciśniemy się do nich. Księ-



EDWARD ŻÓŁKOWSKI.

stwo nasze istnieć przestanie samo przez się, jeżeli jego wojsko pod obcym niebem, za obcą sprawę wyginie do szczytu. Takie były zdania, rezonowania, a wielu nie czekając na co się ogół zgodzi, zostawało po drodze... dali się brać w niewolę.

Najboleśniejszym razem dla dobrze myślących, a najgorszym przykładem dla chwiejących się było rozejście się (by właściwiej nie powiedzieć) batalionu piechoty, który w Dreźnie z wojska polskiego wybrany, został wcielony do Starej

Gwardyi. Komenderował nim pułkownik Kurcyusz, i jeden z pierwszych z adjutantem batalionu Łęckim czy Łackim *doszli się w niewolę*. W 1811 r. Kurcyusz był szefem batalionu 3-go pułku piechoty Żółkowskiego, a Łacki ze złamanym nosem adjutantem Stasia Potockiego. Sulkowski, chcąc jak się zdaje powściągnąć cząstkowe uszczuplanie się szeregów, zachęcał jeszcze do wytrwałości przyrzekając, że za Ren nie przejdzie i w samej rzeczy podał dymisję i został w Gothia. Co Sulkowski chciał osiągnąć tym swoim czynem, trudno zgadnąć, ale można z pewnością powiedzieć, że jeżeli zblądził, to pewnie nie z osobistego interesu. Mówiono nam, że miał pierwszej długą rozmowę z Cesarzem i że Cesarz zniecierpliwiony niewczesnymi uwagami, pożegnał go słowami, za które i ukłon był zbytkiem grzeczności. Po rozmowie ze Sulkowskim Napoleon zgromadził oficerów korpusu polskiego i następującej mniej więcej treści miał do nich przemowę: »Nie idzie mi o waszą pomoc.



GABRYEL RZYSZCZEWSKI.

Kilka tysięcy Polaków nie przeważy szali losów. Nie myślcie, że sprawa Francyi stracona. Fortuna jest to frajerka... dziś temu, jutro tamtemu użyczą swoich pieśczoł. Czy mnie widzicie zmienionego? Czy nie jestem mężczyzną? Jeżeli mnie odstąpicie, rozwiążecie przez to od razu sprawę Polski i może na zawsze. Jeżeli zaś zostaniecie wierni orłom francuskim, natenczas przy zawieraniu pokoju obecność wasza zmuszać będzie, aby was nie zapomniano«.

Jakkolwiek dla wojska polskiego rzadkiem było zjawieniem przemowa ubóstwianego bohatera, trzeba przyznać, że tym razem przyjętą została dość ozięble. Może dlatego, że Napoleon używał wyrazów wyległych w najbrudniejszej korde-

gardzie. Zdawało się, jak gdyby chciał zniżyć do najgłębszego poziomu, aby być zrozumianym. Dlatego nie zostaliśmy ani zaszczycceni, ani rozweseleni i niebardzo przekonani, ale po największej części upokorzeni. Cesarz nie mówił do wojska, ale do narodu, o tem zapomniał. Nie porywcze więc zapewnienie Sułkowskiego, które wszakże za poświęcenie się policzyć mu trzeba, ani też Napoleona areyrubaszna mowa, ale li instynkt honoru wkorzeniony w serce polskie nie dozwalał opuszczać sprzymierzeńców w złej dobie i utrzymał pod sztandarem szczątki naszego wojska.

Książę Józef Poniatowski nie miał wprawdzie znamienitych zdolności jako wódz — wiedzieliśmy o tem, a jednak pociągał ku sobie silnie serce żołnierza. Może w części i dlatego, że to co Polaka zawsze zachwyca: odwaga, postawa, ruch, sposób wyrażania się, były czysto narodowe, przeciągnięte wszakże polyskiem zachodniego rycerstwa. Na dzielnym koniu, dzielny jeździec, nieugiętego męstwa, świetnego honoru, pięknej postaci, wąs czarny, czapka na bakier, był ideałem polskiego wodza. Gdyby był nad brzegiem piekła krzyknął: za mną dziecil w piekło skoczono by za nim. W innych zaś chwilach życia urzeczywistniał wyobrażenie wyniosłych, czystych i pięknych cnót rycerstwa. Kwileckiemu, który paszkwil napisał na całe towarzystwo warszawskie rzekł: »Masz szczęście, żeś mnie w nim umieścił, bo hym tej niegodnej czynności pewnie nie przebaczył«. Wejrzenie jego było nad wszelkie pojęcie ujmującym, głos przyjemny, uśmiech pełen duszy, pełen wymowy — ten kogo nim obdarzył zdawał się słyszeć słowa pociechy i zachęty: Znam cię... dobrze bracie... Honor i Ojczyzna! — Poznałem go w Trześni pod Sandomierzem.

Granatowy półfraczek na jeden rząd płaskimi metalowymi guzikami zapięty. Palasz na czarnym rzemieniu przez plecy przewieszony. Łeb rudy, a na łbie kapelusz stosowany składany, zwany *Claque*, z ogromną białą kokardą... Takim byłem, tak mnie maluj, kiedy 1809 r. pierwszych dni czerwca wysłano mnie ze Lwowa, abym zamawiał konie dla deputacyi galicyjskiej jadącej do Księcia Józefa, którego główna kwatera była podówczas w Trześni pod Sandomierzem. Figura moja

musiała być ucieszną, trudno temu zaprzeczyć, zwłaszcza ten przeklęty kapeluszałowy dotychczas, jak zgryzota sumienia mego sny moje swobodne. Z tem wszystkim, honorem mogę zaręczyć, że z wielu kuryerów, posłów, ambasadorów, których w późniejszym życiu widzieć mi się zdarzyło, żaden nie miał tak buńczucznej, tak szeroko tryumfalnej miny, jak ja, aspirant podporucznikowstwa na chłopskim wózku rozparty. Żaden nie gromił wejrzeniem wszystkiego, co niemiecczyzną trąciło. Żaden tak głośno jak ja nie przemawiał, powtarzając co mil kilka rozkaz, aby dwanaście koni stało w pogotowiu dla deputacy galicyjskiej... Pod karą śmierci... rozumie się... (formułka naoczna w modzie). Wójci, burmistrze, ekonomowie słuchali w pokorze, ale nie wszyscy dany rozkaz wykonali, a przez to żyli potem długie lata, mieli dużo dzieci i dobrze im się działo.

Było też to wtenczas i z czego rosnąć... czem puszyć. Była to wiosna roku, wiosna mego życia, wiosna chlubnego zawodu, wiosna odradzającej się Ojczyzny. Jechałem po trzaskach dwulbistych Orłów. W Jarosławiu nawet ujrzałem już nad odwachem na prędce wymalowanego Orła białego. Mógł być wprawdzie i za gęś być wziętym — ale któż na to zważa. Sercem a nie oczyma patrzyłem na ten obraz droższy, miłszy niż wszystkie dzieła Rafaela. Jechałem, wszędzie szlachta patriotyzmem rozgorzała. Żydzi: Vivat! krzyżujący — spodziewali się świeczkowego nie płacić. Chłopsko obojętne. Wszędzie Niemcy pochowali czerwone krymki i po polsku witali, po polsku żegnali, a co trzecie słowo: »Moczi Doprodżeju«. W żadnym wieku Germany tyle słów słowiańskich nie wyekspensowali, ile w kilku miesiącach 1809 roku. Polacy byli za szczęśliwi aby mogli myśleć o zemście, lubo nie brakło powodów za doznane uciski i zniewagi. Najwięcej jeżeli który kazał Szwabowi kańczug powąchać. Tylko Szumlański, były major polski, kazał w Tarnopolu wykroić z tarcie konia i na grzbiet dwucalowy wsadzał urzędników cyrkularnych, a Żydzi zbiegali się z sianiem »dla kobyłki pana Kreiskomisera, aby pan Kreiskomiser zdrów jechał«.

Za przywróceniem rządów austriackich, Niemcy galicyjscy domagali się zemsty. Między innymi niejaki Weinroter

krzyczał na sesyi gubernialnej, aby dla przykładu choć jednego Polaka powieszono. A na zapytanie kogo wybrać z tylu winnych — Den Ersten Besten, rzekł. Zum Beispiel... I wzniosłszy się na krzesło, spojrział w okno... Zum Beispiel den Antoniewicz, bo właśnie Antoniewicz po przed okna przechodził.

Nie mścili się Polacy, bo byli wówczas szczęśliwi obecnością, a nadzieją bogaci. Nie mścili się, bo dla Polaka nieprzyjaciel zwyciężony, rozbrojony, bezsilny, przestaje być nieprzyjacielem. Nie mścili się i Niemcy galicyjscy...

Nota: Niemiec galicyjski zajmuje wprawdzie w historii naturalnej miejsce jak wyłączna rasa czyli zawód, jak to na przykład rasa pudłów albo tybetańskich capów, ale właściwie jest to rasa zwiedziona. Nienawiść do Słowiańszczyzny, do krajów, których sokami żyją, daje prędzsy bieg ich krwi i przemienia Ur-flegmę teutońską w innego rodzaju męty. Koniec Noty.

Nie mścili się mówię i Niemcy galicyjscy, bo wiedeńscy stali jeszcze pod wpływem europejskiego Oberprofesora i Arcybatożnika. Austriacy nie lubili i nie lubią Francuzów... bo za cóżby ich lubili? Boją ich się i bardzo słusznie, a jednak ich narodowość przyjęła odcisk znieprawionej francuszczyzny. Mieszczanie uczą dzieci po francusku, mody francuskie wyrugowały *die goldene Haube*. Co francuskie, to dobre, to piękne, to poszukiwane tak od wyższych jak i średnich klas towarzystwa. Po szynkach wiedeńskich tańczą kadryle francuskie, teatry przedstawiają najczęściej powykrzywiane francuskie wodewile.

Kiedy w pięć lat po ostatnich odwiedzinach Francuzów jechałem przez Austryę, spytałem postyliona dlaczego nie trąbi. Odpowiedział: Die Franzosen haben es nicht gerne. — I teraz zwłaszcza w Styryi trzaskanie z biczów zastąpiło urzędowe trąbienie z niemalą dolegliwością podróżnych. Na koźle trudno usiedzieć i ledwie z pistoletem w ręku trzeba bronić twarzy od francuskiej, a niezgrabnie naśladowanej trzaskomanii.

Bali się Austriacy Francuzów, ale zdaje mi się, że nie tyle, ile się teraz Moskali boją — a co najgorzej, że najwięcej boi się wojsko.

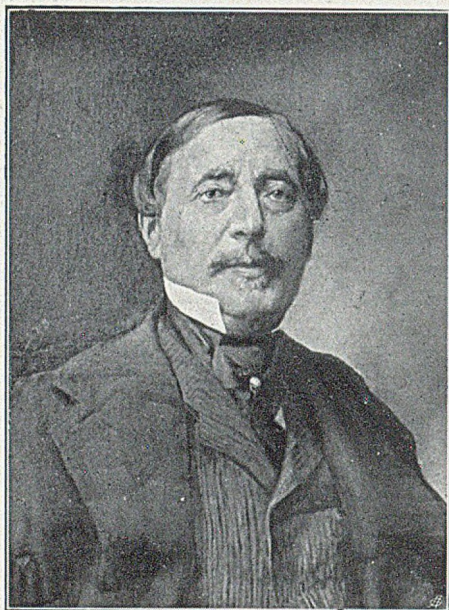
Burza 1809-go r. przeszła Galicyę bez wielkiego wstrząśnienia dawnego stanu rzeczy. Kilka tylko krwawych śladów zostawiła po sobie. Siedliski, obywatel w Przemyskiem chciał w swoim domu stawić odpór wracającemu nieprzyjacielowi. Zamknął bramę, z poza płotu strzelił do luzarów. Ale że brama zamknięta nie zmienia, dlatego iż w Polsce zwykle bywa otwartą, domek szlachecki w nieprzystępny Gibraltar... że jeden wystrzał choćby z kremlńskiego moździerza, w którym sypiali francuscy grenadyerowie z bronią, bermycą i harcapiem razem, nie może zabić i pogrzebać wszystkich nieprzyjaciół, otworzono bramę i zbyt zuchwałego patriotę rozsiekano na miejscu. Na Podolu zaś Kopystyński, brat Wincentego, tłumacza Fedry i Andromaki, wzięty z bronią w rękę, jako dawniejszy oficer w służbie austriackiej został przez sąd wojenny skazany i rozstrzelany. Oficerowie bowiem austriacy występując ze służby, podpisują zobowiązanie się, że nigdy przeciw Austrii służyć nie będą. Te więzy dożywotnie włożone na człowieka, za to, że z własnej woli wstąpiwszy w szeregi, zasłużył stopień oficera, są nie do pojęcia. Jest to nawet bezskutecznem nadużyciem władzy.

Był także na śmierć skazany Kajetan Horodyski, otrzymał jednak ulaskawienie, ale na miejscu egzekucyi. Wzruszenie jednak doznane spowodowało później obłąkanie, w którym życia dokonał. Żona jego z domu Krasieńska, zaślubiła potem mego brata Juliana i wkrótce owdowiała powtórnie. Dziwnem na tym świecie zjawiskiem, jej dusza, w którą los przez pół wieku sączył najzjadliwsze gorycze, nie zachowała ich ani kropli. Żyje tylko dla drugich, niezmordowana w użyczeniu pomocy, nie pojmuje nawet, aby to mogło być zaletą. Za tyle cnoty a tak skromnej, a tak cichej, tak pełnej, Bóg tylko jeden może mieć w rękę stosowną nagrodę.

Co spotkało Horodyskiego mogło było i mnie spotkać w moim balowym kapeluszu, wszystkich nas bowiem łączących się z wojskiem polskiem uważano za powstańców i jako takich karać miano przedsięwzięcie. Ale któż o tem myślał?! A ja najmniej między Rozwadowem a Sandomierzem.

Jednego poranku, *nie pił Zefir rosę z rumianku*, jak po-

wiada Pajgert, ale ja, pan Fredro, strudzony pierwszą bezsennością na wózku, folgowałem w obrazach bojów, sławy, wolności i niepodległości Ojczyzny, które myśl wywijalała z nieskończonego kłębka. Cisza lasów otaczająca mnie w koło i ruch kuryerskiego pośpiechu dwóch szkap brnących w piasku uluły nareszcie wrzące moje nadzieje w spokojny i głęboki



EDWARD FREDRO.

sen szesnastoletniego młodzieńca. Sparłem głowę na półdrabku, a nogi, zbrojne w srebrne przypinane ostrogi, wzięte z Beńkowo-Wiszniańskiego lamusu i które pewnie zdobyły niegdyś szeroką piętę jakiego rotmistrza kawalerii narodowej, wyglądały z pod lokci mojego woźnicy. Spałem, spaliśmy nawet oba jak się później wykazało. I kto wie czy sny nasze wyparte z przeciwnego, a przynajmniej z nierównego usposobienia duszy, z tak odległych od siebie uczuć nie spływały w świecie uludy w jaki jeden wspólny zakres. Może

mnie się śniło, że sparłem się na chłopku jak na bracie. Może on marzył, że jął mnie w objęcia jak brata, że z ufnością w łączne siły spoglądaliśmy spokojnie na jutrzeńkę, co po nad odlogi, zwaliska, cmentarze ozlacała nowe, nowego kształtu budowy. Może to był sen, a może kiedyś stanie się rzeczywistością, a ja tymczasem jak dziecko, gdy piastunka zadrzymie i kolebka stanie, jak mielnik, kiedy pytel zamileczy, przebudziłem się nagle ustaniem wszelkiego ruchu. Otworzyłem jedno, potem drugie oko, wyciągnąłem w górę prawicę z moim ukorkowanym kapeluszem, jak gdybym chciał krzyczeć: Vivat!

i spojrzalem po sobie i w koło siebie. Mój auriga leżał na moich kolanach wygodniej niż ja na półdrabku. Szkapę w kuryerskiej pogoni zeszyły z prawej drogi i nim losy Ojczyzny rozstrzygną się pod Sandomierzem pasły się spokojnie nad rowem.

— A no! — krzyknąłem ja. — Wio! krzyknął on i ruszyliśmy, nie powiem z kopyta, ale rozsądnym truchtem.

Jedziemy, jedziemy... W tem dalekie armat wystrzały szybko powtórzone i po kilku minutach ciszy znowu powtórzone... i znowu i znowu, obwionęły mnie jakby świeżem życiem.

Jakie ten odgłos sprawił na mnie wrażenie, jakie obudził uczucia, trudno lepiej jak gminnym wyrazem wysłowić, to jest, że urosłem na trzy piędzi. Jakkolwiek strzały głoś mi tylko przesyłały, były to jednak strzały śmierć niosące i jako takie pierwszy raz przezemnie słyszane. Stawały się poniekąd pierwszym chrztem studenta na żołnierza. Wkrótce i białe bałwany dymu pod miastem, w którym łatwo było odgadnąć Sandomierz powtórzyły oczom, co już słuch wiedział: *Jestem na wojnie!*

Wojnę więc mając przed sobą, trochę na prawo dojechałem do Trześni i stanąłem tam, gdzie prosto wyróżniona droga w prawo pod pagórek wiodła ze sandomierskiego gościńca do niewielkiego, białego, dużemi drzewami otoczonego dworka. Na dziedzińcu koczował pułk drugi piechoty Stasia Potockiego.

Stanisław Potocki, staroście halicki, w młodości swojej stał się wzorem Bogusławskiemu do Studenta w Krakowiakach. Nie był inaczej znanym w Warszawie jak pod nazwiskiem Stasia. Dobry Polak, dobry żołnierz, dobry kolega był powszechnie lubianym. Śmierć jego 29. listopada 1830 r. okropna, bo z rąk tych, których od lat tylu zwykł swemi dziećmi nazywać, jeśli była koniecznością, to niemniej bolesno dotknęła jego kolegów. Był wzrostu małego, trochę łysy, twarzy ładnej, a zwłaszcza bardzo przyjemnej. Ostatni raz widząc się ze mną w Warszawie, mówił: Mam honory, krzyże, pieniądze, ale dyabli z tego, kiedym już stary.

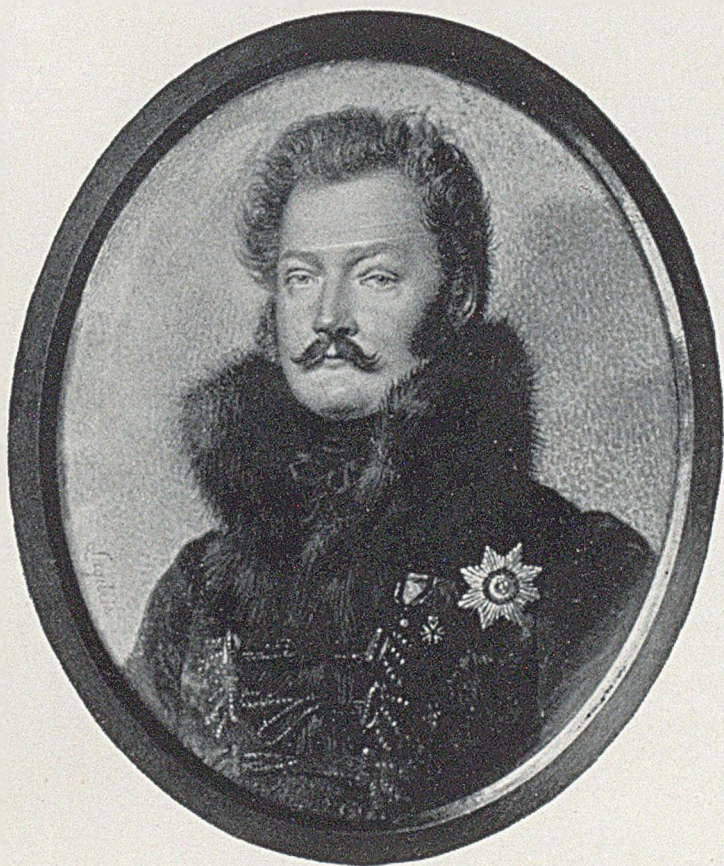
Dzień był pogodny. Strój grenadyerów świeży i czysty. Ich rozmowy, śpiewki, nawet swawolne gonitwy, czyniły obraz tak wesołym, tak powabnym, że trzeba było widoku kilkunastu jeńców z piechoty węgierskiej, na których twarzach krew ledwie w ranach zaskrzepla, aby mieć przekonanie, że jestem na wojnie. Wskoczyłem w nią jak młody sarniuk na kwiecistą łąkę.

Cała kampania 1809-go r., w porównaniu z późniejszemi była kwiecistą, była tryumfalną przechadzką dzieci wracających w rodzinne zagrody. Była łatwym żniwem wawrzynów, epolet i krzyżów.

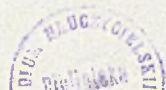
Pułk 2-gi piechoty należał do dywizyi Księcia Józefa, miał przeto u granatowych mundurów ponsowe kołnierze, a żółte wyłogi. Dywizya zaś Dąbrowskiego miała amarantowe, a Zajęczka kołnierze amarantowe a wyłogi białe. Polska armia wówczas składała się z trzech rzeczonych dywizyj, razem z 8 pułków piechoty a siedmiu jazdy. Moi bracia zaczęli służbę swoją w tym 2-gim pułku piechoty.

Pamiętam dobrze, późna jesień była (1806). W niebieskim gabineciku ogień szemrał na kominku. Mój ojciec i Biegański grali w lombra, Ludwisia haftowała. Ja jako najstarszy, już nie dziecko, jeszcze nie młokos, komenderowałem w sali zielonej zabawą młodszego rodzeństwa, Cesi, Julcia, Henryczka i Edwardka... W tem drzwi otwierają się nagle i wchodzi Józef Szumlański z moimi braćmi Maksymilianem i Sewerynem. Pierwszy od dawna bawił w Puławach, drugi od śmierci naszej matki, więc jeszcze niespełna roku. Maksymilian oddał list ojcu. Starsi długo półgłosem rozmawiali. Dzieci poszły spać. Nazajutrz zaprzągnięto do brodzkiej bryki cztery konie sro-kate, Szumlański kupił od słowa, a w południe już naszych gości nie było. Znowu cisza osiadła na jednostajnych dniach, na wlokących się jesiennych wieczorach. Nikt w domu nie zgadywał przyczyny tych krótkich odwiedzin. Dopiero w kilka miesięcy powierzono mi w największym sekrecie, że bracia są w Warszawie... w polskiem wojsku... oficerami...

Maksymilian równie jak i Seweryn zaczęli służyć w 2-gim pułku piechoty Stasia Potockiego. Seweryn przeszedł wkrótce



MAKSYMIAN FREDRO.



do pułku Gwardyi Cesarskiej — pułku des Chevaux-legers, formującego się pod dowództwem Wincentego Kraszińskiego. W tym pułku dosłużył się stopnia szefa szwadronu¹⁾ i trzech krzyżów. Odbył wszystkie ówczesne kampanie hiszpańskie i niemieckie. Wystąpił ze służby w 1814 roku. Wielce ceniony jako oficer, kochany jako kolega.

Maksymilian został adjutantem Księcia Józefa. Będąc potem szefem szwadronu 2-go pułku ułanów Tyszkiewicza, robił kampanię 1809 r. Później został majorem (Gros-Major) w 5-tym pułku Strzelców konnych Kurnatowskiego. Że zaś ja awansowałem na kapitana adjutanta majora do tegoż samego pułku, odbyliśmy razem obok siebie kampanię 1812 r.

W 1813-tym roku dano Maksymilianowi 9-ty pułk lancierów francuskich. Pod Kulmen kilka razy ranny dostał się do rosyjskiej niewoli. Po skończonych wojnach został fliegeladjutantem cesarza Aleksandra, potem generałem majorem przy głównym sztabie. 1824 r. wystąpił ze służby. W 1807 ozdobiony krzyżem kawalerskim *Virturi Militari*, pod Smoleńskim krzyżem Legii honorowej, w 1820 r. wielką wstęgą Ś-go Stanisława.

Uciekwszy z Wilna z niewoli, przybyłem 10. sierpnia 1813 r. do Drezna, zostałem, jak to już wspomniałem, przyłączony do głównego sztabu Wielkiej Armii. Że zaś mój brat Seweryn komenderował służbowymi szwadronami, odbyłem z nim razem, tak jak z Maksymilianem 1812-go, kampanię 1813 r. Pod Peterswaldem, na czele swego szwadronu rozbił pułk jazdy pruskiej i swoją ręką schwycił dowódcę, syna generała Blüchera.

O, bracia moi! Maksymilianie, opiekunie pierwszych w świat kroków moich — towarzyszu broni — kolego na tem krótkim i wązkim polu autorstwa, któreśmy bez zawiści przebiegli razem... I ty Sewerynie, z którym uczyłem się, kolego wałem i nareszcie w sąsiedztwie przeszło lat trzydzieści nieodstępnie prawie przeżyłem, jakże mi Was niedostaje!... Jak trudno samemu w przeszłość spoglądać... Nie mam już do

¹⁾ Stopień szefa szwadronu czyli majora w Gwardyi cesarza Napoleona odpowiadał randze pułkownika w linii. (*Przypisek autora*).



SZEF SZWADRONU MAKSYMILIAN FREDRO W BITWIE POD PETERSWALDEM W R. 1863.

kogo powiedzieć: *Te souviens-tu?* Bo większa część przeszłości była wyłącznie naszą, obcą młodszemu rodzeństwu. Kiedy Was wspomniałem, pytam się sam siebie, po co puszczam pióro za błakającą się pamięcią. Na co rozpowiadam o sobie, o stosunkach rodzinnych? O osobach, co nas otaczały w dzieciństwie? Osoby, co nie po sobie nie zostawiły prócz mego wspomnienia, jak kwiaty rozwinięte na wiosnę, a rozwiane bez śladu wiatrem jesiennym! Po co?... Na co?... Dla kogo? — Zaczęłem pisać myśląc, że się kiedyś zejdziemy, że wam czytać będę, co dobrze wicie, tak jak to zwykło się mówić: *Pamiętasz?*... A dawno znajomy dobrze pamięta, jednak słucha chętnie jakie wspomnienie z lat młodych, z lat dalekich, słucha jakby własnego serca.

Kiedy teraz wstąpię do tej oficyny, gdzie rodzice mieszkali, gdzie teraz z bawialnego pokoju spiżarnia, ze sypialnego kuchnia — kiedy ujrzę gdzie jaki koniuszek arabesku, co się pod późniejszym obiciem przechował — kiedy spojrzę na ów piec, niegdyś w złocone rzeźby, dziś gliną polepiony, serce mi się ściska. Obok obrazu przeszłości widzę razem jej oddalenie... Czas ubiegły objawia mi się zniszczeniem. Szczęśliwy kto zamieszka komnaty, co pierwszym jego były światem, gdzie te same obicia, malowidła, sprzęty, a nadewszystko ciemne zakątki, co to się tak silnie wyciskają w umyśle dziecięcym. Gdzie jednym słowem wszystko zatrzymało jeszcze jakby dotknięcie kochanych Rodziców, jakby cząstkę ich drogiego życia. Wtenczas zdaje nam się, że wszystko nie dawno. Niema szorstkiego przedziału między tem co było, a tem co jest. Gdybym do Was mówił bracia moi, nie potrzebowałbym objaśniać każdego szczegółu. Jeżelibym wspomniął gabinet, stanąłby Wam zaraz przed oczy pokoił niebieski, zajęty prawie w połowie dwiema sofami w białe i karmazynowe atłasowe pasy — bióreczko wysadzone naszej matki. Na jednej ścianie w mahoniowych ramach landszafty podług Ruisdala — na drugiej widoki Tivoli i fontanny Egeryi. I ten kominek w kącie, dzieło architektki Aignera, którego gzymsy i gzymsiki stały się nigdy niedościgniętym wzorem dla wszystkich kominków w sąsiedztwie. Spostrzeżlibyście zaraz na szczycie

tegoż, statwę gipsową Venery de Medicis — niżej między złoceniem filizankami na marmurowych podstawach brązowe popiersie Henryka IV i Sullego. Wazon porfirowy, świeczniki alabastrowe i tysiąc jeszcze fraszek, które byłyby dla mnie dzisiaj nieoszacowanym skarbem, a które może leżą gdzie na strychu jako staroświeckie graty. Gdybym Wam wspomniał altankę, nazwaną Szopką, uczulibyście zapach róż i nastureyi, co się wily po brzozowych ganecezkach aż pod strzechę. A też oficynka, której ja już jeden podobno tylko miejsce pamiętam (tam gdzie teraz skrzydło pałacu), gdzieśmy nad książką lby smarzyli, ale niestety nie dosmarzyli, gdzieśmy się wyśmiali na całe życie i tak szczerze i tak bez końca i tak sztucznie, aby pan Trawiński z drugiego nie zasłyszał pokoju. A owe zwaliska pałacu, wybudowanego, podług powieści starego Jakuba mularza, przez referendarza Siemieńskiego, z ich czarnymi sterczącymi i wśród południa straszącymi kominami — z ich piwnicami, skarbcem, lamusem, gdzie echo po sklepieniach brzęcząco biło. Wszystko, wszystko przypominalibyście sobie, bracia moi — przypomnieli z rozkoszą... Ale Was już niema, a ja nie mam do kogo powiedzieć: *Czy pamiętasz?*

Dam więc spokój tym wspomnieniom... Wróćmy do Trzeźni. I tam nie wiem po co... ale kto siwieje bajdurzy chętnie.

Wszedłem na dziedziniec... Wszak prawda? A że szedłem, przeszedłem go prędko i znalazłem się u progu dworka między kilkunastoma oficerami w zielonych frakach mundurowych z ponsowymi kołnierzami, złotemi szlifami i akselbandami, w bemicach na głowie. Były to Guidy. Oddział formujący się, niby przybocznej straży naczelnego dowódcy. Każdy miał rangę podporucznika i w tej po skończonej kampanii wszyscy zostali umieszczeni w nowych pułkach.

Spytałem się o Józefa Szumlańskiego, adjutanta Księcia. Obudzono go śpiącego w sieni. Wyciągnął się, ziewnął, uściskał mnie i wziął pod swoją opiekę, tak, że wkrótce, jakby w kole krewnych lub sąsiadów odpowiadałem na tysiączne zapytania o tem, co się dzieje we Lwowie.

Zdaje mi się, że w dniach, o których tu wspominam, Sandomierz był w naszym ręku. Wystrzały, które rano sły-

szalem, musiały być do nieprzyjacielskiego rozpoznania (*re-connaissance*), bo ledwie siedliśmy do stołu, przybył generał Sokolnicki komenderujący na linii bojowej i Żółtowski, pułkownik 3-go pułku piechoty.

Wieczorem nadjechała zwyż wspomniana Deputacya Galicyjska: Ludwik książę Jabłonowski, którego jedynym wyskokiem patryotyzmu i to nb. mimowolnym, było to poselstwo. Nie lepiej mu się i na późniejszych powiodło. — Adam Potocki, który starał się o pozwolenie formowania pułku — i Kajetan Uruski, który... który miał pieniądze i nos duży, ale i odrętwiałe serce w sprawie Ojczyzny. I ranga bez zasługi i nos duży, wszystko to są boskie dary i muszą mieć swoją przyczynę. Wiara w konieczność przyczyny jest to jedna z najmocniejszych podpór w podróży życia.

Deputacya złożyła Księciu mnóstwo komplementów i kilka tureckich sztandarów znalezionych w arsenale lwowskim...

Przed stodółką, koło mostu na rzeczce płynącej do Wisły, stał wóz długi przykryty, zielono malowany, z dużym wzdłuż wieka napisem: Furgon 2-go pułku piechoty. Furgon w obozie jest zawsze celem zazdrości, bo staje się domem, pałacem. Pod nim między kołami obszerna sypialnia, bezpieczna od sloty i gorąca — przy boku sala jadalna, ale że z nią razem i kuchnia, przeto raz z jednej, a raz z drugiej strony, podług wiatru. Z tyłu lada derka w górze wiekiem przyciśnięta, a w dole dwoma patykami podparta, wygodną staje się komnatą. Pod dyszlem zaś, ile na nim rozwieszonych płaszców i koców, tyle gabinetów, w których siodła, juki, sakwy służą za stoły, sofy i wezgłowia. O kilka kroków naprzód, przed karabinami złożonymi w kozły, grenadyer na straży brał za broń przed przechodzącymi oficerami, albo sparty na niej odzywał się do rozmowy, przerywanej głośnym śmiechem, co się dobywała z różnych punktów furgonu, jakby z trojańskiego konia.

W tej stodole była kwatery pułkownika Stasia Potockiego. Tam w kole wojskowych, z których każdego uważałem za Vice-Napoleona, słuchałem całą duszą świetnych czynów naszej armii. Słuchałem i różnych dykteryjek garnizonowych i obozowych zupełnie dla mnie nowej treści, a jeszcze nowszego

sposobu wysłowienia. Słuchałem z wielkiem upodobaniem jak gdybym pisał noty w pamięci: *Do naśladowania. Do powłóczenia. Do przerobienia.*

Nie spuszczałem przytem z oka Artura Potockiego. Artur był to człowiek pełen honoru, dowcipu i dobroci — a przytem zajmującej piękności. Ale dość było spojrzeć na jego rozpięty mundur, chustkę lekko zawiązaną, ładownicę przekreśloną, pendent nie na miejscu, aby w nim poznać popsute dziecko towarzystwa warszawskiego, a razem i armii, bo Wódz naczelny był członkiem tego towarzystwa. Zachował on był w postawie i ruchu ową anglomanię, co wówczas ustępowała przed rubaszością obozową. 1809-go r. był adjutantem Roźnickiego. W 1812 szefem saperów — w 1813 adjutantem Księcia Józefa. Parę godzin przed tegoż zgonem wysłany do Cesarza, uniknął podobnego losu. Nareszcie z moim bratem Maksymilianem był fliegel-adjutantem cesarza Aleksandra. Nie spuszczałem powiadam z oka Artura, który, dla nieznośnego upału, rozciągnął się jak długi na wiązce słomy, ale całkiem nagi.

Wzgarda wszelkiej osłony, tak w czynnościach jak i mowie, tam nawet gdzie ta zdawała się być nieoddzielną częścią samej rzeczy — jakiś, by się tak wyrazić cynizm fizyczny, były *Conditio sine qua non*, do osiągnięcia nazwy: *Birbanta*. Kto nim nie był w istocie, musiał udawać, inaczej trącił *Cywilistą*. Taki mógł być wprawdzie szanowanym, ale nigdy lubianym. Patrzałem więc z zadziwieniem na te *Sans-façons* Artura wobec nawet całej Deputacyi Galicyjskiej i zapisałem w notach *do naśladowania*. Ten strój Ojca Adama, bez liścia figowego, nb., nazwaliśmy potem szlafrokiem i często w upały po murze był w używaniu.

Wszedł do stodółki wysoki, piękny mężczyzna, szef szwadronu 2-go pułku ułanów. Mundur granatowy, kołnierz ponsowy, wyłogi żółte. Na głowie kołpak z czarnego baranka, w górze szerszy, z tyłu jak cholewa palonego buta wykrojony, z ponsowym płomieniem naprzód wywieszonym i złotym kordonem przyciśniętym, oznaczał, że był szefem pierwszego szwadronu, a przeto i kompanii wyborczej czyli Grenadyerów.



ARTUR POTOCKI.



Kompania pierwsza od prawego w każdym pułku jazdy, a w każdym batalionie piechoty była kompanią wyborczą, odznaczała się ponsowemi szlifami i niedźwiedziami, lub innego rodzaju kołpakami od innych kompanii.

Wszedł więc szef szwadronu, a wszystkie oczy zwróciły się od niego na mnie i wykrzykniki z różnych stron zdawały się chcieć obudzić naszą wzajemną uwagę. Bracia stali przed sobą nie poznając się wcale. Ja od trzech lat urosłem — Maksymiliana zaś, eleganta puławskiego, zawsze wypudrowanego, wystrojonego, pachnidłami tchnącego, nie mogłem odgadnąć w tej opalonej twarzy, zakrytej do połowy rudemi wąsami i faworytami... w tej postawie żołnierskiej, okrytej znojem i kurzem bojowym.

...Maksymilian chciał mnie przedstawić Księżciu, poszliśmy więc do białego dworku. Na dziedzińcu, w sieni, w pierwszych pokojach prezentował mnie w prawo i lewo. Szastałem się jak cywilista, dzwoniłem ostrogami jak rycerz, byłem grzeczny i wspaniały. Tam poznałem żółtego Rautenstraucha w żółtej peruce. Trudno być szpetniejszym. Był to człowiek wielkich biurowych zdolności. Sługa każdej władzy, skończył na komendzie warszawskiego baletu. Był on synem garbarza, dlatego Kwilecki w paszkwiłowym swoim katalogu napisał był: »L'Etat-Major, relié en maroquin jaune par Mr. Rautenstrauch«. Poznałem generała Fiszera, byłego adjutanta Kościuszki, teraz szefa sztabu. Był on osobistym przyjacielem i prawą ręką Księcia Józefa. Naśladował Księcia jak Berthier Napoleona. Mały, ułomny, w czapce ułańskiej, z krótką fajką w ustach, na dużej bułanej kobyle, był zanadto dziwaczną kopią obok



JÓZEF RAUTENSTRAUCH.

pięknego oryginału, aby nie wzbudzał często szyderskiego śmiechu. Zginął pod Tarutinem w 1812 r.

Nareszcie weszliśmy do Księcia. Siedział sam na ganezczku, z którego widok na Sandomierz, i palił tytoń ze stambulki oprawionej na krótkim, prostym bukszpanowym cybuszku. Miał na sobie kurtkę granatową z wyłogami tegoż koloru, z francuska na przodzie wyciętą, — haft generalski u kołnierza. Na piersiach gwiazda krzyża wojskowego polskiego i krzyż Legii honorowej (jej Wielką Wstęgę otrzymał dopiero po kampanii 1809 r.). Chustka czarna, grubo na szyi zawiązana z białą wypustką — kamizelka biała — spodnie granatowe opięte i buty węgierskie z czarnymi kutasikami i srebrnymi ostrogami uzupełniały strój, który zarywał trochę munduru ułanów austriackich z czasów, kiedy Księżę u nich, Bóg wie poco, służył, który przechodził nieco w francuszczyznę i który teraz niezawodnie wydalby się arcyśmieszny.

Widywałem później w 1812 roku Księcia Józefa czasem w mundurowym fraku, ale zawsze w czapce ułańskiej. Frak z czapką nie bardzo się zgadzał i w całej armii on jeden i drugi Fiszer pozwalał sobie tego stroju. Wielki zaś mundur generalski był: ułańskim krojem granatowa kurtka, amarantowe wyłogi i rajtuzy — srebrny haft, szlify i lampasy.

Wojsko polskie Księstwa Warszawskiego od 1806 do 1812 r. było w ciągłej formacji. Na oficerów przybywała ciągle młodzież majątna. Dlatego oficerowie, acz nie-płatni po kilka miesięcy, zbytkowali nietylko w przepisowych mundurach, ale i w fantazyjnych półmundurach, których sobie każdy pułk jazdy mnożył bez liku. Tak na przykład weźmy pułk 2-gi ułanów. Pierwsze ubranie: Wielki mundur, kurtka granatowa, kołnierz ponsowy, żółte wyłogi, rajtuzy granatowe obcisłe z żółtym podwójnym lampasem. Drugie ubranie: Taż sama kurtka z zapiętymi wyłogami, rajtuzy szerokie sieraczkowe ze skórą. Trzecie ubranie: Kurtka z wyłogami granatowymi z francuska z przodu wykrojona do białej kamizelki. Czwarte ubranie: Frak granatowy albo z francuska jak powyż wspomniana kurtka do kamizelki wykrojony, albo na jeden rząd guzików zapinany, spodnie opięte granatowe, buty węgierskie

ze złotem u góry obszyciem i złotym kutasikiem. Do tego ubrania stosowany kapelusz.

Na jednym balu w Warszawie widziałem pułkownika Tyszkiewicza i mego brata w granatowych frakach z żółtymi wypustkami z francuska wyciętych — kamizelka żółta pokryta pętlcami złotymi, spodnie opięte ponsowe suto z huzarska szamerowane, buty kozłowe.

W pułku 11-ym ułanów oficer musiał mieć kurtkę granatową z amarantowym kołnierzem i białymi wyłogami, u kołnierza biała, a u wyłogów amarantowa wypustka. Kurtkę z granatowemi wyłogami tylko z wypustką albo spencer — frak — czamarę — kurtkę balową na przodzie wyciętą do amarantowej złotymi pętlcami okrytej kamizelki. Rajtuzy granatowe obcisłe z białym podwójnym lampasem, granatowe i sieraczkowe szersze z jednym amarantowym lampasem. Sieraczkowe rajtuzy z guzikami półokrągłymi od dołu do góry — sieraczkowe szerokie ze skórą — spodnie granatowe do fraka — białe ze złotym galonem do balowej kurtki. Buty węgierskie ze złotem obszyciem i kutasikiem, a do balowego stroju czerwone. W zimie, kogo stać było, surdut z wykładem siwych baranków, na piersiach w zioberka z złotego galonu. Tak czasem przesadzano galonami, że Oborski o kapitanie Bie... powiedział: »Bie... ma i w kieszeni parę sztuczek galonu«. Do tego wszystkiego i cywilny frak a przynajmniej surdut był ledwie nieodzownie potrzebnym, zwłaszcza dla oficerów garnizonujących po większych miastach. Brano do cywilnego fraka wojskowe spodnie, kamizelkę, buty, czapeczkę lub kapelusz stosowany. Ten strój semi-cywilny uwalniał od pałasza i upoważniał poniekąd do wejścia tam gdzie mundurowi nie zawsze przystoi.

Co kraj to obyczaj, mówią, ale gdyby nie rym częścię jeszcze możnaby powtarzać: *co czas to obyczaj*. A nowszy zawsze piękniejszy, zawsze mędrszy, ale za to dawne czasy były od początku świata zawsze wiekiem złotym, wiekiem prostoty i cnoty. I ja teraz muszę powiedzieć: Był to wiek złoty ten czas, kiedy byłem młody, kiedy stanąłem przed Księciem Józefem w trzeciej pozycji, jak do menueta albo raczej

do matelota, tańca, którym robiłem zaszczyt memu nauczycielowi Kurcowi a Kurec był z baletu króla Stanisława, a król Stanisław znalazł się lepiej na tańcu niż na sztuce rządzenia. Książę przyjął mnie uprzejmie. Rozmawialiśmy pięknie a nie długo. Nazajutrz, 8-go czerwca, dostałem nominację na podporucznika.

Jedynie zapewne przez grzeczność nie pytacie mi się Szanowni Państwo, za co zostałem oficerem. A ja na to odpowiem, niech Was to nie dziwi, bo nowe formując pulki, niedostatek oficerów przymusza nominować i nowo w szeregi przybyłych, odznaczających się trochę lepszym wychowaniem. W owym czasie wyrastały podporuczniki jak grzyby i nie do jednego można było powiedzieć z Plautem: *A więc panie oficerze, co nie jesteś żołnierzem etc.*

Nie to było mojem szczęściem, że zostałem podporucznikiem, ale to, że miałem w ręku nominację. Moje słowa trąca niyb zagadką, sam to wiem... zatem aby być zrozumianym, muszę trochę obszerniej opowiedzieć, co się działo w Galicyi 1809-go roku.

Byłbym wprawdzie uniknął wielu niezrozumiałości, gdybym był zaczął, jak Bóg przykazał, od początku. Na przykład: Był to Pan i Pani... mieli syna, nazwali go Aleksandrem... Albo też urodziłem się w Surochowie w Ziemi Przemyskiej, z Jacka z Pleszowic i Maryi z Dembińskich Fredrów małżonków — Kiedy? — Nie wiem dokładnie, bo w owym czasie proboszcze na mokro oficjowali, a na sucho pisali. Metryki więc odszukać nie mogłem, może i dlatego, że plebania w Jarosławiu zgorzała. Uczyłem się krótko i nie tego, a w szesnastym roku życia, podług rachuby mojej piastunki, wstąpiłem do wojska etc. etc. etc...

Tak pewnie byłoby było najlepiej, ale tak się nie stało, czego bardzo żałuję. Aby więc trafić jako tako do końca, pozwólcie bym pierwaj skończył com już zaczął, abym mówiąc kwiecistym stylem gubernialnym, wyrobił moje restaneye — a potem wrócimy do pamiętnego roku 1809-go.

Byłem więc, *nisi fallor*, w Lipsku — nie, myślę się, dalej, w Moguncyi i to nie, bo bliżej, w Gotha. Tak jest, w Gotha

byłem na służbie w niemieckiem zanurzony łożu. Budzimy się, dzień jasny! Seweryn woła... (a jak Seweryn wołał, szyby brzęczały), ordynans się zrywa, wychodzi, wraca i przestrasza nas niepotrosze wiadomością, że Cesarz już dawno wyjechał że już nikogo z naszych w mieście nie widać.

Proszę teraz przypomnieć sobie, jaki był stan rzeczy, jak niektórzy oficerowie, zostając po drodze, dali się brać w niewolę, proszę przypomnieć sobie, (bo ja nie powtórzę) i wystawić sobie razem, jaką szef szwadronu, komenderujący szwadronem służbowym niczem dotąd nie zachwianego korpusu, byłby na siebie, a nawet na pułk cały ściągnął płamę, gdyby był wpadł w ręce nieprzyjaciela. A że to z winy ordynansa, który zbudzony przez podoficera wysłanego ze szwadronu, zasnął sobie był na nowo — któż byłby dał wiarę? Któżby kiedy chciał i wysłuchać uniewinnienia?... Kto mógł zawyrokować? Zerwaliśmy się, jak to mówią, ptaszkiem. Seweryn dopadł konia i cwałem pogonił. Ja zaś jako indywiduum nie znaczące w europejskiej równowadze, uważałem zdarzenie z własnego tylko stanowiska, a którem tym razem było błoto przed progiem zaklętego domu o zielonych kotarach, błoto sięgające wyżej ostróg. Myślałem co począć, bo jak nie myśleć i podniósłszy głowę patrzyłem w górę jak gracz wistowy, który chce przypomnieć sobie czy siódemka jest *Carte-fortą* albo nie. A że ile razy spojrzę w niebo, tyle razy kichnąć muszę, więc kichnąłem raz jeden i drugi i wpadając w odwrotną ostateczność wlepiłem oczy w ziemię... Nie powiem jak gdybym chciał ziarnka piasku przeliczyć, bo było błoto, ale raczej jak gdybym, nihy ów Nareys zakochany w sobie, przeglądając się w kałuży. Wtem połysk nadziei budzi mnie z odrętwienia: Może Onufry czeka z końmi! Pędzę szukać koni i tym razem na prawdę... O jakże bolesna i bliska kara za moje kłamstwo!... Szukam i nie znajduję... nie było się więc dłużej czego wahać — przechodzę bez zwłoki i awansu do piechoty i ruszam w drogę.

Ktoby mnie był widział jak pałasz pod lewem ramieniem, kapelusze na bakier, skakałem zrazu z kamyka na kamyk, byłby mógł myśleć, że ja w Lublinie idę na wieczór

do generalowej Kamienieckiej, gdzie mnie czekał przyjazny uśmiech panny Anieli i pantofel... Nie pantofel turecki, a mniejsze jeszcze żydowski, ani też figurowanie wzięty jako matrymonialne jarzmo, ale pantofel gra w karty, niezbyt dowcipna, ale nieoceniona dla zakochanych, lepsza nawet niż mruczek, ba i talarek. U nas w Samborskiem, między Gródkiem a Rudkami zwano dawniej tę grę Gapiem, albo Kasztelanem, co było niezawodnie dla kasztelanów arcycyblizującym i zapewne senat postanowił niewinną nazwę *Pantofel*.

Były to dobre czasy w tym Lublinie. Generał Kamieniecki komenderował dywizją — miał miłą, godną żonę i miłe, lube pasierbice pannę Pelagię i pannę Anielę Trębickie. Pułkownik Nowicki, który potem został zastrzelony w karecie owej pamiętnej nocy 29-go listopada w Warszawie. Jąkał on się. Będąc zatrzymany niewyraźnie wymówił swoje nazwisko, usłyszano zamiast Nowicki, Lewicki i tak zginął niewinnie za znienawidzonego komendanta miasta Lewickiego. Pułkownik więc Nowicki, szef sztabu, przyjaciel domu i wesołego życia, nominował do sądów wojskowych po największej części oficerów, których towarzystwo mogło Warszawiankom znośniami uczynić zimowe lubelskie wieczory. Zostałem reporterem sądu wtórego, bo dobrze tańcowałem. Bardzo dobrze. Później mazurem podbiłem serce panny Benigny, ale to inna historia. Nie śmiecie się moje panny patrząc na moje sukienne buty. Gdybym był i najstarszym z galicyjskich Landstandów, młodość kiedyś miałem, tak jak Wy drogie kwiateczki starość mieć będziecie. Dzieci najczęściej nie słuchają rozsądku rodziców, bo mówią: to starych widzimy, a zapominają, że ten rozsądek zebrany z doświadczenia wieku młodego. Zdaje im się, że ojciec zawsze był siwy i pochylony, dlatego dobrze, aby każdy miał swój portret malowany w wiosennych chwilach życia, wtenczas będzie mógł powiedzieć: Oto ten młody człowiek przez moje usta daje wam przestrogi.

Zostałem więc reporterem ale w sądzie wtórym, zatem w jedynej sprawie, którą sąd po karnawale osądził, powtarzałem tylko pytania sądu pierwszego. Może ktoś mędrszy byłby umiał dać inny obrót rzeczy, ale jeżeli nie byłem mądry,

mniej jeszcze bez wątpienia był nim ten, co siedmnastoletniego chłopca nominował reporterem. Prawda, że m zasięgnął rady, ale to wszystko było małej wartości. Nasze sądy w owym czasie były prawdziwie zgrozą. Prawa francuskie wykute dla długimi wojnami rozhukanego żołnierstwa, nie mogły być stosowne dla młodej, na paskach jeszcze prawie postępującej armii.

Był w 11-ym pułku jazdy, w samych początkach formacyi tegoż, jakiś, jeżeli się nie mylę pan Imański. Więcej zarzywał na sędyka niż na ułana. Śpiewał tenorem i lubił kmin-kówkę. Kiedy mu kazano jechać na placówkę, krzyknął: Ja przyszedłem bronić Ojczyzny, a nie na placówki jeździć! Pan Imański nie był więc ani bardzo posłusznym, ani miłym kolegą. Razu jednego rozciągnął się w stajni na derce, głowę przykrył czerwoną chustką w kraty i zasnął twardo, jakto się śpi w upał po obiedzie. Sierżant budzi go raz i drugi, nareszcie znieczcierpliwiony uderza nogą tam, gdzie się zwykle nogą bije — pozycya tylko stosowna mogła go do tego gwałtownego aktu pociągnąć. Pan Imański zaś, jak ów sztuczny dyabelek w tabakierce, jednym szusem stał na derce. Zbudzony nagle ze snu, który go może na sto koni wsadzał, zapomniawszy Ojczyznę, ułaństwo i artykuły trzykroć mu czytane, pamiętny tylko klejnotu swego szlachectwa i bolącej części swojej osoby... odwinął się... machnął... klasło! Sierżant dostał policzka... Zbrodnia!... A więc i sąd niezwłoczny. Pan Adam Potocki, nowy pułkownik nowego pułku, poprawia sobie to szlify to okulary, co u niego było oznaką nadzwyczajnego wzruszenia... Niewiedzieć jednak, czy się smuci zgorzeniem, czy się cieszy wyprawieniem solennego aktu, który powiększy anale i pułku i jego dowództwa. — Nota. Pan Adam Potocki był szlafmycą. Koniec noty. — Sąd zwołany — ale co tu sądzić — przestępstwo jawne — prawo jasne: »Za targnięcie się na przełożonego kara śmierci«. Piszą dekret... Imańsiu, oddaj się Bogu! Działo się to w Tyszowcach... Znacie Państwo Tyszowce?... Nie... I lepiej! Jest to ni duże, ni piękne miasteczko w Bełżkiem. Cały pułk występuje, ale dla równości pieszo, bo tylko jedna kompania miała konie — z lancami, bo pałaszy nie dostawało.

Na prawem skrzydle stała kompania wyborcza w szlifach i akselbandach ponsowych, a przy niej w drugiej kompanii nazwanej ptaszników, w drugim szeregu wielu było i bez ostróg, bo butów nie miało. Ta druga kompania była złożona z samych dzieci lwowskich, po największej części latarników. Starsi żołnierze, nie służbą ale wiekiem, przewali ich ptasznikami, co później dziennym rozkazem zostało zakazanem. Dalej stały kompanie rekrutów, czapeczki tylko granatowe z paskiem ponsowym świadczyły, że będą kiedyś wojskiem. Przed frontem stał jako pryncypalny aktor kapitan Żurowski z komendą swoją, to jest z kilkunastoma tak zwanymi żandarmami samborskimi, czy sanockimi, w zielonych mundurach z czarnymi wyłogami Karabiny nabite (przynajmniej powinny były być nabite). Wyprowadzono delikwenta, i gdy mu dekret przeczytano, gdy się jeszcze ceremoniował zając miejsce honorowe... wypada z poza stodoły niby zadychany adjutant... kiwa chustką... woła, krzyczy: Pardon! pardon! Ile sobie przypominam pan Imański, miarkując z jego twarzy, nie zdawał się wierzyć w prawdę tej sceny, jednak wkrótce potem wystąpił z wojska.

W rok później sądziliśmy podobnie jakieś wojskowe przestępstwo w Krasnymstawie. Pułk już był starszy, miał kilku dawniejszych oficerów — jednym słowem był już pułkiem. Szef szwadronu Tomicki prezydował. Między innymi zasiadał kapitan Orzelski, legionista. Dopiero co był przyjechał ze starą żoną i dwoma małami, co było zjawiskiem uciesznem wówczas dla wszystkich, tak w Krasnymstawie, jak i w całej Lubelskiej ziemi. Zasiadł także pięćdziesięciokilkolletni Brzozowski, porucznik Kościuszkowski; tego nie zdołał zmusić pułkownik z całą radą gospodarczą do podcięcia pół kurtki i do podniesienia stanu. Zamiast pasa z klamrą, ledwie nie pod pachą, jakieśmy wtenczas nosili, nosił go niżej brzucha... zamiast pałasza spuszczanego aż do kolana, nosił swój tak krótko, że w tył podany ledwie ostróg sięgał. Przedrwiwano z Kościuszkowskich, że się nie dość francusezyli, przedrwiwano później Napoleonezyków, że nie mieli dość Konstanyńskieję lalkowatości — *mutantur tempora* etc.

Feliks Boznański był reporterem, a kiedy Orzelski na

swojej karteczce, skurezywszy indeks na piórze, jak Turek nogę na kulbace, zaczął pisać z zadziwieniem i rozweseleniem razem czytających mu przez ramię: *Kara śmierci*, Boznański zwrócił ku niemu krucyfiks i rzekł: »Na rany tego pisz lepiej!« Wtenczas powstał śmiech, jak pewnie nigdy w żadnym sądzie nie słyszano, a winowajcy nie otrzymali i połowy kary, na którą zasłużyli.

Nie tak ucieszenie skończyła się sprawa w Lublinie, o której moim zwyczajem zacząłem mówić i nie skończyłem.

Jako reporter nie wotowałem w sądzie, Bogu dzięki, a jednak przykre to dla mnie przypomnienie.

Kapral 13-go pułku piechoty stojącego w Zamościu, wyszedł w nocy z ośmiu żołnierzami na łówkę kartofli. Wracając koło karczmy, pociągnięci wonią anyżu, pukają do drzwi, a gdy żyd nie głupi otworzyć nie chciał, odbijają okiennicę siekierą, włożą przez oko, piją do woli, a na końcu (tu sęk!) żądają pieniędzy. Dostało się każdemu, dobrze pamiętam, po 5 zł. gr. kilka.

Oskarżeni o kradzież z wyłamaniem zamknięcia, czyli mówiąc po polsku, o rabunek, stanęli przed sądem. Winę kaprała powiększała ta okoliczność, że był zbiegiem rosyjskim, nie można go było za nowego żołnierza uważać, że podkomendnych namówił do marody, że nareszcie postawił jednego na straży, nim się do karczmy zbliżył, co dowodziło wcześniej z namysłem chwycone przedsięwzięcie. Na jego zaś uniewinnienie można było powiedzieć, że wyszedł z wojska rosyjskiego, gdzie złodziejstwo jest piątym żywiołem, że był przesiąknięty, żeby się tak wyrazić, innem pojęciem cudzej własności, zwłaszcza kartofli, niż to, jakiego teraz od niego wymagano, że nareszcie on, kapral, pamiętny słów Hipolita do Tezeusza:

Ainsi que la Vertu le Crime a ses degrés.

(Co *par parenthèse*, z przeproszeniem pana Rasyna, jest nonsenssem, bo występkek kroczy po szczeblach, ale nie enota) mógł był wnioskować z niejaka pewnością, że i kara *a ses degrés*, a nie widząc w wojsku polskim pałek, nie mógł wierzyć słuchając o karze śmierci. *Que la Charte soit une vérité.*

Mniej jeszcze winnymi byli współoskarżeni, młodzi ludzie,

nowi żołnierze, z równie pustym najczęściej żołądkiem jak i kieszenia, bo płaca rzadko kiedy kapnęła. Dlatego też nielegalne wycieczki za żywnością bywały karane tylko na zaskarżenie uszkodzonego. Patrzano przez szpary, a każdy, jak ów dzban, nosił wodę póki ucha stało.

Ksiązę Józef potwierdził wyrok pierwszego i wtórego sądu. Miał on wiele powodów do rozwinięcia całej surowości prawa. Wojskowość panowała w Księstwie Warszawskim żelaznym berłem. Mało znaczył obywatel, a jego własność jeszcze mniej. Pod rządem militarnym jeżeli obywatel więcej znał od konia szeregowego, za to o wiele mniej od każdego szeregowca. Niedosć kwaterunek napelniający dwory i zajezdne domy nieproszonymi gośćmi — niedosć rekwizytce otwierające szpichlerze a czasem obory i stajnie, jeszcze nikt nie był w stanie ustrzedz od napaści swoich owoców w sadzie, swoich stert w polu. Do wszystkiego współka, częstokroć nawet i do... Pani zgadujesz więc zamilczę. Po wsiach oficerowie, chcąc koncentrować swoje oddziały, wyłamywać kazali ściany, przerażali na stajnie chłopskie stodoły. Ja sam w Soleckiej Woli cieszyłem się z moich rozporządzeń i przeistoczeń, nie pomyślawszy ani razu, czy nie niszczę gospodarza zajmując całe jego obejście. Wina to była właściwie starszych. Żołnierz rolnikowi zaglądał głęboko do garnka i do brogu, a wszelki opór pociągał za sobą niebezpieczeństwo osobiste. Ekscesa żołnierskie powtarzały się często, coraz częściej. W Hrubieszowie obywatel z sąsiedztwa Guzowski dostał od ułanów obszerną etymologią swojego nazwiska... Natenczas pan Guzowski jak ów leśniczy... ale to inna historia... że zaś nie długa, więc powiem.

Oto tak było: Pewien leśniczy, przedwczesnym pochwycony patryotyzmem, w zielonej kurcie z siwymi barankami i w czapce z kutasem dosiadł żrebnej kobyły i widząc harcujących ułanów 3-go pułku przyłączył się do nich. Kiedy się zwijał jak mógł najlepiej, jeden z wiarusów czy krótkiego wzroku, czy podпиты, czy nie mogąc wstrzymać zamachu, czyli też nareszcie biorąc patryotę w nieznanym stroju za jakiego vice-huzara, walnął go w łeb drzewcem, a grotem... w udo

ugodził... Wtenczas leśniczy, z tem uczuciem, z jakim Brutus pod Filipami wyrzekł: Cnota jesteś niczem! — zawołał chwytając się za część uszkodzoną: A niech dyabli biorą z taką Ojczyzną!...

Otóż i pan Guzowski mógł był wykrzyknąć toż samo... i pewnie wykrzyknął, kiedy ściągnięty z bryczki wziął w skórę za to, że przed paru dniami złapał w swoim grochu kilku żołnierzy. Okropna zniewaga, straszna swawola, a jednak prawdę mówiąc, lubo winni zostali ukarani, nie wzbudzał ich występki między oficerami należytego oburzenia.

Pod Warszawą zaś Kuszell, kapitan huzarów, pijany, przeczuł metodę Prischnitza, kiedy szlachezca jadącego w dzień ciepły w futrze, kazał z futrem wciągnąć do Wisły, aby się z nim razem kąpał.

W Chełmie wobec oficera, a co więcej jednego z mnichów, kaprał Czerkieski kapralowi Bilińskiemu dał ślub w zakrystyi.

Inni pułkownicy, żyjąc w przyjaznych stosunkach z obywatelami, przytłumiali na miejscu zdarzające się wybryki swoich podkomendnych, ale pan Adam Potocki, jak to wyżej w historycznej nocie miałem honor powiedzieć był szlafmycą, Miał żonę, a żona siostry... *suprême bon ton!* Elegancya wielka, fuma wielka, większe nawet niż dochody. Te damy otoczone najświetniejszą młodzieżą ich towarzystwa lwowskiego przemienioną nagle w korpus oficerów 11-go pułku, nie dbały o parafiańskie znajomości. Traktowały z góry i cięży bez litości, co się nawinęło, do czego im nie brakło na ostrych żądawkach. Obywatelki zatem, jeżeli lubiły korpus oficerów, nie lubiły sztabu, obywatele zaś nie lubili ani sztabu, ani zbyt



ANTONI KUSZELL.

czasem grzecznych oficerów. Każda więc skarga szła prosto do ministra wojny, Księcia Józefa.

W kilka dni po zawieszeniu broni oddawszy depezę generałowi Fiszer w Krakowie, usłyszałem od niego ogromną burę. Łajał we mnie skromnym podporuczniku pułkownika i pułk cały. Ślusarz przewinił a kowala powieszono. Zbity z terminu niespodziewaną a mniej jeszcze zasłużoną naganą, zostałem potem w niwecz obrócony przycinkami oficerów w głównej kwaterze względem mniemanego dowództwa pani pułkownikowej, tak dalece, że już wtenczas chciałem z pułku wystąpić. Za wstawieniem się mego brata, którego zastałem w Krakowie, ofiarowano mi miejsce w mającym formować się pułku kirasyerów Stanisława Małachowskiego, ale wróciwszy do pułku, zakochałem się i zostałem na miejscu. Przestałem już jednak lubić swój mundur, co jest bardzo źle i dlatego też później przeszedłem chętnie do 5-go pułku Strzelców konnych.

Idąc po nitce do kłębka, owa bura Fiszera była więc pierwszym powodem wszystkich nieprzyjemności a raczej przykrości, których w dalszej mojej służbie wojskowej doznałem, a przeto i powodem do tej goryczy, co tak weześnie zaczęła wsiąkać w duszę moją.

Prawdę mówiąc, nie brakło w naszym pułkowym sztabie dworujących intrygantów i kobiecego wpływu, ale by miała pani Adamowa rządzić pułkiem samowładnie, aby wydawała bony na poziomki, kureczęta albo śmietankę, to bajki wierutne, bezezalne. A jednak te bajki obiegały całą armię i pułk 11-ty, po części może przez zawiść, bo żaden pułk tak świetnego nie miał korpusu oficerów, był powszechnie nie lubionym¹⁾.

¹⁾ Oficerowie pułku 11-go: Pułkownik Adam Potocki, major Tański. Szefowie: Książę Wincenty Woroniecki i Tomicki. Kapitanowie: Starzeński, Wesołowski, Komorowski Franciszek, Korn, Sulimierski Anastazy, Kraśnicki. Porucznicy i podporucznicy: Aleksander Stadnicki z Boratyna, Jan i Seweryn Drohojowscy z Krukienic, Józef Baworowski z Smolanki, Modest Dulski, Ignacy Szumlański, Roman Załuski, Potulicki, Mosakowski, Boznańscy, Pietruski Józef, Henryk Zielonka, Maksymilian Chojecki, Augustyn Drohojewski, Dąbrowski, Zagórski, Wincenty Nowicki, Jan Boski, Czarnek, Koźmiński. Kapitan-adjutant-major Twar-

Wojsko polskie wówczas było piękne, świetne, pełne honoru i odwagi, ale jego życie młode, za obfite, za wiele fermentujących cząstek zawierające, występowało często z krąwędzi obywatelskiego porządku. Nie brakło praw surowych, nie brakło i na zastosowaniu tychże, ale brakowało, że się tak wyrażę, policyjnej karności w szwadronach (zbyt trudnej wprawdzie, gdzie żołnierz nie płatny). Nie było szczebli kary i szczebli zastosowanych do ówczesowych okoliczności. Kara ociągała się często, aby wkońcu uderzyć surowo, nad miarę. Bądź co bądź, przykład stawał się potrzebnym. Książę Józef potwierdził wyrok sądów wojskowych lubelskich w sprawie żołnierzy 13-go pułku piechoty.

Nie spałem noc całą, trawiony dreszczem i gorączką naprzemian. Rano wzięłem na siebie wielki mundur, na głowę czapkę z kitą i udałem się z wyrokiem do uwiezionych winowajców.

Więzienie gdzie musiałem wstąpić było takie, jakie sobie młodzież czytająca romanse zwykle wystawia. W części zachowanej opustoszałego jezuickiego klasztoru, po ciemnych schodach a raczej szczełkach schodów, między murami czarnymi wiekiem a mokrymi wilgocią, wszedłem do korytarza, gdzie ni okien, ni stropu, a światło weiskało się tylko dziurami o dwa piętra wyższego dachu. W głębi korytarza w izbie sklepionej silnemi kratami opatrzonej, stał na środku stół, na stole krucyfiks. Przy drzwiach dwóch grenadierów cicho usunęło w krzyż sparte karabiny, bo i ja cicho postępowałem ku nim, jak gdybym się bał kogo obudzić, jak gdybym chciał stłumić złowieszczy odgłos mych kroków. W alkierzu na lewo pacierze mówiono.

Dopiero po przeczytaniu wyroku, przeprowadzają więźnia w inne miejsce i księdza przywołują. Ja jednak tak zastałem jak powiadam. Może z niedoświadczenia uchybiono zwykłym formalnościom.

dowski a po nim Smoliński. Kapitan-płatnik Zwierzyński. Z samego początku Szef Adam Bierzyński. Kapitan Aleksander Będowski.

(Przypisek autora).

W alkierzu na tapczanie siedział więzień, głowa na piersi zwieszona, ręce na kolanach złożone, obok niego kapucyn. Wstali obadwa. Mnie głosu zabrakło — ale i w całym gmachu jakby wszelki ruch zastygł, — życie cofnęło się w serca, — postawy były jak z kamienia. — »Przynoszę ci wyrok sądu«, odezwałem się nareszcie i lubo cicho przemówilem, głos mój tak przykro się rozległ, że groźnie wkoło spojrzełem, jak gdybym chciał milezenie nakazać. »Przynoszę ci wyrok sądu«, powtórzyłem. — »Wiem, wiem, panie poruczniku... ale cóż ja tak wielkiego zrobiłem. Zlituj się nade mną. Ratuj mnie«. — Ukląkł, objął moje kolano i zaczął głośno płakać. — »Nie lękaj się, rzekłem, wiem, że dostaniesz pardon na placu... Jesteś na śmierć skazany«. — Potem rozwinąłem długi wyrok i tylko potwierdzenie ministra wojny przeczytałem. Bo każdy podobny słuchacz może powiedzieć jak Księżę Moskwy: „*Na co tych frazesów, Michał Ney i garść prochu*“. Preczytałem więc prędko i kazałem mu przynieść wódki. Stamtąd poszedłem do wąskiej, długiej izby na drugim końcu korytarza, gdzie od kilku miesięcy reszta winowajców czekała wyroku. Tam z wybladłych i zarośniętych twarzy wytrzeszczone oczy wlepiły się we mnie, jakby własny słuch wyprzedzić chciały. Preczytałem: *Ośm lat więzienia w kajdanach*. Jeden tylko jęk odpowiedział, jęk głęboki, przeciągły, którego nie zapomnę póki żyć będę.

Nazajutrz na placu przed Kapucynami, tam gdzie teraz pałac komisji wojewódzkiej, czyli raczej, niestety, gubernialnej, odczytałem raz jeszcze wyrok z konia wobec oddziałów z różnych pułków zgromadzonych na tę okropną uroczystość. A gdy konia zwróciłem, huknęły wystrzały jakby jeden. Wyrok został spełniony.

Głodny za kartofle... biedny za pięć złotych!... Śmierć! Więzienie!... Konieczność! Konieczność konieczna wyparta zbiegiem okoliczności. Okoliczności zatem jak kostki... jak padną, taka liczba... Ale kostkami gracz ciska, a okolicznościami niewidoma ręka... i dopiero wtedy dowiadujemy się o grze, kiedy już za nią płacić trzeba.

Drugiego dnia po tej przeprawie byłem blady, ^{nie}nie nie

jadłem... trzeciego byłem smutny, nie nie jadłem, a czwartego wieczór grałem u generałowej Kamienieckiej w Pantofla, Jakóbka i Ciuciubabkę.

Ach Ciuciubabka! Któż z nas nie grał w Ciuciubabkę? Bo któż nie był młodym? Ileż to w niej wspomnień, od kolebki prawie, swawoli, guzów, śmiechu i płaczu!? W Ciuciubabce byłem bieglejszy niż niegdyś w gramatyce, niż potem w reporterstwie... i to o bardzo wiele. Ale ta biegłość wzbudzała oklaski, oklaski miłość własną, miłość własna zuchwalstwo, a zuchwalstwo ściągnęło katastrofę, o której przemilczeć nie mogę.

Co prawda to prawda, byłem wspaniały, kiedy na środku salonu, z zawiązanymi oczyma, rozciągnąłem ramiona jak orzeł zawieszony w powietrzu nim na poziome ptactwo uderzy... Cisza wokół... ani mru mru... puszczam się nareszcie jak z procy... Szmer, krzyk, pisk przede mną i za mną — krzesła się wałą, a ja pędzę, gonię i chwytam... piec. Nie nie szkodzi, — śmieście się!... Zwracam się niby na łyżwach, posuwisto, pochyło a szeroko ruszam w inną stronę. — Okno! krzyczą... ja na prawo. — Świece! wołają... ja na lewo. Potem nagle, niespodzianie, bo w tem sztuka, skręcam od prawego ku lewemu i jak gdybym kosę w trawie zapuszczał, macham w półkola, garnę spłoszoną zgraję... od kąta, do kąta... bliżej, coraz bliżej... aż nareszcie uchwyć w objęcie jaką kitajeczkę, jaki muszlinek — uchwyć i ućcisnę — im słabsze tem silniej...

Ale nie tu jeszcze mój tryumf. Ściganym będąc wyzywać, dopuścić niebezpieczeństwo do samej ostateczności, a dopiero wtedy śmiałym skokiem albo zwrotem wymknąć się gładko, to było mojem zadaniem, to zaletą posuniętą oklaskami, a nadewszystko uśmiechem panny Anieli, do najwyższego szczytu chwały.

Widok pomyślności jest przyjemnym, pomaga do strawności, jeżeli zawiść nie zawieje. Widok walki człowieka z przeciwnościami, czyli jak mówią poeci z nieprzyjaznym losem, jest podług tychże widokiem godnym bogów. Byłem tym widokiem jeśli nie bogów godnym, to godnym generała Kamienieckiego w peruce i nieco kulejącego i nieco jękają-

cego się szefa sztabu. Ale każda walka ma, jak kij, dwa końce. Ślisko zawsze pod nogami. Im wyżej się stoi, tem ciężej się pada. Tak się ze mną stało.

Razu jednego ścigany od zawziętego przeciwnika, mego rywala, któremu nos ogromny wznosił na oczach przepaskę, byłem przyciśnięty, zamknięty w kącie, jak księżna Berry w kominie. Już czuję nie dym, lecz oddech wroga na mojej twarzy.: Już poddać się trzeba... Ale nie... Schylam się, zginam w kłębek i horyzontalny ponad ziemię biorąc zapęd szalony, wysuwam się na środek. Bravo! bravo! zagrzmiąło wkoło, ale jeszcze nie przegrzmiąło, kiedy tracąc równowagę... nie powiem padam... bo to wyraz za słaby, ale rzucam, ciskam sobą pod fortepian aż mi sto świeczek zaświeciło! Leżę jak długi... leżę i nie wstaję... bo czuję, że na lewem kolanie, nie ciało, nie kość, ale sukno pękło.

W istocie rzeczy, przypadek ten względem świata był mało znaczącym i nie krzywdzącym mnie bynajmniej... i Salomon jeżeli go nigdy nie doświadczył, to nie dlatego, że był mądry, ale dlatego, że spodni nie nosił. Nie nosił pewnie i znane przysłowie jest jednym z najzuchwalszych anachronizmów. Względem świata nic nie szkodziło, ale względem mojej osoby nad miarę wiele, bo to były moje jedne i jedyne spodnie do vice-munduru, to jest do fraka.

Powinienbym może przeprosić, że używam wyrazu będącego pod klątwą w naszych salonach, jednak nie przeproszę, bo kasty uważam za śmieszność wszędzie, a tem bardziej w odzieży. Dlaczego suknie wierzchnie mają być coś szlachetniejszego od sukni spodnich? Dlaczego w familli tych ostatnich rodzaj żeński cały honor pod siebie garnie? Mówię o spodnicach. Dlaczego nazwę jednej najpotrzebniejszej rzeczy wypędzać z języka, a w koniecznym razie szukać figur bez sensu, aby ją oznaczyć. Jak gdyby nazwa zmieniała istotę wspomnianego przedmiotu, jak gdyby na migi nie można wskazać coś nieprzyzwoitego. Zapewne, spodni nie wezmę za przedmiot ballady ani też je, jak Napoleon swoje N, wcielę w porządek architektoniczny, ani je umieszczę w pierścionku lub meda-

lionie z napisem: *Souvenir*, ale mówiąc z francuskim satyrykiem:

Je ne puis rien nommer si ce n'est par son nom,
J'appelle un chat, un chat et Rolet un fripon.

A zatem spodnie nazywać będę spodnie... Ach! fi! Nieprzyzwoitość krzykną kongregantki, za któremi wszelkie wspomnienie daleko już leży. Ależ moje Szanowne Panie chciejcie się zastanowić, że tam gdzie absencya jest nieprzyzwoitością, tam obecność musi być przyzwoitością i nazwać ją, hańbą być nie może.

Po tej krótkiej rozprawie, która aczkolwiek za rozprawami Towarzystwa Rolniczego Lwowskiego i trzewików nosić nie godna, ma jednak swoją zaletę, bo oczyścić usiłuje język z niepotrzebnych minoderyi, wracam do mojej szkody.

Naprawił ją wprawdzie misternym ściegiem krawiec Majorko tak dalece, że strój rzeczony służył mi jeszcze czas jakiś na wieczory niezbyt jaskrawo oświecone, zwłaszcza że mój giermek zawsze świeżo atramentem bliźnę zapuszczał, że pamiętałem pałasz trzymać wzdłuż nogi i że zawsze tyłem do światła starałem się stawać, ale rozerwane a sklejone nie trzyma się długo... nawet małżeństwo, a cóż dopiero...! Folgować więc zaczęły, na piękne, tak że koniec końców, obliczywszy i długi musiałem konia sprzedać... bo łatwiej się obejść bez jednego konia, jak bez jednych spodni, a nie wiem czy już powiedziałem, że byłem zawsze goły jak święty turecki.

W pułku jazdy zbyt kowo ubranym, a rzadko kiedy płatnym, miałem z domu wszystkiego sto dwadzieścia dukatów rocznie. Kiedy nadeszła półroczna rata, spłaciwszy z niej długi, pożyczony nieco kolegom i potraktowawszy trochę, nie wiele się zostawało. Było to właściwością owych czasów prawdziwego koleżeństwa, że nikt się nie troszczył, jeżeli grosza nie miał w kieszeni. Nikomu na myśl nie przyszło odmówić koledze obiadu, sukni, nawet butów w nagłej potrzebie.

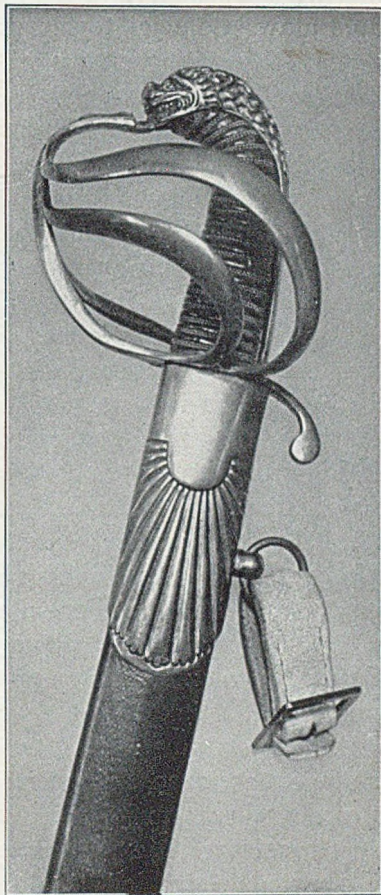
O dwóch złotych przyjechałem do Lublina jako członek sądu wtórego, ale ledwie wyszedł na miasto, spotkałem kolegę, który po zwykłym przywitaniu zaraz zapytał: »A ty pe-

wnie goły?» — »A juźci«, odpowiedziałem. — »Przychodźże do mnie na obiad«. — »Dobrze«. — Tym kolegą był Franciszek Komorowski, najlepszy człowiek, ale najgorszy żołnierz. Będąc wujem pani Adamowej, został kapitanem od razu w pułku jej męża. Kiedy się rozgniewał na żołnierza, co się rzadko zdarzało, nazywał go Gamulą, nazwano go też i jego samego Gamulką. Żadnej komendy nigdy nie mógł pojąć. Stojąc odwrócony do frontu swojej kompanii, komenderował podług swojej ręki w prawo albo w lewo, dlatego kiedy zwrócił konia, kompania maszerowała prosto na dom, a on drogą w przeciwną stronę. Śmiano się z Gamulki, ale go lubiono, bo wszystkim się podzielił. Daj ci Boże niebo, poczciwy Komorowski, za twoje dobre serce, za twój barszcz i pieczeń, które lepiej smakowały niż później przysmaki Verego albo Beauvillego. Ale i Gamulka nie spoczywał na pieniądzach i był znacznie niższy ode mnie, nie mógł więc pokryć mego deficytu. Zatem, obliczywszy nieodzowne potrzeby, konia trzeba było sprzedać.

Kapitan Lemański z 3-go pułku piechoty dobijał targu u Kowalewskiej, przy kielbaskach z kwaśnym sosem. Chytry piechur czytał w mojej myśli a raczej kieszeni, bo zaciął się w cenie jak się w mowie zaciął i kupił tanio. Wątpię jednak, aby miał pociechę, bo to był koń dziwnego charakteru. Szpakowaty, duży, niezgrabny, szedł zwykle jako tako, ale czasem, kiedy jak mówi Rusin: *Prystupyło do neho*, zadzierał głowę, jakby chciał gwiazdy na niebie liczyć śród południa i z największą flegmą kroczył przed siebie, nie bacznym na wszelkie szarpanie albo razy swojego jeźdźcy, szedł stępo póty, póki nie walnął łbem w mur lub jakie drzewo, albo póki się nie potknął na rowie lub płocie i pyskiem ziemi nie uderzył. Znałem ja i ludzi podobnego charakteru. Nie zbłąkani ani pędzeni namiętnością, ale z wszelką zimną krwią, rozumując jak najpiękniej a działając inaczej, idą pomimo napomnień przyjaciół drogą niewłaściwą, aż póki kozła nie wywrócą. Trzeba przyznać, że mnóstwo skłonności i narowów końskich napotyamy w ludziach. Nie jestże ten podobny do płochliwego konia, zwanego po niemiecku *Bodenscheu*. Wszystkiego się lęka, własnego cienia, ciągle w zimnym pocie trwogi, rzuca

się często w bok z dobrej ścieżki w kałużę i niedość, że sam się zabłoci, jeszcze drugich obryzga. Albo ten, co jak narowista szkapa nie chce z miejsca kroku zrobić, sam nie wie dlaczego. Albo ten, co zbyt drażliwy na najmniejsze dotknięcie, cofa się, cofa i cofa, choćby za nim i przepaść była. Ten, co wierzga i gryzie dlatego tylko, aby gryźł i wierzgał, więcej wprawdzie do osła albo do muła, niż do konia podobny. Ten, co ledwie uczuje łagodną rękę już ci na kiel bierze. Ten, który póty dobry, póki batog nad nim. Albo nareszcie i ten, co nie hamując swoich dobrych chęci potrzebną rozważą, ciągnie, dźwiga ciężar nad siły, co się nie ogląda na drugich, bo nie zgaduje, nie pojmuje innej natury, jak tę, którą czuje w sobie. Szlachetny szaleńcze! Smutny twój zawód, smutny koniec! Idącego naprzód ścigać będą kamienie zawiści, ustającego drwiny schłoszczą, upadłego oszczerstwo pogrzebie.

Ale kiedy mowa o koniach, powiedz Księżę Proboszczu, albo ty kochany Doktorze, czy nosił was kiedy wierzchowiec, wzięwszy na kiel? Nie tak jak ów szpakowaty kapitana Le-mańskiego, ale na piękne, co się zowie, cwałem, co może wyskoczyć? — Nie, — nigdy? — Szkoda, bo przyznalibyście mi niezawodnie, że gdyby najgenialniejszy człowiek dawniejszych albo nowszych czasów, Aleksander Wielki czy Napo-



SZABLA KAWALERYJSKA
Z CZASÓW KS. WARSZAWSKIEGO.

leon, Mojżesz czy Marcin Luter siedział na unoszącym koniu, musiałby mieć arecyglupią minę, tak, jak ja nieraz miałem, a szczególnie razu jednego w Warszawie. A to tak się stało.

Księżna Generałowa Czartoryska wyjeżdżała z Warszawy do Puław. Całe jej towarzystwo odprowadzało ją do Wilanowa. Mężczyźni po największej części wojskowi, konno. Staś i Artur Potoccy, Franciszek Morawski, Skrzynecki, Krukowiecki, książę Konstanty Czartoryski, Raczyński Edward i Atanazy, Kieki, książę Sułkowski, Roźniecki, mój brat Maksymilian i wielu innych. Byłem wówczas w Warszawie na urlopie, swoich koni nie miałem. Maksymilian dał mi więc swoją klacz angielską, — bodajby była nigdy polskiego owsa nie jadła! Nim jeszcze pojazdy ruszyły, ja, a raczej klacz moja już wpadła między przekupki pod Świętym Krzyżem. Gracko rozbiłem habski czworobok, nie ma co mówić. Krzyk, gwałt, koźły na prawo i na lewo, ale byłbym w końcu i siebie rozbił, gdyby jakiś przechodzący ułan nie był waryatkę zatrzymał. Złowieszczy był to znak, trzeba było w domu zostać, jednak pojechałem. Przez Łazienki aż do Szolca szło nie bardzo gładko, ale przynajmniej ucziwie. Mojej angielski grzbiet zgarbiony, uszy po sobie położone, szyja ciągle pracująca, jak gdyby przydłużyć się chciała, oznajmiały niejaka wewnętrzną niespokojność, która powoli i mnie udzielać się zaczęła. A wtem... ni z tego, ni z owego, jak się nie kopnie!... Strzała, wiatr! Pędzi jak gdyby zły duch prezydujący na wszystkich lamikarkach angielskich ćwiczył jej boki. Trzymam, ciągnę, szarpie, a widząc, że wszystko nadaremnie, pochylam się naprzód i puszczam jej cugle. Udaję, że to nic... że ja tak chcę... że się spieszę. Ale próżne udawanie! Nikt, kogo koń unosi nie zwiedzie drugich, że dobrowolnie pędzi. Jeno się spojrzysz na jego w tył podaną głowę — w tył podane łokcie — ruch ciała nierówny — oczy ciekawie patrzące co tam będzie na drodze, czego spodziewać się należy, skoku albo dwakroć niebezpieczniejszego zatrzymania w miejscu, — jeno się spojrzysz mówię, a łatwo poznasz, że bezwładne indywiduum jest igryskim szalonego losu, alias szkapy. Poznano pewnie i moje mimowolne wyścięgi, — ale cóż robić... Pędzę, Farys nowy...

Konnica z drogi... karety z drogi... a kiedy już wyminąłem wszystko, co się ruszało, moja Lady zatrzymała się i ja na niej. Jechałem kawał drogi naprzód całego konwoju, jak kozak, co niegdyś w niebieskim kontusiku przodował sześciokonnej karecie Siemianowskiego, starosty korabiowskiego z Koniuszek na sumę do Rudek. Jechałem powoli i potroszę kłąłem a potroszę poprawiałem, co mi się naruszyło w mym nagłym marszu. Ale nie tu koniec. Ledwie pierwszy pojazd równał się ze mną, moja angielka znowu w nogi i znowu stanęła. Tak pędząc i stając, jakby przy Kalwaryjskich Stacyjach, dojechałem przecie Wilanowa, gdzie zsiadłem czempędzej, aby do Puław nie zajechać. General Roźniecki, inspektor kawaleryi, którego baliśmy się podówczas, jak się później bano Wielkiego Księcia, albo jak się boi dyabeł święconej wody, zbliżył się do mnie i zapytał: »Cóż to Wać Pan za sztuki pokazywałeś?« — Nie mogłem konia zatrzymać, odrzekłem cienkim głosem. — Nie trzeba tego mówić, zawołał generał i postawił marsa, w którym był mocniejszym niż w czemkolwiek innem, oficer kawaleryi powinien być zawsze panem swego konia, — inaczej koń oficerem, a oficer staje się koniem. — Na ten komplement pomyślałem sobie i nicjedno, ale nie nie powiedziałem. *Bo inne myśleć, a inne mówić*, rzekłby ś. p. Wojewoda Podolski, mój antenat.

Roźniecki był generałem inspektorem kawaleryi, która tylko tradycyjny miała regulamin. Zachodziły więc czasem małe różnice między pułkami, tak w komendzie, jak i pomniejszych obrotach. Miał zatem zawsze pan inspektor, sam doskonały kawalerzysta, obszerne pole do poprawy i do nagany. Sadził się on na koncepta, z których nieraz i ten, co był napominany musiał się rozeźmiać. Najwięcej to się zdarzało kiedy kazał wystąpić oficerom w szereg do pokonnych obrotów. Konie dzielne, przyzwyczajone do ostrego zażycia, nie zawsze odpowiadały wymaganej dokładności. Powtarzane więc były w całej kawaleryi koncepta Roźnieckiego i nie mało śmiechu wzbudzały, bo przyznać trzeba, że były równie trafne jak dowcipne, a wyrzeczone zawsze z najsurowszym marszem

na czole. Nikt pewnie w armii nie byłby wówczas przeczuł jego haniebnego końca.

Wróciłem do Warszawy z dłuższym nosem niż wyjechałem. — Dlaczego? — Bo mnie koń nosił. Ach jakżeby mi się zdała owa twardousta angielfka między Gotha i Eisenach! Niechby przydrwiwano, niechby jaki Roźniecki i przyciął dowcipnie, ja nie brodziłbym po błocie, bo między Gotha i Eisenach w czasie odwrotu wojska francuskiego z pod Lipska, było błoto. Strudzony już nie skakałem z kamyka na kamyk, jak zrazu, ale szedłem środkiem drogi obok markietanki, z której rąk skromne łyknąłem śniadanie. Szedłem ze wstydem w hurmie trainardów, których rój zwykł bezpośrednio poprzedzać aryergardę. Ich pstra, swarliwa, rozwlekła kolumna rozszerza się i niknie prawie wstępując do wsi, jeżeli się jaka trafi na samej drodze. Każdy jak pszczoła, a raczej jak szerszeń, szuka, gdzieby mógł jeszcze swój dziób zapuścić aby czego zaczerpnąć, a za zbliżeniem się bębnow albo wystrzałów, kolumna wysuwa się ze wsi kończatą i znowu jak leniwy strumień płynie dalej drogą.

Kiedy tak idziemy, *moitié promenant, moitié chassant*, jakiś szmer, jakieś poruszenie od czoła wzdłuż przechodzi. Słowo elektrycznej siły budzi i kureczy kolumnę w jedną dziesiątą część jej pierwotnej rozciągłości — tem słowem było: *Cosaques!* A raczej podług wymowy konskrypeyonistów francuskich — *Cousaques!*

Żołnierz francuski dzielny w boju, rzadko kiedy wypełnia rozkazy jako ślepa część całości, ale zawsze jak myślące indywiduum. Nikt nie zgadnie, w ilu francuskich tornistrach leży patent na pułkownika, generała albo i marszałka. W armii francuskiej niema żołnierza, któryby tak jak w rosyjskiej lub austriackiej uważał rangę oficerską za niepodobną do osiągnięcia. Ale ta sama indywidualność chwalebna w boju, gdzie zwykle więcej dusza niż ręka zwycięża, staje się w obozie i w marszu, a zwłaszcza odwrotnym, trudną do ujęcia w karby dyscypliny, zapewniającej trwałość szeregom. Wojsko francuskie trzeba aby szło z boju w bój, inaczej rozplywa się, niknie, nie tyle w ogniu, ile przez ciągle odstępowanie sztan-

daru w celu osobistej korzyści. Póki armia posuwa się naprzód, wlecze się za nią na parę mil wszere chmura maroderów i trainardów, najwięcej demontowanych kawalerzystów na krajowych szkapach, wózkami albo i pieszo. Od czasu do czasu, przy przejściu jakiego miasta lub rzeki, wysłani oficerowie sztabowi zatrzymują taką kolumnę, porządkują i odsyłają do właściwych pułków. W Saksonii byłem świadkiem jak sam Cesarz tem się zajął i przy sobie kazał z furgonów nową broń bezbronnym rozdawać.

W odwrocie armii maroder, to jest żołnierze, którzy oddalają się bez pozwolenia, wpadają po największej części w ręce nieprzyjaciela. W Starej Gwardyi maroda była karana przewróceniem munduru do góry podszewką. Przy końcu, gdy już wszystko rozprzegać się zaczęło, widziałem aryergardę pułkową jak strzelała do oddalających się grenadyerów.

Dla Francuza Kozak jest najniebezpieczniejszy. Francuz mówi do Kozaka: »Daj mi zgotować moją zupę, bo bez zupy obejść się nie mogę, a potem bić się z tobą będę póki zechcesz«. Kozak zaś odpowiada: »Bić się nie lubię i nie będę, ale nie dam ci ani jeść, ani spać, póty, póki strudzonego nie schwyję bez niebezpieczeństwa«. Francuz lekkomyślny, Kozak roztropny. Francuz nie dba i o życie, jeżeli je ciąglą strażą i ciągłym postem chronić trzeba. Kozak i trzy dni jeść nie będzie. Byle miał kawał chleba nie stoi o gotowaną strawę, wszystko zniesie, byle niebezpieczeństwa uniknąć. Francuz porzuca swoją kolumnę, idzie sam nie wie gdzie, ni którędy powróci. Kozak ma niepojęty talent orientowania się; nigdy nie zapuści się tam, skąd cofnąć się nie można. Uchodzącego trudno dogonić, bo pierwaj wyrachował jak dalece zbliżyć się można. Nie przetniesz mu drogi, nie wpędzisz na bagna, bo choćby pierwszy raz był w jakim kraju, zgaduje ledwie nie psim instynktem ścieżki i przesmyki, których trzymać się należy. Śpiącego nikt nie zeszedł. Czujny jak żóraw. Nie ma on szlachetnej odwagi, nie ma wstydu tehórzostwa. Nie uderzy na nieprzyjaciela, jak tylko trzech na jednego. Na lufkę nie natrze za nic w świecie. Za pierwszym armaty wystrzałem nikt nie jak kamfora. Kozacy są niestrudzeni, — na lekkich, wytrwałych, mało paszy i spo-

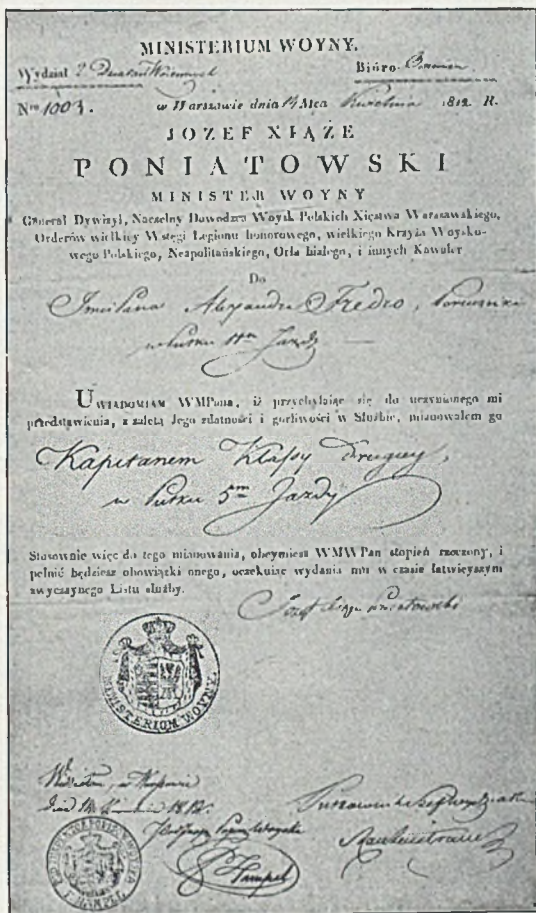
czynku potrzebujących koniach, przenoszą się z wielką szybkością z miejsca na miejsce, aby się skupić i uderzyć niespodzianie na nieprzyjaciela, a zawsze w przeważającej liczbie. Pod Mirem 1812 r. sześć pułków ułanów, 6000 koni, jak las proporców, zostało rozbitych przez Kozaków. Roźniecki chciał zrobić jakąś demonstrację większych sił, rozciągnął linię, a Kozacy wpadli z wszystkich stron, złamali, zwinęli w kłęb cały szereg przemądry, ścigali i brali co chcieli. Generał Dwernicki powiadał mi, że raz na manewrach pod Warszawą Wielki Książę mówił do niego; »Żeby był Roźniecki tak manewrował pod Mirem, nie byłby dureń wziął w skórę«. Ledwie odjechał przypada Roźniecki i pyta co mówił Wielki Książę? Dwernicki powtórzył z opuszczeniem rozumie się epitetu. A na to Roźniecki: »Ten dureń rozumie, że w batalii to jak na manewrach«. — I ten miał rację i tamten także.

Pod Romanowem 1-szy pułk Strzelców konnych Przebendowskiego, jeden z najtęższych, obskoczony przez przemagającą liczbę Kozaków, stracił połowę ludzi. Nieszczęsny to był wstęp kampanii.

I przy wielkiej armii służba jazdy małymi oddziałami stawała się niemożliwą. Wszędzie hurma Kozaków. Dziesięciu na jednego. A cóż dopiero za Moskwą, gdzie pułki jazdy i po dwieście ludzi w szeregu ledwie liczyły, gdzie przy drodze żdźbła paszy nie było, gdzie o milę w bok, a czasem i więcej trzeba było wysyłać, nie po siano, bo tego rzadko kto znalazł, ale po słomę, i to nieraz ze strzechy zdartą. Szła trzecia część pułku za furazem; z tej trzeciej części połowa tylko mogła go brać, bo druga połowa ucierała się z Kozakami. Często zatem oddział po furaz wysłany wracał z próżnemi rękoma, o kilku ludzi mniejszy, a zawsze słabszy w koniach. Dodawano później furazerom oddział piechoty.

Kawaleria francuska zawsze niepokoiona, zawsze trafiająca na przeważające siły, musiała uwierzyć w nieprzebraną liczbę Kozaków tak, że na końcu w jednym dziesięciu widziała, że nazwisko *Kozaki* stało się wyobrażeniem nigdy niedosięgniętej i z wszystkich stron niespodziewanie, jakby z ziemi wyrastającej przemagającej siły. Dlatego z czasem Kozak stał

się powszechnem straszędłem. W pamiętnym odwoicie z Moskwy, Kozacy na lekkich koniach, nawykłych wraz z nimi do



NOMINACJA ALEKSANDRA FREDRY NA KAPITANA 5-GO PUŁKU JAZDY.

zimna i głodu, do śniegów i lodów, łatwą mieli sprawę z Francuzami rozłażącemi się swoim zwyczajem na wszystkie strony właśnie wtenczas, kiedy skoncentrowane tylko siły mogły odierać większe niepokojenie, niż nacisk nieprzyjaciela, a przeto

czynić bezpieczniejszym i wygodniejszym marsz dzienny i nocny spoczynek.

W armii francuskiej, ze względu na jej własność i usposobienie, podzieliłbym kawaleryę na trzy rodzaje. Kawalerya przedniej straży na wzór Kozaków, nie w niczem nie zmieniając, kawalerya liniowa i kawalerya tylnej straży, któraby zbierała odłączających albo z tyłu wlekących się żołnierzy i formowała ich w oddziały. Te oddziały, nimby sposobność dozwoliła zwrócić je pułkom, robiłyby użyteczną służbę przy lazaretach i konwojach, a żołnierz wiedząc, że nie będzie mógł samopas wędrować, trzymałby się ściślej swojego szeregu. Ile to trudu i szkody nie wyrządziło czasem pojawienie się kilku Kozaków między powózkami wlokącemi się za armią. Takie oddziały demontowanych kawalerzystów i pieszych maroderów czyniłyby podobne napaście zupełnie bezskutecznemi.

Wojsko francuskie nieustraszone w boju, lękało się napaści kozackiej. Ta bojażń, przechodząca czasem w paniczną trwogę, rozciągnęła się z 1812 r. i na późniejsze lata tej wojny. Okrzyk: Nieprzyjacieł! znaczył tyle co: Do broni! Naprzód! — Okrzyk: *Cousaques!* tyle co: W nogi kto może!

Widziano jednego w pół zgłodniałego i chorego konskrypcyonistę francuskiego, na takiej samej jak on szkapie, kiedy wszelkich sił i sposobów używał aby ją skłonić do przedszego chodu, bo miał do tego ważne powody. Tłukł w pół złamanemi ostrogami i pałaszem płazował i sam posuwał się na kulbace, jak gdyby sobą chciał naprzód popchnąć i kłął płaczliwie: *Sacrrr... sacrrrée rosse!*... Ale to wszystko nadaremnie. Trucheika tylko mógł wydusić, a z tyłu za nim wrzawa coraz głośniejsza, bieda coraz bliższa. Nareszcie nieborak udaje się do ostatniego środka, do tego, który na nim największe robił wrażenie, chce nim konia zelektryzować — schyla się na kark, przybliża usta do ucha końskiego i krzyczy grubym głosem: *Cousaques! Cousaques!*... Ale koń zamiast dernąć, nie czując już ostróg, stanął nagle, a Francuz przez łeb zleciał. Co się dalej stało, nie wiem.

Wszystko to, co miałem honor powiedzieć, tłumaczy dlaczego między Gotha a Eisenach słowo *Cousaques!* wyrze-

czone na czele, a dwakroć powtórzone z tyłu, skurczyło nagle, jak mówiłem, kolumnę trainardów, czyli po polsku mówiąc włóczęgów. Na górze po prawej stronie, blisko wierzchołka stał w samej rzeczy oddział może dwudziestu Kozaków i patrzył na nas, jak patrzy kot ze strzechy na wróble, czekając sposobności rzucenia się na nie. Ale w naszej kolumnie były karabiny tu i owdzie, a karabina Kozak zdecydowanie nie lubi, — było nas i za wiele, gra nie pewna. Ograniczyli się więc na obserwacyi, konwojując nas wzdłuż drogi, a zawsze dalej jak wystrzał mógł sięgnąć. Że zaś nikt nie mógł zgadnąć, czy za każdym pagórkiem niema ich więcej, podróż nasza straciła wszelką swobodność. Nareszcie kto idzie, dojść musi, jeżeli nie zagrzejnie jak Skrzynecki, a więc i ja doszedłem do Eisenach, spocony, zabłocony, w wykrzywionych butach i o jednej ostrodze. Biegnę czempredzej do salonu służbowego. — »Mój płaszc? mój płaszc biały?« — pytam, wołam — nikt nie widział, nikt nie słyszał. Płaszcz przepadł na hańbę rycerstwa sztabowego, a utrapienie moje.

Zdaje się, że w odwrocie z Moskwy powinienem był wykupić się hojnie od wszelkiego zimna na całe życie. Ale nie. Przeznaczenie jednych kwiatami, a mnie szronem obsypało. Mróz był zawsze przesładowcą moim, nieraz ścinał mi słodki napój, którym młodość częstowała. Nawet w moich dniach pięknych, nie w Aranjuez ale w Lublinie, marzłem na kwarterze, »pod Białym Koniem«. Smutne tam przebudzenie, gdzie arabeski po szybach, a sąple u drzwi, smutne przebudzenie, przykra toaleta, a cóż dopiero jakabądź praca!? Francuzi pletą o poetach, co gdzieś pod strychem grzali się własną fantazyą. Ja takim zjawiskom nie wierzę. Zimno chwyta duszę pierwej niż ciało. W zimnej izbie niema mędrca.

Później w Wilnie w dużych pokojach pustych, gdzie mnie ukrył poczciwy Michał Minejko i śwędu nie było. Długie tam były dnie i noce moje. A teraz w Eisenach tracę płaszc i znowu staję oko w oko z moim wrogiem, z zimnem.

Można sobie wystawić w jakim humorze wyszedłem ze salonu i kiedy klęę różnymi językami, spotykam Onufrego. Wtedy, wyznaję ze wstydem, wyznaję ze szczerym żalem ude-

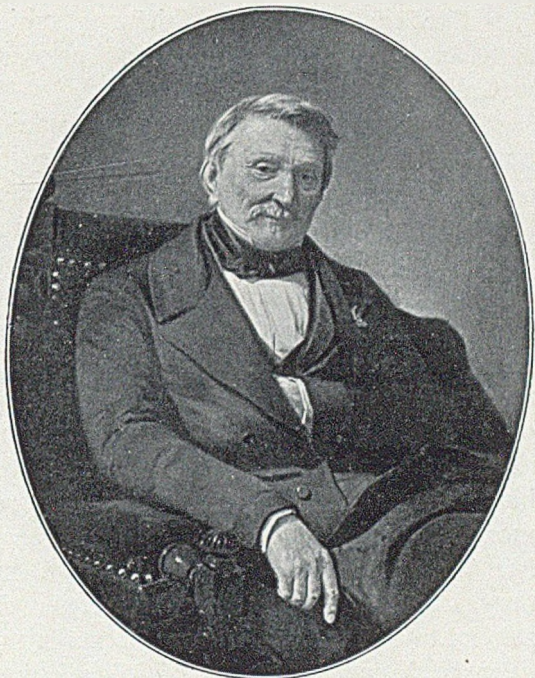
rzyłem niewinnego, uderzyłem mocno pomimo przekonania, że on nie mógł czekać na mnie z koźmi w Gotha, że nie on winien, iż zaspalem w niemieckich puchach, że pieszo podróżowałem i że płaszcz straciłem. Trzeba było zemścić się, zemściłem się na niewinnym. Wierciecie mi, moi Państwo, że tej czynności przebaczyć sobie nie mogę.

Zła to zawsze sprawa słabszego z mocniejszym. I nie każdy mocniejszy, tak jak ja w tym razie, wyrzuca sobie popełnioną niesprawiedliwość. A choćby ją sobie i wyrzucał, czyliż jego żal, jego zgryzota sumienia zagoi ranę, którą w drugim sercu wyżarła zjadliwa trucizna-niesprawiedliwość. Przejdźmy myślą nasze życie; wszystkie w niem zawarte cierpienia przeszły w mniejszą więcej żalosne wspomnienia, ale niesprawiedliwość doznana choćby to w dzieciennym wieku, choćby za fraszkę, pozostaje zawsze świeżą boleścią, zawsze zarodem goryczy, która się rozlewa przy każdej sposobności. Jest ona w duszy jak owa plama wilgoci na murze, trwa ciągle, lubo nikt nie wie, kiedy i skąd uzbierały się krople, co ją utworzyły. Są niesprawiedliwości, które na nas spadają jak piorun, jak owe uderzenie Onufrego, od osoby do osoby, ale są i niesprawiedliwości ciągle, powoli nas otaczające, niesprawiedliwości, które jakiś fatalizm zamknięty w naszej indywidualności zdaje się ściągać na nas.

Ileż to razy dysekowałem moralnie sam siebie, porównywałem z drugimi, starałem się dociec, dlaczego zawsze od wszystkich prawie źle byłem rozumiany. Każde moje słowo najprostsze, najwyraźniejsze w najobjętniejszej rozmowie, przybierało w drugiego pojęciu znaczenie inne, jak miało w istocie, a zawsze cierpkie, zawsze ubliżające. Listy moje, zwykle niedbale pisane, stawały się dla mnie powodem niejednej głębokiej boleści, bo podpadały rozbiorowi jakby jakie enigmatyczne zadania, tłumaczono je, a zawsze na złe, nigdy na dobre. A jednak wadą moją jest i było, że głośno myślę, że zdanie moje otwarcie powiadam, ale zawsze więcej, by je poddać dyskusji, niż żeby niem wyrokować. Otwartości świat nie pojmuje tylko u głupiego, u rozumnego zaś bierze zawsze za dobrze wyrachowaną larwę. Wyrzec się wdzięczności można,

każdy nawet rozsądny człowiek powinien jej unikać. Urazę przebaczyć można, nawet zapomnieć. Ale zawsze, nieustannie, najczystsze zamiary, najgorliwsze usługi, najniewinniejsze słowa widzieć przekrecone, w truciznę zmienione i nie być w stanie wyszukać

w sobie przyczyny, to musi koniec końców obudzić wiarę w jakiś niezłomny fatalizm. To może odtrącić od tego świata, który mnie nie chce. Mało, mało trzech murów między mną a ludźmi, abym mógł używać tej spokojności, która jest jedynym moim celem, tego szczęścia, którym mnie Bóg w domowym zakresie obdarzył. Połamałem moje pióro autor-
skie, nie jak mniemano dla równie zle-
go jak głupiego artykułu *bezimiennie* ogłoszonego, bo autor sprzedał się obcej



Aleksander Głowacki

nieprzyjaźni i to nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę. Porzuciłem urząd, gdzie moja miłość własna mogła była uleże chęci ścigania za popularnością. Staralem się jednym słowem zostać i zostałem głupim dla świata. Ukryłem się w cieniu głupoty przed cięciem, a jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów, trutniów i bąków — a jednak i w tym gęstym cieniu nie mogę uniknąć zetknięcia się ze światem, które staje się zawsze dotknięciem elektrycznego

druta — przykrem a często i bolesnem. Oskarżać świat cały, szaleństwo, oskarżać siebie, niesłuszność. Dalej więc milcząc i nie myśląc, dalej po ostrej drodze wypełnięty pielgrzymie! Każdy dojdzie kiedyś do swego Eisenach, ale czy płaszcz znajdzie, to wielkie pytanie.

Skończyłem smutną historję mojego białego płaszcza. A teraz powiem, jak podobność przyrzekłem, co się działo w Galicyi 1809 roku.

Znał kto z Waćpaństwa Dobrodziejstwa pana Stecewicza? — Nie? — Szkoda... Był to dobry człowiek, miał wzrost ogromny, nos duży, rzadkiej wielkości nogi, koszulę zawsze brudną i część ubioru nieodzownie potrzebną zawsze podartą. Dlatego zapinał surdut aż pod szyję i siadał wąsko. Był on dyrektorem alias pedagogiem moich młodszych braci. Teraz już dyrektorów niema, sami guwernerowie, ale onego czasu pan Stecewicz był dyrektorem, guwernerem zaś pan Płachelko, na drugi zawód w domu naszym. Dwie osobliwości łączył on w sobie, pierwsza, że był guwernerem Polakiem w owym czasie zatapiającej nas francuszczyzny, a druga, że brodę golił bez zwierciadła. Poważna to była figura pan Płachelko, ale można było o nim powiedzieć, przekręcając znane przysłowie: *Nie tak mądry jak się zdaje*. Boską to były plagą owe guwernerery, chodzące Wszechnice. Guwerner dawniej brał obowiązek kształcenia duszy i ciała. Uczenia przytem kilku języków, *wszystkich wiadomości i niektórych innych*. Udzielał często nauki muzyki i rysunku, a co najdziwniejsza, że czasem sam mało co umiał. Z rozbiorem Ojczyzny zamknęły się narodowi polskiemu właściwe mu rodzinne szkoły. Powstały obcym językiem uczące obczyzny. Kto tylko był w stanie, wychowywał dzieci w domu, do czego stali się wielce pomocnymi emigranci francuscy. Ale ci emigranci, nieszczęściem jedynie w pedagogów zmienieni, nie wiele więcej uczyć mogli jak własnego języka. Niereligijność, która kraj nasz zawiąła od zachodu, wychowaniu w duchownych zakładach zrobiła koniec. Pod edukacyjnem panowaniem francuskich guwernerów nietylko, że się gruntowna a do potrzeb kraju stosowna oświata cofnęła, ale co gorzej wychowanie młodzieży i nadal fałszywy

wzięło kierunek. Najbardziej szkodliwym, mojem zdaniem, stało się zaszczerpiecie możności domowego wychowania, które



EDWARD FREDRO.

dotąd silne jeszcze, niestety, rozkłada konary. Nauczyciele owi cudzoziemcy uczyli co umieli i czego nie umieli, ale bez żadnego systemu. Dlatego każda zmiana guwenera była zmianą sposobu i porządku w naukach. Każde nowe ich absolutne

panowanie zaczynało się od najłatwiejszego, to jest od potępienia wszystkiego, co jego poprzednik założył.

Moim pierwszym autokratą umysłowym był Hekel, szwajcar o łbie kędzierzawym i kabłąkowych nogach. Szlufował kamienie, łapał płaszki, nie tego uczył, ale tego ciągnął za uszy. Lubo często nazywał mnie Sztokfiszem, powiem, niepomny urazy, że o ile sobie przypominam, był to człowiek światły, przytem i muzyk niezły. Po nim nastąpił pan Płachetko, o tym już wyżej. Nakoniec, trochę już zapóźno, zwrócono się do trybu szkolnego i berło przeszło w ręce pana Trawińskiego. Obfita w zdarzenia i przemiany, acz, niestety, krótka jego historia. Z pedagoga, w całym znaczeniu tego słowa, stał się nagle dziwaczno wykwintnym elegantem. Z eleganta został żołnierzem w wojsku polskim 1807 r. Przeszedł z pułku Chevauxlegerów Gwardyi do 7-go podobno pułku Legii Nadwiślańskiej, będącego wówczas w Hiszpanii. Tam awansował na kapitana i zebrał sobie nieco pieniędzy. Ostatni raz widziałem go w Paryżu po abdykacyi cesarza Napoleona. Dał nam śniadanie *au Rocher de Cancale* i pożyczył pieniędzy. Wróciwszy do kraju, wziął dzierżawę pod Tarnowem. Tam został od swoich służących zamordowany, tak, jak król angielski.

Za młodym jeszcze byłem, abym był mógł z Maksymilianem, Sewerynem i Trawińskim umknąć do Warszawy, przeszedłem więc z młodszemi braćmi Julianem, Henrykiem i Edwardem pod powtórne panowanie pana Płachetki jako gubernera i dyrektora pana Stecewicza. Pierwszy miał uczyć po francusku, muzyki, przyzwoitości, obyczajności etc. etc. Drugi zaś kontynuować rozpoczęte przez pana Trawińskiego nauki szkolnym trybem prywatnie, których egzamina w domu zawsze kosztowały parę fasek masła. O Płachetko! niech ci Bóg, przed którym już stoisz przebaczy, ale ja nie mogę, żeś mój czas najpiękniejszy od 1807 do 1809 zabił, zamordował bez litości. Książki w rękę nie wziąłem. Jeżeli czytał, to romanse. Mój ojciec zajęty interesami a szczególnie fabryką żelaza, którą założył w Ciśnie, rzadko bawił w domu. Nie mógł więc dla dzieci zrobić, jak do ogólnego dozoru wziąć guwer-

nera, a do szkolnych nauk dyrektora. Odpowiedzialność więc cała ciążyła na panu Płachetce. Pan Płachetko nie nie robił, nie robiłem i ja nie. Polowałem, jeździłem konno. Wtem nagle, nie pamiętam z jakich powodów chwyciłem pióro i... napisałem komedię pod tytułem: *Strach przestraszony*.

Jeżeliby kto znalazł książkę in 8-vo, w skórce oprawną, w której pierwsza połowa wycięta, bo ta książka była kiedyś rejestrem, a druga zachwyca oczy tytułem: »Strach przestraszony, komedia w jednym akcie« — niech ją wróci memu potomstwu, bo to jest moje dzieło. Ale daremne wezwanie! Próżne nadzieje! Przepadł drogi rękopis, jak przepada skarb niejeden w wirze ludzkiej ciemnoty.

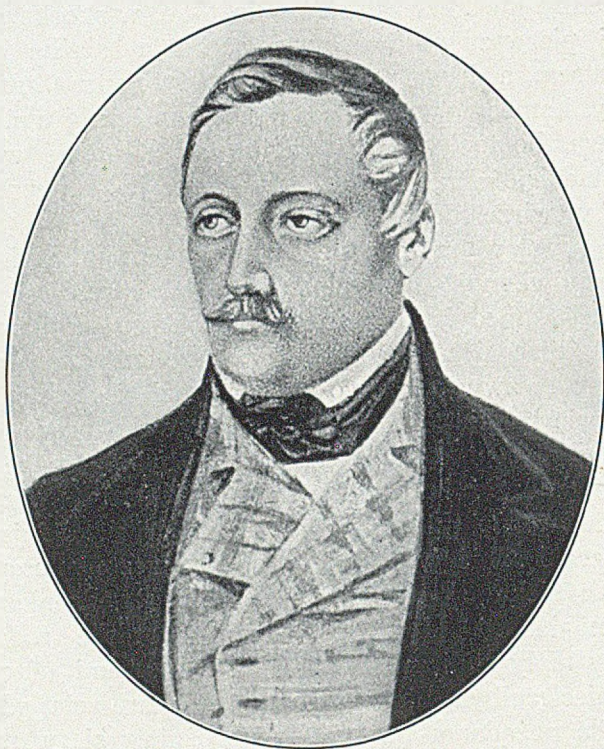
Nie mogę wstrzymać się i muszę wam kochani, a zwłaszcza cierpliwi moi słuchacze, opowiedzieć treść tej krótkiej ale pięknej komedii. Aby jednak stała się zrozumiałą, należy cofnąć się nieco i rzucić okiem w nasze zwyczaje domowe.

Był więc zwyczaj, że co niedzieli, dzieci wyprawiały bal, tak zwał się bankiet, na który otrzymywały prócz codziennych jabłek, trochę suszonych śliwek i wiszni, trochę rodzenków i migdałów i kawałek cukru. Mój brat Seweryn, szef szwadronu gwardyi (nie wówczas, ale później) jako najstarszy¹⁾, przywłaszczył sobie *jure fortioris* zazdroszczony urząd kuchmistrza. On siekał, skrobał, nadziewał śliwki rodzenkami a rodzenki migdałami, kiedy tymczasem młodsze rodzeństwo, obsiadłszy mały stoliczek zastawiony cynowemi talerzykami, czekało niecierpliwie pierwszego dania. Nareszcie, gdy nadeszła chwila pożądana, półmiski wypróżniały się w mgnieniu oka, nie bez zatargów i nie bez pokrzywdzenia najmłodszych, pomimo reklamacyi piastunek. Często też kończyło się na płaczu i dopiero cała śliwka wpakowana w gębę wzięła z sobą ostatnią łzę sunącą się po nosie. Czasem i bunt powstał; rzucono się na surowe kuchenne materiały — a gdy kuchmistrz nie mógł ich już obronić, rozdawał szturchańce i ciągnął za nosy, ale rodzenki osładzały wszystko.

Mój brat Seweryn, o cztery lata starszy odemnie, był

¹⁾ Maksymilian bawił wówczas w Puławach. (Przypisek autora).

do swoich lat trzynastu dokładnym egzemplarzem (tak we Lwowie nazwanego) lamparta. Swawolny, nieposłuszny, zawsze w zdeptanych trzewikach i podartej czapce, którą uczył psy aportować, był dla guwenera prawdziwą plagą. Szczególne miał upodobanie szcuć świnie psami i nieraz Cusin, ówcz-



SEWERYN FREDRO.

sny guwener, Francuz, przyprowadzał go za ucho z tego polowania do lekeyi i za karę przywiązywał sznurem do stołu. Z tego powodu napisał Seweryn komedię, której osoby były: Cusin, Sewercio, Burda (kundys) i Świnia. Tak to talent dramatyczny w naszym rodzie parł się w górę wszystkimi porami. Seweryn uczył się lepiej odemnie, ale ja byłem poważniejszy... nigdy nie byłem dzieckiem. Dlatego mnie zwano

Staruszkciem. Ale któżby mógł później odgadnąć tego swawolnego Sewercia w naszym pocziwym, kochanym Sewerynie, grubym, poważnym obywatelu, zawołanym gospodarzu, a którego humor skłonniejszy był do smutku niż do wesołości.

Otóż wracając do rzeczy taki bal dziecinny był treścią mojej sztuki. Osoby były: Pan... zapewne Cnotliwski, ale nie pamiętam równie jak nazwiska synka i córeczki pana Cnotliwskiego — Michał lokaj — i Szafarka. Rzecz się zaczyna: Pana niema w domu, dzieci narzekają, że niedziela przejdzie bez balu. Michał obiecuje im dostać śliwek, rodzenków i t. d. Ubiera się w prześcieradło, jak to zwykle wystawiają duchów i idzie do spiżarni straszyć szafarkę. Szafarka przestraszona kryje głowę w beczkę z mąką, Michał ładuje kieszenie nie tyle dla dzieci, ile właściwie dla siebie. A wtem... otwierają się drzwi... wchodzi Pan... Kolej na Stracha przestraszyć się... Michał kryje głowę w drugą beczkę. Rozwiązanie następuje prędkie i jasne, zamknięte nareszcie sensem moralnym.

Widzicie więc, moi Państwo, że komedia nie była bez planu i pewnie byłaby i nie bez efektu scenicznego, gdyby była przedstawiona w teatrze. — Szkoda!

Był w naszym domu nauczyciel muzyki Mikołaj Matłowski... pocziwy, dobry Matłowski... Dziwną miał zaletę, mógł kilka godzin siedzieć wyprostowany na jednym miejscu i nie nie mówić i nie nie robić jak tylko od czasu do czasu zażyć tabaki i utrzcć nosa w kraciatą chustkę z wymaganym rozgłosem. Jego wybrałem na słuchacza tem śmieiej, że obawa, która mnie w ciągu całego życia nie odstępowała, abym kogo nie znudził, nie mogła względem niego mieć miejsca, bo w niczem nie naruszałem jego moralnej i fizycznej nieruchomości. Pocziwy Matłowski uśmieiał się serdecznie z conceptów Michała. Pokochałem go za to jeszcze więcej niż go kochałem i odwiedzając jego pochwały przestałem brać od niego lekeye na fortepianie. Nie mały z niego zdjąłem ciężar. Cztery lata uczyłem się i nigdy zrozumieć nie mogłem, czego właściwie żądają odemnie. Przy lekeyach zawsze nogami dzwoniłem, oczywiście nie w takt i nieustannie wciągałem nosem, vulgo siąkałem, co jest niezawodną oznaką słabego usposo-

bienia ucznia i powinno zwracać uwagę rodziców. Jeżeli podrostek mocno sięga przy muzyce — nie tracić czasu. Czasem zły muzyk bywa dobrym jurystą. Jeżeli zaś sięga i nad kodeksem, czempredzej dajcie mu ołówki, może będzie malarzem. Ale jeżeli zawsze i przy każdej nauce sięga i sięga — to hebes jak Bóg Bogiem. *Scientia* nic z niego mieć nie będzie. Niech się czepia dworów.

Śmiech Matłowskiego ochrzcił mnie na autora. Przy tej sposobności muszę zrobić uwagę, że sposób najdzielniejszy podobania się, jest łatwość śmiechu. Śmiech jest nie udaną aprobatą konceptu... a aprobaty któż nie lubi?!

Sukces nadzwyczajny mojej komedyi zawrócił mi głowę, wziąłem się do tragedyi. Ale ta ograniczyła się na tytule wielkimi literami napisanym: »Rzeź Pragi« i na spisie osób, na czele których, jak łatwo zgadnąć, stali Suworow, Zajączek i generał Jasiński. Zdaje mi się nawet, że zacząłem pierwszy wiersz pierwszej sceny wyrazami: O Ty! co... albo: O Ty! który... co zawsze wielki efekt robi w stylu poważnym tak, jak inwokacye w kazaniach, które budzą wszystkie uśpione baby do ryczącego westchnienia, albo jak w teatrze owe oklepiane sentencye o enocie, honorze, miłości ojezyzny. Bo trzeba wiedzieć, że nigdzie niema tylu czcicieli enoty, ile w teatrze, lubo w zamęcie owych szlachetnych umiesień najwięcej ginie chustek i zegarków.

Ale jeżeli zostałem dramaturgiem bez żadnego wyraźnego powodu, nie tak się ma co do poezyi. Okolicznościami bowiem pchnięty dosiadłem Pegaza. Długo już przemyślałem jak to opowiedzieć, bo to działo się w wojsku, a koszary nie salon. Ale historia jest historia, ma swoje żelazne prawa, z których wylamać się nie zawsze można. Będę jednak starał się, bądźcie Panie pewne, omglic ile możności wszelką szorstkość przedmiotu. A więc do rzeczy.

W Krasnym Stawie mieszkałem razem z podporucznikiem Jakóbem Nowickim, który miał służącego Franciszka. Razu jednego wziąłem wstępny bojem (*necessitas frangit legem*) pewną nieodzowną, acz tylko płócienną część ubioru, którą to słońce nie zwykło oglądać. Kiedy zaś kolega upor-

czywie upominał się o zwrot swojej własności, napisałem wierszyk pod tytułem: »Żale Jakóba nad utratą g...i«. Zwrotki kończyły się powtórzeniem: »Franciszku! Gdzież g...e moje?« — Ta poezya zrobiła w pułku furorę. Ale jeden z kolegów, Dąbrowski (zginął pod Możajkiem) wziął mnie na stronę i zwrócił moją uwagę, że w kilku wierszach niema średniówki. — Średniówki?... Co to średniówka? zapytałem. Dąbrowski wytłumaczył i to była pierwsza oraz jedyna nauka rymotwórstwa, którą w życiu otrzymałem.

Uzbrojony w średniówkę, rzuciłem w świat parę kawałków, których tytułu powtórzyć nie mogę, a których sława przeszła krańce nawet pułku.

Później we Francyi spróbowałem rodzaju uczuciowego — napisałem do Ludwika Jelskiego ładny wierszyk zaczynający się:

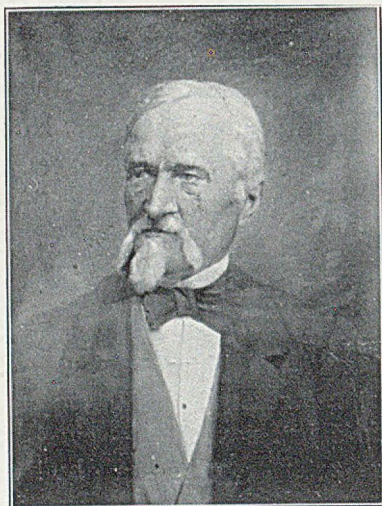
Miłość jest równie
Bujna topoli.
Wzrasta gwałtownie
Na miękkiej roli & &.

Ale kiedy razu jednego zacząłem deklamować w gronie kolegów, jeden z nich, gbur nieokrzesany, dodał zaraz do mego pierwszego wiersza »Miłość jest równie« — swój rym areynieczysty, co mnie tak zbiło z terminu, że na długi czas dostałem wstrętu do uczuciowego rodzaju.

W roku 1807—1808 mieszkaliśmy we Lwowie u Judki, na rogu ulicy Sykstuskiej. Niczego się nie uczyłem, wyjąwszy fechtunku, tańcu i ekwitacyi, co mnie jednak nie wyprostowało, bo się zawsze pochyło trzymałem. Zacząłem wprawdzie i lekye matematyki, ale za trzecią dostałem febry. Z Ignacym Konarskim jeździliśmy konno — było nas wszędzie pełno. Lansadowaliśmy najczęściej pod oknami panińskich konwiktów, a gdy panien nie było w oknie, jeden z nas krzyknął: Gwałt! gwałt!... co do okien ściągnać musiało.

Złożywszy na stronę miłość własną, muszę wyznać, że byłem wówczas dość pocieszną figurką, zwłaszcza, gdy przy końcu 1808 r. pozwolono mi w świat wchodzić potrosze. Od dawaliśmy wizyty i nikt nam nie powiedział: A do książki

smarkacze! — Pamiętam siebie bardzo dokładnie i jeżeli chcecie wiedzieć jakim byłem, proszę słuchać. Leb rudy w loki jak w zawijane zrazy, zafryzowany, mocno pudrem przykryty, frak brązowy z czarnym aksamitnym kołnierzem i dużemi, żółtymi guzikami, spodnie jasne, dość przestronne, jak była moda i buty węgierskie, a czasem buty po kolana z dwunastocalowemi sztylpami. Przy zegarku siedm pieczętek rzeszowskiej roboty, w rękę laseczka z kobuzią główką.



HENRYK FREDRO.

Nadszedł rok 1809-ty. W naukach żadnej zmiany, przybył tylko rysunek, do którego miałem niejaki usposobienie i taniec. Taniecszczególnie mocno mnie zajął, bo w tych czasach pojawiły się we Lwowie kadryle francuskie, czyli jak zwano kontra-danse, które nie tańczono tak jak dzisiaj chodząc prawie, ale tańczono sztucznie, baletniczo. Czasem na balach produkowały się pary w gawocie albo kozaku. Cytowano dobrych taneczników. Między pierwszymi był Ignacy Turkull, później minister w Petersburgu.

Taniec dziś zarzucony *anglaise*, był tańcem sentymentalnym. Każdy stawał do angleza z panią swego serca.

Mówiono o wojnie, ale młodzież mego wieku usłyszała o niej dopiero wtenczas, kiedy gruchnęła wieść, że polskie wojska wkroczyły do Galicyi — ale razem gruchnął i postrach, że wszystkich, szlachtę nie szlachtę, będą brać na rekrutów. Tego zaszczytu unikając, zostałem wysłany z panem Stecewiczem, który jeszcze więcej miał powodu niż ja lękać się austriackiego munduru, do Beńkowej Wiszni, do mego wuja Wojciecha Dembińskiego. Tę majątność trzymał w dzierżawę pan Wojciech, ożeniwszy się niedawno z Karoliną Hum-

nicką. Mój wuj był właśnie na wyjeździe w Przemyskie — wziął mnie ze sobą.

Mówiono wprawdzie o wojnie, ale jak o wojnie gdzieś za dwoma morzami, nie małe więc było zadziwienie nasze, kiedyśmy spotkali między Mościskami a Przemyślem mnóstwo fur z wielkim pośpiechem jadących. — Skąd? — Z Jarosława. — Dokąd? — Do Lwowa. — Co wiozą? — Mąkę. Jeden chłop stary, śmiejąc się, odrzekł na nasze zapytanie: »Ne cho-
czut Nimej chliba isty«. — W to nam graj! Ruszaj, aż kola furczą. Dalej widzimy na wozach i paki i kufry i tłumoki, a gdzieś tam żołnierz patrzący za siebie dowodził, że to były rupiecie wojskowe. Wszystko to miało taki pozór ucieczki, żeśmy się spodziewali ujrzeć co chwila ułanów polskich. Ale jeszcze godzina nie była wybiła.

W Przemyślu niby cicho, niby spokojnie. Wojska jak wymiotti. Jakiś ruch tajemniczy objawia się przecie. Dowiadujemy się, że nieprzyjaciel pod Jarosławiem, ale ten nieprzyjaciel nie straszy, bo trwogi ani znaku. Po ulicach dużo ludzi, nie stoi, nie idzie — drobne gromadki ciągle zbierają się i rozchodzą. Poznać oczekiwanie, ale oczekiwanie czegoś ciekawego, a nieprzykrego weale. Każdy stąpa jakby bał się kogo spłoszyć, każdy mówi cichym głosem jakby nie chciał obudzić, każdy się uśmiecha a marsa stawia. Jakiś duch serecem tylko odgadnięty przebiega, dotyka, porywa, wznosi w niebo nadziei. Ach, nie umrze, nie doznawszy największego szczęścia ten, którego owionął, choćby tylko na chwilkę, ten upajający, rozkoszny, podwajający każde uderzenie tętna, ten pierwszy podmuch wolności — wolności! Oswobodzenia! Pierwszy połysk światła słonecznego, co wpadnie przez wyłom do podziemnego więzienia. Ileż to lat upłynęło, ile marzeń speliło jak mgła poranna, ileż rzeczywistości wysłiznęło się jakby z dłoni, a jednak owa chwila w Przemyślu, wyraźnie wybita w pamięci, przemknęła się jeszcze czasem jak błyskawica po duszy mojej z całym swym urokiem wiary i nadziei.

Chcieliśmy dowiedzieć się czegoś więcej. Żydzi wszystko wiedzą. Idziemy więc do Rubina, znajomego kupca. Ciemno było w kurytarzu, gdzieśmy z nim rozpoczęli nasze badanie. Ale on cedzi przez zęby odpowiedzi swoje, wtem nagle chwytą

mego wuja pod ramię — ten nadstawia ucha... a żyd pociągawszy rękaw zapytał: »A gdzie Pan to sukno kupował? Mam świeży towar — co osobliwszego!« Niechże cię piorun trzaśnie i z twoim towarem pomyśleliśmy sobie i wyszliśmy czempredzej. Żyd zawsze Żydem. Pieniądz jego gwiazdą przewodnią i niema się czego dziwić, pieniądz tylko dźwignąć go może na stanowisko mniej wystawione na wzgardę powszechną.

Roku 1809 w Galicyi, a zwłaszcza we Lwowie zapał Żydów w naszej sprawie był ogromny. W 1812-tym w Litwie a potem i Księstwie Żydzi stali się naszymi głównymi nieprzyjacielami. Teraz wątpię, aby byli przychylni jakiejś zmianie w Galicyi. Ubodzy wprawdzie płacą czasem więcej podatku niż mają majątku, ale ogólnie biorąc, cały handel i cała administracya kraju w ich ręku. Chłop bez Żyda żyć nie może. Szlachcic go potrzebuje jako pośrednika w interesach z urzędnikami. Urzędnik tak cywilny jak i wojskowy z żydowskich tylko rąk chce przyjmować kubany a kubanów chciwy. Wielka przyszłość czeka Żydów. Duch żydowszczyzny ogarnął świat cały. Pieniądz stał się wszystkim. Ale kiedy on jest dla Żyda sam przez się szczęściem, dla świata jest tylko środkiem do osiągnięcia tych wszystkich materialnych rozkoszy za granicą, bez których nikt żyć nie chce. We Francyi nawet, owej Francyi rycerskiej, gdzie uczucie wbrew częstokroć rozsądku rozwijało częstokroć potęgę swoją do najszczytniejszych krańców fantazyi, gdzie człowiek władzą ducha ulatniał się, oddzielał się od siebie samego i wznosił się czystym tylko instynktem ku nieśmiertelności, tak, jak się wznosi motyl do stref słonecznych, kiedy jeszcze jego poczwarka, kołysząc się gdzie u kwiatu świadczy o jego pobycie na ziemi, w owej Francyi znika poezya wszędzie i ze wszystkiego. Piśmiennictwo francuskie czuć rzemiosłem. Każdy teraz pisać będzie przeciw natchnieniu, przeciw przekonaniu, jeżeli tylko może wiele pieniędzy zyskać. Kto na zawadzie, nieprzyjaciel — żadna świętość enoty i zasługi nie zasłoni, jeżeli nie własna siła. Po sercach, po głowach w górę! w górę! pnie się tłum zimny, chciwy i nie żyjący tylko w obecnej chwili. Żydzi wszędzie. Żydzi

w Paryżu, w Rzymie, w Londynie i w Przemysłu, skąd w nocy, o świetle księżycy i w majowej pogodzie tysiąc osmset dziewiętego, ruszyliśmy w dalszą drogę do Nienadowej, do brata pana Wojciecha, pana Antoniego Dembińskiego, byłego oficera z Kościuszkowskich czasów.

W Nienadowej, majątności ojca mojej matki, mieszkali niegdyś rodzice moi. Tam pamięć moja błądzi w mgłach dzieciństwa. Nie było już wprawdzie murowanego mostu przed bramą na szuwarem zarośniętej fosie, — nie było na środku dziedzińca kompasu, który mi się niegdyś zdawał spoczywać na ogromnej kolumnie, — nie było w koło niego ostrzyżonego agrestu, ani też w grabowym szpalerze kamiennego Kupidynka z urną pod pachą, którą zawsze napelnialiśmy gorliwie, ale był jeszcze dom duży, drewniany, o czterech kolumnach, o dwóch kurytarzach, z których jeden na lewo wiódł do biblioteki, drugi do oficyn i do sklepionego skarbcza, gdzie mieszkała panna Bełdowska, pocziwa staruszka, przyjacielska sluga.

Ale co to was obchodzić może, moje dzieci, co obchodzić kogokolwiek, że niegdyś, gdzieś w Nienadowej tlało jakieś życie przez lat dziewięćdziesiąt spokojnym płomykiem, że zgasło jak nocna lampa bez śladu i odgłosu. Co to obchodzić może? A jednak wam opowiadam... Ach, więcej ja do siebie, niż do was mówię. Przebaczcie egoizmowi, bo to tak miło, tak lubo wpatrzeć się czasem w jaką gwiazdeczkę, co nam gdzieś z dalekiej przeszłości zdaje się przymrugiwać przyjaźnie. Widzę jeszcze tę małą, pocziwą staruszkę jak we mnie pieściła dziecko, bawiła studenta, witała oficera, a zawsze ta sama, ani młodsza, ani starsza. W uszach mi jeszcze dzwoni brzęczące echo dużej, ciemnej sieni, przez którą biegło się do niej krzycząc, klaszcząc i tupając razem. Mam jeszcze w oczach ową tam kaplicę ze swojemi obrazkami i pochyłonymi ścianami, do której nam wstęp był zabroniony, a przeto tak wiele pożądany. Czasem udało się tylko jakiej ciekawej główce zaglądnąć przez uchylone drzwi do opuszczonego już, grożącego upadkiem kącika, bo ta kapliczka była mała — mały był ołtarzyk, ale któż zgadnie jak wielkie wznosiły się tam myśli,

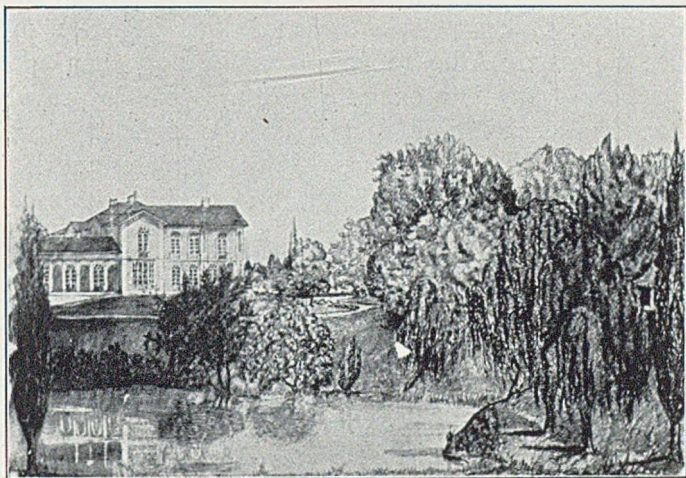
jak wielkie korzyły się uczucia?! Ileż tam modłów i błogosławieństwa przesunęło się cicho... ale pewnie macierzyńskich najwięcej. Pada do nóg rodziców, skłania uwiecznione skronie, włos rozpuszczony skrapia rześnistymi łzami... Ach, jakaż jej przyszłość?! Tak młodej, tak świeżej, tak pięknej! Życie takie długie!... Ale czas mija, przemija i znowu tam stanęła i córkę odrywa od serca i wiedzie przed ołtarz... I znowu ta córka błogosławi syna. Godziny, lata, pokolenia przepędzają jak obłoki wiatrem parte najczęściej bez śladu i pamiętki. Życie westchnieniem, szczęśliwym... przestrogą — cierpiącym pociechą... Niema już kaplicy w Nienadowie... Dom nowy... Mój wuj nie żyje...

Surochów, gdzie się urodziłem, skąd raz wywieziony na rękę piastunki, już nigdy nie wróciłem, leży przedemną jak obraz w śnie kiedyś widziany. Nienadowa taka jaka była, aczkolwiek zamglona została lubem dla mnie wspomnieniem. Ale świat mego dzieciennego i młodocianego wieku cały w Beńkowej-Wiszni. Długie tam dni, długie tam pory roku, bo kiedyż dłuższe jak w dzieciństwie, nie odgrzebuję w pamięci, ale dokładnie pamiętam.

Dom tam moich rodziców był to dom prawdziwy polsko szlachecki, zamożny bez zbytku, cichy a gościnny. Długi tam stół bywał. U góry siadywał mój ojciec, jak to mówią na pierwszym miejscu, kiedy gości nie było, po jego lewej stronie major Biegański, adjutant Kościuszki, potem generał; od upadku aż do wskrzeszenia Ojczyzny bawił w naszym domu. Człowiek rzadkiej poczciwości i do śmierci prawdziwy i gorliwy nasz przyjaciel. Po prawej stronie ojca najmłodsze z dzieci obok matki. Za matką Ludwisia, Kostusia i panna służąca; naprzeciwko Maksymilian, najstarszy z rodzeństwa, guwerner, nauczyciel muzyki Matłowski, rysunku Romanowski, a czasem tańcu Kure i fechtunku Frik von Lindenfeld, głuchy. Dalej Seweryn i ja, a niżej Smólski, Lesiecki, Orzechowski kulawy, szlachta oficjaliści. Bo lubo dom był szlachecki, jednak nigdy szary koniec u stołu nie był bez kilku dworzan. Dwa razy do roku, 2-go lipca i 17-go sierpnia, w dniu imienin rodziców zjazd bywał wielki. Obiad w ogrodzie pod lipami... bal noc całą... iluminacya... były nie małym szczęściem dla dzieci. Raz,

że kilka dni upiekło się bez lekcji, powtóre, że wszyscy mężczyźni obozowali w rostowni przy browarze. I sukienki nowe i muzyka z Rudek i ciasta z cyframi, wszystko to było celem oczekiwania i wielkiej radości.

Co niedziela zajeżdżała ogromna poczwórna karetą sześciu kasztanowatymi końmi — furman Sobek i foryś Fedzio w spencerach, spodniach łośowych, o okrągłych kapeluszach,



BEŃKOWA WISZNIA.

niby po angielsku. Za karetą szedł kocz poczwórny, równie ogromny, czterma końmi. Dla młodzieży przyprowadzał konie i kuce stary Stanisław, rzadko trzeźwy, w palonych butach i stosowanym kapeluszu ze srebrnym galonem, tak jak wszyscy lokaje. Jechaliśmy na Mszę do Rudek, ale czy my chłopcy umieliśmy pacierz, o to — ledwie do wiary — nikt nigdy się nie spytał. Drwiono sobie przy dzieciach z wszelkiej oznaki religijności. Nie być *Esprit fort* znaczyło tyle, co być głupcem na wielki kamień. Taki był duch czasu i to powszechny.

W pierwszych latach bieżącego wieku mój ojciec zakładał fabrykę żelaza w Cisny. Często tam przesiadywał. Raz wziął nas z sobą, to jest Seweryna, mnie i pana Płachetkę. Była to pierwsza podróż moja; lepiej ją pamiętam niż we dwadzieścia

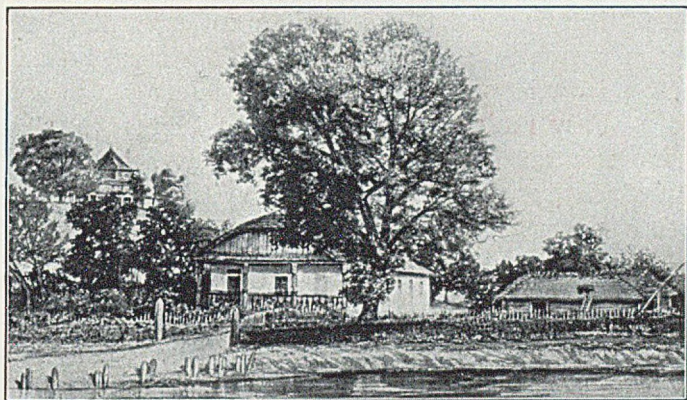
lat później odbył do Włoch. Kiedyś Państwu i o tej podróży opowiem, jak wyjechałem ze Lwowa do Florencji w zamiarze ożenienia się z panną Elżbietą Buturlin — jak to i dlaczego nie przyszło do skutku... jak się nareszcie puściłem do Neapolu, ale chwycony spleenem w Rzymie, kazałem nawrócić i wróciłem do Beńkowej-Wiszni.

Przywiozłem wszakże trochę pamiątek, między innymi różę uszczknioną w papieskim ogrodzie i oset na gruzach pałacu Cezarów. Za parę wieków może las będzie z ogrodu, a jezioro z pałacu. Albo może z gruzów powstaną gmachy, a z gmachów gruzy i to ostatnie podobniejsze do prawdy niż pierwsze, ale cieszymy się nadzieją, lubo zmartwychwstanie bardzo trudne. Wziąłem własną ręką w spalonym kościele św. Pawła kawał belka ze stropu, który miał być z cedrów góry Libanu. W Wiedniu kazałem z niego wyrobić Zbawiciela na krzyżu i za powrotem do kraju posłałem do świątyni Sybilli księżnie jenerałowej Czartoryskiej. Nie zwykły to był u mnie wybryk grzeczności. Zrobiłem nadzwyczajnie wiele, a księżna nadzwyczajnie mało. Kiedyś, później, komuś, przez kogoś kazała podziękować. Bądźże tu uprzejmym. Ile razy pomknąłem się ze sentymentem, tyle razy szcztuka dostałem. Bądź nareszcie grzecznym, jeżeli ci to przyjemnie, jeżeli ci to sprawia apetyt, albo sen sprowadza, ale jeżeli grzeczność chcesz użyć na ponętę na ludzi, to daremne trudy. Szcęście do ludzi, jak szczęście w karty, przyczyny nie ma.

Wyjąwszy głupich, których zawsze świat lubi, bo po nich skakać może, jak koza po pochyłym drzewie, — i o tych nie mowa, — znałem ludzi uczciwych ale nie delikatnych — lubiących gości w domu, ale nie trudniących się niemi — upartych, despotycznych w zdaniu, obojętnych wreszcie na wszystko, co leżało za granicą ich domu — a jednak więcej mieli przyjaźni niż ci drudzy równie uczciwi, ale grzeczni, lękający się uchybić komubądź, stać się natrętnym lub niedelikatnym, ludzie gorliwi w radzie i nigdy nie obojętni tak w prywatnej, jak publicznej sprawie. Znałem ludzi zimnych, nie dbających o niczyją przyjaźń, egoistów charakteru nie czystego, nie ceniących nawet miłości żony i dzieci, a jednak

świat ich lubił. Znałem zaś uprzejmych, miłych, wymowy miodem i mlekiem płynącej, a wszystko nadaremnie. Ścisła ręce, całuje z jednej i drugiej strony, a czasem i trzeciego całusa suplementarnego nie szczędzi — nie zapomni nigdy niczyich imienin — sześć tysięcy biletów wizytowych rozdaje co roku — sprawunki robi, listy pisze, poradzić lubi, a nawet czasem i pożyczy pieniędzy, a jednak ludzie go nie lubią. Zrozumieże tu proszę.

W jakiejś operetce Bogusławskiego śpiewa jakiś moralista: »Pochlebiaj a będziesz szczęśliwy«. Możnaby dodać:



JATWIEGI.

»i będziesz lubiony«. Miałożby to być słowem zagadki? Bądź jakim chcesz, ale pochlebiaj. »Pochlebstwo chociaż się rzekomo odrzuca, smakuje przecie«, powiedział i ś. p. Andrzej Maks. Fredro. Ale jakie ma być pochlebstwo, jak i gdzie go użyć, w tem sztuka, w tem rozum. Są pochlebstwa czynne i pochlebstwa biernie. W rzędzie tych ostatnich najgłówniejsze: *Nigdy nie lepiej nie wiedzieć jak ten, któremu podobać się trzeba*. A jeżeli zależy ci na tem, aby twoje zdanie przemogło, wykręcajże tak, abyś niem nigdy nie zwyciężył, ale raczej mu ulegał.

Mówią, że trzeba kochać przyjaciół i z ich wadami. Ja utrzymuję, że się ich kocha, właśnie dla ich wad. Ty nie wiesz

lego a ja tamtego, — ja nie mily w tem, a ty w tamtem, — więc kwita — równość. Człowiek doskonały we wszystkim, gdyby się znalazł na świecie, mógłby być uwielbiany, możnaby z niego wielkie ciągnąć korzyści, ale pożyte z nim byłoby pewnie najnieznośniejszem. Obok doskonałości nasza indywidualność spadłaby pewnie niżej zera. »A, jak bajka powiada, *miłość własną ma i ptak*«.

Tout chemin mène à Rome. Jeżeli do Rzymu, to i do Cisny — i nie dziwnego, że jadąc do Cisny, wstąpiłem do Rzymu. Wracam jednak na trochę prostszą drogę — do Beńkowej-Wiszni.

Ruszyliśmy w podróż koczykiem, zwanym niegdyś skarbnikiem. Na przodzie wysłano siedzenie i przy bokach zapchnięto po dwa gonty, aby który z paniczów nie wyleciał pod koło. Przy moim ojcu siedział pan Płachetko, straszny, kiedy na wietrze tabakę zażywał, straszny, kiedy kichnął i gdyby nie był moim guwernerem, powiedziałbym, że kichał jak koń, a zawsze z akompaniamentem obligato kaszlu i finallem huczno zatrabionym w czerwonej kraciatej chustce. Konie powodne szły za nami.

Już z Chyrowa, gdzie droga kamienista kręciła się wzdłuż Strwiąża, a często i jego łożyskiem, trudno było wysiedzieć w pojeździe, siadaliśmy więc na konie, a gdzie tylko Strwiąż pozwalał biegliśmy przed końmi. Była to podróż długa, ciekawa, — dłuższa i ciekawsza niż do Włoch, co już miałem podobno honor dowcipnie powiedzieć.

Z drugiego noclegu w Lesku puściliśmy się w dalszą drogę do Cisny konno. Nasz ojciec jechał na tureckim, białym jak mleko sztapaku. Obok, na siwym, dużym, z zaprzęgu wziętym koniu, pan Płachetko, który wypiętą postawą, równie jak i prętem prosto w górę przy ramieniu trzymanym, starał się udowodnić to, co tylekroć powtarzał, że służył niegdyś w jeździe litewskiej pod komendą generała Jasińskiego. Za panem Płachetką mój brat Seweryn na kasztanowatym a ja na szpakowatym kucu. Wówczas siedziałem na koniu, jak to mówią po łacinie, ale gdy przyszło od zamku spuszczać się do Sanu po skalistych ledwie nie schodach, wezwałem na po-

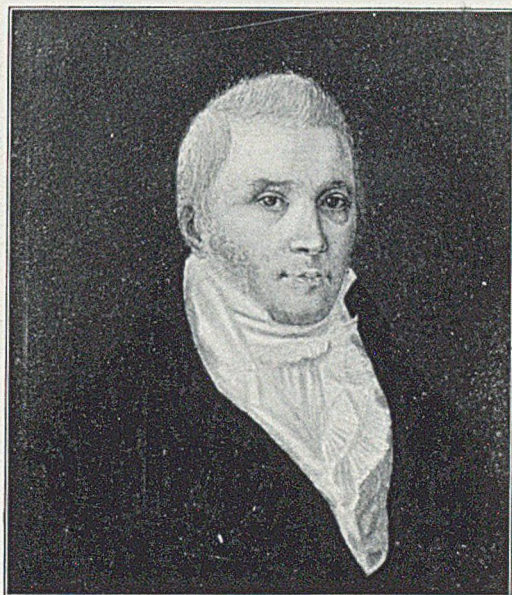
moc całą moją bereiterską sztukę. Wypreżyłem nogi tak, że butami dotykałem munsztuka, a ręką chwyciłem tylną krawędź siodełka i ciało w tył podalem. W takim horyzontalnym prawie położeniu, zjechałem szczęśliwie na dół i w San. Za pierwszym pluśnięciem wody, jak papierowy arlekin za pociągnięciem sznurka, zmieniłem gwałtownie moją pozycyą; ściągnąłem nogi jak do prysiody i puszczając siodełko, chwyciłem się grzywy jedną a potem i drugą ręką. Pomimo drwinek Stanisława, starego masztalerza, byłbym chwycił się i trzecią, gdybym ją był miał, kiedy w środku rzeczy zdawało mi się, że nadbrzeżne chałupy i drzewa suną się jakby w szekatarynce, albo, co jeszcze gorzej, że woda mnie i kucea unosi. Kłapanie podków po śliskich kamieniach, szum przerywanego prądu, wytryski z przed końskich kolan, padające na plecy i za kołnierz, zbily mnie z terminu do reszty. Mój kucyk zaś zdawał się wcale przeciwnego doznawać uczucia; stawał ciągle, spuszczał łeb jak gdyby był nie pił od dwóch dni, nareszcie zaczął nogą grzebać, znak nieomylny, że ma ochotę położyć się, co byłoby nastąpiło niezawodnie, gdyby go Stanisław nie był podgonił, a panicza za kark chwycił, bo panicz w niespodziewanej zmianie ruchu tracąc równowagę, byłby zleciał jak worek otrębów.

Wielki to był wstyd bać się konia, albo okazać złe usposobienie na jeźdźca. Ksiądz Zacharyasiewicz, biskup przemyski powiadał mi, że jego ojciec kazał raz swoim synom, dzieciom jeszcze, siadać na konia. Gdy się on niezręcznym okazał, ojciec kiwnął ręką i rzekł: »To kiep! będzie księdzem«. Tak się też i stało.

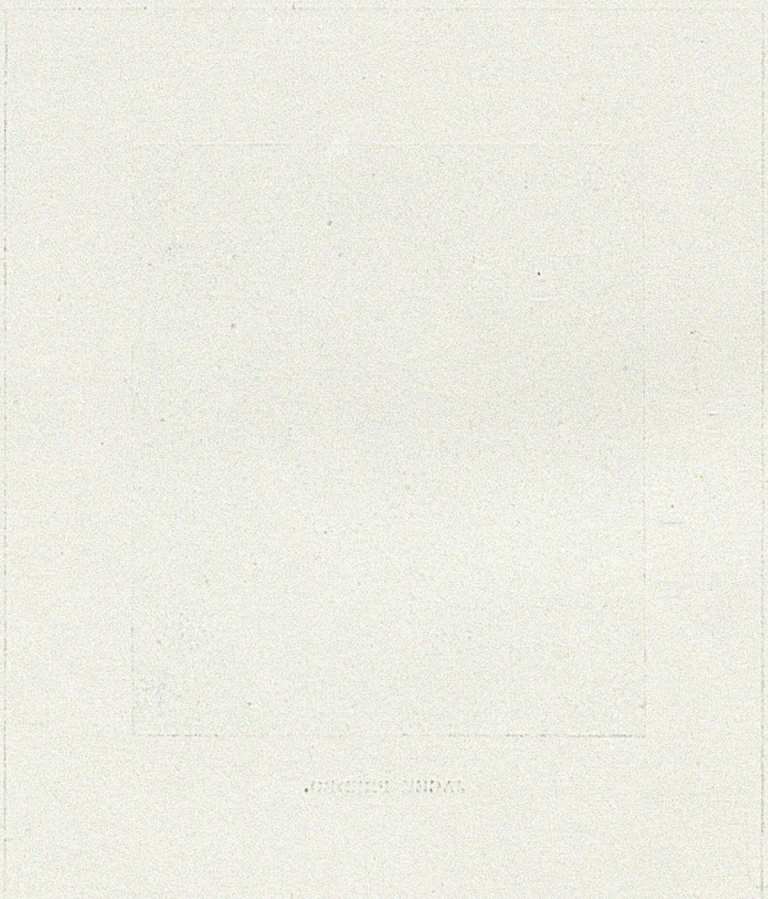
Żaden majtek, po burzliwej żegludze wstąpiwszy na brzeg, nie odetchnie tak błogo jak ja, kiedy ujrzałem się na stałym lądzie. Spojrzałem za siebie i oczy moje spoczęły na zwaliskach zamku, na owe czarne świerki, te nieme świadki tyłu wiosen, tyłu zim, tyłu dni burzliwych i pogodnych, które jak u ich stóp ścigające się lale przepłynęły w morze wieczności. Ten ogród leski był ulubiony memu Ojcu. Nigdy nie mógł oczu dość nasycić jego widokiem i nigdy nikt nie wspominał Leska, aby mój Ojciec nie narzekał na niedbalstwo

i obojętność terażniejszego dziedzica. »Lada dzień, mawiał, ta cała pyszna lipowa ulica zesunie się do Sanu, a tak łatwo byłoby temu zaradzić«. W samej rzeczy, w czasie, o którym mówię, brzeg Sanu był splotem obnażonych korzeni. Wisiały w powietrzu ogromne lipy; zdawało się, że lada wietrzyk, lada pchnięcie zwalić je potrafi, a jednak dzisiaj mija lat blisko pięćdziesiąt od mojej pierwszej przeprawy przez San— Ojciec spoczął w grobie, ja posiwiałem, a wisząca ulica jak szumiała tak szumi nad Sanem.

Jechaliśmy dalej. Nowy był to świat dla mnie — pierwszy raz byłem w górach. Im dalej tem więcej ponurą stawała się okolica. W koło góry, a z poza gór znowu wyglądające góry, wszystko czarnym lasem pokryte. Step, morze, te jednostajne ogromy, objawiające potęgę, wielkość natury — te obrazy nieskończoności przejmują nas podziwieniem, uszanowaniem i kornem zastanowieniem się nad sobą samym, nad nicością swoją. Ale widok rozległych borów łączy do tych uczuć jeszcze trwogę. To nam się zdaje, że wszelkie życie uszło z tych, wilgocią grobów teńących cieni — to znowu jakiś ruch tajemniczy niby się tu i owdzie pojawia — to narreszcie z kolebki jeszcze wzięte i w dalsze życie niesione ze sobą powiastki o czarownicach i rozbójnikach stają przed oczyma. Wszystkiego tego doznawałem, poprawiając się dość niespokojnie raz w prawo, raz w lewo na nieco twardem siodelku. Górale z długimi włosami, w ciemnych guńkach i dużych kapeluszach, występując zawsze nagle na ciasną widownię nie byli dla mnie nader przyjemnym widokiem. Ale kiedyśmy spotkali rodzinę Cyganów, kiedy z nich jeden wyciągnął rękę po jałmużnę i ta ręka znalazła się w równi z moją twarzą, lubo on był pieszo a ja konno... O! wtenczas, dusza była na ramieniu. Minąwszy niebezpieczeństwo, ochłótnąwszy nieco z trwogi, zbliżyłem się do ojca i zapytałem się ak obojętnym głosem, jak go tylko ukształcić mogłem, czyi są rozbójnicy w tych lasach. — »Niema, była odpowiedź, od czasu jak schwymano i stracono Wulfa, o żadnym w tych stroinach nie slyszałem rozboju«. — »Co to za Wulf?« — »Potem,



JACEK FREDRO.



STUDYING LIBRARY



kiedyś wam opowiem, a teraz patrzcie przed konie i niech jeden za drugim jedzie».

Jechaliśmy pod górę wykutą w skale drogą. Na grzbiecie pagórka mój ojciec wstrzymał konia i zawołał rzewnym głosem, jak gdyby widział przyjaciela: Hoczew! — ...

W dolinie nad brzegiem rzeki płynącej do Sanu ujrzeliśmy szczątki niewielkiego zamku. Obok biały dworek i gospodarskie, dość porządne zabudowania. Dalej kościółek, karczma i chaty wzdłuż łągu rozsypane. To była Hoczew. — »Tu, w tym zamku urodziłem się, rzekł mój ojciec i zdawał się więcej do siebie niż do nas mówić. Z tej strony był pokój mojej matki... już tylko jedno okno... dalej był ganek... wszystko się zwałilo... Na środku dziedzińca stała wielka lipa... takich drzew już teraz nie widać... w jej cieniu bawiłem się, będąc dziecieniem, a biegałem, swawolilem już chłopcem... piękne było drzewo«!... Czas jakiś patrzył jeszcze w milczeniu, zdawał się robić rachunek swoich wspomnień z otaczającymi go przedmiotami. Nareszcie zsiadł z konia i nam zsiąść rozkazał, bo w skale wykutą drogą, więcej do schodów niż do drogi podobną, trzeba było ponad potok spuszczać się w dolinę Hoczwi. Uszedłszy kawałek, prowadząc konia za sobą, wstrzymaliśmy się przy źródelku, co cienkim promieniem z prostopadłej wytryskało skały. »Niema, rzekł mój ojciec, w całej okolicy równie dobrej wody. Tu dziećmi będąc wprawialiśmy bżowe rynewki i patrząc z daleka cieszyliśmy się, kiedy przechodnie korzystali z naszego wynalazku. Mało kto minął, żeby się z rynewki nie napił«. — Te słowa ojca, jego głos rozplywający się w rozczuleniu, oko pogodne a tak pełne rzewnego uczucia, głęboko utkwily w mojej pamięci. Przez wiele lat potem, jeżdżąc tamtędy, spuszcając się do Hoczwi, zawsze słyszałem w sobie te proste wspomnienia naszego dobrego i kochanego ojca. Nie minąłem nigdy źródelka, z uszanowaniem nachylałem głowy, aby świętego dla mnie zaczerpnąć zdroju. Kilka lat temu... teraz już killkanaście... nie potrzebo wałem zsiadać z konia, droga była rozkopana, szeroka, wygodna, ale mego źródelka... mego źródelka!... odszukać nie mogłem. Pozbawiony zostałem uczucia, którego zawsze cze-

kał z upragnieniem, jadąc w tamte strony. Uczucie wzięte
dziecięcą duszą z ust ojca, wyraziłem później w następującej,
jednej z najpierwszych moich poezyi:

Ach, któż na widok swej rodzimej wioski
Nie cofnie myśli w te chwile bez troski,
W ten cień kolebki... wiek błogosławieństwa,
Gdzie pod skrzydłem rodziców, w gromadzie rodzeństwa,
Brał tak swobodnie, tak pełen ochoty
Życia poranne pieszczoty?!

O! skały, zdroje, doliny i drzewa,
Wy, w które pamięć czułą duszę wlewa,
Świadki lat młodych, stałe przyjaciele,
Jakże was starość lubi, jak was ceni wiele!

Przyjemniejszy szmer świerków, miłszy cień topoli,
Przy których wolni pasków i wstając powoli
Pierwsze stawialiśmy kroki.
O! jakież wdzięki uroczę
Mają te szare, sterczące opoki,
Z których bluszczy gęsty rozpuścił warkoczę,
Co krzyk dzieci powtarzały
I łajane, nas łajały.

Jak smaczna woda zdroju, co się z góry zmyka,
Gdzieśmy groble sypali z piasku i krzemyka,
Albo bżowe rynewki umacniając w skale,
Nieśli przechodniom ochłodę w upale.
A te doliny w kwiecistym stroju,
Te miejsca igrzysk, gonitw, czasem boju,
Ileż wspomnień nam nie niosą!!

Tu ścinałiśmy osty, mokre ranną rosą,
Tam z białych główek strząsłszy zielone badyle,
Pletliśmy pół dnia łańcuch, który potrwał chwilę,
A ta straszna pokrzywa, tajona krzewiną
Ileż łez gorzkich nie była przyczyną!

.

Ach, tak jest, miejsce urodzenia jest świętością dla serca,
jest księgą, w której człowiek czyta aż do śmierci dzieje swo-
jego szczęścia, bo dzieje lat dziecińczych. Sad za domem, ście-
żka przez łąkę, kładka na strumyku, wszystko to rozdziałały
żywota, oblanego światłem nieprzebranej miłości rodzicielskiej...

Im dalej ku krańcowi życia tem bardziej ściska się w sobie przeszłość nasza. Lata, lat dziesiątki, stają się punktem, a nawet nie punktem, jeżeli z niej nic dotąd istniejącego nie pozostało. Jak błyskawica zgasła raz na zawsze. Ale wiek dziecinny leżyć zawsze będzie przed duszą, świeży, jaskrawy i równie rozległy, rozciąglejszy nawet i co do czasu i co do miejsca, niż był w istocie. Wielkim zawsze w naszej pamięci pozostanie pokój, po którym harcowaliśmy na laskowych rumakach, wielką owa kaplica,

Gdzie tuląc się do Matki, skryci w jej odzieże
Jej tylko zrozumiałe pletliśmy pacierze...

A też pory roku! Jakże długo trwały! Chętka bierze wierzyc, że dłużej niż teraz. Zima groźna swojemi długimi wieczorami, zdawała się wiecznością. Nie można było doczekać się owego wielkanocnego baranka z chorągiewką — owej baby z cykatą i plaacka z migdałami, którymi cieszono się pół roku naprzód. A przy lekeyach! Przy lekeyach ten czas niemiłosierny lał jak na żółwiu.

Ale wróćmy do Hoczwi. Stanąwszy przed karczmą, mój ojciec zapytał żyda arendarza: »A żyje jeszcze stary Kajetan?« — Na odpowiedź, że żyje, posłał po niego, pokazując nam chatkę naprzeciwko dworu na pagórku, w której on mieszkał.

Kajetan był to strzelec i hajduk podobno, służył dworsko w czasie, kiedy mój ojciec swawolił pod wielką lipą, kiedy rynewki w skale umacniał. W roku 1818-ym czy 1819-ym, przyszedł był odwiedzić mnie, bosó z Hoczwi do Cisny, mil trzy. Miał wówczas, jak mówił, lat dziewięćdziesiąt. Głowa jak z marmuru, bez jednego włoska, broda niewielka prawdziwie śnieżnej białości, twarz czerstwa, oko pełne, był, jak jaka postać historii świętej z obrazu zdjęta.

Długo mój ojciec z nim rozmawiał, potem obdarzył i ruszyliśmy dalej.

W Baligrodzie wypoczęliśmy koniom. Tam granica świata. Za Baligrodem wjeżdża się jak w czarne gardło. Droga i rzeka jest to jedno i toż samo, a od rzeki z jednej i z drugiej strony

wznoszą się czarne ściany jodeł i smereków. Cisna leży w obszerniejszej nieco kotlinie. Folwark, cerkiew, karczma, dalej młynek i tartak ożywiają tę górską wioskę więcej, niż wiele innych. Przyjazd nasz wszakże nie w dobrą chwilę miał miejsce. Zanosilo się na słotę. Z gór czarnych kurzyło się w kolo — na co tam zwykli mawiać, że niedźwiedzie piwo warzą. Szczyty gór były całkiem zakryte, nie mogliśmy więc podziwiać pierwszą osobliwość — *Lupiennik*. Ta góra podług miejscowego podania ma mieć dwadzieścia cztery kondygnacye, a z wierzchołka widać Lwów!!!

Wieczór, chcąc nas zabawić, pan Zajęczkowski, ówczasowy rządea ciśniański, wystrzelił z fuzyi. Stokrotny odgłos, biegnący i wracający po górach, był dla nas zjawiskiem całkiem nowem, nawet nie przeczutem. Nie było miary naszemu zadziwieniu i zachwyceniu, dla tego wystrzelaliśmy wkrótce cały zasób prochu z arsenału pana Zajęczkowskiego.

Pobył nasz w Cisny był pełnym uciech. Wszystko dla nas było nowem — nowem dla słuchu i wzroku. Trąby z kory juhasów odzywały się czasami po górach tu i ówdzie. Ton ich melodyjny, nieco jednostajnie przeciągły, powtarzany, a raczej rozciągany echem po skałach i lasach, ma w sobie coś tak swobodnego a tęsknego razem, tak stosownego do tej poważnie milczącej natury gór, że wrażenie, które od pierwszego razu na mnie zrobił najmniej się nie starło. Odgłos tej trąby jest zawsze dla mnie prawdziwą rozkoszą, teraz może i większą niż wówczas, bo za każdym tonem leci krocie wspomnień. Łapaliśmy pstrągi i kiełbiki, a jeżeli się czasem noga ześliznęła, było to powodem do śmiechu bez końca. Zwiedzaliśmy szalasy po odległych górach, gdzie nas częstowano bundzem i bryndzą. Byliśmy przekonani, że w każdym parowie musi być przynajmniej jeden niedźwiedź. W tem mniemaniu utwierdzał nas poniekąd pan Zajęczkowski. Bał on się niedźwiedzi nie powoli. Powiadał nam, że przyszedłszy raz zamysłony nad jedną kładkę i podniósłszy oczy, ujrzał z drugiej strony rzeki, idącego do tej samej kładki, zapewne w zamiarze przejścia przez nią ogromnego niedźwiedzia. Jak był ogromny niedźwiedź nie potrzeba mówić... rozumie się, że jak wół, jak

kopica siana i jaka jeszcze kopał... rozumie się także, że się pan Zajączkowski przestraszył i że krzyknął, jak żaden jeszcze Zajączkowski nie krzyczał. Niedźwiedź zdziwiony bo zapewne o czym innym myślał, wznosił się na zadnich łapach a przednimi klasnąwszy parę razy zszedł na bok i zostawił wolne przejście, z której to jednak grzeczności pan Zajączkowski nie uznał za potrzebne korzystać i łącząc odwagę z roztropnością



DROGA DO RUDEK.

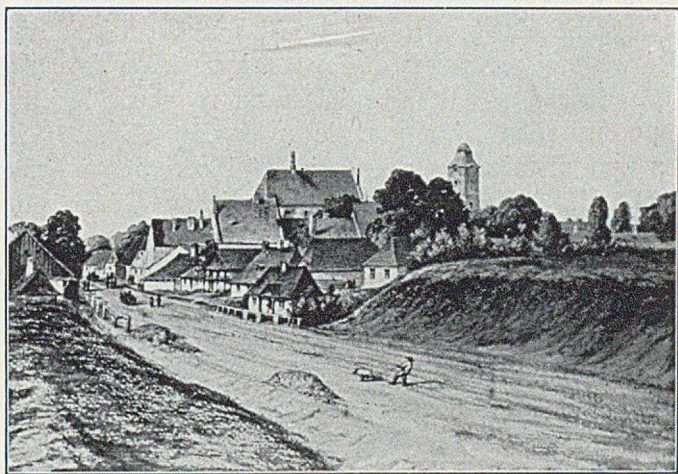
wrócił spiesznie do domu. Od tego czasu, mówił, bez szabli przy boku nie wyjdę z dziedzińca.

Mój ojciec był ciągle zajęty fabryką. Jak wszędzie tak i w tamtych okolicach kochany i szanowany, miał wkrótce wiele gości. Między innymi Michał hrabia Konarski z Wietliny. Miał konie ze strzyżonymi grzywami, mówił co trzecie słowo: »Jak mi Bóg miły« i tabakę z różka zażywał. Ludwik Urbański z Jabłonek, nie tak głupi, jak się wydawał. Dobre czelczyisko. Pius Fredro, ten sam co raz we Lwowie wracając w nocy do domu tego podkreślony na zapytanie sztyldwacha: Werdo? (*Wer da?*) odpowiedział: »A Fredro. — Jak on wie, że ja Fredro?« dodał sam do siebie. Osuchowski z Żerniczki, stary myśliwy, ten z Cisny nie wyjeżdżał prawie. Czasem wieczór grywał z moim ojcem maryasza, ale jak było więcej gości, opo-

wiadał wypadki, których sam doznał, albo których był świadkiem, wojując z niedźwiedziami. Powiadał, jak raz wzięwszy w zapale kUCA srokatego za kundysa, szcZuł nim po strzale rannego niedźwiedzia. Kuc w nogi, a niedźwiedź do niego... dalej tańcować w koło buka, póki nie nadszedł strzelec i dobrze wymierzonym strzałem nie położył końca tym mimowolnym pŁąsom. Powiadał, jak widząc swego sąsiada pod niedźwiedziem, wołał przez rzekę: »Panie podczaszy! Oddaj się Waćpan Bogu!« — i jak pałnął, w sam łeb... (niedźwiedzia rozumie się). Powiadał, jak raz na polowaniu, gdzie więcej było amatorów niż myśliwych, rozstawił wszystkich drożyskiem z łąki aż na pagórek, gdzie objechano niedźwiedzia. »Odezwał się, mówił, tropowiec, dopuszczono kundysy, doszły niebawem niedźwiedzia, który idąc w hurku wzmagał się ku działom. Ja stałem na uszyjku, z drugiej strony łąki. Wtem słyszę strzał w górze, a wkrótce potem moje goście zadychane wypadają gęsiego na łąkę krzycząc: »Niedźwiedź! Niedźwiedź!« — Ostatni bez czapki i bez strzelby, jak trup bŁady, komisarz cyrkularny, a za nim... aż chrusty trzeszczały... aż ziemia dudniła... Co? — Biała kobyła. — Cóż się stało? — Biała myśliwska kobyła uwiązana w gąszczu, spŁoszona strzałem, a jeszcze więcej kapelą wiodącą niedźwiedzia, urwała się i puściła ku domowi na pół drożyskiem. Nie czekał jej kreiskomiser, krzyknął: Gwałt! i dalej w nogi. Niżej stojący amator podobnie wrzasnął i dernął — tak i cała linia wysunęła się następnie na łąkę, ściągana białą kobyłą.

Takie i podobne opowiadania wielce nam się podobały, ale jeszcze więcej dykteryjki różnego rodzaju Krzyżanowskiego. Jak sobie teraz przedstawię tego Krzyżanowskiego, a pamiętam go bardzo dobrze, był on może ostatnim egzemplarzem dworaka, pieczeniara, wyjadacza dawniejszych czasów. Przyjechał komno, torba borsucza i strzelba przez plecy — harap w rękę. Niewielki, krępy, włos szpakowaty, mowa chrypliwa. Pół bŁazna, pół szlachcica, wszędzie był domowym. Nigdy nie opuścił okazji prosić o korezyk zboża, faskę bryndzy, kawał skóry i czy otrzymał czy nie, zawsze z uśmiechem ściśnął kolano Jaśnie Pana. Komu w nocy napuścić os do izdebki,

komu włosienia nastrzydz na prześcieradło, komu jaj w buty nakłaść? — Krzyżanowskiemu. Kogo rano do sieni w koszuli wyciągnąć, kogo pytką wybić, kogo poczęstować piwem z wodą zamiast wina, a wodą zamiast wódki? — Krzyżanowskiego. Dlatego Krzyżanowski miłym był gościem a szczególnie dla dzieci. Na szarym końcu u stołu, nie był ostatnim do mowy i do kieliszka, nie urażał się jednak, kiedy w jego lampeczce mętniejsze było wino, niż przed Jegomością albo księdzem



RUDKI.

Proboszczem. Kiedy pan domu co opowiadał, Krzyżanowski oka z niego nie spuszczał, chwytal się za głowę z przestachu, albo śmiał się do rozpuku. Kochany Krzyżanosio! Osuchowski z nim na żaden sposób nie mógł konkurencyi wytrzymać — lgał dobrze jako myśliwy, ale i Krzyżanowski był myśliwy a lgał trzykroć lepiej. Kiedy się odezwał: *Razu jednego...* już wszystkie oczy były na niego zwrócone — wszystkie uszy nateżone... I w samej rzeczy, trzeba słyszeć takiego improwizującego lgarza, aby pojąć jaki wdzięk mają te długie i szerokie a co krok w epizody wyskakujące opowiadania. Słuchamy, jak historyi z tysiąc i jednej nocy w przekonaniu, że tam, albo nie prawdy niema, albo tak mało, że ledwie na tytuł wy-

starezy, a jednak słuchamy z wszelkim udziałem. To ciągle wyjaśnianie najdrobniejszych szczegółów, poprawianie sumienne siebie samego w najlichszym zbroczeniu, cytowanie miejsca, dnia, godziny, osób przytomnych z odwołaniem zawsze do świadectwa: *Żywych przecie*, — wszystko przeciaga rzecz całą niezaprzeczoną pokostem prawdy. Dopiero gdy przyjdzie do samego jądra *Dziwnego wypadku*, i kiedy wszelkie prawdopodobieństwo ustaje, wtenczas gwar i śmiech. Każdy się śmieje jakby mówił: »Nie głupim, abym uwierzył«. I im mocniejszy śmiech, tem mocniej objawia się to zadowolenie z swojej własnej przenikliwości. Niechby kto spróbował pisać, słowo po słowie, co taki Krzyżanowski rozpowiada i niechby komu potem odczytał, a pewnie znaleźliby obydwaj, że słuchana z upodobaniem powieść, jest tylko nudną i bez sensu ramotą. Skądże to pochodzi? Oto brakuje świeżości improwizacyi — uniesienia rzetelnego — mimiki stosownej — figury charakterystycznej opowiadacza a nadewszystko jego wiary, że wiarę wzbudza w słuchaczach. Słowem, trzeba prawdy kłamstwa, aby kłamstwo zająć mogło.

Mam Krzyżanowskiego przed oczyma, kiedy po kilkodzielnym pobyciu odjeżdżał. Szkapo podkasala — terlica węgierska — sakwy przewieszzone z tyłu, a płaszcz z przodu — z pod płaszcza zaś wyglądała zgięta podług siodła szyna żelaza, wykutego w Ciśnie na wieczną pamiątkę. Wsiadł pan Krzyżanowski, urznawszy sieczki parę razy, skropił szkapę harapem, ruszył z kopyta a pochyłony jak w ukłonie aż za bramą czapkę włożył.

General Józef Kalinowski, który lubił do prawdy wiele nieprawdy dodawać, gniewał się, *par jalousie de métier*, na Ignacego Cetnera, że ten kłamał bez konceptu. — »Co to może kogo obchodzić, mówił, że pan Ignacy 300.000 fur gnoju wywiózł, albo że ma 100.000 owiec«. I w samej rzeczy, kłamstwo o tyle tylko jest znośnem i bawić nawet może, o ile w niem jest dowcipu, inwencyi, poezyi. Naprzykład, jeden ze znajomych ojca, żaluje żem jego nazwisko zapomniał, rozpowiadał o swoich podróżach po całym świecie lubo nigdy nie był za granicą Polski.

»Raz, mówił, będąc w Ameryce, zablądziłem w lesie. Im dalej w las, tem las gęstszy a droga węższa — nareszcie zniknął wszelki ślad. — Co tu robić? — Na szczęście, przypo-



ALEKSANDER FREDRO.

minam sobie, że mam w bryczce doskonałą mapę, a doskonałą jeszcze perspektywę. Rozłożyłem więc mapę pod bukiem, zwróciłem na nią perspektywę i ujrzałem siebie i bryczkę w parowie pod bukiem — drogę zaś, idącą działami o pół mili na prawo, gdzie się potem, będąc już zorientowany, łatwo dostałem«.

Niedawno umarł na Podolu Jędrzej Szumlański, ostatni może w Polsce Igarz — poeta — tegoczesny Radziwiłł. Między innymi opowiadał, że ma ogromny proces z powodu pługa parowego, który sam z Anglii przywiózł. »Doskonały, mówił, w jednym dniu zorał mi trzysta morgów — ale na noc zamknięto go w wozowni. Cóż się stało? — pług wrota wyłamał — hajże w pole! — Jak zacnie orać i orać, aż wpadł na grunta sąsiedzkie, a co gorzej wszystkie kopce graniczne porozorywał. Stąd proces. — Najlepsze jednak jego koncepta nie dadzą się powtórzyć w dobrem towarzystwie.

Między różnemi myśliwskimi przygodami i mój ojciec opowiedział nam następującą i za jej prawdę zaręczył. Wątpić więc nie można.

Nieboszczyk Wojski Orzechowski¹⁾, ojciec naszego Piotra²⁾, poróżnił się był z Chorążym N*. — Wyzwali się do pierwszego spolkania, dlatego zawsze przy szabli jeździł i na polowanie. Razu więc jednego strzelił do niedźwiedzia i mocno ranił w piersi. Niedźwiedź, swoim zwyczajem wzniósł się na zadnich łapach i szedł prosto na przeciwnika. Orzechowski do szabli. Machnął parę razy ale wkrótce szabla dostała się w zęby rozjuszonego zwierza — szczęściem atoli, że ostrzem ku niemu. Nie stracił głowy Orzechowski i chwyciwszy lewą ręką koniec szabli, odpierał jakby ostrym munsztukiem niedźwiedzia, który pehać się na niego nie przestawał — ale skaleczony w piersi i na pochyłości, niżej, nie mógł łapą zachwycić. Długo ta, nie do wiary prawie, a jednak najprawdziwsza trwała walka, aż przecie Orzechowski postrzegł zbliżającego się strzelca. Krzyknął, aby mu strzelbę rzucił pod nogi, sam zaś powoli tak się obrócił, że stanął znacznie niżej od niedźwiedzia, a gdy poczuł mocny nacisk, puścił nagle szabłę. Niedźwiedź wywrócił kozła, a nim wstał, Orzechowski chwycił strzelbę i trupem go

¹⁾ Zdaje mi się, że ten Orzechowski był wojskim przemyskim. Człowiek silnej duszy i silnego ramienia. Zginął w Krakowie, w Bramie Miejskiej, podczas Konfederacji Barskiej. (*Przypisek autora*).

²⁾ Piotr Orzechowski, konsyliarz foralny w Galicyi do 1809 r., potem sędzia Trybunału w Warszawie, umarł tam koło 1820 r. Był stałym i szczerym przyjacielem mego ojca. (*Przypisek autora*).

położył. Świadkiem niezaprzeczoną tej walki, był palec odgryziony u lewej ręki.

Trzy razy w dzieciństwie byłem z ojcem w Ciśnie. Zawsze wstępowaliśmy do Jabłonek na obiad lub nocleg. Nie chciał tego odmawiać Ludwikowi Urbańskiemu, który pomimo śmieszności powierzonych był dobrym i uczciwym człowiekiem. A propos niego, raz mi ojciec powiedział: »Prawdziwem jest nie-szczęściem w górach to oddalenie od wszelkiego światłego towarzystwa. Poznałem to w najwcześniejszej mojej młodości, dlatego wszelkich sił dołożyłem, aby się z gór wydobyć. Ożeniłem się z waszą matką nie zważając, że mogłem większy znaleźć posag. Puściłem Cisnę w dzierżawę, Hoczew sprzedałem, powiększyłem majątek, biorąc znaczne dzierżawy, jako u hrabstwa jarosławskiego, starostwa przemyskiego i t. p. Żyłem zawsze z ludźmi i dobrze na tem wyszedłem, bo mogłem wam dać lepsze wychowanie, niż je sam otrzymałem«.

Kochałem i szanowałem mego ojca, ale w miarę jak mi czas nasuwa punktów porównania, cześć dla niego zdaje się wzmacniać w mojem sercu. Powtarzam teraz często niejedno jego zdanie, jego przestrogi, których słuchając nie myślałem nawet,



Łojka i Antonia Wastrowskich

Władysław Stępczyński

że je pamiętać będę. Żywot ojca stał się wzorem dla dzieci. Jego charakter prawy, rozum nie błyszczący świetnem ukształceniem, ale głęboki, logiczny, — dobroć nieprzebrana — uprzejmość — uczynność, zjednały mu powszechny szacunek. Jako człowiek i jako Polak, był on w całym znaczeniu wyrazu: *Bez skazy*. O nim sumiennie można było powtórzyć: *Le Ciel n'est pas plus pur, que le fond de son âme*.

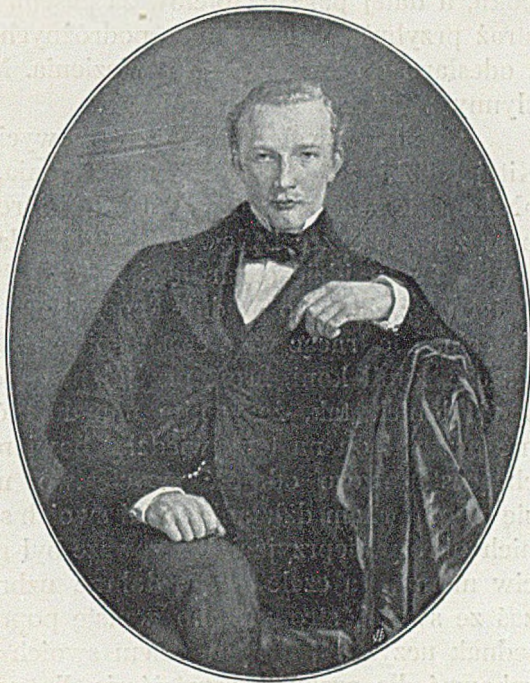
Dobra sława ojca jest drogą spuścizną dla dzieci — ale i dzieci szanując rodziców składają jakby grosze do kasy oszczędności, które kiedyś w kapitalik urosną. Kiedy już ojca, matki niema — o, jak błogie uczucie napelnia serce, wznosząc oczy w te światy tajemnicze, gdzie mieścić lubimy choć cząstkę tych, których kochaliśmy, którzy nas tyle kochali w tem życiu. Jeżeli zawsze Boga błagałem, aby uczynił dzieci moje godnemi mego błogosławieństwa — *co otrzymałem hojnie* — to pewnie więcej ze względu na ich dalsze szczęście, niż na moje własne. Bo ci, co nie sobie do wyrzucenia nie mają, słusznie i po swoich dzieciach spodziewać się mogą pociechy — ze spokojnem sumieniem wspominać będą czas spędzony na opiekuńczem łonie rodziców. Wiele osób okazuje żalobę serca po stracie rodziców, pokrywając ich pamięć świętem milczeniem, a ja chciałbym, żeby mnie moje dzieci wspominały, jak gdybym jeszcze był z niemi. — Ja lubię wspominać mego ojca jak najczęściej, robić go uczestnikiem i wesołych i dobrych chwil moich — zdaje mi się, że się on wtenczas do mnie uśmiecha. Spoczywaj! Spoczywaj w Bogu, Ty dobry, prawy, drogi, kochany Ojczel!

Deszcz padał — z lasów się kurzyło — smutna była Cisna. Siedzieliśmy przy kominie, słuchając odgłosu młotów, co nas z blizkiej fryszerki dochodził. Ktoś wspomniął rozboje — przypomnieliśmy Wulfa a mój ojciec, jak dobrze pamiętam, tak mówił:

Wówczas, kiedy Żyd Wulf, na czele kilkunastu łotrów, obdzierał podróżnych, najeżdżał domy i coraz straszniejszym się stawał, mieszkał w Sanockiem niejaki Kitajgrodzki. Szlach-

cie czynny, zbiegły, odważny, ale przytem trochę zawadyaka i wielki wciubski, nie znał lub znać nie chciał mądrego krakowskiego przysłowia: *Nie wtykaj nosa, gdzieś nie dał grosza.* Otóż razu jednego, w zimowej porze, ten Kitajgrodzki nocował w Barwinku u naczelnika komory. Koło dziesiątej, kiedy się już do spoczynku

zabierano, strażnik przyniósł do podpisu kilka paszportów Żydów jadących z Węgier. Naczelnik siadł do biura i zaczął podpisywać, gdy Kitajgrodzki zasłyszawszy z alkierza o co rzecz idzie, wyszedł w pół ubrany i zaczął przyganiać tej łatwości, z którą przepuszczają przez granicę, nie przekonawszy się pierwej, jakie to indywidua i to właśnie w czasie, kiedy rozboje mnożą się coraz bardziej. To rzekłszy, wziął świecę i wyszedł do pierwszej izby, gdzie w ciemnym kącie



Jan Aleksander Hoffmann

koło pieca stało kilku Żydów. Wzniósłszy światło nad głowę, aby lepiej widzieć przed sobą, postrzegł, że jeden z podróżnych, stojących na przodzie, cofnął się za drugiego, ku temu więc zwrócił się i w oczy zaświecił. Był to Żyd, jeszcze młody, wysoki, chudy, żółtawej cery, czarnej, krótkiej i rzadkiej brody. »Skąd panowie kupcy?« zapytał Kitajgrodzki. — »Z Węgier«, odrzekł zapytany i zasłaniając ręką oczy, jak gdyby go światło

raziło, chciał się do drzwi zbliżyć. Ale Kitajgrodzkiego pozbyć się nie łatwo było, zwłaszcza kiedy się ciekawością czem zajął. — Skąd? — Dokąd? — Poco? — Którędy? — Na długo? — pytał i zatrzymywał, nareszcie chwycił za poję płaszcza cofającego się bladego Żydką, podniósł ją i odkrył pałasz przy boku, a dalej parę pistoletów za pasem. Wszczął się hałas — straż przybyła — chwycono podróżnych — okuto wszystkich i odesłano do kryminalnego więzienia. Młody Żyd był to ów słynny Wulf, herszt rozbójników.

W kilka miesięcy po swoim zwycięstwie, dowiaduje się Kitajgrodzki, że Wulf uszedł z więzienia, i że dał się słyszeć: »Nikogo jeszcze nie zabiłem, ale Kitajgrodzkiego jak schwyć, pasy z niego drzeć będę«. Zrozumiał szlachcic, że to nie przelewki, że tu idzie o gardło, i że on albo Wulf zginąć musi. Pojął oraz, że tylko prędkie i energiczne środki mogą dowieść do celu. Nie tracąc więc czasu, spieniężył co mógł, dapożyczył jeszcze, kupił koni, broń, przyjął pewnych ludzi i obwarował swój domek tak, że w nim napadu mógł się nie lękać. Ale nie przestał on na tem, wiedział bowiem, że w każdej walce chcąc stanowczo odnieść zwycięstwo, nie można ograniczyć się na odpornem działaniu. Miał swoich szpiegów, śledził przez nich obroty nieprzyjaciela i zawsze był gotów wyruszyć przeciw niemu, na czele swego dobrze uzbrojonego hufca. Wulf zaś ze swojej strony, lubo zemstę poprzysiągł, nie chciał ją jednak uczynić jedynym celem swoich czynności. On chciał rabować dla zysku, a zemścić się dla uciechy. Dlatego wojna z Kitajgrodzkim nie była mu na rękę i unikał go ile możności. Jak długo trwał ten stan rzeczy, nie umiem powiedzieć, — wiele razy walczoneo ze sobą nie wiem, — dość, że razu jednego dano znać Kitajgrodzkiemu, że Wulf ma zjechać na szabas do Liska. — Na koń! krzyknął Kitajgrodzki i nie wyszło pół godziny, już kłusował działami na czele swojego oddziału. Nie drzymał i Wulf, miał swoje czaty, bo gdy Kitajgrodzki jedną stroną od Ustrzyk wpadał do miasta, on wymykał się drugą. Dostrzeżony, ścigany, coraz mocniej napierany, skręcił nareszcie ku Sanowi i wpław się rzucił. Kitajgrodzki przypadł nad brzeg, strzelił za nim i zdawało mu

się, że się Żyd po strzale na lewo pochylił. Ale czy to dlatego, że już wieczór szarzał, czy że się lękał zasadzki, nie ściszał dalej, wrócił do Liska i tam przenocował.

Nazajutrz jeno świt, przejechał San w bród pod Zamkiem i na lewym brzegu starał się przejąć ślady naprzeciwko miejsca, z którego strzelił. Nie tak to łatwo po kamienistym polu. Głowa w dół spuszczone, ledwie nie z olstrami w równi, sylabizował rozmaite hieroglify, z których się nareszcie doczytał, że jego przeciwnik zaraz z wody ruszył z kopyta — galopował aż pod las, tysiąc może kroków od brzegu — tam stał, słuchał pewnie czy pogoń nie pluszcze po Sanie, albo czy krzemień nie tętni pod podkową na drodze z miasta. Potem skreślił na łączkę i ujechawszy paręset kroków, zsiadł z konia i uwiązał go do drzewa. Przy blizkim strumyku leżał cybuszek rogowy i długa szmatka. Z łączki wrócił do konia i jechał pomału po pod las tęgi kawał aż do drożyny wiodącej w lewo w las. Tu ślady stawały się coraz rzadsze, gdzieniegdzie tylko kamyk usunięty, albo korzeń zdarty ocele wskazywał z kilku dróg a raczej ścieżek, którą pojechał. Nareszcie zginął wszelki ślad.

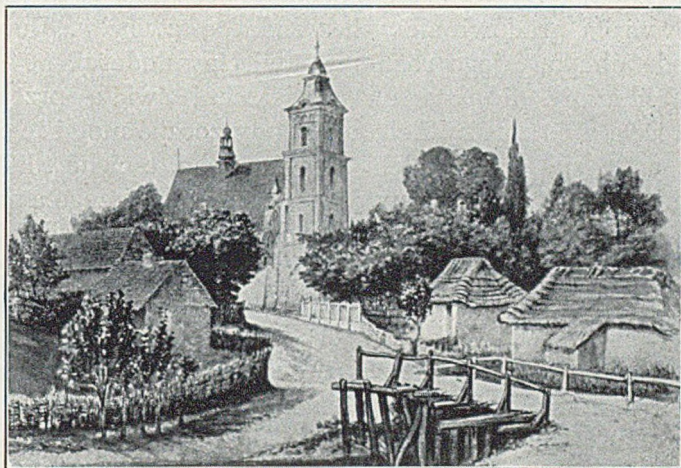
Daremnie Kitajgrodzki ze swojemi ludźmi, jak wprawni objezdnicy, zakładali na prawo i na lewo — daremnie przecinali drożyska i łąki — na każdej mokrzawie na klęczkach szukali najlichszego znaku — ślad jak zginął, tak zginął. Już było i z południa — popasiono konie w Piskarowskiej karczynie i straciwszy wszelką na teraz nadzieję dojścia złoczyńcy, ruszono ku domowi. Wyjechali z lasu i z przykrej spuszczały się góry, kiedy jeden odezwał się do drugiego: »Byłbym przysiągł, że dzisiaj sobota«. — »A jużcić nie niedziela!« odpowiedział drugi i tak głośno się roześmiał, że Kitajgrodzki jadący przodem, zapytał się: »A czego ty się tak śmiejesz, Szymonie?« — »Jakże się nie śmiać, kiedy Józef tak się tego Wulfa przestraszył, że zapomniał, że to dzisiaj sobota«. — »Jakże może być sobota, odezwał się Józef, wszak w sobotę żydzi nie jeżdżą«. — »Alboż jedzie który?« — »Ot, nas minął wózkiem i ćwiczy szkapę pod górę«. — Łapaj! — krzyknął Kitajgrodzki — łapaj!... I sam zwróciwszy konia, kopnął się za

wózkiem aby doścignąć, nim w las wjedzie. — Stój! krzyknęto. — Żydziuk zbladł — zdjął czapkę i upuścił — zdjął gemerkę i upuścił. Jednak udając pół głuchego, pół głupiego, wywijał się jak wąż w swoich odpowiedziach na zapytania. Aż nareszcie harap, parę razy dobitnie na plecy spuszczone, uporządkował jego myśli i odpowiedzi, z których okazało się, że zawiózł chorego żydka do Brzozowa do Judki cyrulika.

W niedzielę dzwoniło na Anioł Pański, kiedy Kitajgrodzki zsiadł z konia przed kościołem w Brzozowie — ukląkł — zmówił pacierz — potem zostawiwszy jednego ze swoich ludzi przy koniach, z drugimi kazał prowadzić się ujętemu na drodze żydkowi. Sunął się cicho po pod domy, a gdy żydek pokazał domek cyrulika, odesłał go w tył, a sam zakolatał do drzwi. Jęczał i błagał przez drzwi, aby mu otworzono, obiecywał trzy złote, jeżeli mu pan Judka prędko ząb wyrwie. Odezwał się nareszcie jakiś bachór i powoli drzwi uchylał — Kitajgrodzki pehnął je, wszedł i przyłożywszy pistolet pod nos zaspanemu i skrobiącemu się bachórowi, rzekł cicho: »Ani piśnij, bo ci w łeb strzelę. Gdzie żyd chory, którego tu w nocy przywieziono?« — Bachór wskazał na schodki w głębi sieni i na wznak się przewrócił. — Dalej więc na schodki! Drzwi były zewnątrz zamknięte. Uderzone nogą otworzyły się na oścież... a kulka świsnęła pomiędzy głowy wehodzących. Żyd leżał w łóżku, wystrzelił z jednego pistoletu i chwycił za drugi... ale mu czasu zabrakło... Kitajgrodzki przycisnął sobą pistolet i żyda razem. Ankiel Wulf — gdyż to był on w istocie — okuty i odprowadzony do Lwowa był tam nareszcie stracony dnia 16 maja 1787 na wielką pociechę Kitajgrodzkiego.

Wyjechaliśmy z Cisny, odwiedziliśmy Urbańskiego w Jabłonkach, Orzechowskiego w Żerniczce, nocowaliśmy w Lisku czyli Lesku. Za Liskiem stanęliśmy i oglądali na szczycie pagórka ogromny ułom skały. Nie widać na nim ręki ludzkiej, a jednak ze swego kształtu zdaje się być częścią jakiegoś gmachu. Różne o tym kamieniu biegają powiastki, jedna cu-

downiejsza od drugiej, ale najwięcej jest upowszechnioną ta, która zapewnia, że dyabeł niósł ten kamień, ale kogut zapiał i dyabeł kamień upuścił. W Ustianowej stanęliśmy na popas. Wkrótce wbiegł Żydek, powiedział coś Żydówce, Żydówka spojrzała w okno, a za nią pół tuzina żydziątek różnego kalibru. — »Cóż tam takiego?« spytał się jeden z nas gospodarza. — »Pan Kasper«, — odrzekł gospodarz. »Czegóż go się boi-



KOŚCIÓŁ W RUDKACH.

cie«, odezwał się mój ojciec. — »A jak się nie bać?... On waryat!« — »Ale nikomu nic złego nie robi«. — »Jak nie robi! On ma strzelbę nabitą. Raz już w okno wystrzelił«. — »Przypadkiem«. — »Jak przypadkiem! On mierzył... Dwie szyby wybił«. Spojrzeliśmy w górę w miejsce wskazane i ujrzeliśmy dziury w oknie gontami założone, jako pomnik owej strasznej katastrofy, która pewnie przejdzie z ust do ust, aż do najdalszej potomności tej arendarskiej rodziny.

Wszedł pan Kasper Brześciański, dziedzic części Ustianowej. Miał na sobie kapotę zieloną strzeleckiego koloru, pas skórzany z klamrą. Torba i strzelba przez plecy, czapka ze siwym barankiem na bakier. Zawsze pieszo podróżował, bo jak miał swoje konie i bryczkę, zawsze kazał prosto jechać...

A że prosta droga nie wiedzie do celu... więc w pierwszym potoku musiał zostawiać połamaną bryczkę. Był to piękny mężczyzna, wysoki, twarz piękna, wąs czarny, oko łagodne. Przywitał się z moim ojcem po przyjacielsku i rozmawiał czas jakiś tak rozsądnie, że ja z Sewerynem zawiedzeni w nadziei naśmiania się z waryata, już chcieliśmy wyjść na podsienie, kiedy słowo: *Interesa*, zdało się dotknąć go drutem elektrycznym i zgasić nagle pochodnię rozumu, a otworzyło razem wrota gradowi słów bez żadnego związku. Domowe niezgody obłąkały jego rozum w kwiecie młodości.

Widocznie dramata na powierzchni świata przejmują nas litością albo zgrozą. Ach, gdybyśmy zobaczyć mogli te liczne dramata, co się toczą w głębi serca, a cicho, a cicho... których tajemnicy strzeże nieszczęsny, jak skarbu najdroższego a skarbu nieprzebranej swojej boleści, których ogrom Bóg tylko jeden ocenić może, a świat nie przeczuwa nawet... i które nareszcie rozsadzają łono, albo mącą rozum... O, jakże często płakali byśmy krwawymi łzami wśród tego kwiecistego świata!

Podobne pomieszanie zmysłów dotknęło generała Kopcia w niedocieczonych jego cierpieniach na Syberji. Poznałem go w Warszawie 1820 r. przyszedł do mego brata Maksymiliana; długo rozmawiał bardzo rozsądnie, ale gdy wspomnił o swojej niewoli, nie wyszło pięciu minut, już w swojej podróży po Syberji stawał na szczycie jednej góry, skąd się na szczotkach spuszczano. Tam była granica jego rozumu. Co dalej mówił, nie miało żadnego związku. Mój brat powiadał mi, bo bawił w Puławach wtenczas, kiedy tam Kopeć przyjechał zaraz lub wkrótce po swoim powrocie z niewoli, że księżna generałowa Czartoryska zleciła kilku osobom uporządkować jego opowiadanie ile możności, ale nie było podobieństwa. Nawet gdy chciano skreślić mapę podług jego wspomnień, on chciał aby zawsze rysowano góry z profilu, jedno za drugim. I ten nieszczęsny miał zostawić pamiętniki!!! I Mickiewicz rozwodzi się nad niemi! A jednak Mickiewicz żył z osobami, co znały bardzo dobrze generała Kopcia. Wierzę tu owoczesnym pisarzom! — Nie, ówcześni mogą tylko materyałów dostarczać, a dopiero później sąd światły,

oczyściwszy je z błędów mimowolnych i z błędów natchnionych duchem stronnictwa, może utworzyć *prawdę* dziejów.

W tych czasach pojawił się pamiętnik Jana Sagatyńskiego — *Pazia* (?) Stanisława Augusta. Urodzenie Sagatyńskiego jest dotąd zagadką. On dawał do zrozumienia, że był synem króla, drudzy mówili, że wielkiego koniuszego Kickiego. Tak czy siak, ród jego nie uprawniał go do zaszczytnego urzędu pazia. Sagatyński był to patentowany bufon salonowy. Jego śmieszne i dobre koncepta rozwałkowane w długie historie, żyją dotąd w tradycyi i długo żyć będą, pozbawione wszakże i szczególnego talentu i pociesznej figury ich autora. Kilka lat przed śmiercią Sagatyński bywał często w moim domu. Gdy mi raz opowiedział parę anegdotek o królu Stanisławie, powiedziałem mu, że powinien spisać, co tylko pamięta z owych czasów. W parę dni przyniósł mi arkusz pisma. Styl słaby a raczej żaden — rozwlekłość — jedna anegdotka i to nie dowcipna, — przekonały mnie, że z tej mąki nie będzie chleba. Pochwaliłem jednak i zachęciłem do dalszej pracy. Nic mi już jednak później nie przyniósł, a gdyby był co napisał, byłby mi czytał niezawodnie, nareszcie ten niby jego pamiętnik nie odpowiada ani wesołości charakteru Sagatyńskiego, ani też sposobowi zbyt rozwlekłemu opowiadania. Wydawca, który stara się uniewinnić słabość stylu, niech się pocieszy, Sagatyński nie był w stanie i tak napisać.

Za Chyrowem, gdzie cała ludność robi pończochy na drutach, widzieliśmy po lewem ręku piękny zamek w Laszkach Murowanych nad Strwiążem w zupełnie jeszcze dobrym stanie. W tych czasach matka moja odwiedzała w nim panią Mniszchową, matkę pani Ksawerowej Krasickiej i pana Stanisława Mniszcha.

Ledwieśmy zajechali do Żyda w Starej-Soli na nocleg, przyszedł jakiś Inspektor czyli Verwalter żupy solnej i po długiej upartej prośbie skłonił mego ojca, że wzięwszy nas z sobą, poszedł do niego na wieczerzę. Został mi w pamięci ryż przysypany cynamonem, a jeszcze bardziej zdarzenie,

które mu towarzyszyło. Już mowa z niemiecka naszego gospodarza łechtła nas niepotroszę, chęć śmiechu brała nas na tortury... A cóż dopiero nie stało się z nami, kiedy pan Inspektor wzięwszy kieliszek: »Za strofie laskafego gościa!« podniósł się, uklonił, a siadając chybił krzesło o połowę, chwycił się stołu i niepewność długo trwała czy wróci na krzesło, albo czy wleci pod stół. Cała serweta w usta wpakowana, nos ściśnięty, wejrzenia ojca nie nie pomogły, trzeba było koniec końców parsknąć śmiechem. O, śmiechu! Jak ty luby jesteś starości, kiedy zagrasz w dziecinnem garetku, tak szczerze, tak dźwięcznie! Rozciągasz wesołość wkoło siebie i na sam smutek. Porównać cię można do jutrzhenki, co swój uśmiech różany rozciąga i na zwałiska i na zbutwiałe drzewa i na pochylone krzyże cmentarza.

W kilka lat potem, 12-go stycznia 1806 r., dzień mroźny zabielał na wschodzie. Świece po pokojach w Beńkowej-Wiszni tłyły czerwono... nikt ich objaśnić, nikt pogasić nie myślał. Pojazdy stały przed oknami... pakowano spiesznie... Dzieci zbite w gromadkę płakały, bo i starsi płakali, a płakali rzewnie. Ojciec opuszczał swój dom, bo przed godziną ostatniem westchnieniem ostatnie dała nam błogosławieństwo najlepsza, najtroskliwsza matka.

Już miałem rok trzynasty, kiedy straciłem matkę, a jednak jakby zamglona przedstawia się mojej pamięci... nawet rysy jej twarzy niedosyć wyrazisto mam przed oczyma. Widzę ją zawsze zajętą ogrodem... ona bowiem przeistoczyła i rozszerzyła ogród w Beńkowej-Wiszni. Oprócz lip, szczątków ulic sklepionych w czworobok, wszystkie starsze drzewa jej ręką sadzone. Dlatego ten ogród dzieci moje szanować powinny. Te kilkanaście świerków przy ścieżce wiodącej na dół do studni, był to kłębik przez nią zasadzony, złożony z dziewiciu świerków, liczby żyjących wówczas jej dzieci... Trudno teraz rozpoznać, które to te najpierwsze świerki.

W rok niespełna po śmierci naszej matki, bracia moi starsi, Biegański i Trawiński wyjechali do Warszawy, by wstąpić do wojska polskiego. Mój ojciec przeniósł się na stałe mieszkanie do Lwowa, lato tylko, przez parę lat na wsi przepędzał.



MARYANNA Z DEMBIŃSKICH JACKOWA FREDROWA.



1808 roku, siostra moja Ludwika poszła za Antoniego Rozwadowskiego. Jeżeli obowiązki córki, żony, matki, pełnione z poświęceniem nieustannem ściągnąć mogą promyk świętości, pewnie on świeci nad duszami sióstr moich: Ludwiki Rozwadowskiej i Cecylii Jabłonowskiej. Ich ciche cnoty przesuwały się niezważane, bo same nie zdawały się mieć pojęcia swojej wartości...

Ludwika po śmierci męża (1813) została z dwojgiem dzieci, bez majątku prawie, powróciła więc w dom ojcowski. Kiedy synowie rozstrzelani na wszystkie strony, rzadkiem byli towarzystwem dla starszego ojca, ona z wzdychającą pod jej opieką Cecylią, otaczała go niezmordowaną troskliwością. A gdy i Cecylia poszła za męża, a ojciec coraz częściej zapadał na zdrowiu, ona i ona zawsze nieodstępna była i ona o czymu zamknęła (1828 r.). Żyła jedynie w swoich dzieciach, za ich ciasnym kółkiem świat dla niej nie miał powabu, nie miał pociechy, a jednak gdy nadszedł rok 1830, nie wahała się wyprawić jedynego syna do Warszawy. Doczekała się jego powrotu i dopiero 1839 roku zakończyła śmiercią długą i bolesną chorobę w domu ukochanej swojej córki, Wandy Skrzyńskiej.



KAZIMIERZ TURNO.

Uosobistnioną dobrocią i łagodnością była Cecylia Jabłonowska. Ostatnie jej słowa najwyraźniej malują całą świętość jej duszy. Kiedy w chwili śmierci, już raz ostatni odzy-

skała przytomność, spojrzała na córki i na całe otaczające ją rodzeństwo i rzekła: »Ach, jak ja *was* męczę!

Zdaje mi się, że w opowiadaniu mojem zboczyłem z prostej drogi. Nadużywałem, jak widzę moi państwo cierpliwości waszej. Ksiądz proboszcz drzymie, a doktor ziewa, panie przez grzeczność o czem innym myślą. Może wspomnienie 1809 roku

wszystkich obudzi. Wracam się do tej chwili, kiedy z wujem moim, Wojciechem Dembińskim, przyjechaliśmy do Nienadowej, pierwszych dni maja.

Nazajutrz po przybyciu naszym obadwa bracia, Wojciech i Antoni, pojechali do Zarzecza, aby się zbliżyć do Jarosławia, gdzie podług wieści wojsko polskie już było i aby pewniejszych zasięgnąć wiadomości. Ja z wujenką piiliśmy kawę pod kolumnami starego domu, kiedy blady, zadychany żyd krawiec ze złamanym nosem, wbiega na dziedziniec i od bramy już krzyczy: »Już są!... Przyszli!... w Dubie-



PULK 5-TY STRZELCÓW KONNYCH.
GRENADYER.

eku!... w pałacu!... Polaki!...« Nie słuchałem, nie słyszałem więcej... Jednym skokiem już byłem na ścieżce wiodącej przez Olszynkę do Dubiecka... ze mną biegł Perrot, Francuz, guwerner młodych Dembińskich.

W samej rzeczy ujrzeliśmy przy rogatce dwóch szaserów konnych 5-go pułku dowództwa pułkownika Turno. Mieli granatowe kolety, amarantowe kołnierze, — od kołnierza wzdłuż

okrągłych guzików po obu stronach pasek biały z amarantową wypustką, na głowie czeka z piątym numerem na przodzie. Przy siodle karabinki, w ręku ogromne obosieczne pruskie pałasze.

To Polacy!... To Polacy! powtarzałem i nie wierzyłem sam sobie. Dusza przeszła w oczy... wlepiąłem je w drogie zjawisko. Na ziemi leżał porąbany dwulbisty orzeł, który był na domie pocztowym. Schwytyany oficer austriacki, jadący kuryerem, stał przy wozie, z miną, która zowie się gminnym wyrazem: kiepska. Poczmajster, w szlafroku i pantoflach zapewniał wiarusów, że się bardzo cieszy z ich niespodziewanej wizyty, — częstował wódką, a flaszka dzwoniła o kieliszek, bo poczmajster dostał febry z radości.

Idziemy ku pałacowi i w ulicy spotykamy cały oddział pod dowództwem porucznika Wesołowskiego. Był on potem kapitanem w 11-ym pułku ułanów.

Kiedy przy rogatece poczmajster się trzęsie, porucznik klnie, podpite szasery pakują na wóz grubego hauptmana, w pałacu kończył się okropny dramat. Patrol 5-go pułku wpadłszy do miasteczka, a potem do pałacu, zastał — jak to zwykle na wsi bywa — drzwi na oścież pootwierane, a w pokojach nikogo. Henrykowski kapral, młody, przystojny mężczyzna, szukając tam nieprzyjaciela znalazł najniebezpieczniejszego: »pokusę«. Wziął złoty zegarek. Wkrótce przybył oficer, nadeszła pani domu, przyjechał pan Ksawery Krasicki: dostrzeżono stratę i upomniano się o nią. Henrykowski przekonany, zmuszony oddać swoją zdobycz nie mógł znieść wstydu, chwycił za pistolet i strzelił sobie w piersi. Żył jeszcze, kiedy go odwiedziłem, ale wkrótce skonał.

Jakże później żałowałem, że nie wsiadłem na jego luznego konia, i że nie pojechałem z Wesołowskim... Ale nie byłbym był świadkiem tego, co się wkrótce działo we Lwowie. Nie byłbym uchwycił uczucia, które stało się najmilszem, najdroższem mojem wspomnieniem.

Wróciwszy spiesznie do Lwowa, zafryzowałem, wypudrowałem głowę i poszedłem do wojewodziny bełskiej. Otoczony, wypytywany, nie mogłem nastarczyć w powtarzaniu

wszystkich szczegółów wypadku w Dubiecku. Wtenczas z Oleścia, wyrosłem na pana Aleksandra.

Nie chciałem czasu tracić i mój kochany Ojciec, Polak z duszą, ciałem, nie pojmując nic wyższego nad dobro Ojczyzny i zaszczyt jej służenia, nie dał się prosić i opatrzywszy w pieniądze, wyprawił mnie z krzyżykiem na drogę do zbliżającego się wojska polskiego.



POMNIK ALEKSANDRA FREDRY WE LWOWIE.

ANEKSY.

I.

Luźne fragmenty z pamiętników.

1.

W kampanii 1813 roku, w wigilię bitwy pod Hanau, byłem posłany z rozkazem do generała Bertrand'a, który dowodził ariéregardą armii. Spotkałem po drodze różne oddziały naszego wojska, dotarłem prawie do nieprzyjacielskich tyralierów, a generała Bertrand'a nie znalazłem. Nic mi zatem nie pozostawało, jak wracać drogą, którą przybyłem.

Już mrok zapadał, jak wyjechałem z ostatniej wioski, zajętej przez nasze wojsko i znalazłem się w towarzystwie czterech tak zwanych »maruderów«. Pierwszy był ułan — zwał się Świderski — poznał mnie zaraz, bo w jednym pułku służyliśmy dawniej — potem dwóch kirasyerów francuskich na małych, podobno kozackich szkapach, nareszcie artylerzysta, z Alzacyi rodem, z zawiązaną głową i dobrze wypchanymi sakwami, na kulawym koniu.

W takim położeniu towarzystwo zawsze miłe, jeden drugiego chętnie się trzyma. Wkrótce więc zawiązała się rozmowa i składaliśmy iakby jeden oddział.

Było to w ostatnich dniach października — noc nadeszła ciemna i zimna. Błoto zmieniało się w grudę, a ostry wiatr ciał śnieżycą jak szpilkami. Zrazu szło jako tako — każdy miał coś do powiedzenia, zwłaszcza jeden z kirasyerów rozweselał nas swoimi conceptami i figlami — szczekał jak pies, miauczał jak kot, a nadewszystko piał jak kogut z największą doskonałością, tak, że Świderski nieraz zaśmiał się głośno i co chwila powtarzał pod nosem: »Psiajucha nie Mazurek«. Ale wszystkiego przebrało się wkońcu.

Noc była, jak to mówią »oko wykluj«, zimno coraz więcej przemawiało, do tego jeszcze klacz moja zaczęła na przednią nogę utykać. Przekonałem się, że pól podkowy zgubiła, trudno więc było pospieszać,

choćby dla rozgrzania się tylko. Świderski, który jechał na przodzie, zawołał nagle, że przed nami rozstajna jest droga i spytał mnie się, którą jechać?... Stanęliśmy i radzimy... a wtem, na prawo niedaleko błysło światelko raz i drugi i... znowu ciemno... Nie było co dłużej myśleć — ruszyliśmy w prawo — może obóz, może wieś, może kowal się znajdzie, a na wszelki wypadek ogień zastaniemy niezawodnie.

Zaledwie kilkaset kroków przebywszy prostą drogą między dwoma rowami, wjechaliśmy w ulicę wysokich drzew, potem mostek zadudnił pod kopytami koni — nareszcie Świderski, zawsze w przedniej straży jadący, wykrzyknął: »Ho! ho!« — »Cóż tam?« spytałem. »Jakiś dom widać — odrzekł. W samej rzeczy dom czarny z dużą bramą kończył czyli zamykał dalszą drogę. Zaczęliśmy doń pukać, wołać, krzyżeć co siły — żadnej nie odebraliśmy odpowiedzi.

Nie bardzo żołnierz w takim razie cierpliwy; nie było też i czego się dłużej wahać — wzięto się do wysadzenia bramy. Puściły w okamgnieniu zamki i zawiasy i połowa drzwi padła w budynek z ogromnym trzaskiem i hałasem.

Oczywiście budynek był opuszczony, bo na takie wezwania tylko umarli mogli nie dać znaku życia. Wprowadziliśmy konie, miarkując po odgłosie, do brukowanej i sklepionej sieni, ale ciąg wiatru tak był tam silny, żeśmy musieli szukać dalszego schronienia. Na lewo namacane drzwi otworzyły się łatwo, artylerzysta zrobił ognia i zapalił kawał kanonierskiej świecy.

Ujrzeliśmy się wtedy w wąskiej, długiej, sklepionej izbie, na pierwszy rzut oka pustej. Kupka jednak trzasek i połamanych kiji na ziemi była dla nas wielce przyjemnem odkryciem, bo wkrótce na środku kamiennej podłogi wzniósł się dobry ogień, przy którego świetle spostrzeżliśmy w jednym kącie dużą framugę, a w niej kilka schodów, wiodących do wysokich, ciemnych, podwójnych drzwi. Zadziękawieni, odsunęliśmy długą zasuwę i weszliśmy do drugiej izby, równego kształtu i wielkości co pierwsza, z tą tylko różnicą, że zaraz przy drzwiach był komin, naprzeciw komina okno z kratą do połowy zamurowane, a w jednym kącie leżał stos gratów, któreśmy przy bliższem obejrzeniu poznali, jako części katafalka; za nimi stały duże lichtarze.

Przy takim ziemnie skarbu to był dla żołnierzy nieoceniony. Rzucili się więc żwawo i zaczęli deski wyciągać i łamać, pomimo napomnień Świderskiego, który im powtarzał: »Pas bon celà — pas bon celà«, a do mnie zwracał się z prośbą, abym na to nie pozwalał. Przyznam się, że zostałem nie tylko głuchy na jego zakłęcia, ale sam wysunąłem dolny stopień katafalku na środek izby, jako łóżko, lepsze od zimnych kamieni.

Za lichtarzami w kącie znalazła się paka, a w niej kilka sztuk czarnego sukna z białymi obwódkami. I to nie było do wzgardzenia. Podzieliłiśmy się nimi po koleżeńsku, a kiedy na kominku zapaliły się

malowane w trupie głowy deski, wyciągnąłem manierkę, sam pierwszy się z niej napiwszy, poczęstowałem Świderskiego resztką araku, prosząc, by się koniem moim zaopiekował i, owinąwszy się w całun, jak długi ległem na katafalk. Po wyjściu z izby Świderskiego, zostałem zupełnie sam, bo żołnierze woleli przy koniach spoczywać i wkrótce twardo usnąłem. Spałem jak zabity, gdy nagle zbudziło mnie gwałtowne zatrzaśnięcie drzwi. Rzuciłem sennem okiem przed siebie i usiadłem zdziwiony, spostrzegłszy na przeciwległej ścianie duży obraz, którego pierwaj nie byłem wcale zauważył.

Wstałem, otworzyłem drzwi i podparłem je kawałkiem tarcicy, aby pozostać niejako w towarzystwie choć dalekiem moich kolegów. W pierwszej izbie było pusto i cicho zupełnie — konie tylko w sieni dogryzały resztę obroku i czasem to jeden, to drugi parsknął albo potrząsł kulbaką. Na kominie ogień palił się jasno, przystąpiłem więc bliżej do ściany, by rozpoznać ów dopiero co spostrzeżony obraz, którego nagle zjawienie sprawiło mnie w zdumienie. W starych, wytartych ramach widniała postać mnicha w białym habitcie, o włosach czarnych i twarzy śniadej. Twarz tę czas zapewne powłókł trupią bledością, równie jak i oczy przykrył dwiema ciemnymi plamami. Nos orli, kończasty, nadawał całej fizygnomii coś ptasiego, krogulczego. Prawa ręka mnicha, zgięta, trzymała czarną rękojeść szyletu, noża, czy też szpady, bo kształt broni krył się w fałdach niegdyś białego, teraz szaro-brudnego habitu. Całość obrazu była tak samo szaro-brudna, a jedna tylko rzecz uderzała w ten starem, wypłowiałem malowidle, to usta czerwone, tak świeże, że się w nich połysk ognia odbijał..

Obejrzawszy dokładnie portret, położyłem się na nowo i wnet znów zasnąłem, ale, jak się zdaje nie na długo. Nowy łoskot mnie obudził. »Niech cię piorun trzaśnie!« — zawołałem głośno, obracając się na drugi bok. Ta apostrofa była wyraźnie wymierzona do wiatru, który drzwi zamykał, a mój sen przerywał — niech piorun wiatr trzaśnie, było wprawdzie dość dziwne życzenie, lecz w położeniu, w jakim się znajdowałem, o logice trudno było myśleć. Tymczasem w przedsięwziętej ewolucyi mego ciała z lewego na prawy bok, musiałem mimochodem spojrzeć na portret. Spojrzałem i w pół obrotu zostałem nagle wstrzymany, bo na mnie z ciemnej twarzy wytrzeszczone oczy patrzyły i lubo w nich same tylko białka martwej kredowej białości widać było, patrzyły z takim wyrazem złości, zemsty i szyderstwa, że aż mrowie mi po skórze przeleciało. Zerwałem się ruchem błyskawicznym i jednym skokiem stanąłem przed obrazem, ale obraz z bliska widziany, żadnej nie przedstawiał zmiany i, jak dawniej, ciemne plamy zakrywały ciemne ócz gniazda. Zaledwie jednak oddaliłem się nieco, białe oczy znów groźnie na mnie patrzyły i gonity za mną uporezywie, gdziebądź się zwracałem — za mojem zbliżeniem się zaś, gasnąć się zdawały.

Rozdrażniony wreszcie tą walką niepojętą — urojoną czy rzeczywistą — chwyciłem oburącz za obraz, zdartem go ze ściany, podniosłem w górę i, skręciwszy, rzuciłem nim tak gwałtownie o ziemię, że się ramy w setne kawałki rozleciały.

Uspokojony tem mojem zwycięstwem, drzwi zamkniętych już na powrót nie otworzyłem, ale położywszy się na dawnem miejscu, chwilę później znów spałem, do ognia zwrócony. Spałem, czyli raczej zasnąłem na krótko, bo nagle drzwi rozwarły się na dwie strony z większym jeszcze łoskotem i trzaskiem, niż się pierwiej otwierały. Tego było mi już zanadto i krocie dyabłów miałem na końcu języka, ale zdrętwiały na wylocie, bo oto patrzę: portret, nie tylko że wisi znów na ścianie, lecz postać mnicha się w ramie porusza — powoli odczepia od płótna i ku mnie nie iść, ale sunąć, płynąć się zdaje...

Nie czekałem oczywiście długo i równemi nogami stanąłem przy łożu. Przywidzenie!... Portret spokojnie wisiał na ścianie, a walka oczu rozpoczęła się na nowo... I tego dość mi było. Wyszedłem do drugiej izby, ale wstydziłem się budzić uspiionych towarzyszy i to tak mocno uspiionych, że tym razem jednego oddechu ani ludzi, ani koni nie mogłem dosłyszeć. Wszystko wkoło mnie było jakby z kamienia wykute, płomień nawet w rozłożonem na środku ognisku nieporuszenie blade świecił i jakiś chłód obcy na wskrós mnie przejmował. Po chwili wróciłem do siebie, dorzuciłem na komin kilka trzasek i postanowiłem przechodzić resztę nocy... Ale każdy krok mój, każdy ruch, jakieś dziwne echo budził — zdawało mi się, że ktoś ślad w ślad, krok w krok za mną postępuje... Mimo wszelkiej natężonej woli nie mogłem się wstrzymać, aby głowy na wszystkie strony nie obracać i nie spoglądać za siebie. Jeżeli staną, czułem tuż za sobą jakiś oddech zimny i wilgotny.

Przy całym tem napięciu nerwów sen mnie tak morzył, pochylał, tak mi nogi wprost podcinał, że usiąść wkońcu na stopniu musiałem i zasnąłem po raz czwarty, sam nie wiem, kiedy. Jak długo spałem, trudno powiedzieć, wiem tylko, że kiedyś się podniosł na łokciu, zbudzony po raz czwarty głośnem zatrzaśnięciem drzwi — portretu na ścianie nie było... Odetchnąłem swobodniej i, podciągnąwszy na siebie czarne sukno, zwróciłem się twarzą do komina, ale jakież ogarnęło mnie przerażenie, gdy ujrzałem nagle białą postać zaledwie o kilka kroków odemnie, tyłem do mnie siedzącą przed ogniem!...

Zerwałem się. Dobyć pałasza, przypaść do widma i zapytać, Bóg jeden wiedzieć raczy jakim językiem: »Kto tam?!« było dziełem mgnięcia oka. Nie można było nie poznać w białej, spokojnie siedzącej postaci mnicha z zaklętego obrazu...

Na dwukrotnie powtórzone moje zapytanie, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi — postać ani drgnęła. Chciałem ją płazem pałasza po ramieniu uderzyć, ale zaledwie pałasz z rozmachem spuściłem, nie do-

tknąwszy wszakże niczego, zerwała się postać szybkim, cichym ruchem, zwróciła ku mnie straszne swe białe oczy, rozwarły się jej czerwone usta, jakby mnie połknąć chciały i nim się zdołałem odsunąć, nim mogłem pomyśleć o obronie własnej, już coś przedemną błysnęło i okropny ból uczułem wskrósł piersi. Straciłem przytomność.

Z tego stanu omdlenia czy też odrętwienia ocknęły mnie mocne, kilkakrotnie powtarzane wstrząśnienia i głos wołający na mnie. Otworzyłem oczy. Leżałem, jak długi, na moich deskach, kirem przykryty, tak, jak mnie był odszedł Świdzki; on to mną teraz potrząsał, wołając:

— Panie kapitanie! Panie kapitanie! Obudź się! Wstań! Ugotowaliśmy Ci przedni krupniczek...

— Jestem ranny — odrzekłem.

— Gdzie? Jak? Co?...

Wskazałem na piersi. Podniosłem się nieco, odpiąłem mundur, rozdarłem koszulę... Nigdzie ni krwi, ni rany... tylko jakby wskrósł ciała, na wyłot, lekkie czułem swędzenie, a gdy ogień jaśniej błysnął, spostrzegliśmy plamkę sino-czerwoną pod lewą piersią, owalną, w kształcie małej fasoli i taką samą, tylko trochę mniejszą, zobaczył później Świdzki z tyłu pod lewą łopatką.

— Musiał pan kapitan na pałaszu leżeć — rzekł on i pomógł mi się na nogi dźwignąć.

Przyszedłszy trochę do siebie, spojrzałem oczywiście w stronę obrazu; ani śladu go nie było — widniała tylko przedemną zupełnie goła, brudna ściana. Zacząłem więc myśleć, że wszystko snem było, gdy spostrzegłem na ziemi przed kominem jakiś przedmiot błyszczący i oto podnoszę ułamek ostrego żelaza — leżący zaś dalej, kawałek czerwonego sukna, który zawsze zakładałem, aby pałasz w pochwie ciałniej trzymać...

(*Na tem niedokończonem zdaniu rękopis się urywa.*)

2.

Zakończenie *Trzy po trzy* w brulionie jest następujące:

...Trzeba było mnie widzieć kiedy łeb wypudrowany, frak o guzikach wielkości moskiewskich kopijek, buty ze sztylpami, u zegarka siedem pieczętek rzeszowskiej roboty, przybyłem na wieczór do wojewodziny bełzkiej. Otoczony, rozpytywany, nie mogłem nastarczyć powtarzać wszystkich szczegółów wypadku Dubieckiego, — z Olesia wyszedłem na pana Aleksandra.

Mówiono wówczas — wieczór, bal lub obiad u wojewodziny Potockiej, lubo wojewoda żył jeszcze; słaby na oczy, siedział w napół

oświeconym gabineciku, nie należał do świata, co w innych salonach snuł się nieustannie. Ale obok niego ujrzałeś zawsze, jakby cienie jego osoby, Rostworowskiego, starostę bez starostwa, albo którego z Komorowskich, między tymi wyróżniał się Józef, maltański i jeszcze paru innych okienkowych orderów kawaler. Żyje dotychczas. Jego przeznaczeniem było być zawsze arcymłodym, a powołaniem — robić ciągle długi. Goldoni przezwiał ten typ Fabriccim, który sprasza na obiad kogo spotka, nie troszcząc się czy się obdzielił tem, co skupił za ostatnią srebrną łyżkę. I znowu kontent, znowu śmiejący; taki człowiek najlepiej dowodzi, co jest szczęście, — że nie innego, jak nasze własne usposobienia przyjmowania zewnętrznego dotknięcia. Żyje też długo. Śmieszny to był ten kawaler maltański, tehnący bergamotem, pudrem sypiący, szastający się, kobietom nadskakujący, a przytem dający powód do wielu dwuznaczności przez zmianę w swojej mowie K na T. Tak mawiał: »moją żonę całą noc tatar (*kular*) męczył«; »województwa taszel ma (*kaszel ma*)«; »tonie (*konie*) wpadły, baba wysypała trupy (*krupy*) i padła na tupe (*kupe*)«. Dla skompletowania tych wszystkich śmieszności z pół-szambelanem austryackim — on w haftach, żona i dzieci bez trzewików.

W domu województwa, a potem wojewodziny, nudzono się zwykle, lecz jednak bywano. Codziem wieczór można było kogo zastać i kto tylko przyjechał lub przejeżdżał przez Lwów, szedł tanie, gdzie zawsze przyjmowali, gdzie ziewali, ale w dobrem towarzystwie.

Wiadomo powszechnie, że Potocki tuleżyński kazał utopić synową swoją, z domu Komorowską, między innymi więc wynagrodzeniami, które familia Komorowskich przyjęła, było i ożenienie Teodora Potockiego, wojewody ruskiego, z siostrą zamordowanej. Z pierwszej żony miał syna Adama, ożenionego z Rostworowską, siostrzenicą rodzoną wojewodziny. Ona to, owa wszędzie znana, pani Adamowa z swemi siostrami, Anielą i Zofią, wiodła długo rej eleganckiego życia we Lwowie. Dobrze to ruskie przysłowie: *Prybud' rozum, szczaseje bude* — bo pani niegdyś za mającą rozum uchodziła i w rzeczy miała go tam nieco, ale nie takiego, z jakiego szuka się chluby — potem o tem i nieraz jeszcze, a teraz o sobie.

Nie chciałem tracić czasu i ojciec też mój kochany, Polak z duszą, ciałem, nad dobro Ojczyzny nie pojmując nic wyższego, nie dał się prosić i, zaopatrzwszy w pieniądze, z krzyżykiem na drogę, wysłał mnie do zbliżającej się armii polskiej. Brygadyer Rozwadowski, potem pułkownik 8-go pułku ułanów, który później odstąpił ks. Dominikowi Radziwiłłowi, jechał do głównej kwatery, do Poniatowskiego, wziął mnie więc z sobą i ruszyliśmy ku Zamościowi.

W Żółkwi spotkaliśmy patrol polski i Adama Potockiego, — wrócił on z głównej kwatery z pozwoleniem formowania pułku konnicy. Uległem jego namowie i obietnicy szlify oficerskiej. Zdawało mi się

wtenczas, że pułk wystawić niedługo zabawi i że na nieprzyjacielu nie zbędzie nam tak prędko. Dałem więc słowo, zostałem podporucznikiem, ale nie pamiętam, dlaczego zaraz z nim nie wrócitem.

W Rawie zastaliśmy generała Kamińskiego z 6-tym pułkiem ułanów pułkownika Dziewanowskiego. Trzeba było mieć sto, a nie szesnaście lat, mleko, a nie krew w żyłach, aby się nie upoić sławą, co opromieniała wojsko nasze. Słuchałem całą duszą opowiadania świętych, ledwie do wiary podobnych, a jednak istotnych czynów — Sandomierz i Zamość zdobyto, jak w przelocie, wszędzie zwycięstwo, gdzie powiał proporzec, gdzie orzeł biały zabłysnął. Brała mnie chętka zapomnieć co przyrzekłem Adamowi Potockiemu i wejść w szeregi 6-go pułku, zwłaszcza, że zapoznałem się z szefem szwadronu, Dembińskim i jako z Dembińskiej urodzony, miałem jakieś prawo do jego protekcji. Ale mój opiekun Rozwadowski, a nawet i poczciwy Kamiński, który zawsze ojcowskie miał serce dla młodych, odradzili, zabronili prawie. Kamiński był to człowiek już wieku, małego wzrostu, dosyć otyły, dobroduszny, przystępny, chętnie rozprawiający, prawdziwy szlachcic dawnej daty. Ile razy później okoliczności zbliżyły mnie do niego, zawsze w nim znalazłem więcej, niż uprzejmego przelozonego. Miałem wtenczas szczęście do ludzi. W kampanii 1812 r. wzięty w niewolę skończył tam z życiem swój zawód wojskowy.

W Rawie rozstałem się z brygadierem Rozwadowskim i wkońcu z Ożarówskim i Erazmem Komorowskim za obozem wrócitem do Żółkwi.

W jednym z zajezdnych domów zebrało się kilkunastu szlachty z obwodu Żółkiewskiego, w najczystszy zapale siebie, dzieci, majątki przynosić w ofierze ojczyźnie, temu bóstwu, niepojętemu od wielu narodów, a klórego samo wspomnienie przejmując ogniem i miłością całą istotę Polaka. Poczęto radzić. Generał Erazm Komorowski, targowicznin, którego generalstwo zostało zagadką na zawsze, zabierał głos stanowczy. Pułkownik Dziewanowski odczytał naprędce napisany obraz powstania narodowego w Wielkiej Polsce za zbliżeniem się wojsk francuskich w r. 1806 i radził tym samym torem postępować. Ledwie mu dano skończyć. Dwa pułki wystawił cyrkuł Żółkiewski, pieszy i konny — jednogłośnie wykrzyknęło... kilkunastu i zaraz do wyborów przystąpiono. Jeden pułk miał formować generał Komorowski, drugi, jak mi się zdaje, Goszkowski. Komorowski zaczął zaraz nominować oficerów; mógłbym być osiągnąć jaki wysoki stopień, gdybym już nie był w 24 godzin podporucznikiem w innym korpusie. Daremnie Dziewanowski robił uwagi, że pułk wystawić jest wielkiem zadaniem, że lepiej następnie małe oddziały uzbrajać i do boju wysyłać etc. Nie pomogło. Dwa pułki postanowiono.

Noe już była, kiedy znalazłem się znowu na lwowskim bruku. Podczas krótkiej mojej niebytności wielkie zmiany zaszły, bo wczoraj Lwów już był polskim. Czarne orły znikły, białe gdzie jeszcze się znalazły, wykute w kamieniu, oświetlono. Wczoraj Starzyński na czele oddziału 5-go tegoż samego pułku, który widziałem już w Dubiecku i także później mój kapitan i kolega, wszedł był do miasta opuszczonego przez Austryaków na kilka dni pierwej. Wielki to był popłoch między biurokracją; wielka radość i zapal między mieszkańcami. Ale oddział Starzyńskiego był tylko rozpoznawczym, zabawiwszy więc kilka godzin w mieście, odszedł; potracił on tylko kajdany, które z ogromnym szczęciem runęły. Wolność jak po długim odrętwieniu zdawała się powoli przychodzić do świadomości siebie. Jednak nie tak to szło, jakby iść powinno, czułem to nawet wtenczas. Zastałem całą młodzież na wypieszczonych koniach, połyskujących dziewiczą jeszcze bronią na dziedzińcu pałacu wojewodziny, gdzie z okien *świat piękny* poklaskiwał, nie wiem czemu.

Jakkolwiek młody bardzo młody, nie dałem się pochwyć w owej chwili tej demonstracji patryotyzmu, zanadto przysypanej kwiatami salonowymi, aby mogła w każdym sercu równy odgłos znajdować. Może dlatego zimniejszy wtedy od moich przyjaciół byłem, że wyjechawszy z domu na wojnę, wróciłem jakim był wyjechał, że mnie ogarnęło powietrze obozowe, gdzie widziałem ogorzałe słońcem twarze, kurzawą pokryte mundury, że widziałem już prawdę wojny, — jednym słowem wstydzilem się sam siebie, wstydzilem się tego eleganckiego kurakolowania bez celu. Później, nie długo później, przypasałem i ja szablę do fraka i z wielkiem ukontentowaniem rozpuszczałem konie po ulicach. Zostałem adjutantem Adama Potockiego, który, powiem dokładnie, jakie i nad czem był objął dowództwo.

Kiedy teraz stawiam przed rozważę obraz owego czasu, przyznać muszę, że w r. 1809 Galicyanie uczynili zbyt wiele i zbyt mało. Zbyt wiele, że na pierwszy pojaw polskiego żołnierza, bez najmniejszego wezwania do współdziałania, w imieniu ówczesowego Wskrzesiciela (!!!) Polscy rzucili się do broni, organizowali powstanie, żebząc nieledwie zezwolenia na to u napoleońskimi więzami skrępowanego Poniatowskiego. Starzy, młodzi, majątni, ubodzy, wszyscy (szlachta, rozumie się), zuchwale, nie patrząc za siebie, nie licząc tak przyjaciół, jak i nieprzyjaciół; nie kombinując możliwych skutków dyplomatycznym tchórzostwem, wypowiedzieli posłuszeństwo niemieckiemu panu. Wypowiedzieli wojnę, mając tylko ufność w Bogu za jedyną warownię, za jedyną obronę przeciw zatrwożonym, ale niezniesionym wrogom. Zaiste, to zbyt wiele! Ale, uczyniwszy to, jakże zbyt mało w dalszym postępie! Szlachta nie chciała szukać nowych źródeł potęgi za ciasnym, aczkolwiek bohaterskim zakresem szlachectwa. Nie starała się, jak niegdyś tak i teraz stopić się z ludem w jedną całość.

We Lwowie przy wejściu, raczej przy pokazaniu się wojska polskiego, cała ludność chrześcijańska i żydowska, wyjąwszy piórogryzów niemieckich, co truchleli pod swojemi biurami; cała ludność, mówię, wrzała, by się tak wyrazić, duchem polskim. Kapitan Starzyński powiadał mi nieraz potem, że to był najpiękniejszy, najszczęśliwszy dzień w jego życiu; że jego oddział ledwie się mógł przecisnąć, że go ledwie na barki nie wzięto. Ręce, nogi żołnierzy, konie całowano. Uniesienie szatu sięgało. A jednak jakież był skutek, pytam się? Oto stokilkadziesiąt ludzi, z których połowa podrostków, zwerbowano do pułku pana Adama Potockiego. Na to się Lwów zdobył, ale czy starano się użyć wzbudzonego zapału, czy w pierwszych dniach, o których mówię, wspominał kto o pospółstwie? Czy przemówił do niego? Czy okazał mu, że go potrzebuje? Czy wezwał do obrony praw wspólnych? Czy nawet powiedział o co idzie? Nie. Szlachta, spuszczać się na rekrutów, których, że im kiedyś przywiodą, mogła się spodziewać, mniej myślała o szeregach, a więcej — kto stanie przed nimi. Między sobą toczyła sprawę. Czynna, odważna, gorliwa, ale w swoim ciasnym zakresie. Na szlachcie też się skończyło i zawsze kończyć się będzie, dopóki jedne żyły nie przepłotą wszystkich członków społeczeństwa, póki jednym tętnem bić nie będzie całe ciało narodu. Ku temu celowi powinność postępować w każdym powstaniu narodu. Bylibyśmy przynajmniej zostawili ludowi na zawsze myśl i wiarę, czego się spodziewać, czego wraz z nami pragnąć, do czego dążyć powinien.

Szlachta polska, wiecznie młoda, niepodstarzała się doświadczeniem, nawet na zwłokach własnej ojczyzny; wszystkie zalety i wszystkie wady, właściwe młodości wieku ludzkiego, ona łączya w sobie. Skora do szlachetnego uniesienia, do poświęcenia, prowadzącego częstokroć w męczeństwo, nie ma tej wytrwałości, którą tylko dobrze pojęte i dobrze rozważone idee wydać z siebie mogą; nie zastępuje jej nawet uporem, uporem czasem zbawiennym w sprawie publicznej. W zapale stawia na kartę majątek i życie dla celu, dla którego w spokojnem położeniu duszy, najlichszej przyjemności wyrzec się nie umie. Nie mogła szlachta dotąd schwytać stanowiska w swojej niewoli, między szalonym zuchwalstwem a podłągą uległością. Albo bundiuczy się i grozi, albo kłania się i łasi, ale jej groźba nie na sztych zaprzysiężona, a uprzejmość uniżona z dobrotliwej tylko jej natury wypływa. Dlatego mylą się ci z nieprzyjaciół naszych, którzy Polaków oskarżają o fałsz lub podłość, — ni jedno ni drugie tu nie ma miejsca. Polak nie pamięta swojej szkody, zapomina więc i kto jej przyczyną, a będąc przyjacielskim, gościnnym, lubiącym bawić się, a nadewszystko traktować, progom swojego domu nadaje własność Lethy. Otwiera objęcia nieprzyjacielowi (mówię tu o nieprzyjacielu zasad, a nie osobistości, — ogólnym, a nie indywidualnym); otwiera objęcia i dłoń ściska, nie aby go fałszywą pieczęcią uspił, nie aby korzyść u możniejszego wyłudził,

ani też, że nie jest zdolnym uczuć zniewagi, ale dlatego jedynie, że, będąc z nieprzyjacielem, łatwo o nieprzyjaźni zapomina. Nienawiść w narodzie lub w rodzinie dziedziczna, wywołująca koniecznie zemstę u południowych ludów, jest dla Polaka męczącym uczuciem. Wybijmy się, woła, a potem kochajmy się, póki się znowu nie wybijemy, aby się kochać znowu. Naród ujarzmiony przemocą, tylko w jarzmie trzymany, nie ma innego zadania względem swoich panów, póki ci są mocniejsi, jak strzec święcie w tajnikach serca wiarę swoją i te przykazania, które niegdyś Bóg nam i osobno każdemu narodowi udzielił. W stosunkach zaś ze swojemi władzami zachowywać się musi tylko biernie, stać zawsze przed niemi, jak kamień grobowy zamordowanego, jak epoka, której nie zmiękczą pieszczone słowa, albo rozgrzeją lubieżne uściski, która martwością swoją straszyć powinna na jawie i we śnie nieprawych swoich zdobywców, grozić, że ich kiedyś przyrodzonym ciężarem na miazgę rozgnieść może. To jest nasze zadanie. Kajdany i uśmiech znać się nie powinny. Ale my zamknąć się w sobie nie umiemy, nie umiemy oprzeć się pokusie, co się nam czasem, jak kwiat przy drodze następuje, albo którą nam nigdy nie drzemiący wróg zdradliwie podsuwa.

Przy zaborze Galicyi szlachcie polskiej, senatorom Rzeczypospolitej, elektorom królów, piastunom konfederacyi, rzucił Pan nowy — szychowe grafostwo, baronostwa, szambelaństwa i owe dygnitarstwa Korony Galicyi! Korony Lodomeryi! — wiatrem nadęte pstrokate pęcherze, których nie ceni ten co daje, wstydzi się ten, co bierze, a drwi, kto w Boga wierzy. Rzucił Pan — chwyciono trutkę, a w narodzie, niewolą zrównanym, powstała nowa szizma, szizma bez treści, bez jądra, a co gorsza, niestety, przedmiot nie wstrętu, ale zawzięci.

Skleila się jakaś nazwa arystokracji, która stała się jakby obszerną skarboną, w którą każdy pchał swoją prywatną obelgę lub upośledzenie; która stała się łączym tylko wyrazem, rzuconym tej koteryi, co z jakichbądź powodów zawiść u drugich wzbudzała.

Bo cóż jest arystokracja w Galicyi jeżeli nie słowem bez treści. Gdzież te sejmy, parlamenta, kongresy, gdzie (*nieczytelne*) jedną opinią falanża (*sic*) arystokratyczna miejsce zajęła? Gdzie są jej wyłączne przywileje w składzie socyalnym? Gdzie te nienaruszone naczelné majątki, utrzymujące w wybranych rodzinach przewagę albo wpływ w interesach kraju? Albo nasze społeczeństwo rozdwojone jest w dwie równo silne partye, których opinie stanowią różnice, z których jedna oznaczona arystokratyzmem a druga szlachectwem. Nie, bynajmniej, na nieszczęście nasze opinie nie polapały się w partye, nie mają sztandarów, wkoło których pewna liczba mogła by się gromadzić, mogła obliczać się wzajemnie.

Cóż więc rozdzwaja braci szlachtę? Bodaj czy nie prywatna, kryjąca się w pożyczane osłony. Majątek tylko, jak niegdyś w Polsce, tak

teraz w Galicyi istotną stanowi różnicę, ale gdzież tej różnicy niema, a gdzież łatwiej, jak (*nieczytelne*) ta różnica przenosi się z głowy na głowę, z rodziny na rodzinę. Widzimy często potomków znakomych familii w prywatnej służbie, tak jak widzimy wielu galicyjskich magnatów, którzy w swoim trzecim pokoleniu w górę nie znaleźliby i ze świecą ani kapki szlachectwa. Ale ogólnie biorąc, nie tylko Galicyę, lecz Polskę, nie czas tylko teraźniejszy, ale i dawniejszy, zdaje mi się, że główną przyczyną niesfornych wybryków narodu jest owa wieczna młodość jego charakteru. Ona to pcha do błyszczącego zwierciadła, co nam nie świat nowy, ale tylko nasze własne uczucia odbija. Dla niej księga doświadczenia zamknięta, dla niej wszelka rachuba na przyszłość moźolna. Ona to może okazywać się czemśik więcej, niż jest w istocie. Ona wieździe do wydatków nad możność, a gdy ślad złe skutki następują, wtenczas wyrasta zawiść ku tym, którym lepiej się wieździe, albo którzy także taki sam odgrywają dramat, tylko że są jeszcze w pierwszym akcie.

W Polsce szlachta nie była kastą, ale częścią ludności, stanowiącą rzeczywisty naród. Jedne ma wspólne wady i zalety, solidarnie za tychże skutki odpowiadać powinna. Bez żadnej więc zasady są owe kłątwy dawniej, a nawet i teraz ciskane na Panów, Panów, kształcących się i odkształcających się ciągle, Panów, co byli niezem innym, jak tylko szczytami wystrzelonymi nad powierzchnię narodu. Czyliż to szczyty drzew są winne, kiedy się skracają albo kruszą, a nie raczej nasienie, z których wyrosły, ziemia, która im soków dostarcza? Ster nie może się skruszyć tylko w rękę sternika, z jakiej zaś przyczyny to skruszenie, to inne pytanie. I cesarz marokański za zły obiad nie każe pięć wybijać furmanowi, ale kucharzowi, choćby go pewnie furman jeszcze gorzej ugotował. Jeżeli więc nie zbiegowi okoliczności i chciwości sąsiedzkiej, wspartej przemocą, chcemy upadek nasz przypisać, ale koniecznie szukamy w sobie winy, nie dzielmy-że jej, ale jak ciężącą na całym narodzie wykaźmy, a może kiedyś przecie czas przyjdzie, gdzie doświadczenie będzie razem i przestroga.

Wróćmy do ośmset dziewiątego roku, do dnia mojego powrotu z wojennej wyprawy aż po Rawę. Nazajutrz zgromadzono się w salach domu pojezuickiego ogrodu pod przewodnictwem niły Potockiego, wojewody bełzkiego i Młockiego, kasztelana wołyńskiego. Pierwszy mało widział, drugi był zupełnie ciemny; pierwszego senatorstwo, mówiąc nawiasem, było dyabło niskiej próby, — kupił go był od Cetnera, który także, jak mówią, otrzymał był, jako więcej dający. Wieczny odpoczynek tym głupim brudom. Ciźba była wielka w salach, a krzyk jeszcze większy. Jeden z przedmiotów, nad którymi miano się naradzać, ile sobie przypominam, było, — jak przyjąć zbliżające się wojsko polskie — konno, pieszo, zbrojno, czy bez broni. Co uradzono i czy uradzono, nie wiem; to wiem tylko, że kto miał jaką szablinę — przypasał; kto

miał jakiego konia — dosiadł, i wieczór zebrał się wszyscy przed domem wówczas Cieleckich, za Żółkiewską rogatką. Nie byłem z ostatnich; koń siwo-jabkowity, mego ojca, niechętnie wtórował patryotycznemu mojemu zapałowi, lombardziej, że głęboki jego stoicyzm gardził wszelkim bodźcem lub naciskiem, któryby usiłował pędzą w nim rozwinąć działalność, — pięknej postawy, ukształcony, poważny, nie wiedział co to jest potknąć się, ale i wszelkie bryknięcie było dla niego zupełnie obcą namiętnością; służył mi długo i mógłbym mu być dać sumienniejsze świadectwo: wiernie, pilnie i trzeźwo, niż się zwykle daje każdemu, co o nie prosi. Wyjechałem tedy powtórnie tą samą rogatką i podług wszelkiego podobieństwa powtórnie, jak razą pierwszą, wróciłem — i gdybym nie czytał w dziele Sołtyka, nie umiałbym nawet powiedzieć, że to się działo 23 maja.

O Czasię! Ty okrutne Bożyszcze, ty ryjesz coraz głębiej piętna gorzkiego cierpienia — boleści duszy, zdajesz się je mnożyć, a ślady rozkoszy i szczęścia zasuwasz, zaciemniasz, ściskasz w punkcik ledwo dostrzeżony. Jakże dobrze pamiętam moje noclegi w moskiewskich zapachach! Jak pamiętam ledwie nie każdy krok mego konia, pchanego w lody Berezyny! Jak pamiętam nędzę niewoli! Jakże mocno wspomnienie pierwszej tam jałmużny czerwieni jeszcze czoło moje! A pamiętać chwil uroczych, chwil błęgiego rozmarzenia, nadziei, zapachu, wolności, życia młodego, szczęścia — leży, jak węzeł splątana w głębi serca, nie ma już siły rozwinąć się w słowo...

Ach, gdyby głos jaki mógł przebiegać świat cały i wołać szczęśliwym od czasu do czasu: Pamiętajcie! Możeby te przerwy, jakby epoki, przeciągały formę szczęścia dla przyszłej pamięci. Wszak i sen, — a szczęście nie jestże snem lubym, jeżeli trwał nieprzerwanie choćby jaknajdłużej, traci przy obudzeniu przestrzeń swoją. Ale jeżeli nasze zmysły z uspienia w ocknienie i z ocknienia znowu w uspienie przenoszą się łagodnie, — natenczas sen daje niejaką świadomość siebie, przyjemność pomnożoną, przedłużoną bywa.

Nie myślcie jednak, kochane dzieci moje, że całą masę szczęścia, którą los mojemu życiu wydzielił, zamknąłem, zostawiłem w onym dalekim czasie; lecz bluźniłbym, gdybym nie czuł się szczęśliwym, kiedy wzrok błogosławiący przesuwam po waszych jasnych włoskach, kiedy go zawieszam na ustach waszych, uśmiechających się młodością, kiedy go wtapiam w niezamącone jeszcze wejrzenie, w czyste jak niebo oczy wasze; kiedy was widzę w objęciu matki, przy jej sercu, sercu nieprzebranej dobroci i miłości, przy tem jednym sercu, gdzie się odbijam takim, jakim jestem w istocie, gdzie zawsze tak wierny oddźwięk każdego mego uczucia znajduję... Lecz tak, tak jest — kiedy całą duszą obejmę, osłonę, złaczę jakby w jeden uścisk was wszystko troje, co jesteście moim światem, moją miłością, moją nadzieją, dzieckozynne modły muszę wnieść do Boga, — jestem szczęśliwy... Ale szczęście domowe Polaka jest teraz oazą kwiecistą wśród pustyni Sahary...

II.

Portrety osób, które znałem osobiście.

Napoleon I. Z wszystkich portretów, które widzieć mi się zdarzyło, najpodobniejszy jest sztych wiedeński z r. 1814. Zdaje mi się tylko, że na portrecie jest wyższy, niż był w istocie. Na koniu nie tego wyglądał, krótko siedział w strzemionach. Kapelusz jakby stanowił jedną z nim całość, tak, że byłem zdziwiony, zobaczywszy go pierwszy raz bez kapelusza. Był trochę łysy i to zmieniało o wiele wyraz jego twarzy, jak z marmuru wykutej. Jego ręce zdawały mi się trochę za krótkie. Wejrzenie z pod powiek było przenikające.

Jérôme, król westfalski. Pierwej go poznałem w Warszawie, niż Napoleona pod Smoleńskiem. Był o wiele wyższy od brata, ale zdawał mi się być do niego podobnym, może dlatego, że naśladował w ubiorze cesarza.

Murat, król Neapolu. Piękny mężczyzna w całym znaczeniu słowa. Twarz wesoła, otwarta, przyjemna. Szczególnego zaś wyrazu rozumy albo dowcipu nie dostrzegłem. Jego strój teatralny zle na myślących robił wrażenie.

Cesarz Aleksander I. Poznałem go w St. Denis na śniadaniu u gen. Wincentego Krasińskiego. Piękna postać, wysoka; twarz przyjemna i dobra; trochę łysy.

Cesarz Mikołaj I. Poznałem go w Wiedniu (r. 1852); przejeżdżał z naszym cesarzem koczem; kolosalnie piękny, ale na pierwsze wejrzenie łatwo było odgadnąć czem był. Kapelusz kirasyerski na głowie nie zdawał się strojem stosownym dla monarchy, zwłaszcza jadącego powozem.

Cesarz Franciszek. Pierwszy raz zobaczyłem (go) na Boulevard des Italiens, kiedy wjeżdżał do Paryża r. 1814. Twarz ponura. Nie zdawała się uczuwać swego tryumfu.

Wilhelm, król pruski. Poznałem go w Karlsbadzie. Silny mężczyzna; nie można powiedzieć, że brzydki, ale ordynarna fizyognomia. Był bardzo popularny.

Ferdynand d'Este, gubernator Galicji w r. 1846. Wzrost trochę wyższy, jak mierny. Nos duży, ogórkowaty; twarz uprzejma, ale oko fałszywe.

Maksymilian, jego brat. Wyższy, może przystojniejszy, ale wyraz twarzy niedobry.

Kościuszko. Poznałem go w r. 1814. Mały, chudy, nos zadarty, dużomowny, żywe ruchy.

Napoleon III. Mała figura, twarz brzydka, oczy blade. Na koniu dobrze siedzi.

Marszałek Berthier Aleksander, ks. Neu-châtel. Major-generał, czyli szef sztabu cesarza Napoleona. Mały, włos kędzierzawy, twarz przystojna; mówi przez nos. On tylko nosił taki kapelusz, bez wszelkich znaków, jak cesarz.

Marszałek Marmont, duc de Raguse. Korsykanin. Chudy, włos czarny, cera ciemna, wzrostu średniego; każdy z Polaków wzięłby go niemylnie za cygana.

Macdonald, duc de Tarente. Wzrost więcej, jak średni; twarz przyjemna, nos trochę zadarty; zawsze starannie ubrany; często na białej kamizelce wstęga czerwona Legii honorowej.

Marszałek Victor, duc de Bellune. Więcej jak średni wzrost, twarz okrągła; peruczka jasno-blond.

Marszałek Mortier, duc de Trévise. Wysoki, nos duży, twarz przyjemna. Jeden z marszałków, który razem siadał do stołu ze swoim sztabem i oficerami, którzy w misyi do niego przyjeżdżali.

Marszałek Lefebvre, duc de Dantzig. Wysoki, silny mężczyzna, brunatnej cery, wyrazu ostrego.

Marszałek Ney, książę Moskwy. Parę razy tylko widziałem go zdaleka; przypominat mi cara Pawła.

Caulaincourt, duc Vicence. Wysoki, trochę łysy, twarz przyjemna.

Wincenty Krasiński. Generał, dowódca gwardyi polskiej chevau-léger'ów. Twarz piękna, postać wojskowa.

W. Ks. Konstanty. Bardzo podobny do portretu litografowanego w Warszawie przez Piwockiego. Brwi jasne, gęste, wyraz twarzy tyrański. Jego wojskowość była personifikowaną karykaturą wojskowości.

Zajączek, namiestnik Królestwa Polskiego. Wysoki, piękny mężczyzna.

Dąbrowski generał. Otyły nieco, twarz nieładna, okrągła, bez wyrazu; postać niewojskowa.

Kniaziwicz generał. Wysoki, twarz przyjemna, rozumna.

Roźniecki generał. Mały, włos jasny, dziobaty, brzydki; dobry jeździec.

Sułkowski Antoni. Wzrost średni, kształtny; twarz przyjemna, ale harda; zły jeździec.

Krukowiecki generał. Włos jasny, rzadki; twarz okrągła, czerwona, ospowata; wzrost wyżej, jak średni; namiętny w mowie.

Generał Hauke. Średniego wzrostu, nieco otyły; twarz okrągła, rumiana; zęby popsute; uprzejmy dla podwładnych.

Generał Sokolnicki. Twarz przyjemna, wzrost średni, chudy.

Generał Umiński. Mały, dość brzydki; namiętny w mowie.

Stanisław Potocki, prezes, minister. Wysoki, bardzo chudy.

Morawski Franciszek. Więcej jak średni wzrost; włosy ciemne; zwięzłej figury; zawsze w okularach. Chorujący trochę na Byrona.

Doskonale deklamował swoje wiersze, szczególnie bajki... (akcentem wielkopolskim).

Koźmian Kajetan. Wzrost średni; twarz okrągła, przyjemna.

Osiński. Wzrost średni; włos ciemny; twarz okrągła, zdaje mi się trochę ospowata; wyraz twarzy ironiczny.

General Kurnatowski. W r. 1812 mój pułkownik, dowódca 5-go pułku Strzelców konnych. Wzrost więcej jak średni; dobrze zbudowany, dobrej tuszy; mocny brunet, twarz okrągła, rumiana; akcent niemiecki, niby nieco żydowski. Nielubiony w pułku.

Mój brat Maksymilian, major w tymże pułku. Wysoki, piękny mężczyzna; włosy rude, oczy bardzo małe. Dla wszystkich przyjacielski, usłużny, ale niegospodarny.

Mój brat Seweryn, szef szwadronu gwardyi napoleońskiej. Piękny mężczyzna; trochę niższy od brata; powszechnie lubiany w pułku.

III.

Listy Aleksandra Fredry i Germana Hołowińskiego:

1.

D. 28 Grudnia 1817 ze Lwowa.

Powinienbym list zacząć od gorzkich wyrzutów, kochany Wasserkolego, gdybym nie pamiętał na nieprzeczwyciężoną siłę spleńów, jey to pewnie byleś podległym, gdy, przejeżdżając przez Lwów, nŕe spytales się o mnie, byłem pono nawet na ten czas i bardzo by mi było miło zobaczyć się z Tobą i Emroda przeczytać; zawsze ja wiele cenię Twoję przyjaźń, którą lubo może jeszcze nie zasłużyłem, jednak zasłużyć starać się nie przestanę, pocieszam się z Twego zapomnienia pisząc i spodziewając się odpisu, którego nie chcey odmawiać; rad będę wiedzieć, jak Ci Sprudel i Franzesbrunn skutkowały, a może naylepiej rozrywki Wiednia i czy z upłynionym rokiem zostawisz słabość zdrowia i ponure myśli, czego Ci nayserdeczniey życzę; niech Cię w rok 1818-ty wprowadzi piękna i dobra żona, w 819-ty luby synek, ale z krzywym paluszkiem, w 840-ty wnuk Tobie podobny, w 880-ty prawnuk, i tak daley praprawnuczęta.

Znalazłem między papierami pieśń, którą zrobiłem w Fontainebleau kiedy nie jeszcze pewnego nie było o losie naszego woyska, może Ci się podoba, przynaymniey ze sposobu myślenia, który był równie wszystkich nieszczęśliwych Polaków. Przyszlij mi, proszę Cię, Biblię, o którą u Was łatwo, ja Ci się odwdzięczę dziełem historycznem x. Chodynickiego, w druku będącem, mówią, że ma być dobre.

Wincenty Tyszkiewicz odda Ci ten list, poznay się z Nim, bo

bardzo zacny i dobry chłopiec, a pamiętaj czasem o znajomościach zagranicznych. Żegnaj Cię najserdeczniej, polecając się Twojej szacownej przyjaźni.

Alexander Fredro.

Pieśń Polaków.

5 kwietnia 1814, w Fontainebleau.

Pośród nieszczęść dopełnienia,
Jak wśród mordów wściekłej wrzawy,
Znośmy nasze dziś cierpienia
Dla honoru i dla stawy.

W obcę zarzuceni stronę
Srogich przeznaczeń igrzyskiem,
Łączmy stałość niewzruszonę
Z chlubnym Polaka nazwiskiem.

Szybko szczęścia chwile zeszyły,
Szczątki tylko rot i znaków,
Świadczą smutnie był nasz przeszły,
Świadczą nadzieje Polaków.

Wzięła nam ją w mężów zgonie
Moc wyroków zawsze spreczna,
Wszystko jeszcze czas pochłonie,
Stawa tylko, stawa wieczna!

Los nas stawił w jednym rzędzie,
Niech jeden drugiego wspiera,
A przyjaźń ocierać będzie
Łzy, które przeszłość wydziera.

W nieszczęściu prawi Polacy,
Dóydzim przecie do Ojczyzny,
Tam czcić będą w nas rodacy:
Honor, stałość i te bliźny.

Nieskażone wrogów dłonią,
Wiodąc błędne nasze kroki,
Nieśmy orły wsparte bronią,
Nieśmy braci naszych zwłoki.

Niech przeciwko przeznaczeniu
Mężni legną między swemi,
Znajdziem dla Nich w laurów cieniu
Jeszcze garstkę polskiej ziemi.

2.

Słodką pamięć naszego u wód towarzystwa najmilszym mi jest przypomnieniem, niesprawiedliwie więc, kochany współpikaju, obwi-

niasz panujące nademną spliny; przyjaźń, którą dla Ciebie powziąłem, nierównie moc ich przewyższa i dopiero wtenczas na nowo przez nie podbity zostałem, gdy ciebie cheiwie i skrzętnie po całym Lwowie szukanego znaleźć nie mogłem. Nadgrodziło mi się to ucierpienie rozkoszą odebranego od ciebie listu; przyłączoną w nim piosnkę zainkorporowałem do zbioru wierszów wybranych, których częste odczytywanie rozwesela moje ponure myśli; oprócz niezaprzeczonego talentu autora daje ona poznać uczucia honoru i miłości Ojczyzny, tak mocno w sercach prawych Polaków ugruntowane. Na wiosnę odwiedzę znowu Karlsbad, nie minę i Lwowa; spodziewam się, że widok szczerego przyjaciela, równie jak i wody, mieć będzie wpływ na moje zdrowie.

G. Hołowiński.

Posyłam ci trochę tytoniu i aloesu, za każdym nabiciem fajki wspomnij o posyłającym. Oświadczyć moje uszanowanie panu Skrupiowskiemu.

3 lutego 1818. Steblów.

IV.

Pro Memoria.

Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,
Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.
Tęskniłem za obozem... nudziłem się przeto,
I ażeby coś robić, zostałem poetą. —
— Poetą!... Tam do licha!... To Panie nie żarty!
Byłeś przynajmniej silną nauką podparty?
Ach gdzież tam!... Byłem sobie, ot szesnastoletnim
Pośród dwóch gubernatorów nieukiem kompletnym;
Nigdy mi się nad książką nie zmarszczyło czoło,
Trąbka myśliwska w kniei była moją szkołą.
A kiedy niespodzianie zafurknął proporzec,
W to mi graj!... Żegnając rodzicielski dworzec,
Żegnając biblioteki zasuw spokojne,
Z radosnem uniesieniem ruszyłem na wojnę.
A gdy przedepstał obręcz i prysku i lodu,
Moskwy, Paryża, Wiednia od grodu do grodu;
Ze sześciomiesięcznym niewoli popasem,
Wróciłem z niezwiększonym nauki zapasem.
Wróciłem, prawdę mówiąc, bez celu do kraju,

Lecz z pekiem doświadczenia różnego rodzaju.
Razu jednego, kiedy w malignie zasnąłem,
Wpadł mi palec w kałamarz i pisać zacząłem;
Oczywiście komedią, której bez nauki,
A na najpierwszych scenach pojąłem treść sztuki.
Pisałem więc z tą wieku młodego odwagą,
Co się często dla drugich ciężką staje plagą.
Chciałem zasięgać rady... ale na me nogi
Literackich świeczników za wysokie progi;
I jeśli się zbliżyłem, bijąc kornem czołem,
Tak czy siak, koniec końców zawsze szeczutka wzięłem.
U jednego trzy akty ledwie wyżebrałem,
Bo swoje bajki z ciągłym wygłaszał zapałem;
A finalnie półgębkiem skończył na odprawie,
Że podobnych Geldhabów nie mamy w Warszawie.
Drugi zaś, nieruchomy klasyk ostrokuty,
Który z tej samej jednej zawsze śpiewał nuty,
Dał wyrok, że zły papier, atrament za błady,
I ani słowa więcej. — Szukajże tu rady!...
Nie wiedząc już nareszcie, jak poradzić sobie,
Z najmędrszym Gramatykiem skromny układ robię:
Darowałem mu pisma, ażeby poprawił,
Potem wydał... a sobie wawrzyny zostawił.
Mędrzec wziął, co chciał. A musiałem bez swatów
Uratować wawrzyny za dziesięć dukatów.
Po takich próbach, których cząstki tu nie mieszczę,
Trzeba było jeść dyabła, aby pisać jeszcze.
Publiczność tylko szczerą, tę miałem po sobie,
Inaczej byłbym dernął zaraz w pierwszej dobie.
Przytem i teatralne dzienniki w Warszawie
Przemawiały odrazu mniej więcej łaskawie.
W lwowskich tylko, jak mówią, i pies nie zaszczekał,
Ale nie nie straciłem, żem lat kilka czekał.
Bo jakiś Minos powstał i zaszczekał wściekle,
Chciałby moich pięć tomów w piątym widzieć piekle.
Złem pisał. — Zgoda. — Ale źle pisać nie zbrodnia;
Trafiało się to dawniej i trafia się co dnia.
Byłem więc więcej złością, niż treścią zdziwiony,
A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony,
Nie mogłem pojąć, zgadnąć, czy rada czy zdrada
I zrozumiałem tylko, że milczeć wypada.
Milczałem lat piętnaście i nie schudłem weale;
Jakżem się nagle znalazł w moim dawnym szale?
O! w labiryncie życia ścieżki niezliczone,

Nikt nigdy nie przewidzi, w jaką zajdzie stronę.
Nie jeden mimo przestróg i przewodniej nici,
Chcąc chwycić Apollina, Żandarma uchwyci,
Tak i ja z łaski głupców, ich zwodnej przyjaźni,
Tuj, tuj, że nie beknąłem w Temidowej kaźni.
Gdy bowiem ktoś niepomny na wypadki krwawe
Wkrótce o Ekonomii rozpoczął rozprawę,
Rzucono kilka wierszów, wprawdzie nie z Parnasu,
Ale zastosowanych do miejsca i czasu:
Finał był taki:

»A rząd?... Rząd, Mospanie, kiepl
Jego argumentem stryczek albo cep;
Gdzie taka Ekonomia wzrasta,
Wszystko błazeństwo i basta!«

Stadion przejął wiersze, mnie oskarżył o nie,
Zgromadził całe gremium w rządowym salonie,
I słuchajcie! słuchajcie! Do uwagi zmusił;
Etmajer deklamował... na *kpie* się zakrzusił,
Stadion kichnął, kichnęli wszyscy Hofratowie,
A ja miałem gdzieś w kozie powiedzieć: »Na zdrowie!«
Przyszła chwila odwetu — każdy miał swój znaczek,
Bo zemsta, jak to mówią, królewski przysmaczek.
Zbombardowano wieżę... ot tak, dla uciechy;
Za mniemane a wsteczne oskarżono grzechy
Miera, Ambasadora, że kładł barykady,
Mnie zaś, żem łżył Cesarza wśród Rudeckiej Rady.
Śmiano się do rozpuku, nie dając im wiary,
Ale wiary nie trzeba, kiedy trzeba kary.
Jak szydło z worka, Stadion wylazł w danej chwili.
Kto tam zapłacił, nie wiem, lecz świadków kupili
I fałsz miał zostać prawdą. — Nareszcie pojąłem,
Że słowo wzłata płaszkiem, a powraca wołem;
A mówiąc między nami, szczerze wam udzielię,
Że moich piosnek były niezbyt głośne trele;
Udając zaś fantazyę przed grożącą kozą,
Napisałem komedyą... lecz tym razem prozą.
A napisawszy jedną, po szczęsnym połogu,
Do dawnego, niestety, wróciłem nałogu.
Ale już teraz piszę tylko dla szuflady,
Bo pochwałem nie wierzę... Zapóźnie na rady.
A teraz to *Pro memoria* spisuję dokładnie,
Aby niezbyt gwizdżano, jak kurtyna spadnie.

29 października 1872.

PRZYPISY.

(Str. 3). Kiliński w pamiętnikach swoich często niepotrzebnie używa spójnika *więc*. Fredro pamiętniki Jana Kilińskiego znał w wydaniu K. Wł. Wójcickiego z r. 1831. — Szlufka = pętlica, z niemieckiego *Die Schleife*.

(Str. 4). Montereau, miasteczko w departamencie Sekwany, pamiętne zwycięstwem Napoleona nad armią sprzymierzonych w dniu 18 lutego 1814 r. — Victor-Perrin, książę Belluno (ur. 1764, zm. 1841 r.), głośny wódz w armii napoleońskiej, buławę marszałkowską otrzymał w bitwie pod Friedlandem. Krótki wypoczynek, na jaki pozwolił swoim żołnierzom, był powodem utraty mostu pod Montereau, za co rozgniewany cesarz zastąpił Victor'a przez gen. Maurycego Stefana hr. Gérard'a.

(Str. 6). Lefebvre Franciszek Józef, książę Gdański, marszałek francuski (ur. 1775, zm. 1820 r.), znakomity wódz w armii napoleońskiej.

(Str. 8). Zdanie Fredry o werdykach wywołane zostało rozżaleniem autora na krytyków jego dzieł scenicznych, Goszczyńskiego, Pola, Lukaszewicza, Dembowskiego i in. Por. St. Schnür Peplowski, *Z papierów po Fredrze* (Kraków, 1900), 47 sq.

(Str. 9). Sztubmadla = pokojówka, z niemieckiego *Das Stubenmädchen*.

(Str. 11). Arena Bartłomiej, członek Rady Pięciuset, w pamiętnym dniu 18 Brumaira rzucił się na Bonapartego, chcąc go zabić. — Błeszyński Hipolit, w r. 1789 chorąży w pułku pieszym gen. Malczewskiego, podkomendny Kościuszki; w r. 1794 generał-adjutant króla saskiego, w r. 1797 kawaler maltański.

(Str. 14). Książę Neufchâtel = Aleksander Berthier, marszałek i znakomity wódz armii napoleońskiej (ur. 1753, zm. 1815 r.).

(Str. 15). Rejtan Dominik, podpułkownik, w r. 1814 należał do sztabu głównego; syn Tadeusza, słynnego posła na sejm 1773 r.

(Str. 17). Vandamme Dominik Józef (ur. 1771, zm. 1830 r.), generał napoleoński, pod Kulmem dostał się do niewoli rosyjskiej.

(Str. 18). Hr. Merfeldt, generał austriacki, wzięty przez Ks. Józefa do niewoli w pierwszym dniu bitwy pod Lipskiem. — Caulaincourt

Armand (ur. 1772, zm. 1827 r.), głośny wódz w armii napoleońskiej. — Król neapolitański = Joachim Murat.

(Str. 21). Pac hr. Ludwik (ur. 1780, zm. 1835 r.), od 18 lipca 1812 r. generał brygady w sztabie cesarza. — Kossakowski hr. Józef (ur. 1771, zm. 1840 r.), w r. 1812 szef pułku strzelców pieszych litewskich, który własnym kosztem uformował. — Wąsowicz hr. Dunin Stanisław, w r. 1807 porucznik, w 1810 r. przeniesiony do 2-go pułku jazdy, następnie do pułku szwoleżerów; oficer ordynansowy Napoleona, towarzyszył cesarzowi w odwojcie z Moskwy w r. 1812. Por. interesujące »Zapiski« Wąsowicza, Tyg. Illustr. 1911 r. Nr. 50. — Larrey Jan Dominik (ur. 1768, zm. 1842 r.), znakomity chirurg, generalny lekarz armii napoleońskiej.

(Str. 22). Monthion de Bailly hr. Franciszek, generał dywizji (ur. 1776, zm. 1850). — Marmont August Fryderyk (ur. 1774, zm. 1852 r.), książę Raguzy, generał i marszałek napoleoński.

(Str. 23). Bertrand hr. Henryk (ur. 1773, zm. 1844), znany z poświęcenia i przywiązania do Napoleona.

(Str. 24). Hanau, miasto w Hessen-Nassau, pamiętne bitwą stoczoną przez Napoleona 30 października 1813 r.

(Str. 27). Suchorzewski Tadeusz w r. 1814 pułkownik 6 pułku ułanów, 20 stycznia 1815 r. przeszedł do 2 pułku strzelców konnych. — Milberg (Mühlberg) Henryk w r. 1814 szef batalionu 20 pułku piechoty. — Jelski Ludwik od 11 kwietnia 1813 r. adjutant sztabu głównego. — Sołtyk Reman w r. 1814 szef szwadronu 6 pułku ułanów. — Niegolewski Andrzej w r. 1807 podporucznik 5 pułku strzelców konnych, 5 czerwca 1807 r. przeszedł do pułku szwoleżerów. — Grabowski Józef, w r. 1812 podporucznik, adjutant gen. Biegańskiego, w 1814 r. należał do sztabu głównego; autor »Pamiętników wojskowych« (wyd. W. Gąsiorowski, Warszawa, 1905). — Kościelski Tomasz w 1813 r. kapitan 15 pułku piechoty. — Krauze Franciszek w r. 1812 kapitan 15 pułku piechoty. Oprócz wyżej wymienionych do sztabu głównego korpusu polskiego w r. 1814 należeli podpułkownicy: Dowgiałło, Van-der-Noot, Gajewski, Kwiatkowski; kapitanowie: Fredro Aleksander, Gosławski, Staniszewski, Dowgiałło, Daszewski, Ferdynand Nawiroł. Kościelski nie jest wymieniony. Por. Gembarzewski, Wojsko Ks. Warsz. (1912), 29.

(Str. 29). Rewia pod St. Denis odbyła się 24 kwietnia 1814 r. — Kurnatowski Zygmunt, generał brygady.

(Str. 33). Dillon Teobald (ur. 1745, zm. 1792 r.), feldmarszałek francuski, zamordowany przez własnych żołnierzy, posądzających go niesłusznie o zdradę. — Latour-Mobourg Marya Wiktor de Fay, generał francuski (ur. 1756, zm. 1850), w bitwie pod Lipskiem utracił nogę. — Steyer, sztajer, taniec styryjski, rodzaj walca.

(Str. 35). Schimmel = koń siwosz. — Troyes, stolica departamentu Aube, w r. 1814 stały tu wojska austriackie pod wodzą Schwarzenberga.

(Str. 36). Bar-sur-Ornain, albo Bar-le-Duc, w departamencie Meuse, miejsce urodzenia marszałka Oudinot.

(Str. 38). Mortier Edward, książę Treviso (ur. 1768, zm. 1835 r.), marszałek i głośny wódz w armii napoleońskiej. — Brienne, miasto w departamencie Aube, Napoleon poniósł tu klęskę 1 lutego 1814 r. — Thiers Ludwik, autor głośnego dzieła *Histoire du Consulat et de l'Empire*.

(Str. 40). Klicki Stanisław, generał, w r. 1813 dowodził brygadą jazdy.

(Str. 44). Aleksander Fredro w r. 1812 wzięty został do niewoli rosyjskiej podczas choroby na tyfus.

(Str. 50). Dr. Józef Frank w swych pamiętnikach (Wilno, 1912, t. III, 30) mówi, że »w Wilnie i jego okolicach znajdowało się 40 tysięcy trupów, najęźściej w mundurach, skostniałych od mrozu«. Urzędowy raport ministra policyi A. Bałaszewa, z grudnia 1812 r., podaje liczbę trupów pochowanych w gub. wileńskiej na 92.243. Zob. S. Goriainow, 1812 — Dokumenty Gosudarstwienawo i S.-Pietierburskawo Gławnawo Archiwow. Petersburg, 1912, Cz. II-ga, str. 98.

(Str. 51). Łapa Antoni, prezydent Sądu głównego wileńskiego; w r. 1805—7 marszałek powiatu trockiego. — Mineyko Michał, sędzia grodzki trocki, dziedzic Stokliszek i Dubnik, żonaty z Brygidą Szabuniewiczówną. Syn jego, Tomasz (ur. 1808, zm. 1855 r.), był od r. 1843 marszałkiem gubernialnym wileńskim. List, o którym wspomina Al. Fredro, pisany był 24 czerwca 1817 r. z Beńkowej Wiszni, druk. w »Bibliotece Warszawskiej«, II (1892), 224. — Makomaski Wincenty od 30 listopada 1811 r. kapitan 6 pułku piechoty, 28 listopada 1812 r. ranny i wzięty do niewoli rosyjskiej.

(Str. 52). O Ignacym Konarskim zob. Jana Al. Fredry, Wspomnienia druk. w »Przeglądzie polskim«, IV (1897), 379.

(Str. 53). Vitry-le-Français albo Vitry-sur-Marne, stolica okręgu Marny, zdobyta przez koalicję w r. 1814. — Tomicki Jan od 18 stycznia 1813 r. major 11 pułku ułanów. — Fain Agaton, baron, autor dzieła p. t. »La manuscrit de 1814« (Paris, 1823—5) i inn. — Belliard Augustyn Daniel (ur. 1769, zm. 1832 r.), znakomity wódz armii napoleońskiej.

(Str. 55). Oborski Aleksander od 18 stycznia 1813 r. pułkownik 3 pułku ułanów. — Sulimierski Stanisław od 3 sierpnia 1809 r. kapitan 11 pułku ułanów.

(Str. 75). Potocki hr. Adam (ur. 1776 r., zm. 1812 r.), utworzył w r. 1809 we Lwowie 4-ty, nie 5-ty, pułk jazdy, przezwany następnie 11-tym pułkiem ułanów. Por. »Pamiętnik o Adamie hr. Potockim... skreślony przez jego córkę Karolinę z Potockich Nakwaską«. Kraków, 1862.

(Str. 80). Mieroszewski Ignacy od 23 lipca 1811 r. kapitan 5-go pułku strzelców konych.

(Str. 81). W r. 1813 z żołnierzy nadliczbowych utworzony został osobny korpus t. zw. gwardyi honorowej pod komendą generałów:

Stanisława Woyczyńskiego, Ksawerego Niesiołowskiego i inn. — Görlitz, po polsku Zgorzelec, główne miasto okręgu lignickiego na Śląsku pruskim.

(Str. 82). Löwenberg, miasto obwodowe w regencyi lignickiej na Śląsku pruskim, pamiętne klęską Macdonalda w d. 19 lipca 1813 r. — Nielipkowice, wieś na prawym brzegu Sanu, przy drodze z Jarosławia do Sieniawy, niegdyś stacya dla spławu zboża do Gdańska.

(Str. 88). Kellermann Franciszek, ksiązę Valmy, marszałek francuski (ur. 1735, zm. 1820 r.).

(Str. 90). »Śpiew o Krzywoustym« — w »Śpiewach historycznych« Niemcewicza. — Do słów: »do mojej ciotki Ruckiej« — dodał Fredro w brulionie następujące objaśnienie: »Amelia z hr. Dembińskich, siostra rodzona mojej matki; córka Jana Nepomucena Dembińskiego, cześnika krakowskiego«. — Jankowski Antoni od 6 grudnia 1811 r. kapitan szwoleżerów gwardyi.

(Str. 91). Zielonka Benedykt wstąpił do pułku szwoleżerów gwardyi d. 21 lutego 1808 r., szefem szwadronu został 15 marca 1814 r.; po bitwie pod Brienne w odwrocie dowodził pułkiem t. zw. Eklererów i tenże pułk pod swą komendą przyprowadził do Polski. — T. zw. pułk Eklererów gwardyi utworzony został w styczniu 1814 r., dowodził nim major Jan Leon Kozieltulski.

(Str. 92). Rüdiger hr. Teodor, generał rosyjski (ur. 1783, zm. 1856 r.), podczas wojny polskiej r. 1831 poraził 19 czerwca pod Lysobykami generałów Turna i Jankowskiego.

(Str. 94). Sułkowski ksiązę Antoni (ur. 1785, zm. 1836 r.), ordynat rydzynski, d. 29 listopada 1806 r. został pułkownikiem 9-go pułku piechoty, 3 lutego 1813 r. generałem dywizyi, 20 października t. r. wodzem naczelnym korpusu polskiego w armii napoleońskiej na miejsce Ks. Józefa, jednak już 27 października t. r. podał się do dymisyi.

(Str. 95). Ocana (w tekście mylnie — Ocaud), miejscowość w Hiszpanii, pamiętna bitwą w d. 19 listopada 1809 r. — Kurnatowski Zygmunt został pułkownikiem 5-go pułku strzelców kon. 20 marca 1810 r. — Toliński Józef, pułkownik od 18 czerwca 1809 r. — Tyszkiewicz hr. Tadeusz, generał brygady od 3 marca 1812 r. — Dulfus Stanisław, pułkownik od 20 marca 1810 r. — Rzyszczewski Gabryel, pułkownik od 1 lipca 1809 r. — Kamiński Ignacy, dowódca dywizyi jazdy od 3 marca 1812 r. — Sebastiani Henryk Franciszek, marszałek francuski (ur. 1775, zm. 1851 r.), w r. 1812 dowódca przedniej straży Wielkiej Armii. — Lefebvre-Desnouettes hr. Karol, generał dywizyi (ur. 1775, zm. 1828 r.).

(Str. 97). Kurecysz Stanisław, od 3 lipca 1809 r. szef batalionu 3-go pułku piechoty; w r. 1813 Napoleon z korpusu polskiego wybrał batalion grenadyerów, który pod nazwą gwardyi polskiej został wcielony pod dowództwem Kurecysza do gwardyi cesarskiej. — Łącki Franciszek, od 4 kwietnia 1810 r. porucznik 12-go pułku piechoty,

adjutantem-majorem mianowany 11 stycznia 1813 r. — Żółtowski Edward (w tekście mylnie — Żółkowski), od 2 marca 1807 r. dowódca 3 pułku piechoty, od 11 grudnia 1811 r. generał brygady. — Potocki Stanisław (ur. 1778 r., zm. 29 listopada 1830 r.), od 9 grudnia 1806 r. pułkownik 2-go pułku piechoty, od 20 marca 1810 r. generał brygady. — Mowa Napoleona była wypowiedziana 27 października 1813 r. pod Hanau; tekst dokładny podaje Gembarzewski, *Wojsko Ks. Warszawskiego* (1912), 26.

(Str. 98). Kwilecki, prawdopodobnie Józef, adjutant gen. Fiszera, od 1 października 1810 r. kapitan.

(Str. 101). Fredro Julian był żonaty z Kordulą hr. Krasieńską, zmarł w r. 1829.

(Str. 102). Pajgert Józef Kalasanty, wierszopis galicyjski w pierwszej ćwierci XIX-go wieku.

(Str. 104). Biegański Łukasz, od 27 grudnia 1812 r. generał brygady. — Po wyliczeniu rodzeństwa Fredro dodał objaśnienie następujące: »Ludwika, później hr. Rozwadowska. Cecylia hr. Jabłonowska. Julian, ożeniony z hr. Krasieńską, młodo umarł. Henryk, porucznik 1-go pułku ułanów, adjutant generała Umińskiego. Edward, rotmistrz 6-go pułku ułanów (Dzieci Warszawskich), ciężko ranny pod Kałuszynem. Obydwa ozdobieni złotym krzyżem *Virtuti Militariae*. O stosunkach rodzinnych Al. Fredry wiele wiadomości podał Jan Aleksander Fredro (syn) w swych »Wspomnieniach« druk. w »Przeglądzie polskim« z r. 1897. O Maksymilianie Fredrze zob. nadto: Pamiętniki pułk. Fr. Gajewskiego (Poznań b. r.) t. I-y; Bielińskiego, *Król. uniwersytet warszawski* (1907) t. I—III; L. Dębickiego, *Portrety i sylwetki* (Kraków, 1906) t. II.

(Str. 109). Aigner Piotr (ur. 1746, zm. 1841 r.) studiował architekturę w Rzymie, do Polski przybył w r. 1782, zbudował świątynię Sybilli w Puławach, pierwotny kościół św. Aleksandra w Warszawie i t. d.

(Str. 110). Szumlański Józef, od 23 maja 1809 r. major-adjutant Ks. Józefa, od 5 sierpnia t. r. pułkownik, w r. 1812 adjutant kom. w wydz. jazdy korp. V-go.

(Str. 111). Ludwik ks. Jabłonowski (ur. 1784 r., zm. 1864 r.), potomek sławnego hetmana, Stanisława, w r. 1817 koniuszy w kor. galic. i członek stanów galic. — Uruski Kajetan, w r. 1809 prefekt departamentu lwowskiego, w r. 1817 miecznik kor. galic., zmarł w r. 1827.

(Str. 112). Potocki Artur był od 24 czerwca 1809 r. porucznikiem-adjutantem Ks. Józefa, nie Roźnieckiego, od stycznia 1812 r. szefem batalionu saperów w stopniu podpułkownika i nadal adjutantem Ks. Józefa; od 13 listopada 1815 r. fligeladjutantem Aleksandra I.

(Str. 115). Rautenstrauch Józef w r. 1809 był w stopniu pułkownika szefem sztabu I-ej dywizji.

(Str. 120). Kamieniecki Ludwik, w r. 1794 generał brygady, od 12 lutego 1807 r. adjutant Ks. Józefa, od 20 marca 1810 r. generał dy-

wizyi, dostał się do niewoli 19 paźdz. 1813 r. w bitwie pod Lipskiem. — Nowicki Józef od 23 listopada 1809 r. pułkownik. — Reporter, z francuskiego *Rapporteur*, oficer, składający raport w sądzie wojennym.

(Str. 122). Żórawski (w tekście mylnie — Żórowski) Józef, od 5 sierpnia 1809 r. kapitan 17-go pułku piechoty. — Tomicki Jan przeszedł na szefa szwadronu z 6-go pułku jazdy d. 6 kwietnia 1810 r. — Orzelski Marcin od 17 lipca 1810 r. kapitan 11-go pułku ułanów. — Brzozowski Kazimierz, kapitan 11-go pułku ułanów. — Boznański Feliks, od 31 sierpnia 1810 r. porucznik 11-go pułku ułanów.

(Str. 124). Solecka Wola, wieś pod Solcem, w powiecie ilżeckim.

(Str. 125). Kuszell Antoni, od 11 grudnia 1811 r. kapitan 10-go pułku huzarów.

(Str. 126). Małachowski Stanisław, od 1 września 1809 r. pułkownik 14-go pułku kirasyerów. — Dokładną listę oficerów 11-go pułku podaje Gembarzewski, *Wojsko Ks. Warszawskiego* (1912), 152.

(Str. 132). Komorowski Franciszek, od 3 sierpnia 1809 r. kapitan 11-go pułku ułanów. — Lemański Ludwik, od 5 czerwca 1809 r. kapitan 3-go pułku piechoty, w bitwie pod Studzianką, 29 listopada 1812 r., ranny i wzięty do niewoli.

(Str. 135). Wojewoda podolski — Andrzej Maksymilian Fredro, głośny w XVII w. pisarz polityczny, zwany »Tacytem polskim«, zmarł w r. 1679.

(Str. 138). Przebendowski Konstanty, od 9 listopada 1809 r. pułkownik 1-go pułku strzelców konnych, w bitwie pod Romanowem, 14 lipca 1812 r., dostał się do niewoli.

(Str. 143). Ustęp od słów: »Połamałem moje pióro autorskie...« w brulionie brzmi: »Połamałem pióro autorskie nie, jak mniemano, dla jednego głupiego artykułu Goszczyńskiego, który się podobał obcej nieprzyjaźni, nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę; porzuciłem i urząd...« Wspomniany artykuł Goszczyńskiego był drukowany w »Powszechnym Pamiętniku nauk i umiejętności« (Kraków, 1835), t. II, 5 sq.; por. St. Schnür-Pepłowski, *Z papierów po Fredrze* (Kraków, 1900), 48 sq.; Sew. Goszczyński, *Dziela*, wyd. Z. Wasilewski, t. III, 178 sq.

(Str. 146). Guwerner Fredry, Trawiński Piotr, urodził się 5 września 1779 r. w Gorzejowej, w Galicyi, jako syn Franciszka i Anny Zadziej; do wojska wstąpił 9 lipca 1807 r., odbył kampanię hiszpańską 1808 r., pod Somo Sierrą był ranny. Zob. Stany służby żołnierzy pułku pol. lekkokon. (szwoleżerów), Nr. 421 (rkps. Biblioteki ord. Krasieńskich). — Cisna, wieś w powiecie liskim.

(Str. 147). O komedyi p. t. »Strach nastraszony« wspomina Fredro w swej autobiografii druk. w »Kronice rodzinnej« (Warszawa, 1876), Nr. 21.

(Str. 150 i 151). Nowicki Jakób, od 11 grudnia 1809 r. podporucznik 11-go pułku ułanów. — Dąbrowski Wincenty, od 16 września

1811 r. porucznik w tymże pułku. — Jelski Ludwik, przyjaciel Fredry, od 11 kwietnia 1813 r. kapitan 16-go pułku piechoty; korespondencya Jelskiego z Fredrą w archiwum przyłbickiem; niektóre listy Fredry z r. 1813—14, oraz cytowany wiersz do Jelskiego, pisany w styczniu 1814 r. w Metz, druk. w »Bibliotece Warszawskiej« (1892), t. II, 226 i nast.; por. Peplowski, Z papierów po Fredrze (1900), 29 i nast. O improwizacyach Fredry w 1814 r. wspomina Józ. Grabowski w swych Pamiętnikach (Warszawa, 1905), 244.

(Str. 152). Ignacy Turkull był po Stefanie Grabowskim ministrem sekretarzem stanu Królestwa Polskiego. — Beńkowa Wisznia, albo Bieńkowa Wisznia, wieś w powiecie rudzkiem. — Wojciech hr. Dembiński, h. Rawicz, syn Jana Nepomucena, szambelana królewskiego i Krystyny z Wiesiołowskich, łowczanki wieluńskiej, ur. 1776 r., zm. 1836 r.

(Str. 154). Ustęp od słów: »W 1812-tych w Litwie, a potem i w Królestwie Żydzi stali się naszymi głównymi nieprzyjaciółmi, w brulionie brzmi: »W 1812 w Litwie, a potem i w Królestwie Żydzi stali się, może z powodu bolesnej chłosty, którą alianci odbierali z rąk francuskiego wojska, głównymi naszymi nieprzyjaciółmi. W Wilnie pastwili się bez litości na półzmarłych jeńcach wojennych, obdarłszy, wyrzucali na śnieg, a zdrowszych, silniejszych mordowali po domach dla jakiego haftowanego munduru lub lichego futra, albo w nadziei znalezienia części bajecznych skarbów moskiewskich. Teraz wątpię, aby byli przychylni jakiejś zmianie w Galicji«.

(Str. 155). Antoni Dembiński zmarł w grudniu 1841 r., członek stanów galic. 1817 r. — Nienadowa, wieś w powiecie przemyskim.

(Str. 156). Surochów, wieś w powiecie jarosławskim, rodowe gniazdo Fredrów.

(Str. 158). Podróż do Włoch odbył Fredro w r. 1824 z namowy brata Maksymiliana, który, zaślubiwszy księżniczkę Praskową Golowin, zamierzał swatać poetę z przyjaciółką żony, Elżbietą hr. Buturlin.

(Str. 160). Lesko, albo Lisko, miasto powiatowe na prawym brzegu Sanu, gród znany już w w. XVI.

(Str. 161). Ks. Franciszek Ksawery Zacharyasiewicz, ur. 1770 r., zm. 1845 r., był biskupem przemyskim od r. 1840.

(Str. 165). Hoczew, wieś w powiecie liseckim.

(Str. 166). Zmiany w wierszu zostały wprowadzone na podstawie autografu w archiwum przyłbickiem.

(Str. 167 i 168). Baligród, miasteczko w powiecie liseckim. — Bundz = ser owczy, zbity w płaskie formy.

(Str. 172). Józef hr. Kalinowski, generał, właściciel Kamionki Wielkiej, zmarł w r. 1825. — Ignacy Cetner, właściciel Mościsk, Cisowa i inn., pułkownik wojsk pol., zmarł w r. 1821.

(Str. 176). Kitajgrodzki Mikołaj, posesor Bereźnicy i Lukowy, zmarł w r. 1789.

wizyi, dostał się do niewoli 19 paźdz. 1813 r. w bitwie pod Lipskiem. — Nowicki Józef od 23 listopada 1809 r. pułkownik. — Raporter, z francuskiego *Rapporteur*, oficer, składający raport w sądzie wojennym.

(Str. 122). Żórawski (w tekście mylnie — Żórowski) Józef, od 5 sierpnia 1809 r. kapitan 17-go pułku piechoty. — Tomicki Jan przeszedł na szefa szwadronu z 6-go pułku jazdy d. 6 kwietnia 1810 r. — Orzelski Marcin od 17 lipca 1810 r. kapitan 11-go pułku ułanów. — Brzozowski Kazimierz, kapitan 11-go pułku ułanów. — Boznański Feliks, od 31 sierpnia 1810 r. porucznik 11-go pułku ułanów.

(Str. 124). Solecka Wola, wieś pod Solcem, w powiecie ilżeckim.

(Str. 125). Kuszell Antoni, od 11 grudnia 1811 r. kapitan 10-go pułku huzarów.

(Str. 126). Małachowski Stanisław, od 1 września 1809 r. pułkownik 14-go pułku kirasyerów. — Dokładną listę oficerów 11-go pułku podaje Gembarzewski, *Wojsko Ks. Warszawskiego* (1912), 152.

(Str. 132). Komorowski Franciszek, od 3 sierpnia 1809 r. kapitan 11-go pułku ułanów. — Lemański Ludwik, od 5 czerwca 1809 r. kapitan 3-go pułku piechoty, w bitwie pod Studzianką, 29 listopada 1812 r., ranny i wzięty do niewoli.

(Str. 135). Wojewoda podolski — Andrzej Maksymilian Fredro, głośny w XVII w. pisarz polityczny, zwany »Tacytem polskim«, zmarł w r. 1679.

(Str. 138). Przebendowski Konstanty, od 9 listopada 1809 r. pułkownik 1-go pułku strzelców konnych, w bitwie pod Romanowem, 14 lipca 1812 r., dostał się do niewoli.

(Str. 143). Ustęp od słów: »Połamałem moje pióro autorskie...« w brulionie brzmi: »Połamałem pióro autorskie nie, jak mniemano, dla jednego głupiego artykułu Goszczyńskiego, który się podobał obcej nieprzyjaźni, nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę; porzuciłem i urząd...« Wspomniany artykuł Goszczyńskiego był drukowany w »Powszechnym Pamiętniku nauk i umiejętności« (Kraków, 1835), t. II, 5 sq.; por. St. Schnür-Pepłowski, *Z papierów po Fredrze* (Kraków, 1900), 48 sq.; Sew. Goszczyński, *Dzieła*, wyd. Z. Wasilewski, t. III, 178 sq.

(Str. 146). Guwerner Fredry, Trawiński Piotr, urodził się 5 września 1779 r. w Gorzejowej, w Galicyi, jako syn Franciszka i Anny Zadziekiej; do wojska wstąpił 9 lipca 1807 r., odbył kampanię hiszpańską 1808 r., pod Somo Sierrą był ranny. Zob. Stany służby żołnierzy pułku pol. lekkokon. (szwoleżerów), Nr. 421 (rkps. Biblioteki ord. Krasieńskich). — Cisna, wieś w powiecie liskim.

(Str. 147). O komedyi p. t. »Strach nastraszony« wspomina Fredro w swej autobiografii druk. w »Kronice rodzinnej« (Warszawa, 1876), Nr. 21.

(Str. 150 i 151). Nowicki Jakób, od 11 grudnia 1809 r. podporucznik 11-go pułku ułanów. — Dąbrowski Wincenty, od 16 września

1811 r. porucznik w tymże pułku. — Jelski Ludwik, przyjaciel Fredry, od 11 kwietnia 1813 r. kapitan 16-go pułku piechoty; korespondencya Jelskiego z Fredrą w archiwum przyłbickiem; niektóre listy Fredry z r. 1813—14, oraz cytowany wiersz do Jelskiego, pisany w styczniu 1814 r. w Melz, druk. w »Bibliotece Warszawskiej« (1892), t. II, 226 i nast.; por. Peplowski, Z papierów po Fredrze (1900), 29 i nast. O improwizacyach Fredry w 1814 r. wspomina Józ. Grabowski w swych Pamiętnikach (Warszawa, 1905), 244.

(Str. 152). Ignacy Turkull był po Stefanie Grabowskim ministrem sekretarzem stanu Królestwa Polskiego. — Beńkowa Wisznia, albo Bieńkowa Wisznia, wieś w powiecie rudzkim. — Wojciech hr. Dembiński, h. Rawicz, syn Jana Nepomucena, szambelana królewskiego i Krystyny z Wiesiołowskich, łowczanki wieluńskiej, ur. 1776 r., zm. 1836 r.

(Str. 154). Ustęp od słów: »W 1812-tym w Litwie, a potem i Księstwie Żydzi stali się naszymi głównymi nieprzyjacielami«, w brulionie brzmi: »W 1812 w Litwie, a potem i w Królestwie Żydzi stali się, może z powodu bolesnej chłosty, którą alianci odbierali z rąk francuskiego wojska, głównymi naszymi nieprzyjaciółmi. W Wilnie pastwili się bez litości na półzmarłych jeńcach wojennych, obdarłszy, wyrzucali na śnieg, a zdrowszych, silniejszych mordowali po domach dla jakiego haftowanego munduru lub lichego futra, albo w nadziei znalezienia części bajecznych skarbów moskiewskich. Teraz wątpię, aby byli przychylni jakiejbądź zmianie w Galicji«.

(Str. 155). Antoni Dembiński zmarł w grudniu 1841 r., członek stanów galic. 1817 r. — Nienadowa, wieś w powiecie przemyskim.

(Str. 156). Surochów, wieś w powiecie jarosławskim, rodowe gniazdo Fredrów.

(Str. 158). Podróż do Włoch odbył Fredro w r. 1824 z namowy brata Maksymiliana, który, zaślubiwszy księżniczkę Praskową Golowin, zamierzał swatać poetę z przyjaciółką żony, Elżbietą hr. Buturlin.

(Str. 160). Lesko, albo Lisko, miasto powiatowe na prawym brzegu Sanu, gród znany już w w. XVI.

(Str. 161). Ks. Franciszek Ksawery Zacharyasiewicz, ur. 1770 r., zm. 1845 r., był biskupem przemyskim od r. 1840.

(Str. 165). Hoczew, wieś w powiecie liseckim.

(Str. 166). Zmiany w wierszu zostały wprowadzone na podstawie autografu w archiwum przyłbickiem.

(Str. 167 i 168). Baligród, miasteczko w powiecie liseckim. — Bundz = ser owczy, zbity w płaskie formy.

(Str. 172). Józef hr. Kalinowski, generał, właściciel Kamionki Wielkiej, zmarł w r. 1825. — Ignacy Cetner, właściciel Mościsk, Cisowa i inn., pułkownik wojsk pol., zmarł w r. 1821.

(Str. 176). Kitajgrodzki Mikołaj, posesor Bereźnicy i Łukowy, zmarł w r. 1789.

(Str. 181). Kasper Brześciański, herbu Sas, syn Adama, podczaszego owruckiego.

(Str. 182). Kopeć Kołodziński Józef, generał wojsk Rzplitej, ur. w Wilnie 1759 r., odznaczył się w kampaniach 1792 i 1794 r. Pod Maciejowicami wzięty do niewoli, wysłany został do Irkucka, następnie na Kamezatkę. Powrócił do kraju na mocy amnestyi Pawła I. Aleksander I polecił ukazem z 21 grudnia 1804 r., aby po śmierci Wincentego Kopcia, majątek jego Luszniów, w pow. brasławskim gub. wileńskiej, oddany został dożywotnio gen. Józefowi Kopciowi. W papierach gen. Kopcia (Archiwum Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie) znajduje się następujące jego podanie »Do Rady wojennej w r. 1812«: »Od młodości, przez lat dwadzieścia kilka, stopniowo od prostego żołnierza wysłużony jeszcze w r. 1792 brygadyer, znany w r. 1794 przez poświęcenia i niebezpieczeństwa, poniesione dla dobra ojczyzny, jeniec i ranny pod Maciejowicami, niewolnik potem Niżnej Kamezatkki i przez lat 6 zamrożonemi tylko rybami żywiony, tamże mieszkaniec bezinteresowany, za powrotem przez wrodzony entuzyazm narodowy, wreszcie życzliwy krajowi i współziomkom obywatel i żołnierz nie śmie dopomnieć się zasług swoich, swojej nagrody, bo mniema, że wszędzie pełnił powinność, lecz pragnąc dla starganych sił i podeszłego wieku mieć losu i znaczenia swego zapewnienie udaje się do sądu współkolegów broni z prośbą, aby resztę dni pozostałej zdolności ocenił i krajowi go jeszcze użytecznym zrobić chcieli, a zabezpieczoną przez Radę Litewską w roku 12-tych jego część pensyi pozwolili uczciwie jemu zapracować. Podający łączy wyrazy uszanowania. Kopeć generał«. Pamiętnik Kopcia, p. t. »Dziennik podróży przez całą wzdłuż Azyę lądem do portu Ochocka, oceanem przez wyspy Kurylskie do niższej Kamezatkki i ztamtąd napowrót do tegoż portu na psach i jeleniach«, wydał Edw. Raczyński we Wrocławiu, w r. 1837. Nowe, uzupełnione wydania wyszły w Berlinie (1863 r.) i Paryżu (1867 r.), ostatnie z przedmową Mickiewicza, który rozbiorowi pamiętników Kopcia poświęcił dwie lekcye swoich wykładów o literaturze słowiańskiej (zob. ed. poznańską 1865 r., t. II, 207 i nast.). O obłąkaniu Kopcia wspominają pamiętnikarze współcześni, np. Leon Dembowski, *Moje wspomnienia* (Petersburg, 1902), t. I, 177. Zob. Lucyana Siemińskiego, *Wieczór u gen. Kopcia*, druk. w wyd. Muzamerit (Poznań, 1843), t. I-y.

(Str. 183). Sagatyński Jan, przed r. 1830 przebywał w Warszawie, następnie w Galicyi, gdzie zmarł w r. 1844. Odznaczał się dowcipem i darem opowiadania. Anegdoty jego przytacza F. S. Dmochowski w swoich »Wspomnieniach« (Warszawa, 1858). Sagatyński skreślił pamiętniki, opisujące ostatnie lata Stanisława Augusta, od 17 kwietnia 1794 r. do zgonu króla w Petersburgu, w r. 1798. Pamiętniki te zostały wydane w Poznaniu, w r. 1845, p. t. »Pamiętnik byłego pазia Stanisława Poniatowskiego, przy którym zostawał aż do śmierci«. — Laszki Mu-

rowane w powiecie lwowskim; pałac Mniszchów znajdował się w Laszkach, w pow. jarosławskim. — Mniszech hr. Stanisław, syn Józefa, generał-majora wojsk Rzplitej i Maryanny z hr. Ossolińskich, ur. 1774 r., zm. 1860 r. — Starasól, wieś w powiecie staromiejskim, znana już w XV w. z żup solnych.

(Str. 188 i 189). Turno Kazimierz, od 30 grudnia 1806 r. pułkownik 5-go pułku strzelców konnych. — Wesołowski Ksawery, od 9 grudnia 1809 r. kapitan 11-go pułku ułanów. — Krasicki hr. Franciszek Ksawery, syn Antoniego i Róży z Charezewskich, ur. 1774 r., zm. 1844 r., żonaty z Julią z hr. Mniszchów. — Wojewodzina bełzka, Kordula z Komorowskich Teodorowa Potocka, zwana »la Fée Diamantine«, siostra Gertrudy Szcześnowej Potockiej.

(Str. 193 i nast.). Fragment ten podany był do druku w »Bibliotece Warszawskiej« z r. 1911, t. I, 169 i nast., przez wnuczkę autora, Maryę z hr. Fredrów hr. Szembekową, z dopiskiem następującym: »Wśród papierów i rękopisów, pozostałych po moim dziadzie, Aleksandrze Fredrze, znalazłam niżej podany urywek; pisany jest ręką mojej ciotki, Zofii Szeptyckiej, wyraźnie jako brulion pod dyktandem ojca, bo zawiera dużo przekreśleń i poprawek. Wydaje mi się ciekawy, więc go ogłaszam. O poniższem zdarzeniu raz jeden w życiu słyszałam, ale było to w tak dalekiem dzieciństwie, że żadnych szczegółów nie pamiętam. Wiem jedynie, że raz, kiedyś, w mojej obecności była mowa o bitwie pod Hanau i poprzedzającą ją tajemniczem zajściu z mnichem. Dopiero odczytanie rękopisu rozmowę tę mi przypomniało. Czy rzeczywiście przygoda ta mego dziada spotkała, twierdzić na pewno nie mogę. Wiarogodność jej wydaje mi się o tyle niewątpliwą, że dziad mój nigdy tego rodzaju fantastycznych bajek ani sam nie pisywał, ani też nie lubił«.

(Str. 197 i nast.). Fragment ten przechowany jest w archiwum przyłbickiem (autograf). — O wojewodzinie Potockiej zob. przypis do str. 188-ej. — Komorowski Józef, ur. 1767 r., zm. 1847 r., rotmistrz kawalerji narodowej, kawaler orderu św. Stanisława w r. 1792, kawaler honorowy maltański, szambelan austriacki od r. 1816, brat Gertrudy Potockiej. — »Okienkowy order« = dany z patentem, w którym było pozostawione miejsce (»okienko«) do wpisania nazwiska udekorowanego. — Goldoni Karol, znakomity komedyopisarz włoski, ur. 1707 r., zm. 1793 r. — Teodor Potocki, wojewoda bełzki (Fredro mylnie nazywa go ruskim), w r. 1796—9 marszałek szlachty gub. podolskiej, zmarł w r. 1812; żonaty 1-mo voto z Karoliną z ks. Sapiechów, 2-do voto z Kordulą z Komorowskich; syn jego, Adam, ur. 1776 r., zm. 1812 r., pułkownik 11-go pułku ułanów, żonaty z Maryanną z Rostworowskich, córką Andrzeja i Józefy z Komorowskich, siostry drugiej żony wojewody. — Rozwadowski Kazimierz, od 3 sierpnia 1809 r. pułkownik 8-go pułku ułanów, który w r. 1811 odstąpił Dominikowi ks. Radziwiłłowi. —

Kamiński Ignacy w r. 1794 generał brygady, w r. 1812 dowódca dywizji jazdy, podczas bitwy pod Lipskiem, 19 października 1813 r., dostał się do niewoli. — Dziewanowski Dominik, od 3 grudnia 1806 r. pułkownik 6-go pułku ułanów; w r. 1810 generał brygady. — Dembiński Józef, od 27 maja 1808 r. szef szwadronu 6-go pułku ułanów. — Komorowski Erazm, pułkownik jazdy wojsk koronnych, w r. 1793 otrzymał dymisyę z rangą generał-majora, zmarł 1835 r. — Starzyński (Starzeński) Ignacy Jerzy od 3 czerwca 1809 r. porucznik 3-go pułku jazdy, od 18 stycznia 1813 r. szef szwadronu 11-go pułku ułanów. — »Dzieło Sołtyka« = Romana Sołtyka: »Relations des opérations de l'armée aux ordres du prince Joseph Poniatowski pendant la campagne de 1809« (Paris, 1841). — O stosunkach we Lwowie w r. 1809 zob. Dr. Br. Pawłowski, Lwów w 1809 r. (Lwów, 1909).

(Str. 205). »Portrety osób, które znałem osobiście« — z rękopisu Al. Fredry w archiwum przyłbickiem.

(Str. 207). Listy Al. Fredry i Germana Hołowińskiego — z rękopisów w archiwum przyłbickiem i Bibliotece ord. Krasińskich. — German (Herman) Hołowiński, dziedzic Steblowa w powiecie kaniowskim. — Dzieło Chodynickiego, to prawdopodobnie ks. Ignacego Chodynickiego: »Dzieło historyczno-polityczne Europy« (Lwów, 1817—1820). — Waryant »Pieśni Polaków« druk. p. t. »Pieśń nasza« w »Dziełach« Fredry (Warszawa, 1880), t. XIII, 27.

(Str. 209). Wiersz *Pro Memoria* — z autografu Al. Fredry w archiwum przyłbickiem; waryant w »Dziełach« Fredry (Warszawa, 1880), t. XIII, 3 i nast. — Prysk = popiół gorący, żar, zarzewie. — »Na najpierwszych scenach pojąłem treść sztuki«, t. j. w Komedyi francuskiej, por. autobiografię Fredry druk. w »Kronice rodzinnej« (Warszawa, 1876) Nr. 21. — »Bo swoje bajki z ciągłym wygłaszał zapałem«, prawdopodobnie Franciszek Morawski. — »Klasyk ostrokuty« = Ludwik Osiński (?), — »Gramatyk« = Antoni Małcki (?). — »Minos« = Seweryn Goszczyński (?). — Zakończenie wiersza »Pro memoria« zawiera przypomnienie procesu politycznego, jaki został wytoczony Fredrze w r. 1848, zob. interesującą rozprawę Bronisława Łozińskiego p. t. »Sprawa kryminalna Aleksandra hr. Fredry o zdradę stanu« druk. w »Szkicach z historii Galicyi w XIX w.« (Lwów, 1913). — Stadion hr. Franciszek w r. 1846—47 gubernator Galicyi, w 1848—49 r. austriacki minister spraw wewnętrznych. — Mier hr. Feliks w r. 1818—30 poseł austriacki w Brunszwiku i w Niderlandach, zmarł w r. 1857.

SPIS ILUSTRACJI.

	Str.
1. Aleksander Fredro. Portret wykonany z miniatury w r. 1889 przez Jana Aleksandra hr. Fredrę (syna), w zbiorach rodzinnych Maryi hr. Szembekowej w Siemianicach. Przed tytułem.	
2. Karta tytułowa brulionu »Trzy po trzy« w archiwum rodzinnym Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	XVII
3. Aleksander Fredro. Portret w zbiorach Ossolineum we Lwowie	XXXV
4. Rok 1814. Obraz Meissonier'a z r. 1861. Louvre, Paryż	1
5. Aleksander Fredro (?). Miniatura M. Weixlbauma w zbiorach p. Kazimierza Przybysławskiego w Uniżu	5
6. Hrabia Ludwik Michał Pac. Staloryt K. Wileczyńskiego w zbiorach Henryka Mościckiego w Warszawie	13
7. Józef Kossakowski. Miniatura w zbiorach Henryka Mościckiego w Warszawie	17
8. Stanisław Dunin-Wąsowicz. Miniatura w zbiorach Stanisława Juliusza hr. Stadnickiego w Wiedniu	19
9. Aleksander Fredro pod Hanau w r. 1813. Obraz Juliusza Kossaka z r. 1891, w zbiorach rodzinnych M. hr. Szembekowej w Siemianicach	25
10. Tadeusz Suchorzewski. Portret w zbiorach p. Michała Orzegalskiego w Bolechowicach	28
11. Józef Dwernicki. Portret pędzla Kazimierza Bachmatowicza w Muzeum Rumiancewowskim w Moskwie	29
12. Roman Soltyk. Litografia de Villaine'a	34
13. Andrzej Niegolewski. Portret współczesny w posiadaniu rodziny	37
14. Stanisław Klicki. Portret w muzeum im. hr. Baworowskich we Lwowie	41

15. Granat. Obraz Jul. Kossaka z r. 1881	42
16. »Spotkanie podpułkownika Maxymiliana i kapitana adjutanta majora Alexandra Fredrów z rannym podpułkownikiem Arturem hr. Potockim, dnia 5-go września 1812 r. Według opowiadania Alexandra Fredra — Adamowi Hrabieemu Połockiemu — Jan Alexander Fredro«. Rysunek szkicowy z powyższym podpisem w zbiorach hr. Potockich w Krzeszowicach	45
17. »Nędza Francuzów w r. 1812, wspierana od Zgromadzenia SS. Miłosierdzia w Wilnie«. Litografia Przybylskiego według współczesnego rysunku Lukaszewicza, w Bibliotece publicznej w Wilnie	49
18. Michał Mineyko. Portret w zbiorach rodzinnych p. Ludwika Mineyki w Dubnikach	51
19. Sukmana Aleksandra Fredry, w której uciekał z Wilna w r. 1812. W zbiorach rodzinnych M. hr. Szembekowej w Siemianicach	53
20. Aleksander Oborski. Miniatura w zbiorach Ksawerego hr. Branickiego w Warszawie	55
21. Próba lancy. Obraz Jul. Kossaka z r. 1885	61
22. Aleksander Fredro. Miniatura, wykonana około r. 1828, w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przybiczach	63
23. Ludwik Milberg. Karykatura Jakóba Sokołowskiego w zbiorach Biblioteki ord. Krasińskich	67
24. Szabla kawaleryjska z czasów Księstwa Warszawskiego, w zbiorach dyr. Bronisława Gembarzewskiego	71
25. Nominacya Aleksandra Fredry na podporucznika 11 pułku ułanów. Oryginał w zbiorach rodzinnych M. hr. Szembekowej w Siemianicach	76
26. Adam Potocki. Litografia Klimecka w zbiorach Biblioteki ord. Krasińskich	77
27. Jan Rostworowski. Obraz Januarego Suchodolskiego w posiadaniu rodziny	79
28. Ignacy Józef Miosroszewski. Litografia Kurowskiego, w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej	81
29. Pikieta. Obraz Jana Chełmińskiego	85
30. Mundur 5-go pułku strzelców Księstwa Warszawskiego. W zbiorach Muzeum rapperswilskiego	91
31. Antoni Jankowski, według portretu reprod. w Rembowskiemu »Źródłach do hist. pułku lekkokonnego gwardyi Napoleona I«.	92
32. Antoni ks. Sułkowski. Litografia Edwarda Muellera z portretu Jul. Knorra, w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej	94
33. Józef Toliński. Miniatura w Muzeum Narodowem w Krakowie	95
34. Edward Żółtowski (w tekście mylnie — Żółkowski). Portret w zbiorach Michała ks. Woronieckiego w Warszawie	96

	Str.
35. Gabryel Rzyszczewski. Miniatura w zbiorach Romana hr. Rzyszczewskiego w Warszawie	97
36. Edward Fredro. Portret pędzla Kaczor-Batowskiego w zbiorach rodzinnych M. hr. Szembekowej w Siemianicach	102
37. Maksymilian Fredro. Miniatura w zbiorach rodzinnych M. hr. Szembekowej w Siemianicach	105
38. Szeł szwadronu Sweryn Fredro (w tekście mylnie — Maksymilian Fredro) w bitwie pod Peterswalde w r. 1813. Obraz Jul. Kossaka z r. 1883	108
39. Artur Potocki. Portret w zbiorach hr. Potockich w Krzeszowicach	113
40. Józef Rautenstrauch (w mundurze rosyjskim, po r. 1831). Litografia Banku Polskiego	115
41. Antoni Kuszell. Miniatura w zbiorach Ossolineum we Lwowie	125
42. Szabla kawalerska z czasów Księstwa Warszawskiego, w zbiorach dyr. Bronisława Gembarzewskiego	133
43. Nominacya Aleksandra Fredry na kapitana 5-go pułku jazdy. Oryginał w zbiorach rodzinnych M. hr. Szembekowej w Siemianicach	139
44. Aleksander hr. Fredro. Portret malowany w r. 1852 przez córkę, Zofię z hr. Fredrów hr. Szeptycką, w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	143
45. Edward Fredro. Litografia C. F. Muellera w Karlsruhe, w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	145
46. Seweryn Fredro, według portretu reprod. w Rembowskiemu »Źródłach do hist. pułku lekkokonnego gwardyi Napoleona I«	148
47. Henryk Fredro. Portret pędzla Kaczor-Batowskiego w zbiorach M. hr. Szembekowej w Siemianicach	152
48. Beńkowa Wisznia. Akwarela malowana przez Józefa Swobodę. Na oryginale data: »15 maja 1848«. Zbiory rodzinne Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	157
49. Jatwigi. Akwarela Józ. Swobody w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	159
50. Jacek Fredro. Miniatura w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	163
51. Droga do Rudek. Akwarela Józ. Swobody w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	169
52. Rudki. Akwarela Józ. Swobody w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	171
53. Aleksander Fredro. Akwarela Rodakowskiego w zbiorach rodzinnych M. hr. Szembekowej w Siemianicach	173
54. Zofia z hr. Jabłonowskich hr. Fredrowa. Portret malowany przez córkę, Zofię z hr. Fredrów hr. Szeptycką, w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	175

	Str.
55. Jan Aleksander hr. Fredro (syn). Portret malowany przez siostrę, Zofię z. hr. Fredrów hr. Szeptycką, w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	177
56. Kościół w Rudkach. Akwarela Józ. Swobody w zbiorach rodzinnych Leona hr. Szeptyckiego w Przyłbicach	181
57. Maryanna z hr. Dembińskich Jackowa Fredro ¹⁸⁹² z. Akwarela wykonana w r. 1890 z miniatury przez Jana Aleksandra Fredrę, w zbiorach rodzinnych M. hr. Szembekowej w Siemianicach .	185
58. Kazimierz Turno. Portret w zbiorach p. St. Miziewicza we Lwowie	187
59. Grenadyer 5-go pułku strzelców konnych Księstwa Warszawskiego. Akwarela pędzla Bronisława Gembarzewskiego z r. 1912, w Muzeum rapperswilskim	188
60. Pomnik Aleksandra Fredry we Lwowie. Według fotografii z r. 1914-go	190

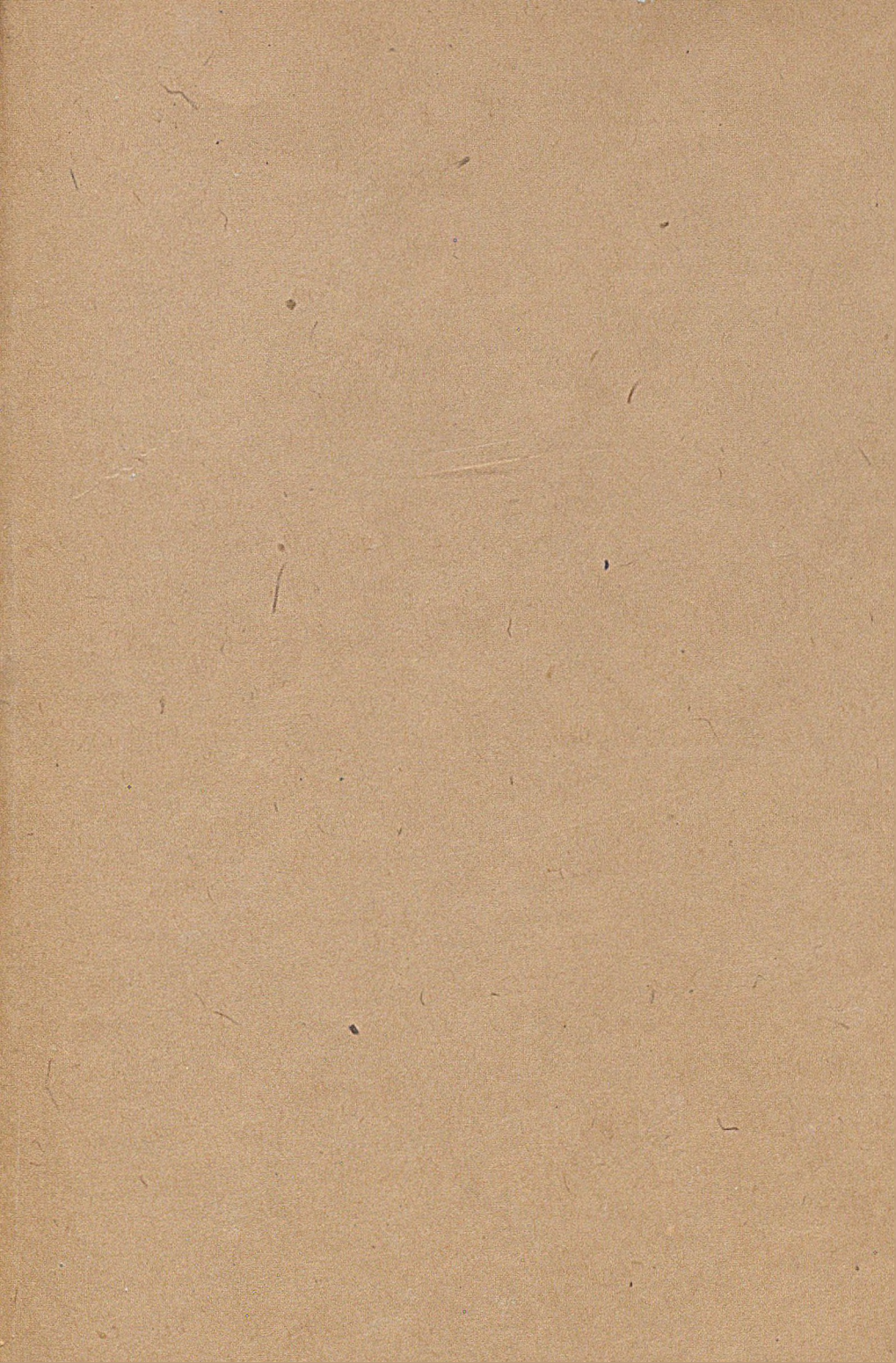


SPIS RZECZY.

	Str.
Wstęp, przez Henryka Mościckiego	VII
Przedmowa, przez Adama Grzymałę Siedleckiego	IX
Trzy po trzy — pamiętniki Aleksandra Fredry	1
Aneksy:	
Luźne fragmenty z pamiętników	193
Portrety osób, które znałem osobiście	205
Listy Aleksandra Fredry i Germana Hołowińskiego	207
Pro Memoria	209
Przypisy	213
Spis ilustracyi	225



1857



1007-01-22

14. 05. 1933

2012-09-11

2012-01-11

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

Sp 1027